WACŁAW GĄSIOROWSKI

HURAGAN

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

TOM II.

LWÓW
NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO"
1903.

96.
97.

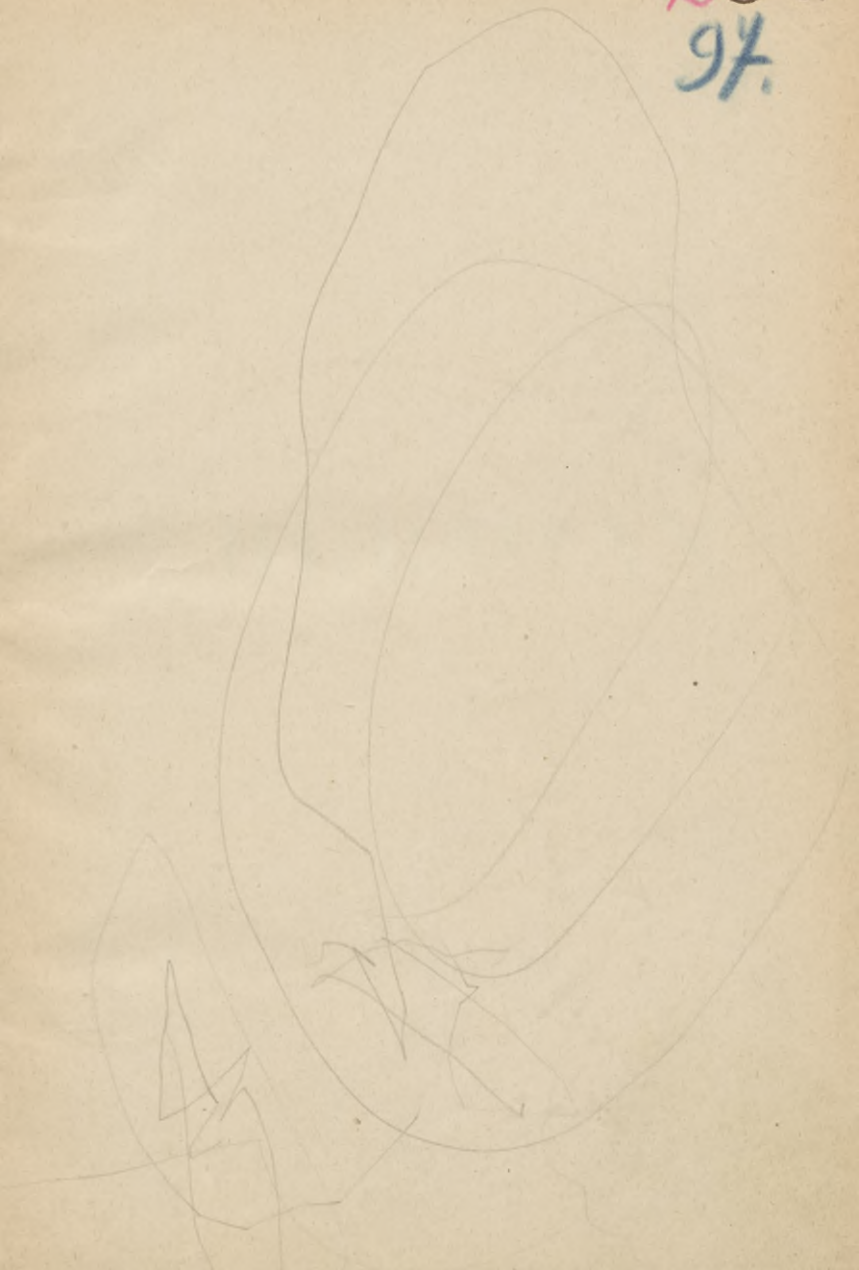

HURAGAN

WACŁAW GĄSIOROWSKI

HURAGAN

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

TOM II.

LWÓW
NAKŁADEM SŁOWA POLSKIEGO
1903.

113566

Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“ WE LWOWIE
pod zarządem J. Ziembińskiego.

I.

Bonaparte stanął nad brzegami Wisły.

Do stóp jego spłynęły wszystkie rojenia, nadzieje, marzenia, żale, skargi, łzy. Zdało się, że dlatego się jawił, aby gruzy na dawne zamczyska wznosić, tęsknicę ziemi rozpatrywać a koić, czy może rozpłakane jodły a drżące brzozy do słodkich, minionych snów ukołysać!

Jakby syn Marsa zamienić się mógł w gołębia pokoju, jakby orzeł na to po nad równiny się wzbijał i pod niebieskiem sklepieniem na skrzydłach się ważył, aby nie ścigać błyskawicami wzroku przyziemnej zdobyczy, aby nie gotować się do piorunowego skoku!...

Bonaparte stanął nad brzegami Wisły...

Pochyliły się sztandary, rozległy pobudki i fala bagnetów, armat, koni, ludzi, rzuciła mosty, wytknęła brody i przepłynęła po nad korytem — na poły zamarzłem, na poły krą zawalonem, a gdzieniegdzie słabo sączącem.

Za armią szedł czujny, baczny rozkaz cesarza, wodza.

Tam, na Śląsku, książę Hieronim i marszałek Mortier dogryzali już resztek pruskiego oporu. Hrabia Pückler, zebrawszy wolontarskie hufce, zginął śmiercią Rzymianina, pozbawiając się życia na polu zwycięstwa francuskiego. Wrocław, Nissa, Świdnica i Brzeg chwiały się, myśląc o kapitulacyi. Fryderyk Wilhelm w Królewcu trwożnie nadsłuchiwał odgłosu bitew,

wielka armia jego zmieniła się już tylko w piętnastotysięczny korpus generała Lestocqua.

Bonaparte przestał Prusami się zajmować, nie dla niego były tamte, łatwe wawrzyny. Oto przed nim stała armia rosyjska pod generałem Kamenskim. Armią, którą Napoleon znał z pod Piazency, Ankony, Nori i Austerlitzu, armia, co umiała stać murem i ginąć bez skargi, bez jęku.

Żołnierz rosyjski karny, ślepo idący za sygnałem, za głosem komendy, zahartowany do niewygód, determinista z natury, z placu nie ustępował. Piechur taki ani drgnął w ogniu bojowym. Wszystko mu tam jedno, czy przed nim kolumna srogiej gwardyi wyrasta, czy szarża dragonii zrywa się, czy deszcz kartaczy płynie. Wrósł w ziemię! Kule muskały go, szarpały, zdzierały zeń mundur, dziurawiły trójgraniasty kapelusz lub kask, broczyły zeń krew. On stał, czekał, póki „luta“ nie przyjdzie, póki resztek żywota mu nie wydrze, póki ostatniej kropli krwi mu nie wytoczy.

Żołnierz taki, to nie kozak.

Kozakowi walka zacięta, uporczywa nie uśmiechała się. Podjazd nocny, placówka, zasiągnięcie języka, wypadnięcie błyskawiczne z za lasu na furaże, półkoliste ataki awangardy, pierścieniowate uściski, gonitwa, harce, utarczki na białą broń, to jego żywioł. Kozak nie lubi piechoty, nie lubi zwartych czworoboków. Rozsypka, nieład, kto pierwszy! Wypaść znienacka, podejść, a gdy się nieprzyjaciel z popłochu otrząśnie i w linie się zbierze — to w nogi i zapaść się w horyzonty, stepy, pola, lasy, bory.

Bonaparte czuł, że tu jedna bitwa, jeden atak, jeden manewr nie przechyli szali zwycięstw i posuwał się wolno, wznosił nad brzegiem Wisły szańce, rozstawiał dywizye, łączył je łańcuchami podjazdów.

Ney w Toruniu, Murat z Davoustem stanęli nad Bugiem. Soult czaił się pod Wyszogrodem, Augereau między Utratą i Zakroczymiem. Marszałek Béssières z dywizyami kawaleryi Grouchego, Sabruca i Hautpoulta, przeprawił się, ocierając się o Neya. Lefebvre

dobywał Gdańska. A środkiem generał Chasselup-Laubat z saperami i pontonierami stawiał już most na Narwi.

Tu generał Kamenskij wyznaczył pierwsze spotkanie Bonapartemu.

Huk armat rozległ się pod Bieżuniem. Echo jego odbiło się na przestrzeni dwudziestu mil. Drgnęła ziemia w posadach. Śnieg z krwią się mięszał.

Niebo zasnuło się chmurami, lunęło potokami deszczu. Zamieć za zamiecią słało na pole walki, mgłami obezwładniało ruchy kolumn, w roztopach a błotach więziło armaty, amunicyę, przejmowało wichurą, smagało dżdżem obie armie i zgasić w nich nie mogło zawziętości, powstrzymać nie zdołało szalonej walki na śmierć i życie.

Zawilgłe ładunki odmawiały posłuszeństwa, złośliwe febry napełniały lazarety, koń słaniał się z wycieńczenia, żołnierz ani biwaka rozbić nie mógł, ani ognia rozniecić.

Ziemia zamieniła się w topiel grzązką, przepastną. Zima rozpłynęła się w listopadowych podmuchach, zawiejach, nawałnicach.

A tu bitwa następowała za bitwą.

Za Bieżuniem przyszedł Nasielsk, za Nasielskiem Kurząb, za Kurząbem Pułtusk.

Tu znów niezmordowany Benigsen objął dowództwo, mając przy sobie generałów Barkłaja de Tolly, Sakena, Ostermana i o ośm mil rezerwę z Buxhevdenem.

Około dziesiątej rano rozpoczęła ogień artylerya. Trzysta armat ryknęło, dając hasło do walki morderczej.

Ruszyły ku sobie czworograny, natarły i jęły się mocować, wypierać, chłonąć. Ruchy flankowe natrafiały na opancerzone boki, szarże spotykały się z szarżami, bagnetowi odpowiadał bagnet.

Francuzi nacierają na lewe skrzydło wściekle, szalenie, zażarcie. Barkłaj de Tolly nie ostaje się naciskowi. Rozlegają się już gromkie okrzyki...

Zwycięstwo się waży — żołnierze jak kłosy padają, moszcząc ciałami swojemi drogę batalionom woltyżerów.

Wtem, sto czterdzieści dział zwraca swe paszcze na francuską kolumnę — z poza lasu wychyla się kawalerya...

Szala się chwieje! Zdziesiątkowani zwycięzcy cofają się.

Benigsen korzysta z przewagi i następuje kawaleryą. Piechota się miesza. Sekunda, a wpadnie i zburzy w popłochu szyki francuskie... Lecz generał Daultanne zrywa dragonię i zatrzymuje kawaleryę rosyjską, osadza i znów przeć zaczyna!...

Bitwa nie ustaje... Mrok zapada, armaty huczą jeszcze. Ataki wciąż niosą śmierć, czyhającą na końcach lanc, bagnetów, ostrzach pałaszy...

Noc zapada...

Dwie armie umilkły i dyszą ciężko. Każda swoje otrębuje zwycięstwo. Obie rozpalają ognie na znak, że nie ustąpiły z placu, że się nie ulękły, że to nie koniec zapasów.

Grzmią bębny. Sztaby listy najwaleczniejszych formują. Rozlega się obwoływanie kontroli... Najwaleczniejszych braknie — zostali tam, w polu, w trzęsawisku krwi i żelaza!...

Mało Pułtuska! Tu Lannes tylko następował. Murat z Davoustem równocześnie łamali korpus Buxhevdena pod Gołominem!

Benigsen cały dzień wypatrywał przybycia rezerwy! Gdyby ją miał był w porę!...

Gdyby Buxhevden zdążył!

A gdyby marszałek Soult, śpieszący na przecięcie odwrotu armii rosyjskiej — nie ugrzązł z pociągami na bezdrożach?! To — i to wyroków Boskich zmienićby nie mogło!

Armie do północy stały naprzeciwko siebie. Benigsen ruszył pierwszy i posunął się ku Ostrołęce. Napoleon cofnął kolumny swoje. Między dwoma wojskami — cmentarz.

Nastał rozejm chwilowy. Burza szalejąca, rozhukana cichnie nagle, a spędziwszy ołowiane chmury, skupiwszy rozhulane wichury, wybucha z nową siłą, groźniejsza!

Bernadotte pod Mohrungiem, na lewem skrzydle armii, dał hasło do nowych zapasów. I znów rozpoczął się szereg potyczek. Alla i Passarya spłynęła krwią. Liebstadt, Deppen i Landsberg zasiano żelazem. Murat zdobył pozycyę Hoff.

Pomiędzy manewrującemi armiami rozciągnęły się szeroko pola Iławy. Rosyanie zajęli wioskę — Francuzi ich z niej wyparli. Benigsen rozwinął linie — bój zawrzał, bój, jakiego historya nie pamiętała...

Dwa stutysięczne wojska, zapamiętałe, namiętne. Dwie linie dział, ziejących ogień, żelazo i śmierć, niszczących jednym piorunowym zmiotem całe regimenty, ryjących wzgórza, gromem urągających Niebiosom.

I zadrgały chmury i zsunęły się, skryły blaski słoneczne.

Gdy kolumna Davousta szła do ataku na lewe skrzydło — śnieg zaczął prószyć, gdy bagnety pochylono, sypnęły gęste pierze, gdy miała się zewrzeć z piechotą rosyjską, zerwała się zamieć, a tuż za nią fala zimnego dżdżu, a potem mgły i opary.

Nic walczących rozbroić nie mogło.

Żołnierz szukał zemsty za trudy, za niewygody, za głód, za ziąb.

Zamki strzelb, karabinów i pistoletów trzaskały, nie mogąc w wymierzonych lufach ognia rozniecić... Armaty tylko miały tu swój krwawy popis.

Armie brnęły w wodzie. Granat, gdy nie trafiał w życie, a dotknął ziemi, gasł, stygł.

Chwilami kolumny traciły z oczu nieprzyjaciela i brnęły po omacku. Po trzykroć Francuzi, nie poznając się, natarli... na samych siebie, po trzykroć czworoboki rosyjskie stawały obok rezerw francuskich, sądząc się być w środku swej armii.

Niebo rozjaśnia się. Szesnastu generałów francuskich leży bez życia.

Bonaparte spostrzega lukę, wyżartą armatami w korpusie Davousta!... Ma jeszcze Murata!...

Skinął.

Od boku cesarskiego rusza Murat, strojny, błyszczący, rusza z adjutantami. Konia spina ostrogami i dobiega wzgórza, gdzie kawalerya Milhauda, Kleina, Grouchego i Hautpoulta czeka znaku!

Buława marszałka podnosi się ku górze. Sygnały grają. Dywizye rozwinęły szwadrony. Murat wyciąga szpadę — pochyla się, i mur ludzi i koni rusza za nim. Z boku Béssières z kawaleryą gwardyi wspiera go.

Artylerya rosyjska czai się i sypie żelazem. Murat nie czeka drugiego wystrzału. Strusie jego pióra już drżą po nad kitami kanonierów rosyjskich... Kawalerya wali za ulubionym swym wodzem. Krew zlewa osadzone na lawetach spiżowe paszcze.

Działa zdobyte.

Lecz tuż za armatami stoi rosyjska piechota. Napierają ją dragoni, szczerbią grenadyerzy, żłobią strzelcy... Piechota szlusuje i stoi...

Napoleon na wzgórzu pod miasteczkiem. Za nim szwadron gwardyi przybocznej i batalion grenadyerów, gotowych ciałami swemi osłonić ubóstwianego cesarza.

Przy boku Bonapartego kilku oficerów sztabowych i ordynansowych, na uboczu Mameluk.

Napoleon siedział na koniu, nieruchomy, wpatrując się w mgły dymów, śledząc przez lunetę ruchy czarnych wijących się pasów. Czasem kula armatnia zawisła w powietrzu nad głową Bonapartego i mknęła dalej, czasem padała pod stopy araba i, płaszcząc się, w wilgotnej powłoce się ryła.

Co chwila do wzgórza przypadali w pełnym galopie adjutanci z raportami. Bonaparte w odpowiedzi wydawał rozkazy krótkie, kilkosylabowe.

Niekiedy znów odwracał się, przywoływał służbowego ordynansa i, wskazując mu czarną plamę ludzi, wysyłał.

Ze wzgórza tego wszystkie spływały pobudki, sygnały a komendy. Na wzgórzu tem jedno słowo podpisywało wyrok śmierci dla tysięcy...

Bonaparte mierzył siły nieprzyjaciela, ważył... Nagle zwrócił oczy ku zburzonym na poły domom miasteczka i zmarszczył brwi. Kolumna sześciotysięczna armii rosyjskiej szła wprost na wzgórze...

Napoleon spojrzał dokoła. Dywizye francuskie stały za daleko. Cesarz zawrócił konia ku oddziałom swego konwoju.

— Dorsenne!

— Sir! — odezwał się stary pułkownik, prostując się przed frontem grenadyerów.

— Widzisz tę kolumnę?... Powiedz jej, że ja tu stoję! Naprzód!

Batalion starej gwardyi ruszył na zbliżający się czworobok.

Napoleon patrzył spokojnie, jak przed nim o kilka staj wrzała bitwa zacięta, jak szczupły oddział stawił bohatersko czoło kolumnie wojska.

Siły wiarusów zaczęły słabnąć!

— Dragoni gwardyi! — rzucił Bonaparte. — Skończyć! Marsz!

Z poza wzgórza wysunął się szwadron kawaleryi straży przybocznej, zatoczył krąg i zaatakował bok piechoty...

Dzieło było skończone.

Tymczasem na prawem skrzydle armii nieprzyjacielskiej powstał ruch niezwykły. Generał Lestocque przybywał na pomoc Benigsenowi, prowadząc świeżą dywizyę pruską...

Odsiecz niespodziewana już miała rozstrzygnąć losami bitwy — gdy tuż za plecami Lestocqua ukazał się korpus marszałka Neya!

Niedołężny sprzymierzeniec nie umiał ani ujść, ani stawić czoła Neyowi. Przywiódł posiłki, ale wskazał równocześnie drogę korpusowi francuskiemu, który o bitwie toczącej się nie wiedział.

Przybyciem świeżych oddziałów ożywione wojska, z nowym zapałem natarły na siebie... Naprożno!

Noc zaledwie zdołała przerwać krwawą rozprawę. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi legło trupem. Obie armie uznały się za zwycięzców, obie śpiewały dziękczynne pieśni i obie ze zgrozą usuwały się od tego pobojowiska, na którem śmierć jedna zatknąć miała prawo krwawy swój sztandar!

Armia Benigsena cofnęła się pod Królewiec. Bonaparte o zimowych zaczął myśleć leżach. Lefebvre jeden oblegał Gdańsk.

Francya ze zgrozą a przerażeniem przyjęła wiadomość o boju pod Eylau, żałobą witając zwycięstwo.

Cesarz Aleksander, wysłuchawszy raportu Benigsena, zawołał za rzymskim Augustem:

— O Benigsen! Benigsen, gdzie moi dzielni żołnierze!?...

Dwa były zwycięstwa pod Eylau i dwie klęski — dwa tryumfy i dwa pogromy. Równe siły, równe skutki. Dwie burze uderzają na siebie, miażdżą się — lecz żadna z nich zwyciężyć nie może.

Geniusz Bonapartego, przymioty Benigsena nie zaważyć nie mogły.

Rozwarte upusty niebieskie jednym podmuchem śniegowego obłoku mieszały szyki, a rozprawę na bezdroża przypadku popchnęły.

Pod Eylau rozkazywał przedewszystkiem los — więc Bóg.

I wiosna przyszła!

Wiosna, wiosna 1807 roku.

Wróżka łaskawa, pani złotopromienna, krasy ziemskiej dziedziczka.

Przyszła, na skrzydłach zefirów spłynęła w uśmiechach słonecznych i tchnęła na zczerniałe od krwi i żelaza równiny. Zielone puchy a kobierce słać się zaczęły. Bolesne szczerby drzew zażywały. Kwiecie, szczodrobliwą rzucane ręką, barwiło nawet wyludnione wioski, zawalone ruinami sady, szczątkami ciężkich zapasów przepełnione pustkowie.

Mchem porastający dąb młodymi wystrzelił pędy, zaszumiała weselej brzoza, zieloną umajona szatą, wierzba obwieściła już dźwiękiem ligawek narodziny wiosny.

Od południa nadciągnęły skrzydlate kohorty i napełniły gaje, bory, doliny a niwy wesołym poćwirkiem, hałaśliwym klekotem, figlarnem kukaniem, smętnem zawodzeniem. Od ziemi, na powitanie gości, porwały się legie równie skrzydlate, równie różnobarwne, choć oku ludzkiemu czasem niedosięgłe — porwały się z brzękiem a szumem.

Konik polny do swywolnych swych sposobił się skoków. W mrowiskach ostatnie odbywano sejmy, co i jak urządzać, co budować, gdzie szukać prowiantu, a dokąd podjazdy wyprawiać.

Pszczoły, zasiliwszy ule, na dalekie chodziły wyprawy, coraz wybredniej oglądając kwietne kielichy.

Wiosna przyszła. Przyszła bez huku lodowych powłok, bez gwałtownego kruszenia rzecznych oków zimy, bez wód rozlewów. Przyszła jak sen cicha, niepostrzeżona zgoła i zbolałą ziemię do swego przytuliła łona. A za nią szedł maj, bijący zdala bogactwem czarów, uroków, światła, kolorów, woni, upojenia, ciepła, słodyczy, zasłuchania tęsknego.

Maj – król roku, książę miesięcy, wiosny towarzysz niezawodny.

Maj — młodzieńczość, niepokalanie, rozkwit. Maj — pogoda dusz, ukojenie bolów, serc żywsze tętno. Maj — miłość. Maj — uwielbienie Stwórcy.

W maju głogi kwitną, w maju cierń kryje się w zieleni, w maju chwast przystraja się w pąki. Gdzie maj stąpi, tam spływa piękno, tam natura wita go całą krasą.

Maj — pieśniarzy dawca, wszechlutni stroiciel, wielki pan dobra.

Szedł maj jasny, przemożny, szczodry. Szedł od południa i zachodu. Szedł na Łabę, Odrę, Wisłę, Niemen i Dźwinę. Szedł mimo rozłożone armie, mimo wysunięte szeroko a daleko pikiety, mimo szańce,

fosy, wały. Niczem mu były spalone mosty, niczem leśne zasieki, niczem granice.

Noc była, noc majowa. Upojeniem oddychały bzy, jaśminy i akacye podzamkowych ogrodów.

W gęstwinie słowik natchnione wyciągał piosnki.

Księżyc płynął wśród gwiazd majestatyczny, czary świetlane zsyłając. Rysował wielkie a tajemnicze cienie, powierzchnie wód w lśniące zamieniał zwierciadła, przezierał zarośla, w ustroniach srebrzył bijące serca, do całunków rozchylone usta.

Pałac pod Blachą tonął w głębokiej ciszy. On, gorejący dawniej aż do brzasku — spał pogrążony w zadumie. Nawet okna książęcej czeladzi nie migotały blaskiem lamp...

Pan, pałacu dziedzic, wyciągnął na błonia — może go w tej chwili miarowe kroki warty obozowej kołyszą!

„Blacha“ stała głucha. Nad nią, z ponad wznoszącego się tarasu zamkowego, rozłożyste kasztany, muskane lekkim zefiru podmuchem, chwiały białemi kitami i szeptały pomiędzy sobą...

Na pierwszem piętrze pałacu, w narożniku, okno na ścieżaj było otwarte. Księżyc ciekawie jął ku niemu się skradać...

Minął kratę, wspiął się po murze, spoczął na załamie i zawiesił się na balustradzie balkonu, a stąd już zaglądać jął najpierw nieznacznie, dyskretnie, nieśmiało, aż całą swą tarczą wpadł do komnaty...

W komnacie, na łożu, wpół białą przysłoniętem firanką, leżał młodzieniec blady, jak światło księżyca, które nań padło. Cierpienie wyrzeźbiło jego równe, kształtne rysy, niemoc na twarzy rozlała mu rzewność a poddanie.

Oddychał spokojnie, cicho. Oddychał ciepłem ożywczem, wonią kwiatów, ciszą, zalatującem tu pieniem słowiczem, oddychał wiosną, oddychał majem.

I zdało się, że ta pierś coraz mocniej chłonie życie, że serce coraz pewniej uderza, a krew z nową siłą, z nową mocą bije o pulsa.

Młodzian spał — śnił — marzył.

Ponad płowym, wijącym się zlekka wąsem, na policzkach, puszystym ocienionych zarostem, trysnął rumieniec.

Floryan odetchnął głębiej, oczy otworzył. Oczy znów jasne, błyszczące, bystre.

U wezgłowia Floryana poruszył się cień, otulony w muśliny a jedwabie. A równocześnie dał się słyszeć cichy, pokorny, szept.

— Podać wam napój?

Floryan oczy przymknął. Szept ten czarem go przejął.

Byłażby to jawa?... Lecz dlaczegóż w obcej do niego przemawiała mowie?!...

Minęła chwila. Promienie księżyca natarczywiej wpadały do komnaty. Floryan głowę zwrócił, oczy wzniósł...

Tuż nad swoją głową dojrzał postać niewieścią, piękną jak złudzenie. Postać w białych tonącą woalach.

— Zośka!? — wymówił chory, ledwie wargami poruszając.

Lekkie westchnienie było mu odpowiedzią...

— Gdzie? Gdzie jestem? — ozwał się mocniej Floryan.

— Gdzie jesteś?... Tam, gdzie cię otacza życzliwość głęboka... gdzie twoje cierpienie, twój ból... wniósł radość niezmaną dotąd, wesele.. szczęście!... Jesteś tu jakby duchem dobrym, ukojeniem, ziszczeniem...

Floryan uniósł się na wezgłowiu i baczniej rzucił okiem na postać niewieścią.

I zobaczył twarzyczkę o przedziwnie rzeźbionych liniach, bijących melancholią.

I uczuł jak drobne, wypieszczone ręce niewoliły go, aby się ruchem nie trudził i uczuł jak wzrok palący szukał jego oczu...

— Pani, kto jesteś?!

— Jestem twoją służebnicą oddaną, twoją niewolnicą!... Trzeci miesiąc dobiega, gdy oto leżysz po-

walony niemocą... Trzeci miesiąc słaniam się u twego wezgłowia, trzeci miesiąc szczęścia upływa...

— Trzeci miesiąc! — powtórzył głucho chory. — Boże! Co się ze mną stało? Mówcie! Zaklinam was!...

— Więc słuchajcie!... Trzy miesiące z górą, jak Pepi znalazł was błąkających się...

— Kto taki?...

— Pepi!... Poniatowski! Zapadliście ciężko na zdrowiu, bardzo ciężko!... Medyk stracił nadzieję... O bytności waszej w pałacu nie wiedziałam!... Pewnej nocy doszedł mnie w mojej komnacie wasz jęk... Zagadnęłam pokojowych. Stanęłam przy was!... Byliście w malignie... Czyniliście spowiedź z całego waszego życia... Słowa wasze biły we mnie, jak grom, uderzały, łamały... Padłam na kolana tu przy łożu... bom dotąd tak czystych dusz, tak szlachetnych, nie znała... Padłam i oto radabym tak klęczeć do ostatniego tchnienia!... Niczego nie żądam, o nic nie proszę... bom nie godna!

Głos kobiety zadrgał.

— Wiem... kogo przywołujecie!... O tak, ona musi być wierną, ona...

— Widzieliście ją!?

— Tak! Oczyma waszej duszy...

— Trzy miesiące! — rzekł cicho Floryan. — Co się z nią stało! Przepadła! Zagarnęli ją Prusacy!... Czemuż mnie żyć dano jeszcze! Sam... sam na świecie!...

— Nie! — odrzekła z mocą postać. — Nie jesteś sam... Życie ci oddam, byle bóle twe ukoić... Poświęcę wszystko!...

Floryan spojrzał niespokojnie na nieznajomą i zapytał z naciskiem:

— Pani, powiedz, kto jesteś!?

— Ja? Nie, nie pytaj mnie o to!

Głos jej drżał silniej.

— Więc gdzież jestem? Gdzie? U kogo? — badał gorączkowo chory.

— Tam, gdzie niemoc cię powaliła...
— U księcia?...
— U księcia... lecz... u mnie!... On, książę, rzadkim bywa tu gościem!... Tak lepiej i dla niego i dla innych!... Ja miałam uciec, wyjechać stąd na zawsze, cierpienie twoje przykuło mnie! Nie pozwoliło się oderwać... Błagałam Boga o powrócenie ci sił, zdrowia... Bóg wysłuchał!... Nie mnie, lecz ciebie... Tak, sam o tem nie wiedząc, czyniłeś spowiedź duszy... Patrz!... Wiosna przyszła i zbudziła ciebie, prawego rycerza. Życie ku tobie wyciąga ręce... Powinieneś i będziesz szczęśliwy!... Dla mnie minęło już wszystko!... Lecz twoje wesele będzie i mojem, twoja radość moją pociechą, a gdyby na ciernie, na ciężkie z losem zapasy iść przyszło, to ja pójdę z tobą. Za jeden uśmiech twój, za jedno słowo serdeczne!...

Postać kobiety pochyliła się silniej nad wezgłowiem Floryana.

Gotartowski w zabobonnem skupieniu słuchał nieznajomej. Głos jej łagodny, cichy, namiętny a nieśmiały, kołysał go, porywał. Fale zapachu jaśminów wpadały oknem i upajały go swoją słodyczą, rozmarzały.

Księżyc srebrzył wnętrze komnaty, bił o przeźroczyste kotary łoża, lśnił pozłociste ramy zawieszonych na ścianie obrazów, łamał się w porozstawianych na stole kryształach, wygładzoną powierzchnię posadzki na tafle lustrzane zamieniał.

Floryan milczał. W duszy dźwięczało mu pytanie: Sen to, czy jawa? Może znów mary go chwytają, a widma swe błędne zaczynają toczyć koła!...

— Ja... waćpana trudzę? — szepnęła postać tak cicho, jakby się bała zagłuszyć oddalony rozhowor lip na tarasie zamkowym.

— Nie! — rzekł Gotartowski — mów! Niech słyszę twój głos! Niech wiem, żeś nie złudą...

— O czem ci mówić?...

— Pytasz jeszcze? O niej!...

Postać melancholijnie wstrząsnęła głową.

— Gdybym ją znała, gdybym umiała!...

— Więc powiadaj mi o sobie! Powiadaj, o czem chcesz... bylebym nie czuł tej głuszy w sercu!... Tu, w piersi mej, jakby zamarło wszystko... na zawsze!... Mówcie!... niech myśl, która kamieniem mi jest, odbiegnie na chwilę...

Postać skłoniła głowę na znak posłuszeństwa, oczy jej głębokie wzniosły się tęsknie ku promieniom miesiąca, pierś wezbrała marzeniem.

— Słuchajcie! — rzekła. — Lat temu już wiele, nad brzegiem srebrno-falistego Rodanu, na ziemi Franków stał zamek. Zamek dumny, starożytnymi zdobny herby, niby gniazdo orle do wysokich uczepiony skał, basztami swemi dalekie mgły przezierał, a o słońca wschodzie złotemi blachy świecił po nad doliny, pola, bory. W zamku mieszkał pan wielki, dostojnik królestwa, a rodu rycerskiego potomek. Mieszkał samotny, cały oddany pieczy o swej jedynej córce, trzynastoletniej, czarnowłosej Biance. Łowy go nie nęciły, nie ciągnęły uczty, jedyną jego radością a rozkoszą było tulić główkę dzieweczki i patrzeć w oczy, które mu przypominały dawno utracone szczęście, które uprzytomniało mu tę, co najpierw życie mu zaklęła w nieziemską idyllę, a potem przepoiła żółcią, nakarmiła jadem i na piekielne skazała katusze... Przed bramą zamkową niekiedy stawał wysłaniec królewski i miłościwe zwiastował wezwania na dwór... Pan ze zmarszczonem obliczem a zaciśniętemi usty wysłuchiwał posłańca, odmawiając przybycia...

Lecz miłościwe wezwania zawierały czasem i rozkaz... Pan wymówić się nie mógł. Sam nie uląkłby się niełaski, nie ugiął przed potężną zemstą, ale bał się, drżał o Biankę... Przez trzy dni dwór sposobił się do wyjazdu. Wytaczano poszóstną karocę, szykowano bogate rzędy, opatrywano świetne barwy... a pan zamknięty w swej komnacie, taczał się w bezsilnym bólu, darł na sobie szaty, do krwi własne szarpał ciało. Gdy trzeciego dnia dworzanin przychodził doń z wiadomością, że przygotowania do drogi ukończono, zastawał pana spokojnym, zimnym, zastygłym. Pan córkę powierzał staremu margrabiemu, a sam, spo-

wity złotogłowiem, aksamitami, koronkami, zasiadał w przejrzystej karocy.

Pochód ruszał z zamku z gwarnym zgiełkiem, wydłużał się w barwną, kwiecistą wstęgę i dążył na dwór królewski. Lud na drodze witał dostojnika kornym ukłonem, podziwiał przepych i zazdrościł mu bogactw, władzy, szczęścia...

Król witał dobrotliwie swego sługę, uprzejmych słów nie skąpił i poglądał z uśmiechem ku miejscu, gdzie wśród wielkich dam dworu, tuż za plecami królowej stała ona...

Pan mierzył ją suchem, palącem spojrzeniem. Ani jeden muskuł w twarzy jego nie drgnął. Pierś stalowym zbroiła się puklerzem, serce bić przestawało, w dumnem wygięciu ust nikł ból i żal, i rozpacz, i chęć zemsty.

Mijały lata... Dziewczę dorastało...

Król, skłopotany szemraniem poddanych, skrzywił się pewnego razu, w oczach jego błysnęło znudzenie... Ulubienica królewska spadła ze szczytu i stoczyła się między zawiedź dworską... a potem wspomniała na przeszłość, na córkę...

Pan zamku postarzał się, niedomagać zaczął. Bianka często samotne odbywała przechadzki.

Razu pewnego spotkała damę, która, przekupiwszy sługi, do ogrodu się zakradła... Krótka była rozmowa. Obłudne słowa porwały Biankę, zbudziły w niej drzemiące związki krwi, uzbroiły przeciwko ojcu...

Dama umiała opanować niedoświadczoną, wprowadziła markiza młodego... aż Bianka znikła z zamku... poszła za matką, za szałem, za markizem...

Na trzeci dzień starzec skonał, szepcząc groźne przekleństwa...

W starożytnej siedzibie rycerskiej nad srebrnoskalistym Rodanem nowe zawrzało życie. Złoto płynąć zaczęło ze skalistego wzgórza... Ucztami rozbrzmiewały komnaty... Przesyt zwarzył twarz Bianki, w oczach markiza szklista obojętność osiadła, ulubienica królewska już zmarszczek ukryć nie mogła...

Naraz od stolicy nadszedł pomruk ludu. Z początku niejasny, głuchy, zgiełkliwy, a potem jak huragan mocny, nieugięty, bezlitośny.

Krew polała się strumieniem. Rody całe ginęły na szafocie, nikli pod uderzeniami toporów potomkowie rycerzy, ognie trawiły pałace i zamki.

Przyszła pożoga, gwałt, zemsta, bezprawie, odwet wieków, panowanie zbirów, władza tłumu, przyszła rewolucya...

Gilotyna dosięgnęła majestatu królewskiego, umierali dostojnicy, faworyci, zausznicy, magnaci.

Na szczytach zamku nad srebrno-falistym Rodanem powiał trójbarwny sztandar... ulubienica królewska padła na progu dawnej mężowskiej komnaty, rażona siekierą...

Markiz z Bianką podziemnym korytarzem zdążyli ujść zemście tłuszczy... i udali się, za przykładem innych, w dalekie kraje, do ziemi, która otwartemi rękoma witała ich, która zawsze wszelkiej współczuła niemocy, której prawem jest gościć każdego, kto na progu jej stanie.

Markiz i Blanka, zasileni, opatrzeni przez możnych, jęli pędzić życie bez troski o jutro. Ostygli dla siebie, szukali oboje uciech występnych, dobroczyńców swoich do nich skłaniali, budząc w nich pogardę dla wiekami uświęconych obyczajów, drwiąc z ich bojaźni Bożej, z prostoty serc, surowości.

Z nad srebrno-falistego Rodanu przynieśli z sobą wszystko to, co żyzną ich krainę wyniszczyło, co władzę wydarło berłu, a oddało ją krwiożerczym tłumom, co zabiło wiarę w Boga, co ogniem i żelazem strawiło pomniki a dzieła wieków, co podeptawszy prawa ludzkie, Boskim urągać zaczęło.

Bianka poznała niebawem młodego księcia... i opanowała go... cieniem zgorszenia padając na jego przeszłość promienną... Aż lud odwrócił oczy od tego, którego poczytywał za swoją dumę, a mienił przyszłością. Młode orlę dało się unieść szałowi... Zdało mu się, że Bianka jest onem czystem źródłem! Ona tymczasem trwała w samolubnem zapamiętaniu. Ona szła

za księciem, bo on był pierwszą osobą na całej tej ziemi, bo stojąc przy nim, była u szczytu, bo pełną ręką czerpać mogła z jego mienia, bo kochała tylko siebie, bo Semiramidą być chciała... A markiz? Markiz niby gad pełzał u nóg księcia, korzył się przed Bianką, na występku budując swą fortunę i skrzętnie zbierając rzucone mu ochłapy.

Tak upłynęły lata...

W księciu obudziły się nagle uśpione porywy... Bianka znalazła się osamotnioną. Szukała ratunku w wyrafinowanym wykwincie, chciała odgrywać rolę wróżki a bogini, lecz grunt usuwał się jej z pod nóg... Nagle ziemią, na której przebywała, wstrząsnęły odgłosy surm bojowych.

Pod atłasami zabiły serca żywiej, do salonów a zaciszných buduarów dosięgły rycerskie rozprawy... Obca — nie rozumiała szmerów, nie wabiły jej wojenne okrzyki, nie współczuła nadziejom, ani zapał, ani uniesienie, ani przyśpieszone uderzenia serc nie odbiły się echem w jej duszy...

Pustka ją otoczyła, bo pustą była jej pierś, bo pustką wiały jej napoły zgaszone oczy...

Życie ziemi w inną zwróciło się stronę.

Markiz rzucił Biankę, widząc, że złota mu już nie przysporzy. Książę, choć nie odtrącił, nie wypędził dawnej bohdanki, ale każde jego spojrzenie, każdy ruch, każde zsunięcie brwi, mówiło jej — „odejdź"!

I oto Bianka została sama, zapomniana, opuszczona. Była widmem niedawno życiem drgającego pałacu...

Nuda wżerała się w nią, trawiła, goryczą napełniała, przejmowała trwogą wiecznego osamotnienia. Myśl jej napróżno szukała przedmiotu, któryby ją pociągał, któryby tęsknotę w niej obudził, przepoił pragnieniem...

Pajęcze nici salonowych przyjaźni, bańki mydlane frazesów, nikłe słowa, banalne westchnienia rozwiały się, zczezały... nawet nie zostawiając wspomnienia...

Aż nocy jednej doszedł ją jęk, skarga zbolałej a żarem płonącej duszy... I oto w Biance odżyły skrzepłe uczucia!... Serce nowem uderzyło tętnem, marzenie ją owładnęło... A choć ów jęk, ów żar nie dla niej gorzeje, choć beznadziejne kochanie może być jej przeznaczeniem, jej klątwą... Bianka jest szczęsną w swej trwodze, w swym bólu... Miłość stała się jej odkupieniem!...

Postać umilkła nagle. Floryan, rozkołysany urokiem nocy majowej, a trwający jeszcze w bezsilnej niemocy, z trudnością ledwie oddzielne wyrazy nieznajomej chwytał, napróżno starając się je powiązać a znaczenie opowieści odgadnąć. Myśl jego co chwila biegła na Podwale, tam do tych maleńkich komnatek, gdzie Zoskę ujrzał po raz pierwszy...

Postać jakby odgadła Floryana, westchnęła cicho a głęboko.

Gotartowski ocknął się i zagadnął z uporem rozkapryszonego dziecięcia:

— Powiedzcież... Kto wy?...

Postać nachyliła się silniej ku wezgłowiu chorego i odparła namiętnym szeptem:

— Kto jestem?!... Raczej powiem ci, kim być chcę... Więc ostatnią ze sług twoich... twoim cieniem! Chcę być, jak toń lustrzana odbiciem twej duszy, chcę żyć przez ciebie i dla ciebie... z tobą dzielić troski, z tobą płakać i cieszyć, o ciebie tylko trwożyć się... o ciebie drżeć... Chcę, aby łza twoja była moją!...

Floryan drgnął nagle. Słowa nieznajomej wstrząsnęły nim... Przed oczyma ukazała mu się twarzyczka Zośki smutna, załzawiona...

— Pani! — rzekł z mocą. — Nie mówcie tak do mnie!...

— Pozwól — jęknęła błagalnie postać. — Nie sądź mnie zapalczywie! Spojrzyj oto w swoje życie... Patrz, lata młodzieńcze już dobiegają do schyłku... A pan, miałżeś choć chwilę zadowolenia, zaznałeś choć raz błogości, jaką daje cisza a zasłuchanie w szept kochającej?... I tobie należy się wypocznienie... Jam gotowa.

Na skraj świata za tobą pójdę, życie ci w pieśń o szczęściu zamienię!... Ty żywisz jeszcze uczucie dla innej... Ja uszanować je potrafię... Któż nie gonił za marą, nie wierząc, że los, szczęście tuż pod jego drzemie bokiem i czeka naprożno, by poń wyciągnąć rękę! Ona ciebie nie jest godną... Słyszysz?!... niema dość silnych oków ani więzów, którychby nie skruszyło uczucie... Bacz, ile już przeszło miesięcy! Odjechała, a dziś za innym może tęskni!... Ja... tylko twego pragnę dobra, twego szczęścia... daruj twarde słowa prawdy...

Gotartowski targnął się gwałtownie i pochwycił postać za rękę.

— Wy coś wiedzieć musicie! Nie oszczędzajcie. Muszę wiedzieć o wszystkiem!...

— Biedny! Nieszczęśliwy!... I cóż ci mam rzec?!... Zawierucha wojenna zburzyła wszystko i pogrążyła w zamęcie. Znikąd słowa... ale w sprawach serca rozstrzyga przeczucie!... Odpowiedz sam, wierzysz-że ty jeszcze w nią?!...

Floryan za pierś się chwycił. Zwątpienie ssało go, darło mu serce na strzępy. Zęby zacisnął i wyrzucił z wysiłkiem:

— Tak... ja... wierzę...

Postać zaśmiała się boleśnie.

— Słodkie omamienie. Dusze czyste są skazane na takie zbłąkanie!... Obawiasz się prawdzie zajrzeć w oczy!... Wabi cię jeszcze ułuda!... Odzyskasz zdrowie... zapomnisz... Ja cię nie opuszczę!... Nie dam ci zamierać wśród obcych, bólem cię nie zakrwawię!... Boś ty innego godzien losu... Życie moje oddam, aby go ci zapewnić!

Gotartowskiemu pot zimny na czoło wystąpił. Oto teraz, po długich, nieskończonych nocach walki, po tych wizyach a upiorach, które w nim resztki życia zgasić chciały, gdy zbudził się do świadomości, jedyną mu pragną wydrzeć nadzieję, jedyną otuchę... Bunt w nim zawrzał głuchy, wściekła opanowała go złość na tego puszczyka, który mu wiarę zabierał.

Rękę nieznajomej ścisnął silniej i rzekł z wybuchem:

— Któż jesteś ty, która Sybillą chcesz mi być, która jawisz się przy mnie, aby ostatnie iskry nadziei zgasić? Mów! Jakie do tego masz prawo?...

— Mojem prawem jest miłość!... Jestem panią de Vauban!... Lecz niech cię to nie... onieśmiela — poświęcę wszystko... wyrzeknę się świata, byle z tobą dzielić...

Floryana dreszcz przeszedł. Uniósł się z wysiłkiem na posłaniu, a zaczerpnąwszy zapadłą piersią powietrza, rzucił groźnie:

— Słuchaj ty! Marą jesteś, alboli upiorem — czy żywą istotą?! Nie wódź mnie na pokuszenie!... nikczemnych nie budź myśli... ani imienia jej nie wymawiaj, nie kalaj!...

Głos Floryana złamał się nagle, głowa osunęła mu się bezwładnie na poduszki. Usta jego szeptały jeszcze:

— Nie kalaj!...

Słońce biło już prostopadłymi promieniami ciepła i światła o pałac pod Blachą, gdy Gotartowski otworzył oczy i po raz pierwszy od kilku miesięcy obejrzał się dookoła, nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje. Jakieś oderwane przebłyski pamięci ostatnich wypadków plątały mu się po głowie, w umyśle miał jeszcze niewyraźne odbicie ostatniego, dziwnego dosyć snu... lecz, mimo wysiłku, napróżno starał się wypełnić olbrzymią przestrzeń czasu... Pamiętał, jak szedł nad Wisłę... zima była... a potem?...

Potem ciemń nieprzenikniona, niezbadana, a po niej... ta bogata komnata... ciepło... słońce...

Floryan poruszył się lekko na posłaniu. Z poza kotary wysunęła się mała, chuda figurka w czarnym opiętym surducie i pochyliła się ku Gotartowskiemu.

— No jakże się waszmość czuje? Co?... Nieźle?!... Choroba fugas chrustas!... Krucho z nami było! Ba! Wóycicki już waszeci na tamten świat deklarował... a i mnie czasem wątpliwości chwytały... czy cię gorączość nie przepali?...

— Kto wy?...

— Tomasz Dederko, do usług, chirurg... A od dwóch tygodni waszeci kompan nieodstępny.

— Uratowaliście mi życie!...

Imć Dederko poprawił białego halsztuka, który mu szyję aż po uszy osłaniał, i strzepnął dobrodusznie rękoma.

— Niby ja wam uratowałem życie?... Dobrodzieju, jako żywo tak nie ja, jeno przedewszystkiem wasza młodość, a potem owa piecza, którą was otaczano... He, he!... Szczerzyła do was zęby jejmość kostusia, nasyłała wam febry a maligny... przytomność odebrała, ale poradzić ludziom nie mogła... Juści nie żałowało się starań: co dnia kwaterkę krwi wam się puszczało. Koiło się ognie napojami, leczyło się i zimnem i gorącem i parzonem i gotowanem! Nie masz takiej dryakwi, którąby waszeci nie leczono! Toż teraz, gdybyś mnie na męki wziął, jeszczebym ci nie powiedział, czy wódka z pieprzem, czy może saletra niemoc z waszeci wypędziła... Zawsze jedno pomogło, to i dosyć!... Teraz, trochę cierpliwości i trzy niedziele nie minie, a waszmość choćby pałasikiem może wywijać!...

— Darujcie, mości Dederko, a gdzie, u kogo właściwie jestem w tej chwili?...

Medyk pokiwał poważnie głową.

— Ot, widzicie sami, co to niemoc ludzka! Znam ja to, znam! Napatrzyłem się już rozmaitym boleściom, a i takim, co nietylko włos z głowy człowiekowi wyskubują, ale i rozum podszyciem na wierzch wywracają!... Mnie to nie nowina!... Tedy nie wiecież? A obaczcieno po ścianach... Tam w rogu portret generała-porucznika wojsk austryackich... tu książę wojewoda Czartoryski...

— Więc to u księcia Józefa?!...

— Ba, u kogóżby?! Gdzieżby waszmość taką opiekę mógł znaleźć? Książę pan utrudzon teraz srodze, a i to, ile razy mnie gdzie na progu przed pałacem lub w przejściu napotka, zaraz pyta: Mój Dederko, jakże tam chory nasz? Ale ja ręce rozkładam i mó-

wię: Ni w lewo, ni w prawo, ni k'mogile, ni k'misie, ni na śmierć, ni na życie... Krwi mu chyba puszczę!... Książę pan, bywało, sięgnie, dukatami sypnie i zafrasuje się. — Puśćże mu — rób co chcesz, byleś mi kapitana salwował!... — Ba, a co pani hrabina... Rety!... Toż dniem i nocą spokoju mi nie dawała! Codzień pyta, a simplex servus Dei! ani wiedział, jaki dać respons...

— Hrabina, mówicie?!...

— Ooo! Waszmość już chyba tego nie zapomniał, bo ile razy was maligna nawiedziła, to... aby niewiasta mu się widziała! Cha, cha, cha!... Maligna, to psotnica, ladaco wielkie!... Jak ci człowieka skręci, to mu z pod piątego żebra najtajniejsze dobędzie zamysły!...

— Dworujesz, wasze, sobie!...

— Szczera prawda. Ale, pozwólcie, muszę pani hrabinie zwiastować wielką nowinę o waszem ocknięciu się...

— Mości Dederko. Nie bałamućcież więcej! Mówcie mi, co za hrabina?!

— Nie pamiętacie?... No, no! To was wyssało dopiero!!... Wszystko z krwi dużego utoczenia. Rozum teraz suchy — nic — zwilgnie wam powoli!... Więc nie wiecie nic o pani de Vauban?...

— Pani de Vauban, pani de Vauban? — powtarzał Floryan, starając się skupić pamięć. — Nazwisko to nie jest mi obcem!...

— Aa... widzicie!...

— Pani de Vauban, wielka dama...

— To, to, właśnie!

— Mówili, była u księcia...

— No, i... jesteśmy w domu!...

— Tylko że ja jej nie znam... nie widziałem na oczy... nie rozumiem skąd...

— Żartowniś z waszmości!... Mnie nic do tego, anibym śmiał do spraw takich się mieszać, tembardziej, że...

Drzwi w głębi uchyliły się cicho. Do komnaty wszedł pokojowiec.

— Pani hrabina zapytuje o zdrowie imć pana Gotartowskiego!

Dederko spojrzał znacząco na Floryana i odrzekł:

— Wybornie! Przesilenie minęło. Imć pan Gotartowski odzyskał przytomność!...

Pokojowiec oddalił się. Chirurg roześmiał się dobrodusznie.

— A co? nie mówiłem?...

— Nic, nic sobie nie przypominam!...

— Powoli, powoli! Nie gorączkować się. Po takiej niemocy to sensum utykać musi... Teraz tylko co strawniejszego jadła, posilnego węgrzyna i rychło na nogi się podniesiemy.

Zegar na kominku jął wygrywać kuranta. Dederko chwycił za kapelusz.

— Dwunasta! Czas mi!... Zajrzę do kuchmistrza, aby się naradzić z nim nad ostatecznem dla waszmości remedium... A i księciu panu muszę zanieść nowinę. Miał właśnie teraz powrócić z obozu... Zostawiam waszeci samego, pewno nie na długo!...

Dederko wysunął się cicho z komnaty. Floryan został sam.

Słowa chirurga oszołomiły go. Więc pamięć aż tak dalece go odbiegła!... Cóż to za dobrodziejka nieznana, której sobie przypomnieć nie mógł?... Czyżby ten sen, który dotąd go dręczył... był rzeczywistością?...

Floryan zadumał się. Przez otwarte okno komnaty szedł wesoły pogwar uliczny, pełen turkotu kół a ochoczego szczęku broni. Niekiedy daleka pobudka wojskowa przebrzmiała wesoło, od Wisły biegło dudnienie pochodowych wojskowych pociągów na nowopobudowanym moście.

Gotartowski wpatrywał się w blaski słoneczne, które wdzierając się przez w pół osłonione okna komnaty, tryskały życiem, w smugach świetlanych igrały miliardami nieuchwytnych pyłków, przejmowały ciepłem i wonią martwe przedmioty, a w oczach Floryana każdą linię, kontur bramowały w złoto-niebieskie szlaki, czerwono-zielone wstęgi.

Wtem, tuż przed Gotartowskim, zjawił się cień, zasłonił na chwilę blaski słoneczne, a potem, usunąwszy się w stronę, zamienił się w postać kobiety.

Floryan wpatrzył się niespokojnie w przybyłą, zaciągając starannie osunięte fałdy okrycia.

Nieznajoma zdawała się być stropioną, zaambarasowaną natarczywem wejrzeniem Gotartowskiego.

A Floryan? Floryan śledził niespokojnie równe, pociągłe rysy nieznajomej, bladość delikatną jej twarzy, żar tryskający z jej melancholijnie przymkniętych oczu, ów nieznany mu wykwint, ukryty w każdym załomie jej wiewnej, muślinowej sukni, w złożeniu małych, wypieszczonych rączek, w zagięciu ust, w rozchylonym zalotnie gorsie, w spięciu kształtnej kibici, w rąbku powłóczystej sukni, w kolistych ujęciach jej przy ramionach i w spływających od tych ujęć falach przejrzystej tkaniny.

— Cieszy mnie — rzekła cicho dama — że waszmość jest... lepiej! To mi robi wielką przyjemność!... Chirurg uważał pana być bardzo cierpiącym!...

Dźwięk głosu nieznajomej wydał się Floryanowi nie obcym. Akcent tylko dziwny i sposób wysłowienia raziły go. Dama postąpiła krok naprzód ku Gotartowskiemu i odezwała się z łagodną troskliwością:

— Nie macie potrzeby w czemkolwiek? Myślę, że będziecie mogli wytchnąć powietrzem ogrodu! Respiracya wróci wam siły!...

— Łaskawość pani!... — bąknął Floryan, usuwając nieznacznie głowę od ckliwego zapachu perfum, które bić weń zaczęły.

— Ach! to was deranżuje! Ach! gdybyście odgadli, ile radości sprawiła wiadomość o waszem wyzdrowieniu...

Gotartowski chciał odpowiedzieć, lecz wtem drzwi się szybko otwarły, brzęknęły ostrogi i do komnaty wszedł książę Józef. Skinął przyjaźnie Floryanowi i spojrzał zdziwiony na damę.

— Tu es là?! — rzekł sucho.

— Tu es jaloux? — odparła tym samym tonem dama.

— Quelle idée. Je veux parler avec monsieur!...

Dama wzruszyła niecierpliwie ramionami i wysunęła się z komnaty. Książę spojrzał na nią i cień jakiś przesunął się po jego białem czole. Zaczem, zwróciwszy się do Floryana, ozwał się swobodnie:

— Witam was, witam, kapitanie! Siły wracają! Szczerze mnie to cieszy...

— Wasza książęca mość!... Tyle kłopotu moją mizerną osobą przysporzyłem!...

— Nic — nic! Byleś okrzepł! Dosyć bałamuctwa... Czeka na waści szarża... bo nie wątpię, że się zaciągniesz pod sztandary nasze!...

— Wasza książęca mość, nie wiem sam, co ze sobą poczynę...

— Co? Co waszmość!—fuknął raźno Poniatowski— A pomnisz jakoś mnie z mańki zażywał? Ho, ho! Sianem się nie wykręcisz. Takich nam oficerów potrzeba...

— Wojna trwa jeszcze?...

— Jakżeby?! Prawda, toć przez trzy miesiące o Bożym świecie nie wiedziałeś!... Niesposób ci wszystkiego w dwóch słowach powtórzyć! Była wojna i jest, no, i będzie... Nasze pułki chrzest pierwszy odebrały!... Generał Dąbrowski dzielnie się ze swoim korpusem stawił przy oblężeniu Gdańska, brygadyer Sokolnicki, major Downarowicz odznaczyli się pod Wisłouściem, Wincenty Krasiński ufundował szwadron konnych strzelców... a dziś pułkownikiem formującego się pułku gwardyi mianowan!... Czterdzieści tysięcy żołnierza mamy pod bronią!... Słaby on jeszcze, niedoświadczony, lecz serce w nim wielkie!... Ba, toć mieliśmy Pułtusk, Ostrołękę, Eylau, a potyczek mniejszych niezliczoną moc! Burza zanosi się na lepszą. Inżynierya francuska fortyfikuje Pragę, Wyszogród, Modlin, Płock, Dobrzyń i Bobrowniki... Siła rozmaitej armii nadciąga ku nam od zachodu. Gorąco wielkie!...

— Cesarz?...

— Cesarz! — odrzekł książę chłodniej. — Bawił w Warszawie... przyjmował deputacye... Może nie zadowolił nadziei... Lecz zdaje się mieć dobre intencye... Co tu rozprawy! Kości rzucone... Ruszają wszyscy na zwycięstwo li, na chwałę, czyli na zgubę... Iść trzeba!... Kraj się kurczy, ciężary znosi z poddaniem, bez szemrania ostatniego grosza, resztek chudoby się wyzbywa. Nie brak ani rąk, ani ducha. Oficerów jeno jeszcze wielki niedostatek. Dziś żołnierz, jutro wachmistrz, pojutrze porucznik... Zły to awans — inaczej nie można!... Przybywa po trochu ludzi ze służby pruskiej, dezerterzy od Austryaków napływają, lecz tego mało... Kule nie żartują!... Tak, tak, mości Gotartowski, wypoczywajże z Bogiem, a potem marsz!...

— Czem się waszej książęcej mości wypłacę?...

— Ani sobie tem głowy nie zaprzątaj! Jedna dla ciebie, dla mnie i dla nas wszystkich jest tylko wierzycielka, ziemia! Ona żąda od nas wypłaty za gnuśność stuleci, bezład, zadufanie! Nie masz teraz innych długów!... Bywajże mi waszmość! Nie zrywaj się zbyt gwałtownie, abyś nie nadwyrężył zdrowia!... A skoro się umocnisz, każ się do mnie meldować!...

Floryanowi siły wracały szybko. Młody dąb, rozdarty uderzeniem pioruna, długo stoi zczerniały, bezwładny, napoły obumarły, lecz, gdy za wiosny nadejściem korzenie uderzą sokami ku zmurszałemu a strzaskanemu pniowi i pierwszy kiełek zielony przetknie spleśniałą korę, wnet zmaga się, młodymi wystrzela ku niebu pędami i stroi się w nową koronę na wichry, na burze.

Nie minął tydzień, a Gotartowski już o własnych siłach mógł sunąć po komnacie. Kroki stawiał z początku niepewne, wspierał się na ramieniu chirurga, lecz zwolna muskuły zwierały mu się silniej, pochylony krzyż i ramiona prężyły się, oczy patrzyły śmielej, jaśniej. Tylko w duszy, w sercu Floryana złowróżebna panowała cisza.

Gotartowski bał się zajrzeć w siebie, bał się wspomnień, bał myśli, bał jutra. Cisza bywa czasem straszną.

Zmarszczyła się toń morska, najeżyła swój grzbiet. Wśród gromu piorunów a ponurych zygzaków błyskawic wody niebios złączyły się z wodami ziemi. Piętrzą się ku chmurom ryczące fale i witają potoki, spływające ku nim z podobłocza... W szumie, w wyciu piekielnem żywiołów ginie skarga żeglarza, milknie bez echa jęk rozpadającego się okrętu, modlitewne westchnienie rozbitka niknie w topieli...

Po burzy — cisza. Lecz któż się waży w ciszę tę wsłuchiwać? Któż się ośmieli sięgnąć wzrokiem i przeniknąć toń morską, błyszczącą w majestatycznym spokoju?...

Mogiła zasypana, nieubłagany haracz życia ściągnięty, ssawki polipie zaciskają się spazmatycznie, gwiazdy morskie patrzą smutnie śród porostów...

Im bardziej poprawiał się Floryan na ciele, im więcej mu sił żywotnych przybywało, tem większy go opanowywał smutek, tem większe zwątpienie.

Godzinami całemi siadywał w oknie zapatrzony w nieba majowe lazury. Chwilami dręczył go niepokój o matkę, o dziada, o rodzeństwo. Gdzie i czy ich odnajdzie kiedy rozproszonych po świecie?...

Od czasu do czasu samotność Floryana przerywała pani de Vauban. Gotartowski mienił się pod jej natrętnem spojrzeniem, nie odpowiadał na tęskne napomknienia, zdawał się nie rozumieć westchnień, bał się jej przyciszonego głosu i miękkiego rąk dotknięcia.

Gdy o szarej godzinie posłyszał szelest jej falistych sukien, otrząsał się niespokojnie, niby prześladujące go widmo odpychał. Młody kapitan bał się tych półmroków, półświateł, półcieni.

Wśród pełni blasków dnia i głos pani de Vauban brzmiał jakoś mniej czysto i około ust jej rysowały się żółtawe zmarszczki i załamy, i drobna jej twarzyczka była pokrytą warstwą bielidła, a oczy traciły swój połysk w zapadłych kręgach oprawy...

Lecz gdy mroki słać zaczęły łoże słońcu, a na skraju nieba pierwsza gwiazda roztworzyła szeroko swe jasne oczy... wówczas Gotartowskiego urok dzi-

wny ogarniał, każdy ruch, każde słowo opiekunki przejmowało go drżeniem, coś jakby wdzięczność budziło się w nim i do cichego poddania się skłaniało.

Maj się miał ku końcowi.

Pewnego ranka Dederko, przyszedłszy na zwykłe oględziny chorego — zastał go już na nogach.

— A słowo stało się ciałem! — wykrzyknął z zadziwieniem chirurg. — Waszmość widzę nie żartem posłuszeństwo kuchni łacińskiej wypowiada!... Dobra nasza!... Wójcicki posinieje ze złości... jak waszmości po świecie chodzącym obaczy!... Stary medyk, króla Stanisława imci konsyliarz... ale co na legionskiem mięsie się nie zna, bo bąka rzetelnego ustrzelił!... Cha, cha, jeszcze temu tydzień będzie, spotykam go przy bramie Krakowskiej — pyta mnie o waszmości — ja mu na to gębę krzywą a zafrasowaną okazuję, a on ci łyp z powagą oczyma i mówi: „Nullum remedium! Malaria perpetua... febris intermittens, ignis sanguinis!“ Ani hajdamaka, ani kapucyn, krzyżyk wystrugać, ziemi garstkę i w dołek!“ — Ja niby nic, choć mi aż śledziona ze śmiechu tańcuje!... Toż uciecha będzie!...

— Mości Dederko, w porachunku dozgonnym ze sobą będziemy!...

— Te, te! Co waszmość! Chłop strzela... no i koniec!... Bogu dziękuj. Bo i co? Simplex servus jest tylko babką wiejską niekiedy Bożych wyroków i koniec. Ma się urodzić, to i bez babki się urodzi! Niby nauka, niby sztuka, a czasem funta kłaków nie warta. Zdarzy się nieborak... że mu się wszystkie medyckie rozumy przystosuje... Krzyże mu się piecze żelazem, pijawki stawi, krew spuszcza... oliwa, pieprz, makowiny, blekot, wilcza wiśnia, popiół gorący i co z tego? Myślisz, żeś mu pomógł, a tymczasem on oczy sobie wytrzeszcza, tchnie raz i drugi i ad Patres wędruje... Zaraz, zaraz, mości Gotartowski, pilno wam w świat... Zaraz, niech jeno zlustruję jeszcze raz waszeci!...

Dederko zabrał się do auskultacyi.

— Wybornie! — zaopiniował. — Miechy nie płuca! Pulsa niby młoty, chodzą cicho a równo jak w zega-

rze! Do rzeźnika teraz, do winiarza, na barszcz, na zrazy, na maślacz!...

Floryan nie dał sobie dwa razy tej rady powtarzać. Poprawił swój mundur dawny, strzelecki, przypasał szabelkę i wyszedł na miasto.

Warszawa kipiała życiem, werwą i otuchą, oddychając pełną piersią pod rządami komisyi Administracyjnej z Małachowskim marszałkiem na czele, dyrektora wojskowego księcia Józefa i gubernatora francuskiego, generała Lemarois.

Praca gorączkowa wrzała w każdym zakamarku stolicy Mazowsza, praca w jednym podjęta celu, jednym owiana duchem, jedną kierowana myślą... a było nią tworzenie wielkiej armii, którąby nietylko przekonała Napoleona o swej wierności, ale którąby umiała osłonić piersiami nadane swobody i wyzwolenie z pod pruskiego jarzma.

I nie było innej troski nad troskę o pomnożenie regimentów, batalionów, szwadronów, kompanij, bateryj. Jeżeli młot kowalski uderzał, to o klingę szabli, jeżeli rozległ się zgrzyt nożyc rymarza, to około olster, kulbaki lub lederwerków, dla wojska do późnej nocy świeciła się lampka w krawieckim warsztacie, dla wojska ujeżdżano przychówek po wsiach, dla wojska zbierano ziarno, dla wojska zrywała się pieśń, dla wojska szła ostatnia krwawica.

Warszawa, tak zawsze, jak i teraz była odbiciem, ześrodkowaniem tego ruchu, tej gorączki. Z cichego, apatycznego miasta, gnącego się przed pruskim harcapem przeistoczyła się w wielkie koszary, w rozłożysty obóz, w główną kwaterę armii.

Tłumy mundurów wypełniały ulice, kolumny nowozaciężnych ciągnęły od świtu do późnej nocy. Książę Józef wdrażał młodego żołnierza do karności i posłuszeństwa. Musztry, parady a ceremonie nie ustawały na chwilę. Stary kapitan Kurtz jak wicher przebiegał na spienionym koniu ulice miasta, lustrując kwatery, ćwiczenia, pierwsze instrukcye wachmistrzów.

Co dnia nowe barwy się ukazywały, co dnia przybywało feldcechów a szluf, co dnia postawa oddziałów piękniała, szlachetniała.

Skąd brały się środki, skąd kraj wyniszczony przemarszami i biwakami tylu wojsk, tylu armij starczył jeszcze — tego wytłómaczyć nie umieli nawet ci, którzy arkana ówczesnej władzy trzymali w ręku. Oficer szedł na służbę, nawet nie marząc o tem, by go inna prócz blizn lub kuli czekać mogła zapłata, żołnierz na kilku groszach strawnego poprzestawał, ofiary dobrowolne płynęły zewsząd, kogo nie stać było na datek, ten dawał pracę rąk.

Gotartowski, znalazłszy się na ulicy, był z początku oszołomiony panującym zgiełkiem, zwolna atoli i jemu udzielać się zaczęła ochota a werwa. Poprawił kaszkietu, rękę wsparł na rękojeści pałasza, ostrogi raźniej jęły pobrzękiwać.

Floryan minął posąg króla Zygmunta, odwach pod Bernardynami i zapuścił się w wąską gardziel Krakowskiego Przedmieścia, ku Ujazdowu.

Przed pałacem Kazimierzowskim zwróciła uwagę Floryana gromadka oficerów, rozprawiających z niezwykłem ożywieniem. Gotartowski napatrzył się już podczas długiej żołnierki swojej rozmaitych strojów, znał bez mała krój mundura a barwy wszystkich europejskich potencyj, a co... takich, w jakie oficerowie ci byli przystrojeni, na oczy nie oglądał... Niby z pozoru przypominali dawnych ułanów... lecz gdzie im tam!

Gotartowski aż przystanął nieznacznie, aby widokiem świetnych uniformów oczy napaść...

A był to widok nie lada. Czterech oficerów, młodzieńców smukłych, gibkich, zgrabnych, wysokich. Cztery białe, czaple kity lśniły w słońcu i drżały uroczyście po nad rogatemi, karmazynowemi czapami, pikowanemi a lamowanemi srebrem.

Białe, opięte kurtki z suto haftowanymi karmazynowymi kołnierzami i tejże barwy wyłogami na piersiach, bramowanymi delikatnie srebrną taśmą, przepasywały tkane, białe pasy z kutasami, łączącymi się ze srebrnymi temblakami pałaszy. Karmazynowe

spodnie, dwoma po bokach białymi lampasami znaczone, zamaszyste akselbanty na prawem przerzucone ramieniu, srebrne ładownice zawieszone przez plecy, pozłociste ponad daszkami czap cyfry a orły — składały się na strój bogaty, imponujący, pański, rycerski, wytworny.

Dwa tylko kolory — biały i karmazyn — znaczyły te mundury, a biła od nich taka harmonia, taka wspaniałość, że oczu od nich trudno było oderwać... Zwłaszcza też, że z tych wysokich, groźnych kołnierzy, z pod zuchowato nasuniętych czap, wychylały się twarze młode, spojrzenia ogniste, jasne, tryskały rumieńce, a gdzieniegdzie na wargach wiły się jedwabiste puchy...

Floryan zapatrzył się z podziwem, napróżno usiłując odgadnąć, do jakiej broni a armii należeli ci wytworni oficerowie.

Wtem jeden z obróconych tyłem do Floryana, a najwyższy pośród gromadki, obejrzał się, rzucił okiem na Gotartowskiego i zakrzyknął wesoło:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!... Florek od morza do morza!... A niechże cię uściskam!...

Zanim Gotartowski zdołał odpowiedzieć, Hermelaus Jordan cisnął go już w swoich objęciach, wołając wesoło:

— A bodaj cię!... Gdzieżeś się nam podziewał, od morza do morza?! Wicek! Patrzże!

Drugi Jordan skoczył witać Gotartowskiego. Dwaj pozostali na uboczu oficerowie zbliżyli się również do Floryana. Gotartowski nie mógł przyjść do słowa, zakrzyczany przez Hermelausa, który zwrócił się do towarzyszów:

— Patrzcie, chłopcy! Toż Floryan Gotartowski! Niby z nieba spadł, jak duch od morza do morza jawisz nam się!... Panie Sewerynie! Mości Wybicki! Florek... chyba Fredrę pamiętasz?... Bodaj przy tobie sprzeczkę żeśmy wszczęli... no i do przyjaźni asumpt wzięli... Kalwin... bo kalwin, ale setny kompan!...

— Czekaj bo!... — przerwał zniecierpliwiony gadatliwością brata młodszy Jordan.

Lecz Hermelaus wołał dalej:

— Florek! Uważasz... musisz do nas iść... słyszysz?! Takiego nam potrzeba, co!... Co? Zaciągasz się!?

— Tak, tak! Racya! Z nami! — przytwierdzili raźno Fredro z młodym Wybickim.

— Gdzie? Dokąd?...

— Cóżeś ty z nieba spadł? Nie wstyd to ci mizernym mundurkiem strzeleckim ludzi straszyć od morza do morza? Pójdziesz i koniec. Siła znajomych, powinowatych!... Ba, kogo tam nie ma!... Masz — Fredro — kalwin... ale, powtarzam, setny kompan, imć Łukasz, syn komisarza a posła Wybickiego... Paweł Jerzmanowski, adjutant marszałka Duroca, Kozietulski, Krasiński Piotr, Łubieńskich trzech, Niegolewski, Rudowski, Marskich dwóch, Szeptycki Wicuś, Hemplów masz całą trójcę, Mierzejewskich także trzech i Romanów trzech!...Ba i dwóch poczciwych Sokołowskich — Kuba i Stach!... Nie sposób ci wyliczyć! Kto żyw naprasza się, od morza do morza walą zewsząd! Musisz do nas! Patrzże... to jeden mundur, a mamy jeszcze prócz niego trzy inne!... Ciebie wezmą! Gdzieżby nie wzięli!...

— Dajże mu się odezwać! — przerwał niecierpliwie Wincenty Jordan.

— Czekajcie! — wmieszał się Fredro. — To nie miejsce na rozprawę, chodźcie do mnie na kwaterę! Buteleczka się znajdzie u mojej gosposi!...

— Wiwat — kalwin!...

— Hermelaus już się rozhukał! — odrzekł kwaśno Fredro.

— Sewerynku, nie mrucz! Daj gęby!... Wyższą masz odemnie szarżę, aleś kalwin! Zresztą, Florek jest — upiję się chyba!...

— I na odwach pójdę!...

— Wicek, nie dogaduj!...

— Niechno waszmości kapitan Kurtz upoluje — zauważył Wybicki.

— To i co?!... Mnie, porucznika szwoleżerów gwardyi... śmiałby tknąć?...

— Hm!... A Michałek Pfeiffer, równy waści rangą, na dwa dni się dostał!...

— Królewiczu słodki! Nie strasz! Juści „fajfer“ mógł się ułądz Kurtza... tylko nie ja!...

— Nie życzę zatargu z Kurtzem!

— Królewiczu, cicho!... Florek, od morza do morza, toż nic nie wiesz, kogo masz przy sobie! Wszak to nasz „królewicz“, syn imć pana komisarza, a panującego nam miłościwie Wybickiego pierwszego...

Syn posła zmarszczył się i rzekł krótko:

— Hermelaus, rodzica mego nie tykaj!

— Ooo! Królewiczu kochany, od morza do morza... Przecieżem nie chciał cię urazić, bom nie zwierz, żebym ludzi kąsał, a co dla ojca twego mam tyle respektu, że daj Boże... niechby wszyscy mu takimi byli...

Floryan, odwykły od bezładnych, zgiełkliwych gawęd, był z początku niby oszołomionym, lecz i jemu powoli werwa a życie wracały. Przy butelce rozgadał się na dobre, a z ciekawością jął się o wszystko dopytywać.

Ze zgiełkliwych a bezładnych odpowiedzi dowiedział się dopiero, że za rozkazem cesarza Napoleona powstał pułk szwoleżerów gwardyi przybocznej pod dowództwem imć pana Wincentego Krasińskiego, że do pułku tego na wezwanie księcia Józefa śpieszyła młodzież ze wszystkich zakątków kraju, wróżąc sobie pod okiem tak wielkiego władcy a mocarza świetny los a dysząc żądzą odznaczenia się, że pułk szwoleżerów formuje się z pośpiechem, niebawem bowiem wyruszy za Napoleonem, że w tem postanowieniu cesarskiem najoczywiściej przebija się dowód wysokiej łaskawości Bonapartego, ile że przy osobie swojej chce mieć młodzież polską, że szeregi pułku stoją otworem dla wszystkich, bo książę, a zarówno pułkownik nie na stan, nie na urodzenie baczą, lecz na wysokie przymioty a prawość charakteru nowozaciężnych, że pułk sute odebrał uposażenie, a w przywilejach a prawach z guidami cesarskimi zrównany odrazu został.

Seweryn Fredro pierwszy przerwał gorączkowe a hałaśliwe relacye.

— Pozwólcie — rzekł — imć kapitanowi słowo rzec! Niech się dowiemy z kolei od niego, co porabiał, gdzie się podziewał?

— Prawda! — przyznał Hermelaus Jordan — Florek od morza do morza... Na ciebie kolej!...

— Prosimy! Prosimy! — zachęcał Łukasz Wybicki.

Gotartowski wspomniał krótko, jako był zapadł na srogą gorączkę i w pałacu pod Blachą był kilka miesięcy przeleżał, a gdy Hermelaus natarł nań, aby ciekawych szczegółów z pobytu swego pod jednym z księciem Józefem dachem nie skąpił, odparł krótko:

— Darujcie! Ciężko mi teraz... Ledwie na świat dziś po raz pierwszy wyjrzałem, a wstyd wyznać, własne troski nie dają mi radości powszechnej dzielić...

— Wiem, wiem! — przyznał Fredro.

— Rozmawialiśmy o waszmości z imć panem Dziewanowskim! — huknął żywo Hermelaus. — Ot, głowa zabita od morza do morza. Toż Dziewanowski jest z nami w pułku!...

— Jest, jest tutaj, mówicie?!

— Mało tutaj! W pułku naszym!... Kapitanem... od morza do morza... Bardzo wysoka szarża, gdyby chciał pójść do legii nadwiślańskiej, ani chybi, pułkownikiemby został... Jest pod szefem Małachowskim... dowodzi trzecią kompanią. Jędrek Niegolewski jest pod nim!... Powiadam ci, personat od morza do morza! U samego cesarza w łaskach wielkich...

Floryan nie zważał na wykrzykniki Hermelausa i do Fredry się zwrócił:

— Dziewanowski tu służy? Jest? Gdzie go szukać?!... Radbym do niego co prędzej... Niech was niecierpliwość moja nie dziwi, lecz kto wie... on jeden może upragnionych wieści... udzielić!...

— Kapitan Dziewanowski kwateruje przy sztabie pułku w Mirowskich koszarach... Rozumiem niecierpliwość waszą! Zatrzymywać was nie będę... a pozwolicie, przeprowadzimy was do pana Jana!

Oficerowie ruszyli natychmiast w stronę koszar Mirowskich. W drodze do Floryana przysunął się Wincenty Jordan i zagadnął cicho a smutnie:

— I nie masz od swoich żadnej wieści?

— Ani słychu!... Przepadają... Bóg jeden wie gdzie?!..

— I... i... panna Urszula?! — wykrztusił z trudem Wincenty Jordan.

Gotartowski spojrzał nieco zdziwiony na zalterowanego krewniaka.

— Urszula? Jakżeś chciał... Z matką razem wyciągnęła... Ani wiem dokąd!

— I... nie widziałeś jej ani... nikogo!... Ona także zniknęła?!

— Jakto — ona?

— No... panna Urszula!...

— Tłómaczę ci przecież, iż z matką razem wyjechały... Zaraz po zagarnięciu Staszka!

Wincenty smutnie zwiesił głowę na piersi. Floryan poglądał nań z ubocza i napróżno zgadywał, skąd młodemu Jordanowi przyszło o Urszulę się pytać!

Kapitan Dziewanowski właśnie był przegląd czynił nowozaciężnych szwoleżerów, gdy mu dano znać o przybyciu Gotartowskiego. Zdał co prędzej służbę na Rudowskiego porucznika, a sam do Floryana wybiegł.

Powitali się serdecznie, spojrzeli na siebie długo, badawczo i skierowali bezwiednie rozmowę na potoczne sprawy.

Floryan chciał pytać o nowiny... lecz strach go nagle zdjął. Smutek na szerokiej twarzy Dziewanowskiego osiadły, nie zdawał się wróżyć nic dobrego. Atoli niepewność nie dawała Gotartowskiemu spokoju. Upatrzył chwilę, gdy młody Wybicki jął rozpowiadać o służbie swojej pod generałem Dąbrowskim, pod Gdańskiem, i odciągnął nieznacznie Dziewanowskiego do sąsiedniej, pustej izby.

Dziewanowski nie czekał pytania.

— Wiem, wiem... czego po mnie się spodziewacie! — rzekł poważnie. — Czasem bodaj najżałośniejsza wiadomość lepsza od niepewności...

Floryan zbladł.

— Odwagi — odwagi! Panie Floryanie... Wyroki Boskie są niezbadane... Nie nam, nikczemnym stworzeniom, sądzić o nich! Co tu skrywać przed wami... Bóg jeden mocen jest was pocieszyć!...

— Mówcie, mówcie mi wszystko! — rzekł głucho Gotartowski.

— Owóż wiadomo wam, jako po moim wyjeździe pani stryjenka z Zośką dostały się w ręce Prusaków... niby to pod pozorem winy ukrywania mnie, a właściwie za podszeptem szpiega pruskiego, niejakiego Karlewicza, który zdawna zemstą ku mnie i ku stryjowi nieboszczykowi pałał... Przysłani przez was Żubrowie szukali, poznałem ich i o Karlewiczu powiadomiłem, słusznie suponując, że on jeden wie, co się z pochwyconemi niewiastami dzieje. Żubrowie żwawo chwycili się moich wskazówek, Karlewicza wykryli i, udając przed nim wysłańców pruskich, dotarli aż do kryjówki, w której ten łotr bezbronne kobiety więził, do gorszych rzeczy się sposobiąc... Co się tam dalej działo, nie wiem, bo szczegółów dowiedziałem się z ust tegoż Karlewicza. Owóż ten, wzięty na męki, wyznał, jak Żubrów przyprowadził do siebie, aby im przeprawę na drugą stronę Wisły ułatwić, lecz gdy był się w nocy oddalił, aby brodu wyszukać, ile że rzeka ledwie lodem się ścięła... Żubrowie zamordowali towarzyszów, okradli go i z pułkownikową i Zośką na lód się puścili... Karlewicz, jak powiada, chciał ich ratować, lecz woda wystąpiła i sam ledwie z życiem ujść zdołał!...

— Więc mówicie...

— Potonęli wszyscy!...

Gotartowski jęknął. Dziewanowski chwycił go w ramiona.

— Panie Floryanie! — rzekł z głębokiem uczuciem. — Mężczyzną jesteście... Patrzcież, i jam został sierotą prawie... One jedne mi były na świecie!... Nie dawajcie przystępu rozpaczy!...

— Światłem mi była jedynem!... Nie żyć mi bez niej!...

— Na Boga!... Słowa tego się sromajcie! Wspomnijcie na matkę waszą... na rodzinę, na ziemię, dla której walczyliście lat tyle...

Gotartowski był nagle niby ogłuszony.

— Zatonęła niebożę i... ci starzy, poczciwi... towarzysze wierni, opiekunami byli mi... rodzonymi!... Byle teraz... umrzeć, byle prędzej stąd!...

— Jezus, Maryo! Nie bluźnijcie, nie wzywajcie śmierci! Jesteście chrześcianinem! — strofował poważnie Dziewanowski.

— Ja też — odrzekł z cichym bólem Floryan — pójdę, pójdę szukać tylko... uspokojenia wiecznego...

— Nie — nie! Tak wam mówić nie wolno!... Módlcie się raczej za nią i za siebie...

— Panie Janie!... Mówcie o niej jeszcze... wszystko...

— Cóż wam powiem?... Na co boleść powiększać?... Robiłem wszystko, co się tylko dało... byle dojść prawdy... Niestety, Karlewicz widocznie nie kłamał. Pochwyciła go żandarmerya polowa francuska... Pan Moszyński śledztwo surowe prowadził... Znaleziono ciała zbirów Karlewicza na pogorzelisku jego sadyby, natrafiono na strzępy odzieży na krach lodowych... Zwłok nie odnaleziono. Spoczęły na dnie rzeki... Z początku byłem był suponował, że może i wam, panie Floryanie, krzywdę jaką wyrządzono... Karlewicza palili prawie żywcem... słowa o was nie mówił, wyrzekał się, iżby was na oczy kiedy oglądał. Widząc was teraz, utwierdzam się głębiej w przekonaniu, iż mówił prawdę. Naturalnie fałsz jeno jest w tem, aby Żubrowie na rabunek doń przyszli!... Dopuszczenie Boże!... Lecz gdybyście byli jako ja przy badaniu tego zbója, to możebyście przekonali się, iż Opatrzność i tu bezbronnych kobiet nie opuściła... Karlewicz zdawna zemstę naszemu rodowi był poprzysiągł!... Dawne dzieje! Jeszcze był podówczas żył stryj mój a świętej pamięci pułkownik... Karlewicz był w domu jego pacholikiem. Bawiliśmy wówczas w województwie Trockiem, w domu szambelana Rastawieckiego... Karlewicz, choć mizernego rodu, jął do jednej z córek się zalecać i na cnotę jej nastawać... Panna, gwałto-

wnością a groźbami Karlewicza przerażona, bała się ust otworzyć, lecz ja, małe chłopię, podpatrzyłem Karlewicza i pułkownikowi powiedziałem. Pułkownik wpadł w gniew, sto bizunów kazał mu wyliczyć, a zbitego do krwi, bosego, precz od siebie wypędził. Stąd nienawiść... Owóż, gdy pani stryjenka z Zośką w jego dostała się szpony, chciał je zbezcześcić... i... właśnie upatrzył był sobie chwilę sposobną... gdy Żubrowie nań spadli!... Wolej im śmierć było znaleźć niż hańbę...

— Gdzież jest ten zbój?! — rzucił przez zęby Floryan.

— Był przez sąd polowy na śmierć skazany... lecz, jak wszędzie zresztą przy zaprowadzaniu nowych rządów... nieład a zamieszanie było wielkie. Karlewicz, w areszcie trzymany, znalazł jakiegoś z czasów pruskich kamrata i uszedł przy jego pomocy... Aż dziw bierze, bo okaleczon był srodze... na śledztwie.

— A nie myślicie, że kłamstwem...

Dziewanowski rękę na ramieniu Floryana położył i rzekł z boleśnem przekonaniem:

— I mnie takie myśli przychodziły... Lecz on powiedział prawdę... Imć pan Moszyński nie dał folgować... Pasy zeń darto! Aż znieść nie mogąc widoku tej męki, sam się za nim wstawiałem... W ten sam sposób badano kompanów Karlewicza — chmara ich była! Zeznali wszyscy jedno!

— Przepadło wszystko!... A jam był podobno tak bliski śmierci... Czemu mnie jej wydarto!...

— Panie Floryanie! Poganinem jesteś?!

Oczy Gotartowskiego zaszły łzami.

— Nie! — rzekł, dławiąc w sobie szarpiącą go rozpacz. — Jeno nie wiem, czem zasłużyłem sobie u Boga...

— Pamiętajcie na matkę waszą!... Jam bliższych nie miał... stryjenka była mi opiekunką... Zośka siostrą!... Pocieszać was nie będę, nie umiem i nie mogę, jedno powiem wam, zaciągnijcie się bez mitręgi... na służbę... A tam, wśród trudów, niewywczasu... wojennego rozgwaru ukojenie powoli przyjdzie!... Na

jednobym was namawiał... chodźcie do nas, do szwoleżerów!... Mnie raźniej będzie... swojaków najbliższych siła znajdziecie... a słychać, że próżnować nie będziemy... Lada dzień szef Łubieński ruszy z pierwszym szwadronem, a i reszta sposobi się do drogi... Bezczynności a samotności się strzeż, bo zwarzy cię, złamie, a na zbrodnicze zawieść może pokuszenia!... Gódź się... a już ja, co mogę, uczynię, byle ci przystęp do nas ułatwić...

Dziewanowski długo jeszcze przekładał Floryanowi, aby boleści się nie poddawał, a w trudzie wojennym uspokojenia szukał. Gotartowski niby słuchał, a dusza zrywała mu się, a gorycz i żal zalewały serce.

Dziewanowski żywiej natarł.

— Byle wola była, byle hartu stało, a minie smutek, zapomnienie przyjdzie.

Floryan drgnął.

— Zapomnienie, mówisz?!... Jestże siła taka, która zapomniećby pozwoliła?...

Dziewanowski uląkł się żałości, która zadźwięczała w głosie Floryana, i ozwał się z mocą:

— Biorę was tedy w jasyr!... Dziś jeszcze pułkownikowi rzecz całą przedstawię... Książę waszeci wesprze...

— Nie — nie teraz! Zostawcie! Dajcie sercu się wypłakać... Pójdę... byle prędzej w ogień!... Tak, księciu jeszcze za gościnę trzeba podziękować i za życie...

Kapitan szwoleżerów umilkł. Uścisnął gorąco Gotartowskiego i podjął się go do pałacu pod Blachą przeprowadzić.

Floryan szedł niby we śnie.

W pałacu hajduk przyjął Gotartowskiego wiadomością, że pani hrabina zaniepokoiła się wielce tak długą jego nieobecnością i poleciła, aby zaraz dano jej znać, jeżeliby Floryan wrócił.

Gotartowski obojętnie przyjął ten objaw troskliwości, pożegnał się z Dziewanowskim i bocznem

przejściem do swego pokoju na górze podążył. Potrzebował ciszy, samotności.

Lecz nie danem mu było jej zakosztować, bo ledwie że wszedł do zacisznej komnatki, drzwi przeciwległe otwarły się pośpiesznie, stanęła przed nim pani de Vauban i ozwała się tonem pieszczotliwej wymówki:

— Posłuszeństwo się wypowiada?... Bez pozwolenia uciekamy?... Trzeba się szanować, należy się pielęgnować!...

— Łaskawość wielka pani... Niestety, nic złego mi się nie stało!

— Co mówicie, panie kapitanie? Nie wolno wam się narażać, bodaj z uwagi na osoby, dla których życie i zdrowie wasze... jest droższem, niż panu się zdaje... Ale pan wydajesz mi się być zmienionym!... Pan musisz mieć jakiś smutek? Może pomódz w czem mogę?...

Floryan potrząsnął głową.

— Nie!... Właśnie chciałem moje pokorne dziękczynienie wyrazić... za opiekę, za kłopot, którego swoją mizerną osobą przysporzyłem... bo pora mi ruszać!...

— Dokąd, dokąd pan zamierza?...

— Do regimentu!...

— A! więc pozwól mi, kapitanie! Toż pułków teraz dosyć w Warszawie!... Pepi, książę... bezwątpienia uczyni wszystko!... Rozumiem pańską szlachetność... Mnie stąd pora! Ten pałac nie dla pana, kapitanie, i nie dla mnie... Poleciłam już nabyć jakie ustronie tu, w Warszawie... i sądzę, że... pan nie odmówi mi tego zaszczytu...

— Będę sobie za honor uważał, za obowiązek!

Pani Vauban uśmiechnęła się z lekkim grymasem.

— Jaki pan uprzejmy... lecz niechaj to nie będzie dla niego dworskości wymogiem...

Gotartowski patrzył obojętnie na wdzięcznie spoglądającą nań panią de Vauban — ta ostatnia głos zniżyła i mówiła czule:

— O wdzięczności proszę mi nie wspominać... bo nie kłopot to był, ale słodki i miły sercu obowiązek... Jedno tylko żal we mnie budzi, że cierpienia duszy, które zdajecie się, panie kapitanie, nosić... nie udało mi się dotąd wygoić...

— Ono pozostanie już... na zawsze!...

— Dlaczego tak smutna przepowiednia?... Miłość przez miłość uleczoną być może. A wam się wiele jeszcze należy od życia... Dzisiaj już może inne serce bije dla was! Serce, które skłonne jest wyrządzoną wam zdradę okupić...

Floryanowi zdało się, iż ktoś do świątyni jego skradać się zaczyna i zewłok śmiertelny Zośki chce kalać.

— Pani! — rzekł pośpiesznie. — Jeżeli żywisz odrobinę współczucia dla mych smutków... przestań!... Nie dotykaj nigdy ran... Daruj mi szczerość... lecz nie władnę sobą!... Może źle zrozumiałem... ale myśli zebrać mi trudno!...

— Tak... tak!... Zawcześnie zerwaliśmy się... Wam ciszy... potrzeba jeszcze... wytchnienia...

— Istotnie!...

— Zostawiam was! Zaufajcie mi tylko!... Już ja z księciem pomówię!

Pani de Vauban wyciągnęła do Floryana rękę. Ten ujął ją ceremonialnie i ceremonialny pocałunek złożył.

— Do jutra! — szepnęła smętnie i żegnając go jeszcze ruchem ręki, wyszła.

Floryan otrząsnął się. Teraz dopiero tłumiony a ukrywany żal i boleść go chwyciła. Jak stał, tak runął na posłanie...

Dnia następnego Gotartowski zerwał się wcześnie na nogi i, dowiedziawszy się od pokojowca, że książę już wstał, kazał mu się natychmiast zameldować.

Poniatowski przyjął Floryana przyjaźnie, choć z odcieniem lekkiego chłodu.

— Rad jestem wielce! — zaczął pierwszy — że widzę waszmości w zdrowiu... Mówiono mi już o za-

miarze jego zaciągnięcia się na służbę! Sprawiło mi to wielką przyjemność... Dziś jeszcze nominacyę otrzymasz... na dowódcę batalionu w czwartym pułku strzelców legii nadwiślańskiej... z zaliczeniem do sztabu... bo mam przekonanie, że oddasz mi nielada usługi przy formowaniu regimentów... Jako oficer czynny żołd będziesz pobierał... Nadto sądzę, iż na awans długo nie będziesz potrzebował czekać...

— Wasza książęca mość...

— O! nie dziękuj mi, proszę... majorze... Zalety wasze są mi znane... Zresztą masz tak zabiegliwą protektorkę...

— Wasza książęca mość... łaskaw, lecz chciałem...

— Bądź spokojny — przerwał mu Poniatowski. — Stanie się wszystko po twojej myśli... przez czas jakiś trudzić cię nie będę... Pułk twój zostanie w kraju... Więc możesz śmiało pomyśleć o sobie!... Miałem to na względzie!...

— Wasza książęca mość pozwoli!

— Cóż jeszcze? — zapytał z odcieniem niechęci Poniatowski.

— Ja... ani stopnia tego... ani łaski tej przyjąć nie mogę!...

— Dlaczego? Wiem ci, że za lat tyle zasług należy ci się...

— Nic mi się nie należy — wybuchnął Floryan. — Nie rozumiem, kto był tak niefortunnym myśli moich i zamiarów tłómaczem. Zgoła tu z innem przychodzę przedłożeniem...

— Mów waćpan, proszę!...

— Do szwoleżerów gwardyi chciałbym...

— Do szwoleżerów! niełatwa to rzecz, ile że wszystkie stopnie oficerskie zajętymi zostały... chociaż... uczynię wszystko, byle waćpanu dopomódz! Chwalę to postanowienie, atoli zważ, iż pułk po sformowaniu natychmiast z kraju wyciągnie...

— Właśnie dlatego najmocniej obligować się ośmielam...

Książę spojrzał zdziwiony na Floryana.

— Lecz bacz tylko, że wyższe awanse są już objęte... czekać przyjdzie...

— Mości książę... prosząc o zaliczenie mnie do pułku szwoleżerów, nawet w głowie nie miałem szluf oficerskich... bo sam wszak jestem oficerem piechoty, a ledwie za losu zrządzeniem czasową pełniłem służbę drogmana a przewodnika w szwadronie strzelców pod pułkownikiem Deschampsem... więc służbę moją od szeregowca chcę rozpocząć!...

Poniatowski przerwał żywo:

— Co — mówisz waćpan?... Gdzież zastanowienie! Skądże ci takie myśli w głowie... Chcesz rodzaj broni zmienić... więc wstępuj do ułanów nadwiślańskich... tam znajdziesz przynajmniej rangę odpowiednią zasłudze! W końcu i tu, w Warszawie, próżniactwa nie będzie. Na wojnę się zaniosło... Kto wie, kiedy ona się skończy... Nie rozumiem co o twojem żądaniu sądzić. Może szarża majora nie wydaje ci się być stosowną?...

— Wasza książęca mość, spadło na mnie wielkie nieszczęście... służby twardej mi trzeba, abym nie oszalał...

— Mówże mi waćpan!... Może pomódz w czem mogę?!...

— Nie — nie, mości książę... tego nikt nie odmieni!... Gdzie śmierć stąpi, tam...

— Mości Gotartowski... ja na to zezwolić nie mogę...

— Jak o łaskę największą błagam...

— Więc chociaż nie gorączkuj się... zaczekaj!...

— Postanowienia to mego nie zmieni...

— Nie śmiem nalegać, lecz pozostaw to czasowi... ja powiadomię o waszmości intencyach pułkownika Krasińskiego i gros-majora Dautancourta... Siedmnastego czerwca rusza pierwszy szwadron... nie wiem, iżali mógłbyś z nim wyciągnąć!... Zaufaj mi, powziąłem dla ciebie prawdziwą życzliwość... Ale co znaczyło owo tak gorące wstawiennictwo... pani de Vauban?... Zdawała się być jakby upełnomocnioną...

Floryan uśmiechnął się smutnie.

— Ani wiem, skąd mnie ten zaszczyt spotyka... Jam do niego powodu nie dał!... Wasza książęca mość za uchybienie tego mi nie policzy... że przeniosę się na kwaterę, do którego z towarzyszów.

— Rozumiem waćpana i cenię jego delikatność! Jej się nie dziw... Pustka przeraża ją dzisiaj. Szuka podpory!... To, co ona mi powiedziała o waćpanu, sprawiło mi przykrość... lecz z radością przekonywam się, żem się na tobie nie zawiódł! Jeno teraz nie bądź zbyt pochopnym... Tożby zgroza była — ty, oficer legii włoskiej, generała Dąbrowskiego zaufany! Już ci negować nie będę! Czekam waćpana za dwa tygodnie... Zobaczymy. Jeżeli upierać się będziesz... Chociaż pomnij, że krzywdę wszystkim nam czynisz, bo oficerów brak wielki... zwłaszcza oficerów doświadczonych, tak, że co sprawniejszym dzieciuchom patenty porucznikowskie przyznawać należy! Ale, powtarzam, nie nastaję...

Poniatowski, żegnając Floryana, chciał go na odchodnem sumką wspomódz, lecz Gotartowski nie przyjął.

Prosto od księcia, Floryan udał się na kwaterę do Dziewanowskiego i powiedział mu o swojem postanowieniu, zarazem oświadczając, że do Gortatowic na czas jakiś udać się zamierza, spodziewając się tam wiadomość jakąś o matce znaleźć, a nadto o opatrzeniu się na nową służbę pomyśleć.

Kapitan szwoleżerów z radością wysłuchał zamierzeń Floryana.

— Będziemy razem! — rzekł. — A to mnie cieszy serdecznie!... Nawet i myśl wasza, aby od szeregowca zacząć, nie przeraża mnie! Toć najprzedniejsza młodzież służy, a poza służbą nie masz żadnej między oficerami i szeregowcami różnicy!... W końcu mogę wróżyć z góry szybkie odznaczenie się! Tylko gdzie wam teraz do Gortatowic ciągnąć!...

— Muszę — muszę! Myśl o swoich mnie niepokoi... a przytem chudoba nasza splądrowana, lecz przecież coś się znajdzie na nową służbę... bodaj koń jaki...

Dziewanowski nie sprzeciwiał się. Wspomógł Gotartowskiego na drogę i czule pożegnał, zaklinając go, aby, jeżeliby nikogo z rodzeństwa w domu nie zastał, wracał do Warszawy do niego.

Po krwawej rozprawie iławskiej, walczące armie usunęły się, cofnęły od siebie, goją bolesne szczerby, wypełniając dotkliwe w szeregach braki... Bez traktatów, bez parlamentarzy, bez umów nastał chwilowy rozejm, a z nim cicha walka dyplomatyczna, mająca nową potęgę uzbroić przeciw Napoleonowi.

Rozejm ten tu i ówdzie był zakłócony mniejszemi utarczkami już to dla wspomożenia słabnącego Gdańska, już to dla wywołania skutecznej dywersyi na prawem skrzydle armii francuskiej. Neidenburg, Willenberg, a potem Narew, Omulew i Pułtusk znów spłynęły krwią.

Sędziwy marszałek Kalkreuth zniewolony był do wydania Gdańska Lefebvrowi. Fryderyk Wilhelm miał jeszcze tylko Memel i Królewiec.

Dyplomacya ówczesna nie ustawała w zabiegach. Dwór austryacki podjął się pośrednictwa pokoju i zwołanie kongresu w Kopenhadze popierał usilnie.

Równocześnie zaś tajne prowadził rokowania nad przystąpieniem do koalicyi i opracowywał plany, aby na tyłach armii francuskiej wytworzyć nową siłę z Anglików, Szwedów, pruskich niedobitków i Austryaków złożoną. Bonaparte przewidział nadciągające chmury. Powołał nowe siły pod broń i nad Renem, pod dowództwem Brune'a, sformował korpus obserwacyjny, przyłączając doń posiłki Holendrów, Hiszpanów, Bawarów i Wirtemberczyków. A potem czekał. Jakoż gabinet angielski usilnie pracował nad zerwaniem pokojowych rokowań z Petersburgiem, wielkie ze swej strony posiłki zapowiadając.

Po ciszy chwilowej już w pierwszych dniach czerwca pod Braunsbergiem rozległy się wystrzały rotowych ogni rosyjskiej piechoty, atakującej szaniec przedmostowy w Spanden.

Było to jakby nowe hasło do nowych zapasów. Za Spanden tuż nastąpił bój pod Lomitten, Guttstadt,

Wolfesdorf, Amt, Altkirchen, Deppen, Glattau, a wreszcie Heilsberg. Armia francuska pod wodzą marszałków Neya, Bernadotte, Soulta, Murata i Davousta, a dzielnych generałów Frèra, Villate, Maison, Marchand, Dutaillis, Nansouty, Pajol, Bruyères, Durosnel, Victor, La Tour-Maubourg, Saint-Hilaire, Leval, Legrand, Roussel, Espagne, Savary i Verdier utrzymywała się wszędzie na stanowiskach, mimo zaciekłych ataków Wielkiego Księcia Konstantego a błyskawicznych poruszeń korpusów Benigsena, Kameńskiego, Bagrationa i Gorczakowa.

Bonapartemu mało było tej przewagi. On pragnął i szukał wielkiej rozprawy, którąby mu pozwoliła dyktować warunki pokoju. Lecz niełatwe to było zadanie. Benigsen bowiem jej unikał, nie chciał stawiać na szali losów swej armii i cofał się ku Królewcowi, ucierając się z przedniemi strażami następujących nań korpusów.

We Friedlandzie wódz rosyjski zastał niespodziewanie dziewiąty pułk huzarów francuskich, a sądząc, że to resztki rozbitego przezeń pod Heilsbergiem korpusu Oudinota, wyparł go z miasta...

Przyczajony Oudinot i Lannes z Mortierem natychmiast ogień tyralierski rozpoczęli, aby Benigsena wciągnąć do bitwy. Jakoż Benigsen rozwinął linię bojową i natarł żywo na marszałków. Zwycięstwo odrazu przechyliło się na stronę armii rosyjskiej. Lannes z Mortierem resztek sił dobywali, byle utrzymać się na pozycyach.

Tak zeszło do godziny piątej po południu...

Benigsen, widząc niechybną swoją przewagę nad nieprzyjacielem, zaparł się o mury Friedlandu, nie ustraszony tem nawet, że tuż za miasteczkiem ma nurty Ali, że zarzucone mosty pontonowe mogą nie wytrzymać szybkiego odwrotu, że dzień czternasty czerwca był rocznicą Marengo!

Kanonada nie ustawała. Oudinot, Lannes i Mortier lada chwila mieli śmiałość swoją sromotną przypłacić klęską.

Bonaparte tymczasem pod osłoną bitwy, poza lasami, okrążającymi pole walki, słał kolumny wojska, które, zataczając wielkie półkola, skradały się do armii rosyjskiej i czekały sygnału.

Słońce już zniżać się zaczęło ku zachodowi, gdy uformowana w zagajniku baterya artyleryi generała Senarmonta obwieściła przybycie Bonapartego...

Milczące lasy poruszyły się, błysnęły stalowemi ostrzami bagnetów. Dywizya dragonów Grouchego rzuciła się wspomagać chwiejące się szeregi Lannes'a.

Nowe czworoboki wyrosły dokoła armii Benigsena. Ney natarł na parowy, w których stała gwardya rosyjska. Marchand wżarł się w bok dywizyi rosyjskiej i pchał ją ku Ali. Dupont szarżował na działa, Mortier, nowemi dywizyami wspomożony, jął zmagać się z Gorczakowem na śmierć i życie.

Dwie godziny trwały krwawe zapasy, dwie godziny męstwo ścierało się z męstwem, spiż ze spiżem, stal ze stalą, pierś z piersią. Aż prawe skrzydło armii rosyjskiej drgnęło, zachwiało się, raz jeszcze pod piorunową komendą dowódców próbowało stawić opór. Daremnie.

Gererał Perin pracował pod przewodem Neya na buławę marszałkowską! Berthier, ks. Neuchatelu, rzucał się w największy ogień, chcąc się okazać godnym tytułu ministra wojny Napoleona!

Prawe skrzydło Benigsena jeszcze się opierało, wsparte ogniem działowym, skierowanym na Neya. Lecz ten już powstrzymać się nie dał. Zdarł konia, spiął ostrogami, jak wicher wyrwał się tłumowi otaczających go adjutantów... i z szablą wzniesioną, bez czapki, z włosem rozwianym do nowego poprowadził ataku.

Soult natarł z boku. Dwudziestu pięciu generałów rosyjskich padło. Prawe skrzydło skręciło się pod naporem Francuzów i jęło za Alę się cofać... Mortier zaś, dziesiątkował już lewe skrzydło i zajmował Friedland...

Słońce zaszło. Walka wre jeszcze. Mosty się palą, płomienie liżą zajadle domy, miasteczka. Armaty drgają ponurem światłem, w morzu ognia, krwi i żelaza kotłują się ludzkie ciała.

Żołnierz walczy już o śmierć chwalebną. Ale nie żołnierz pruski i nie pruski generał Lestoque! Ten, po niedołężnych obrotach swego korpusu, za trzecią szarżą legii północnej oddaje Dąbrowskiemu szpadę!...

O północy umilkły działa. Szczątki armii Benigsena jęły się cofać pod Królewiec, nie przypuszczając, że tam, na drodze, czai się jeszcze kawalerya Murata, która je ścigać będzie a rwać aż do Tylży.

We dwa dni po Friedlandzie kapitulacya czekała na Królewiec... Monarchia pruska znikła z karty Europy. Fryderyk Wilhelm na granicy rosyjskiej szukał przytułku i żebrał zlitowania się cesarza Aleksandra, żebrał, aby ten obronił go, osłonił przy zawieraniu traktatu pokojowego, nie dał upaść jego ledwie sto lat liczącej koronie, lennikiem się być powiadał a pychy dawnej się wyrzekał.

I oto krzyżacka buta po raz drugi u nóg słowiańskiego monarchy korzyła się, czołgała. Królowa pruska trefiła włosy a porady u zwierciadeł szukała, aby piękność swych wdzięków podnieść i z pomocą ich wymódz to na Bonapartem, czego armia Fryderyka wywalczyć nie zdołała.

Królowa miała może wielkie dane, aby rolę Judyty odegrać z powodzeniem, atoli Napoleon nic nie miał w sobie płochości Samsona, ni Holofernesa.

Bonaparte objeżdżał pole bitwy w otoczeniu Duroca, Bessièrsa i Berthiera. Zaduma błąkała się po jasnem czole zwycięzcy. Oczy jego smutnie poglądały na te tysiące istnień ludzkich, które tu słały się pod jego stopami, które ostatnią kroplę krwi wysączyły, aby dla niego uwić laur, aby sławę jego w nowe ustroić blaski.

Zawały trupów co chwila znaczyły miejsca, gdzie bitwa ważyła się, gdzie natarcie było silniejszem, gdzie obrona bohaterską. W mrokach jasnej nocy czerwcowej, na zielonej runi pól, odbijały wy-

rażnie obszerne różnobarwne koliska, niby kwietne klomby...

Tu niebieskie mundury dragonii francuskiej, przetykane krasnymi żupanami smoleńskich kozaków, tam złote napierśniki przeobrażeńców zmieszały się w śmiertelnych uściskach z ciemno-zielonemi furażerkami woltyżerów, ówdzie białe kamizele i białe pasy znaczyły krwawe żniwo artyleryi Senarmonta, ponad parowami spiętrzone masy ludzkich ciał i końskich świadczyły o pracy gwardyi rosyjskiej.

Pole bitwy zdawało się jakby obumarłem. Kałuże krwi krzepły, ciała stygły, na prochem okopcone, miazgą obluzgane oblicza poległych zstępował majestat śmierci, ścierał ślady bólu, zmarszczone wygładzał czoła. Niekiedy wśród ponurej ciszy słychać było jeszcze cichy jęk... a niekiedy przeciągłe... ostatnie westchnienie konającego.

Od strony obozu francuskiego snuć się zaczęły już złowrogie cienie grabarzy...

— Duroc! — odezwał się Bonaparte do jadącego za nim wielkiego marszałka dworu. — Patrz, ile ofiar!...

— Najjaśniejszy panie, rocznica Marengo!

— Tak — tak! Rzetelnie ją obchodziliśmy!...

Napoleon skierował konia ku zgliszczom palącego się jeszcze Friedlandu. W tejże chwili z poza zagajnika wysunęły się trzy cienie jeźdźców w generalskich mundurach i na widok cesarza zdarły konie.

Bonaparte spojrzał bystro ku cieniom.

— Kto jedzie?

— Oudinot, Perin-Victor i Dąbrowski! — odezwał się basowy głos.

— Zbliżyć się!

Jeźdźcy ruszyli ku cesarzowi i osadzili przed nim konie, salutując monarchę.

— Oudinot! Cudów waleczności dokazałeś, gdziekolwiek się pokażesz o nic lękać się nie trzeba, tylko o ciebie!...

— Sire! Spełnić chciałem obowiązek!...

— Za Ostrołękę zostałeś hrabią, za Friedland mianuję cię gubernatorem Erfurtu!

— A ty, Perin, jesteś marszałkiem! Bertier! Przygotujesz nominacyę do podpisu!... A! Generale Dąbrowski, jakże pańska rana?...

— Zapomniałem, że była!

Bonaparte targnął zlekka konia i wysunął się naprzód, a wskazując na szeroką polanę, zasłaną zwłokami pruskich żołnierzy, ozwał się do towarzyszących mu marszałków i generałów:

— Patrzcie, panowie, tu leżą szczątki armii Fryderyka Wielkiego!... Dąbrowski! Gdyby tamten żył, możebyś żniwa takiego nie miał...

— Pod twoim przewodem, najjaśniejszy panie, inaczejby się stać nie mogło!...

— Wielki dzień! wielki! — powtarzał w zadumie Bonaparte.

Naraz bystry jego wzrok zatrzymał się na małym pagórku tuż, przy polanie... Napoleon spiął konia ostrogami...

Na wzgórzu tem, zasłanem ciałami poległych, dziwna odgrywała się scena.

Pośrodku leżał młodzieniec w mundurze ułańskim, cisnąc do broczącej na piersiach rany rękojeść strzaskanego pałasza. Wargi jego szeptały jakieś wyrazy nieuchwytne. Napoły przymknięte oczy szkliły się smutnie...

Tuż obok młodzieńca, jakby z pod wyprężonego kadłuba końskiego, czołgał się starzec siwowłosy, drżący, odziany w barwę województwa kaliskiego. Starzec miał lewą nogę przewiązaną szmatą. Rana snać jego była ciężką, bo z piersi starca czasem głuchy jęk się dobywał.

Starzec wspierał się na rękach, ustawał, omdlewał prawie. A jednak wlokło go coś do tego szeptu młodzieńca!... I nie zważał, że mimo szmaty, rana krwawiła się coraz silnej. Zmagał się a pełzł.

Z przeciwnej stronny inny cień również ku młodzieńcowi sunął. Był to stary legionista-oficer. Twarz jego wychudła, zmarszczona, zczerniała na słońcu...

w łunach pożaru Friedlandu zdawała się być jakiemś widmem, groźnem zjawiskiem.

Legionista zasłaniał lewą ręką rozwarty bok — prawą się wspierał, a na nogach ustać nie mogąc, na kolanach się wlókł, z trudnością kołując pomiędzy stosami ciał ludzkich.

— Ludzie! Pomocy! Ratunku!... — jęczał starzec — Matko najświętsza... dodaj mi siły... ani chybi, to ten smyk!... A, poczekaj, urwisie, uszu ci natrę!... Od wszelkich złych przygód racz nas wybawić!... Ucapiłem cię przecie!... Szałaputa — nicpotem!... Pani matce zmartwienia takiego narobić!... Wojaczki się smykowi zachciało!... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Jezu... pozwól, niech się dowlekę!...

Starzec dyszał ciężko. Oczy jego z rozpaczą wpatrywały się w jasną twarz młodzieńca, ozłoconą blaskami łuny pożaru. Suche, żylaste ręce zapierały się gwałtownie, żyły na czole nabrzmiały. Ostatkiem sił darł się do młodego ułana. Aż... pochylił się wreszcie nad obumarłem na poły ciałem. Siwa głowa zadrżała, z pod ciężkiej powieki łza wielka spadła na czoło młodzieńca. A snać brzemienna była potężną modlitwą a bezmiernym bólem, gdyż ułan otworzył nagle oczy i spojrzał na starca rzewnie, smutnie... Wargi jego poruszyły się.

— Dziaduś... przyszli!...

Starzec zatrząsł się, z piersi jego nieludzki dobył się ryk.

— Moćpanowie! Kto w Boga wierzy, ratujcie!... Chłopczyna mój serdeczny zamiera!... Wszechmogący, wieczny Boże... mnie... mnie... zabierz z tego świata!... Daruj życia... smykowi!... Wody!...

— Que diable! Sacrebleu! — odezwał się z przeciwnej strony głos legionisty. — Zaraz! Niech się wygramolę! Mam manierkę!...

— Bywajcie, mospanie!... Bóg was zsyła! Ledwie dyszy... dzieciuch taki! Doczekałem się pociechy!...

Oficer legii zdołał nareszcie zbliżyć się do ułana. Z wysiłkiem odpasał przewieszoną przez ramię ma-

nierkę z wódką i wlał w usta ułanowi. Młodzieniec westchnął głębiej.

— Nom de chien! Wyliże się! — mruczał legionista. — Bagnet pruski! Macie bandaże? Czekajcie! Będą!...

Legionista rozerwał mundur i wydarł szmat płótna z własnej koszuli... potem wyciągnął nabój z patrontasza, rozgryzł i proch wysypał na szmatę.

— Niby kaleczy, a goi! — rzucił przez zęby, zaczem, nie zważając na starca, który niespokojnie śledził każdy ruch twarzy legionisty, jął opatrywać ranę młodzieńca.

Ułan po raz wtóry otworzył oczy i spojrzał jaśniej, wyraźniej.

— Dziaduś się gniewają?... rzekł cicho.

Starzec pochylił się ku ułanowi.

— Co — co waćpanu w głowie!... Potem na kobiercu się rozprawimy, po szlachecku!... Widzisz... lepiej ci?!... Żołnierki ci się chciało!... Z domu matczynego uciekać... A gdyby cię tak Prusak nadział bagnetem, to... coby było?... Nic waćpan dla dziada respektu nie masz! Widzisz, z harmaty mnie uraczyli. Ooo!...

— Darujcie! Przebaczcie!...

— Co darować?! Co wybaczyć?! — burczał starzec. — Po jednych pieniądzach wszyscy!... Jaki ojciec, taki syn! Tfy... Aż wymówić niepodobna... Józef, biedaczysko! Floryan, no, Floryan mężczyzna!... Ale... ci smyk taki, żal się Boże! Kosteczki, jak patyczki, piąstka na komara i... wlecz się, dziadzie, tłucz gnaty... naści pierzynę na stare lata!...

Nagle oficer legii, który był z kolei z jakąś zabobonną trwogą na starca poglądał, rzucił okiem na wielki sygnet szlachecki, lśniący w blaskach łuny na palcu dziada, i zadrżał. Ciało jego osunęło się, zachwiało... Chwycił gwałtownie rękę starca i do ust ją przycisnął.

Strarzec chciał coś rzec, chciał usunąć rękę — wreszcie spojrzał na chylącą się przed nim, siwizną przyprószoną głowę. Serce zamarło mu w piersiach.

Ciało legionisty zadygotało — łkanie głuche rozrywało mu gardło, bok trysnął krwawą wstęgą.

— Co... co... waćpan?! — szeptał starzec, bojąc się dać poznać przeczuciu. — Któżeś ty?... Mara?!...

— Ojcze!

— Józef! Boże miłosierny!... Ostatnia na mnie przyszła godzina!... Czas — czas!... Józefie! Synu... pilnuj swego smyka!... Marcelek... Figle mu w głowie... koszałki opałki!... Wojaczki mu się chciało!... Tyżeś to?... tyle lat waćpana nie widziałem!... W domu bezład!... Pisklęta ci się zbuntowały... Staszek u Prusaków... I tak wszystko idzie, marnieje... ginie!... Tobie, Boże, na ofiarę!...

— Dziadusiu!...

— Nie — niema dziadusia!... Rodzic twój niech mnie zastąpi!... Chciałem waści uszu natrzeć... z harmaty ucapili!... Boże, błogosław was!... Boże nie opuszczaj was!... Dziej się wola Twoja!... Józef!... Marcel!... dajcie mi wasze ręce!... Oto niegodny schodzę z tego świata... bez słowa pociechy, bez przebaczenia... Jezusie, wejrzyj na mnie ginącego pomiędzy Francuzami a dysydentami! Cicho, Marcelek! Widzisz... tam jejmość dobrodziejka a babka twoja stoi... i kiwa na mnie! Czekaj, Jaguś, czekaj! Cha — cha! Asiądźce pilno... zaraz!... Niech raz jeszcze chłopaka naszego uścisnę i... tego urwisa... Ooo! Com ja się nażył!... Wódz nielada ten Napoljon!...

Ciało starca osunęło się bezwładnie na murawę. Skonał.

Syn i ojciec padli sobie w objęcia... Krew płynęła im z ran, zlewała się w jedno pasmo i spływając falisto, wsiąkała w ziemię i łączyła się z krwią dziada.

Wtem ponad głowami rannych rozległ się dźwięczny głos:

— Kto tu wzywa pomocy?!

Oficer legii podniósł błędne oczy i jęknął głucho:

— Cesarz!...

— Co za pułk?! Generale Dąbrowski, barwy legii północnej?...

Dąbrowski zeskoczył z konia i podbiegł na wzgórze.

— Kto tu?... Jaki pułk?... Cesarz przed wami!...

— Józef Gotartowski z brygady Aksamitowskiego!...

— Ranny? Kapitan! A ten młody...

— To mój syn!.. A ten wolontarz kaliski, to... dziad!... Umieramy!...

— Co, co? — badał Bonaparte, nie rozumiejąc odpowiedzi legionisty.

— Najjaśniejszy panie!... Trzy pokolenia rodu jednego... Dziad, ojciec i syn...

— Ratować ich! Ordynansa! Duroc!...

Wielki marszałek dworu zawrócił konia i jak strzała pomknął ku biwakom francuskim. Cesarz, a za nim marszałkowie i Oudinot zsiedli z koni.

Bonaparte podszedł do Józefa Gotartowskiego.

— Dzielny ród żołnierzy!... Nazywasz się?

— Gotartowski, najjaśniejszy panie!...

— Służyłeś?

— Dziesięć lat w konfederacyi, dziesięć w niewoli tureckiej... teraz w legii...

— Jesteś pułkownikiem!...

Kapitan uśmiechnął się smutnie.

— Umieram! — rzekł cicho.

Bonaparte odwrócił głowę. Dąbrowski przyklęknął przy umierającym i rzeźwił go wodą...

— Kapitanie! Czy Floryan Gotartowski wasz krewniak?

— To mój syn!...

— Słów dlań nie mam! Zaszczyt wam przynosi!...

— Generale! Nie mnie ratujcie, lecz tego chłopca... Mnie także pora... Jego szkoda byłoby! Taki młody! Czas mu przecie!...

Napoleon sięgnął po order legii, zawieszony na jego mundurze, odpiął go i ku kapitanowi się pochylił.

— Jesteś oficerem krzyża!...

— Najjaśniejszy panie — nie mnie!... Ja odchodzę!... Na mnie legia czeka niebieska!... Lecz ten

dzieciak... już chrzest krwawy przeszedł... Jemu, najjaśniejszy panie... za ojca i za dziada...

Bonaparte przyklęknął nad Marcelkiem. Ułan spojrzał na cesarza... Ojcu łzy w oczach zabłysły. Wspierając się na podtrzymującym go generale Dąbrowskim, patrzył z dumą na syna. Minister wojny Berthier tłumił wzruszenie. Marszałek Perin płakał.

— Pułkowniku! — ozwał się Napoleon — nie maszże jakiego życzenia, którebym mógł spełnić? Mów!

— Najjaśniejszy panie... Niech pochowają mnie razem z ojcem!... To wszystko!...

— Daj mi swoją rękę, niech ją uścisnę!... O synu twoim będę pamiętał... Boli mnie, że nic więcej dla ciebie uczynić nie mogę... Nie trać ufności!... Patrz... ambulanse nadjeżdżają!... Da Bóg, rana twoja nie będzie śmiertelną!

Bonaparte usunął się na bok i patrzył w dal ponurą, patrzył na pożogę, która przygasłszy na chwilę, z nową wybuchnęła siłą, patrzył na to pole śmierci, pole sławy...

Kapitan tymczasem, w pół leżąc na ziemi, oddychał ciężko, a raniony bok cisnął. Dąbrowski zwilżył chustkę wodą i przyłożył mu na ranę.

— Dziękuję, generale! Paliła mocno... lżej mi teraz!... Marceli!...

Ułan ręce złożył na kolanach ojca.

— Marceli! Synu mój... nogi ucałuj matce. Florka, Staszka, Urszulę, Fabiana... Błogosławieństwo moje im zanieś... Tyle lat rwała się do was dusza, ciągnęło serce... Nie dali! Miłujcie się, kochajcie a czcijcie jego... cesarza! On wielki! Dobrze mi tak umierać... gdy ciebie widzę!... Tam... spotkamy się znowu!...

Odblask pożogi zaświecił w lśniącej powłoce krzyża zawieszonego na piersiach Marcelka. Konający uśmiechnął się z rozrzewnieniem.

— Phi! Marcelku! Patrz... masz już legię! A wiesz ty, co taka legia znaczy?... To więcej, niż nowy indygenat... Szanuj ją... aby wnuki twoje poszczycić się nią mogły! Widzisz, chłopcze... legia!... Krzyż!...

Kapitan jęknął ciężko. Marcelek, leżąc na ziemi, ostatkami sił nogi ojca ściskał a całował. Stary legionista raz jeszcze zbudził się do życia i powiódł dokoła błędnym wzrokiem, a spostrzegłszy zdala wysuwającą się sylwetkę cesarza, rzekł, wskazując nań ręką:

— Synu!... Zanim pójdziesz i ty, i Florek, i wy wszyscy — aż do ostatniej kropli krwi! Na śmierć, na życie!... To moja... wola .. Módlcie się!...

Kapitan zaczerpnął gwałtownie powietrza, westchnął ciężko, jakby zbywając się ciężaru, który lat tyle tłoczył go, pod którym giął się, łamał... i zwiesił głowę...

Generał Dąbrowski zdjął kapelusz, za jego przykładem poszli marszałkowie. W tejże chwili prawie zajechał pędem ambulans, zaprzęgnięty czwórką, a przyprowadzony przez wielkiego marszałka dworu. Dwaj chirurdzy jęli opatrywać omdlałego ułana.

Bonaparte dosiadł konia i zawrócił do obozu.

Gdy się to działo, na przeciwnej stronie placu bitwy, na brzegach Ali, zgoła inna rozgrywała się scena.

Brzegiem rzeki szedł wysoki, barczysty grenadyer pruski i oglądał się niespokojnie na wszystkie strony. Minął zagajnik nadbrzeżny, parów zasłany poległymi i szedł dalej, niby miejsca upatrując. Niekiedy wzrok jego błądził bezmyślnie po błyszczącej toni, z której wychylały się jakieś zawały straszne, bezkształtne, splątane ze sobą, chwiejące się ponuro. Czasem znów patrzył obojętnie na krwawe szczątki stoczonej tu bitwy i mruczał coś do siebie... Tak zbliżył się do miejsca, gdzie armia w bród Alę przebywała.

Ginące w nurtach szerokie koleje, zdeptana kopytami końskiemi ziemia mówiła, że pochód tu był gorączkowy, gwałtowny... Jakoż środkiem, śladami brodu szła tama... Tama powstała z lawet porzuconych, z uwięzłych pojazdów, z koni zatopionych, z ciał ludzkich. Fala żołnierzy, koni i pociągów przeszła tędy — mówiły zastygłe ślady.

Lawa wulkanu, tocząc swe gorejące strumienie na dno morskie... ścina się... Ledwie czeluście krateru

zczernieją, a obłoki dymu zamienią się w wijące się pokornie ku niebiosom lejki — ponad morskiemi falami już grzbiet bezkształtny, skrzepły, znaczy drogę płomienistego potoku.

Grenadyer zmierzył wzrokiem tamę, a przekonawszy się, iż ta zbita masa ludzi, koni, drzewa i żelaza milczy obumarła, zwrócił się ku brzegowi, kędy porzucony wózek z prochami i kulami zarył się w błotnistym gruncie.

Grenadyer podniósł wieko, sprawdził zawartość wózka i uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Zaczem przykucnął między jego kołami, odpiął pałasz, zaparł o kolano, złamał go i odrzucił precz od siebie. Zdjął potem mundur i ze złością jakąś pozrywał zeń kolorowe naszycia, nie darował ani trójgraniastemu kapeluszowi z kokardą, ani harcapowi.

Gdy zniszczył w ten sposób wszystkie ozdoby a oznaki swego pruskiego uniformu, dobył noża i jął poły mundura ciąć na długie pasy, a potem pasy te skręcać i łączyć ze sobą. Kiedy ten zaimprowizowany sznur był gotów, grenadyer podsunął się do kół wózka i z piast jego zaczął dobywać resztek smoły, a sznur nią smarować. Po ukończeniu tej roboty skrzesał ognia.

Sznur zatlił się żywo. Grenadyer zgasił go pośpiesznie.

Raz jeszcze sprawdził, czy wszędzie jest równomiernie smołą namaszczony, a potem podniósł wieko wózka, podparł je strzaskaną kolbą karabina i jeden koniec sznura zapuścił w głąb, w przegrody wypełnione kulami i wpół uchylone blachy z prochem, drugi zwiesił pionowo między kołami wózka.

Ukończywszy te przygotowania, usłał sobie pod wózkiem z odzienia miejsce na ziemi, ukląkł i jął się modlić.

Modlił się długo a żarliwie, w piersi bił się a kajał, jakby spowiedź z życia całego czynił. Szeroka, surowa, brózdami zorana, koścista twarz grenadyera przybrała wyraz łagodności, zasłuchania się pobożnego. Chwilami wielkie, żylaste ręce zaciskały

się kurczowo i wznosiły ku niebu... rozżarzonemu łunami pożaru...

Grenadyer skończył modlitwę, przeżegnał się, a westchnąwszy ciężko, sięgnął w zanadrze, wyjął zeń starannie omotane zawiniątko i klęcząc przed sobą rozłożył. Z zawiniątka wydobył papier pożółkły, zczerniały, zdobny w orły jakieś a pieczęcie, dwa krzyże żołnierskie i szmat wstążki z kobiecego czepca i ze wzruszeniem jął wpatrywać się w te drogie dlań pamiątki a szczątki przeszłości. Ręce mu drżały, dotknął papieru, łzy w oczach błysły na widok krzyżów. Szmat do piersi przycisnął i tulił z głuchym bełkotem.

Upływały godziny. Grenadyer mocował się z samym sobą, walkę toczył. Mrużył oczy i już zaczynał skarby swoje chować, gdy znów je rozwijał: pieścił się nimi, a myślą może lat minionych sięgał... Ciężko mu było oczy oderwać i od tego zszarzanego papieru i od tych krzyżów i od tej szmaty!...

Przemógł się w końcu. Omotał zawiniątko, skrzesał ognia... iskra padła na koniec zawieszonego sznura... Grenadyer skrzyżował ręce na piersiach i zapatrzył się smutnie w budzący się poza Alą brzask...

Iskra zatliła sznur... Niebieskawy płomyczek wybuchnął nagle i zaczął piąć się ku górze... coraz wyżej... wyżej...

Naraz wśród wystającej ponad wodą masy ciał rozległ się cichy jęk.

Grenadyer zwrócił oczy ku stronie, skąd jęk się dobywał i dostrzegł rękę wyciągniętą błagalnie.

— Wo imia Chrysta... pomohitie!... — rozległ się przejmujący okrzyk.

Grenadyer drgnął. Podniósł się powoli. Płomyk już pełzł po blaszanej puszce z prochem.

Stary żołnierz obojętnie sięgnął po palący się lont, zmiął go w ręku i nie zważając na bolesne oparzenie dłoni, podszedł do brzegu Ali, skąd go dochodziło rozpaczliwe wołanie. Zmierzył wzrokiem odległość, dzielącą go od głowy wychylonej na powierzchni wody i zatrzymał się.

Zadanie nie było łatwem. Wzywający ratunku znajdował się pośród wału ciał ludzkich i zwalonych pociągów... Grenadyer widział go, jak chwytał się pływających kawałów drzewa, jak zapierał się i mocował, szukając ocalenia w przewróconym wozie ambulansowym... Naprożno. Snać siły go odbiegały... a nadto ten spiętrzony wał malał, zanurzał się, zasuwał coraz głębiej w grząskie dno rzeki.

Grenadyer nie namyślał się długo. Przypadł do zastygłych w kulbakach koni, odciął im cugle, powiązał rzemienie i wszedł w wodę.

Ale w tem miejscu była płytką. Nogi starego żołnierza osuwały się w muł, zapadały, lecz brnął bez wahania. Gdy już się zbliżył do zawały, rozpuścił rzemień i zarzucił go zręcznie. Rzemień owinął się około wyciągniętej jeszcze ręki, palce tonącego z rozpaczą chwyciły się rzemienia.

Grenadyer zaparł się i jął przyciągać rzemień ku sobie — opór był silny. Żołnierz natężył mięśnie. Masa jakaś zbliżyła się ku brzegowi. Na powierzchni wody znów ukazała się twarz ociekająca krwią, sina, z zamglonemi oczyma, ze śmiertelnym kurczem około zaciśniętych ust. Nogi żołnierza zapadały się w bagniste dno, lecz grenadyer targnął się ku brzegowi...

Już miał na brzegu stanąć, gdy naraz uczuł, jak go coś, niby kleszczami, uchwyciło pod kolanami. Żołnierz zatrząsł się ze wstrętu i przerażenia i rzucił się naprzód. Kleszcze zaciskały się silnie. Ból drętwy przejął go... Ostatnim, nadludzkim wysiłkiem szarpnął się w topieli i stanął na brzegu. W tejże chwili kilkanaście wielkich, błękitno-czarnych raków odpadło z chrzęstem na ziemię, potoczyło się ku wodzie i znikło.

Żołnierz spojrzał po sobie. Wąskie pasma krwi spływały mu po nogach, znacząc miejsca zajadłych ukąszeń. Grenadyer, mimo piekącego bólu, znów zwrócił się do topielca. Rzemień około ręki opasał, przez ramię przerzucił i zgiąwszy się, jął ciągnąć. Rzemień prężył się, trzeszczał, lecz nie zdołał wyrwać

się z uchwytu rozpaczy. Masa zbliżyła się do brzegu i zaparła w mule.

Żołnierz porzucił rzemień i podsunął się do drżącego nad wodą korpusu.

Mrowie go przeszło. W ciało ratowanego wczepiło się sześć rąk pożółkłych, zzieleniałych, zastygłych i zdało się ciągnąć je na dno topieli.

Grenadyer pruski pochwycił za porzucony pałasz dragoński, zamierzył się, ciął raz, drugi i trzeci po rękach. Woda zabełkotała ponuro, ręce rozwarły swe szpony i odpadły. Grenadyer przegiął się i wyciągnął na brzeg omdlałego żołnierza.

Słońce wychylać zaczęło już swój rąbek czerwony z poza lasu. Łuna znikła... dymy unosiły się jeszcze ponad Friedlandem.

Grenadyer spojrzał na wyciągniętego z wody żołnierza i jął go opatrywać. Żołnierz mógł mieć lat około dwudziestu zaledwie.

Poszarpany na nim mundur nie pozwalał rozpoznać, do jakiej armii, do jakiego pułku należał. Lecz grenadyera nie zdawało się to zajmować. Ściągnął z żołnierza łachmany i badał. Uratowany miał na ramieniu ledwie ślad lekkiej kontuzyi... lecz za to ciało jego przedstawiało jedną skorupę, pełną sączących ranek, zadrapań, okaleczeń, sińców a śladów jakiejś strasznej walki...

Grenadyer z wprawą starej niańki ułożył żołnierza na brzegu, obmył mu zamulone rany. Potem oddalił się na chwilę w stronę pola bitwy i, powróciwszy z pękiem białych szmat i manierkami, przyklęknął nad żołnierzem i kończył opatrunek.

Oliwą pozalewał okaleczenia, poprzewiązywał gałganami, a w końcu w usta omdlałego wlał potężny łyk wódki.

Żołnierz zakrztusił się, poczerwieniał i spojrzał z wdzięcznością na grenadyera.

— Kto ty? Prusak? — rzekł po rosyjsku.

Grenadyer potrząsł przecząco głową.

— Francuz?

— Polak — odparł grenadyer.

— Spasibo... bratiec!...

Żołnierz wsparł się na ręku i obejrzał dokoła.

— Niema bitwy! Ot, narodu leży!... Strach, strach!... Samemu śmierć zajrzała w oczy i ciągnęła luta i maniła... Przeprawiałem się, a tu trupy chwyciły... Ooo!... W głowie szumi jeszcze... ooo...

Grenadyer podał znów żołnierzowi manierkę z wódką. Żołnierz napił się chciwie.

— Grzeje! Dobrze grzeje!... Wiesz, Sidora, rozerwało! Sławny był gefrajter... przeobrażeniec zakamieniały! Prawda — tyś go nie widział!... Wczoraj jeszcze mówił do mnie rano: Waśka, dzierżyś!... Rozerwało... Z jednego sioła był ze mną, krewniak, niby wuj!... Matce mojej ciotecznym wypadał!... Ulżyło... Aa!... Pół dnia staliśmy w wąwozach. Francuzi sypali kulami... lecieli na nas jak ćmy... Potem runęli! Zatrąbiono odwrót — my jeszcze stali! Aż przyszło i na nas. Pułkownika zwaliło, kapitana aby trąciło... Gdzie nam sierotom... Prochu i kuli zabrakło, a karabin parzył, ani go utrzymać...

Grenadyer słuchał i kiwał głową, jakby na znak, że rzeczy takie nowiną mu nie są.

Żołnierz zniecierpliwił się.

— Cóż ty, stary, nic nie mówisz?

— Jasia! — mruknął ponuro grenadyer.

— Jasia, Jasia!?... Co za czort taki?...

— Poszła tam!... — rzucił stary żołnierz i wskazał na obłoki, rozsrebrzone światłem budzącego się dnia.

— Hm! Tam poszła?... Niech jej będzie królestwo niebieskie!... Pomóż stary!... Tyś dobry!... W języku jednak nie skory... Jakbym się narodził...

Młody żołnierz przysiadł i zapatrzył się smutnie w dal.

— Gdzie mnie teraz jednemu?! Słuchaj, ty musisz być z felczerów? Co? Nie? Patrzaj!... Byłeś w bitwie? No, no... A żyjesz! Prawda, i ja żyję!... Kto jego wie zresztą...

Grenadyer wstał i wyprostował się. Młody żołnierz spojrzał nań niespokojnie.

— Gdzie ty?...

— Pora!

— Dokąd?...

— At!... Pora i już! — uciął grenadyer.

— Cha! Idź! Wola twoja... Daj, stary, rękę!... A jak ciebie... niech wiem, kogo dobrem słowem wspominać!

— Żubr!...

— Nu, Żubr!... Z Bogiem!... Mnie Waśka, a z ojca Ilarjewicz!

Grenadyer uścisnął podaną rękę, zawrócił ku wozowi z prochami i tam znów zajął się przerwanemi przygotowaniami.

Waśka z podziwem przyglądał się zdala staremu i czynił głośne uwagi.

— Patrzaj... stary się zatrzymał!... Dobry stary, jemu, musi, ciężko coś!... Komu nie ciężko?... Sidorowi chyba! Królestwo mu niebieskie! Et, żeby ciotka Eudokja wiedziała... westchnęłaby baba a zapłakała!... Ucieszny ten stary!... Polak powiada!... Co on tam robi przy jaszczyku?!... Juści nasz jaszczyk... z czwartej bateryi! Ukląkł! Modli się!... Niech tam mu Bóg da zdrowie... Honorowy człowiek! Z wody wyciągnął, opatrzył, a i gorzałką wspomógł!... Ba! Toż jeszcze manierkę zostawił!... Dobra!... Jeść tylko się chce!... Kaszy hreczanej miskę, to choć znów na bitwę!... He, he! Dziwak stary! Ogień krzesze! Co on tam?... Odwrócił się!... Ej! Podpatrzę a zobaczę!... Nogi stężały — osłabły!... A przecież dolezę!...

Waśka podniósł się, zachwiał, lecz odzyskawszy równowagę, iść zaczął ku wózkowi z prochem.

Świeżo założony lont palił się szybko. Żubr patrzył, jak płomyk piął się z sykiem ku górze, a potem zawisł na krawędzi wózka i znikł w jego wnętrzu.

Stary podoficer ukląkł, ręce skrzyżował i czekał...

Upłynęła długa, milcząca chwila... Żubr poruszył się niespokojnie. Może lont zgasł? Podniósł oczy...

Ujrzał tuż nad sobą pogodnie uśmiechniętą twarz Waśki, który trzymał w ręku okopcony kawałek sznura i mrugał znacząco lewem okiem.

Żubr zmarszczył się surowo. Waśka wykrzywił się jeszcze zabawniej i ozwał się tonem perswazyi:

— Et, stary, stary!... Ot się tobie zachciało... nieboszczyków straszyć!... Zmora cię napadła!... Tfy! Wypluń ją... przeżegnaj się!... wysadzić w powietrze? Cóżeś ty, most jaki?!... Tobyś huku narobił!...

— Odejdź stąd! — rzucił przez zęby podoficer.

— Odejdź? Nu, odejdę... ale z tobą! A sam taki nie pójdę! Pilno ci z tego świata? Nie bój się! Przyjdzie sama, nieproszona i zęby do ciebie wyszczerzy... Licha nie kuś!... Dalej stary, chodź, pójdziemy!...

— Dokąd?! Odczep się!...

— Odczepić ja się nie odczepię!... Wyciągnąłeś mnie, to teraz trzymaj!... Pójdziemy, gdzie oczy poniosą.. do ludzi. At, chyba jeszcze wszystkich nie pozabijali?...

Żubr potrząsnął głową.

— Nie!... Jasia poszła... pani kapitanowa, kapitaniątka... To i ja muszę!... Gdzie mnie?! Odejdź!...

— Taki powiedziałem, że nie odejdę — i, nie odejdę!... Słuchaj, stary... Wiesz, co ci powiem? Hm!... Znasz nasze sioło, Znamienskoje? Phi! Piękne sioło!... Czterdzieści chat pod zrąb, czterdziestu gospodarzy osiedziałych, co chata, to gospodyni zamaszysta, co chata — dziewczyna krasna... Las brodacz, step — dusza! Rzeka aż rybami łyska, a miodu! choć od rana do nocy gębę smaruj — chwyci! Piękne sioło! Pójdziemy — co!? Dobrzy ludzie są!... Ciotka wspomoże. Piec, nie baba! Takiej baby drugiej za górami nie znajdzie. Jak stąpnie, to aż ziemia dudni, a łapa u niej!... Tęga baba! Ona stara, ty stary... Sidora rozerwało! Chcesz, pożenię was? Co?

Żubr poruszył się niecierpliwie.

— Nie po sercu? Jak chcesz, możesz i pojedynkiem zostać... Pójdziesz? Nie?! Nu, to jak chcesz, ja idę z tobą...

Podoficer żachnął się groźnie i wyciągnął swą żylastą pięść.

— Odejdź, bo...

Waśka zajrzał w oczy Żubrowi i pokiwał smutnie głową.

— Co ty, stary, breszesz? Rezuna udajesz?... Chcesz zabić!... Uratowałeś — twoje prawo! Bij, choć na śmierć!... Bij, synku, nie żałuj sobie!...

Żubr pięść opuścił ciężko i westchnął.

— Rwie cię!... Boli? co?

— Tu, tu! — rzucił głucho podoficer, chwytając się za piersi.

— Ta chodź! Nu, ja ci opowiem, jaka to jest baba ta moja ciotka!... Spluń a przeżegnaj... Nie zginiemy!...

Waśka ujął Żubra pod ramię i pociągnął w stronę lasu.

II.

Imć pan Bonawentura Głuski mierzył wielkimi krokami swoją małą sypialkę i palcami trzaskał z alteracyi.

Kalkulował, ważył, układał, a tu wszystko poszło na opak... Nawet gospodarstwo w Jastkowie coś utykać zaczęło. Siew był w suszy, a teraz, gdy sianokos nadszedł, zjawiła się w czerwcu plucha, że i marzec by się jej nie powstydził. Dźbła siana uszczknąć nie można było z pola.

Imć pan Bonawentura odsapnął ciężko, poprawił pasa i stanął przed oknem, patrząc apatycznie, jak fale dżdżu smagały rozległe pola, rozlewały się pod dworem w szerokie kałuże, zasłaniały horyzonty, a mimo wczesnej pory, mrokami spowijały ziemię.

— Ładny czerwiec! — mruczał do siebie pan Bonawentura. — Niczem October!... Siódmy krzyżyk na karku, a takiej aury o tej porze nie pamiętam! Rób co chcesz, siedź z babami — niby jaki wojski i słuchaj szlochów i lamentów! Veto, i koniec!

Naraz krzaczaste brwi imć pana Bonawentury podniosły się wysoko, małe, przenikliwe oczy wpatrywały się żywiej w smugi deszczowe. Czy go wzrok mylił? Nie, bo oto tuż przed żywopłotem zachlupotała stara kałamaszka i zatoczyła się przed sień dworku.

Imć pan Bonawentura wyszedł do sieni a na pachołka zakrzyknął — napróżno się głowiąc, ktoby to mógł być, bo choć drzwi stały otworem na ścieżaj, choć z kałamaszki gramolił się już ktoś z der, lecz tak szczelnie był okutany, że rozpoznać nie można

go było. Dopiero, gdy przed progiem z tajemniczej figury pacholik opończę ściągnął — imć pan Bonawentura poznał przybyłego i zawołał z ukontentowaniem:

— Paną mecenasa... sługa!... Kopę lat!...

— Czołem — czołem!...

— Dajże waszmość gęby!...

— Zaraz — zaraz! niech ją z wilgoci otrzepię! Uf.... A to czas! psa nie wypędzić! No — witam!... Jednym tchem z Pliszczyna!... Pod Snopkowem ugrzęźliśmy i ani rusz!... Uf!...

— Dalej, dalej... do izby! Pietrek, powiedz Strzemrzalskiej, niech nam przekąskę przyśle...

— Jakże tam dzieweczki?

— A już mnie mecenas nie pytaj, bo dalipan urwanie głowy!... Chuchasz, dmuchasz, pilnujesz i doczekasz się potem kłopotu... Ale pozwólże waszmość!...

Imć pan Bonawentura wprowadził gościa do alkierzyka przy sypialce, usadowił w wygodnie zasłanem krześle za stołem, a sam przysiadł się z drugiej strony na skrzyni i zagadnął żywo:

— No, mówże mecenas! Bo dalipan stęskniłem się do ludzkiej gawędy... Od świtu do nocy brzęczą mi w uszach tylko „achy“ i „ochy...“ aż desperacya ogarnia.

— Owóż mamy wiadomość, że Napoljon...

— Veto! Dobrodzieju! — przerwał energicznie imć pan Bonawentura. — Daruj waszmość, lecz mam go już wyżej uszu!... Bodajby nigdy był do nas nie zaglądał... Dziwią acana takie herezye?... Ba! Obaczże moją Marysię — cień, nie dziewczyna! Bawi tu u mnie imć pani Gotartowska... drugie oczywiste dokumentum!... Nie, nie!... Veto i koniec!

— Ależ panie Bonawenturo!...

— Wiem, powiesz mi waść, że jestem złym obywatelem, że lekceważę sprawę publiczną... Niech i tak będzie!... Klnę się waszmości, gdybym miał dwóch synów, sambym się z nimi zaciągnął... lecz że mam dwie córki, to... słyszeć nie chcę o Napoljonie!... Jeszcze to waćpana dziwi?!... Proszę! A to jasne! Pracowałem ciężko, strzegłem jak oka. Dziewczyny na

łanie powyrastały! Rzepa, marcepan, każdemu śmiele bez przechwałek powiedzieć mogę — marcepan a orzech. I cóż z tego? Kwaśnieje to, warzy się, czas leci... I kto winien?...

— Właśnie ja do waszmości w sprawie pana Tadeusza Zabielskiego...

— Tadeusza! — skrzywił się niechętnie imć pan Bonawentura. — Wiem, wzdycha, deklaruje swoje służby pokorne i do sakramentu pili!... Nie tak że? Ćwierka mi przecież na wszystkie strony! Janka mu nie ucieknie — nie zając!... Lecz przecież decorum zachować trzeba. Nie sporo o weselisku myśleć, gdy oto smutek dom nawiedził...

— Zapewne! — bąknął skonfundowany nieco mecenas. — Lecz bo... imć Tadeusz dostał już instrument na burmistrza do Ostrowia za Wisłą... więc przenosiny chciałby...

— Veto! dobrodzieju mój i koniec! Dziewkę dostanie, lecz nie teraz!... Niech się Marysia tylko wydycha, sam obligować będę...

Pacholik wniósł na tacy zastawę z poczęstunkiem. Imć pan Bonawentura zakrzątnął się raźno.

— Co tam! Odpowiedź moja mecenasowi nie po myśli! W ręce, starka przednia! Radbym, lecz nie mogę... Człowiekowi i tak już głowa puchnie. Panu Tadeuszowi życzliw jestem, ale co!... Na zdrowie!

— Na zdrowie! Co tu długo mówić! Tadeusz krewniakiem mi jest!... Chłopiec usycha z tęsknicy...

— Nie bój się, mecenasie, nie uschnie. Patrzże, jaka wilgoć na dworze!...

— Pan Bonawentura facecyonista!...

— Półgęska, panie Józefie! Gdzie mi tam do facecyj teraz! Samego siebie nie poznaję... Szkoda drogi mojej było!... Człowiek się natłukł po świecie...

— Ale Napoljona waszmość widział w Poznaniu!

— Phi! Nie osobliwość żadna! Kusy, do ramienia ledwie mi sięga. Irytacyey aby siła zażyłem i tyle... Jechałem sobie z Kruszwicy w dobrej myśli do Gortatowic, żeby Staszka Gotartowskiego za uszy wy-

ciągnąć do Jastkowa i dwa weseliska ryczałtem wyprawić, a tu, panie, aż gadać się nie chce!...

— Słyszałem, słyszałem, powiadał mi Tadeusz!

— No właśnie... Starego dziada aby zastałem i namówiłem go, aby ze mną jechał... Cóż myślisz? W Rawie ci oddział wolontarzy znalazł i przystał do nich... W wasze ręce! Molestowałem, stawiałem veto... panie... gdzie, ani weź... Wracam do domu skłopotany, co i jak tu dziewczynom przedłożyć... aż ci w domu zastaję panią Gotartowską z dwoma robakami... Płacze, rwetes, urwanie głowy... W wasze ręce, mecenasie! Uciszyło się to niby... ale gdzie?! Ani czasem słowem nie wspomnij o tem lub owem, bo ci łzy zaraz cebrami wylewają! A co tego, znieść nie mogę...

— Wiem, wiem! Ciężko to jest, ale na cóż smutek jeszcze powiększać, niechby choć jedna córuś odrobinę szczęścia znalazła!

— Nie odmawiam, lecz teraz veto, panie Józefie — i koniec. Niema zgody! Mores u mnie — basta! W wasze ręce! Przykro mi, że odmówić muszę waszmości, ile że cenię go bardzo, a co brata waćpana, nieboszczyka Augusta Podhorodeńskiego sercem całem wspominam!... Nie mówmy lepiej o tem. Na obiedzie się zostaniesz... barszcz z rurą mamy dzisiaj!... to na własne oczy zobaczysz... Takie psie czasy. Kto ma syna, to mu wyfrunie na koniec świata... a kto ma dziewczyny, to chyba do Karmelitek oddać je powinien! To jest ultima ratio... Zobacz, co się we wsi dzieje! Maryna tęskni za Kubą, Ewka opłakuje Jasia, Basia Józwę, Antoszka Piotra, Katarzyna jełczeje bez swego Michała... a tu rąk do roboty brak. Ni komu z kosą wyjść, ni zasiać, ni zaorać... Dwa łany leżą odłogiem, bo nie było ich komu tknąć!

— W moim Pliszczynie nie lepiej!

— Otóż tedy! I cóż robić?

— Co robić? — podchwycił żywo mecenas, podkręcając wąsa. — Na koń siadać i stare kości na wojaczce przewietrzyć!

— Co waćpan?

— Rzekłem i nie cofam! Dosyć mam Austryaków!... Skórę drą z człeka! Prusaków wytrzepali, teraz na nich kolej. Niech tylko zdarzy się okazya, chorągiewkę funduję i takie im sądy trybunalskie wyprawię, że Podhorodeńskiego nie zapomną!...

Imć pan Bonawentura przeżegnał się z podziwu.

— Panie mecenasie! Wy człek spokojny, na takie myślicie się puszczać przygody!...

— Otóż dlatego, żem spokojny! — wybuchnął zapalczywie pan Podhorodeński. — Dlatego, żem lat tyle niby ruda mysz pod miotłą siedział, a do żywego pozwolił sobie dopiekać! I pójdę, jako mnie tu waszmość żywego widzisz! A co?... Żonisko da sobie radę, a dalipan ja im pokażę, jako patron dawnego trybunału snadnie inkauścicę na patrontasz, a pióro na szabelkę zamienić potrafi! Co waszmość suponujesz, że my tu, w Galicyi, samotrzeć odcięci — pokutować będziemy!...

— Uu! Gorącości takiej u mecenasa się nie spodziewałem?...

— Ani ja u waćpana takiej zimnej krwi! — odciął się podirytowany pan Podhorodeński. — Kraj cały się rusza. Napoljon nawołuje, ze wszystkiemi potencyami w rozprawy krwawe się wdaje, a waćpan...

— Ja? Veto! Nie pozwalam!... Dobrze ci mówić, kiedy nie masz dwóch córek!...

— Waćpan swoje a ja swoje! Tak źle i tak nie dobrze!... Ja, bo pójdę, lecz i pana Tadeusza także ci zbuntuję! Ma nad papierami ślęczeć i Jakóbowe lata odprawiać, czekając Labanowego zmiłowania, toć lepiej, niech prochu powącha!...

— Ani myśli! Słyszysz waćpan, niech się nie waży, bo słowo cofam!... Veto! Nie chcę zięcia żołnierza!...

— Mości Bonawenturo!

— Tak — rzekł imć pan Bonawentura — bo one wasze pułki, regimenty, bataliony poszatkują wam i koniec, bo w wasze chuchrackie rycerstwo nie wierzę!... Bo, do dyaska, przecież dwóch chłopów całych może się w domu na roli, czy w urzędzie zostać!

Podhorodeński machnął ręką.

— Et, możemy ta jeszcze dwa dni racye wywodzić i znów osiądziemy na tej waścinej mieliźnie, na której utknąłeś waszmość!...

— A cóżeś chciał, panie mecenasie, żebym Jankę i Marysię do ułanów wpisał?!...

— Hm! I nowinyby w tem nie było. Masz Kurdwanównę!

— Co? Jaką Kurdwanównę?!...

— Nie znasz jej waćpan?... Z tamtej strony Lublina... sierota, u krewnych się chowała... Panu Tadeuszowi powinowata!

— Ta dzierlatka, trznadel, podcipka, wściubinos?!...

— Właśnie ta sama! Ośmnaście lat zaledwie!... I co waćpan powiesz? Zbiera czeladź i musztruje...

— Co? Komedye chyba?!...

— Nie komedye, jeno szczera prawda. Dziewczyna aż się trzęsie do wojny i ani chybi pójdzie. Sam chciałem tłómaczyć a odwodzić, lecz taki ma w sobie ogień, takiemi odpowiedziami sypie, że sprostać jej nie można! Jeszcze teraz jakąś sobie tam szlachcianeczkę przybrała do pomocy i pono jeszcze babę hic mulier znalazła z końca świata i tylko patrzeć, a czmychnie stąd... Rumor z tego na całą okolicę! Uważ waszmość, że już Austryacy kazali ją mieć na oku.

— No, no! Dziwy mecenas powiadasz! Kurczę takie! Co się to roi! Nieobyczajność zgoła!

— Wolnoć ganić! Cenić jednak musisz poczciwe zapały! Dobra to krew Kurdwani!... Ba! gdybyś ją posłuchał! Toż obiecuje sobie cały szwadronik babski Napoljonowi uformować...

— Tfy! Zepsuta koza i koniec!...

— Nawet objeżdża tędy i owędy za werbunkiem! Siła panien się deklaruje... Może i do waści zawita!...

Imć pan Bonawentura żachnął się niecierpliwie:

— Do mnie?!... Co waszmość?!... Tegoby mi trzeba było jeszcze! Tożbym ją tu przyjął pięknie!... Świat się do góry nogami przewraca...

— Et! Tak się mówi! Dziewczyna rezolut wielki... Zanim się na odpowiedź zdobędziesz, ona już trzy razy wykręci. No, a gdyby tak waszmości dziewczyny wybrały się na Mazury i do pułku gdzie przystały, hę?...

Pan Głuski otrząsnął się z przerażeniem:

— Mecenasie, Sodoma! Veto, panie! Do samego Napoljona instancyębym wniósł! Toż kryminał! A potem w lat kilka ośmiorakie wnuki!... Nie! O czem tu gadać... Nawet żartów takich słuchać nie lubię!...

— Mnie też żarty nie w głowie... Prawdę jeno powiadam... Bo co pana Tadeusza, Kurdwanówna zbuntuje napewno...

— Veto! — przerwał porywczo pan Bonawentura, sapiąc ciężko. — Nikogo nie zbuntuje ta dzierlatka!... Panu Tadeuszowi dziś jeszcze wyślę ultimatum: albo natychmiast Jankę poprowadzi do ołtarza, albo kwita z przyjaźni i niech sobie bodaj Austryaczki szuka po świecie!!...

— Dobra nasza, panie Bonawenturo! — zawołał rozradowany pan Podhorodeński. — Ot, piękną rzecz powiedziałeś... tu waszeci poznaję! A cieszę się z tego serdecznie, bo pan Tadeusz żywo mnie obchodzi!...

— Co robić? Co robić?! Mówię waści, że im bardziej w czasach dzisiejszych się rozpatruję, tem mocniejszego nabieram przekonania, że się o całe ćwierć wieku urodziłem za późno, a co najmniej ukarany jestem za to, że za późno z moją Anusią stanąłem na ślubnym kobiercu... Ba — kiedy już i wówczas czasy były gorące... I tak dziw wielki, że mi się dziewczyny uchowały, boć narodziły się za czteroletniego sejmu!... Sejmowe panny, uważasz mecenasie!... Tylko jeżeli mi tę historyę o Kurdwanównie dla podejścia mnie snadniejszego wymyśliłeś... to nie wiem!

— Chcesz, mości Bonawenturo, przekonać się..

— Dziękuję za łaskę — nie ciekawym! Sowizdrzałów dosyć się naoglądałem, a w dodatku podlotka takiego...

Pacholik wszedł i zwiastował, że do obiadu zastawiono.

Pan Głuski ruszył z miejsca.

— Ot! W porę się zjawił! Proszę waszmości na łyżkę strawy! Chudo, ciężko, zwyczajnie u wdowca!...

Pan Podhorodeński się wymawiał, lecz imć Bonawentura słuchać nie chciał usprawiedliwień.

— Ani myśli! Deszcz przestał, lecz niechże woda trochę obsiąknie! Nic z tego. Musisz, mecenasie, zostać z nami, a mnie tem rzetelną przysługę wyświadczysz! Raźniej mi będzie z wami w tym babieńcu siedzieć!... Nie krzydźże mnie...

Mecenas uległ i dał się prowadzić panu Głuskiemu do jadalni, w której już domownicy byli zgromadzeni. Gospodarz przedstawił gościa pani Gotartowskiej, panny dygnęły panu Podhorodeńskiemu, skłonił się stary ekonom Lewandowski, który tu był za swoją panią z Gortatowic przyciągnął, pani Gotartowska rzuciła jakieś krótkie powitanie.

Zasiedli do stołu. Środkiem pani Gotartowska, przy niej pan Bonawentura z mecenasem, dalej pomiędzy pannami Głuskiemi, Urszula Gotartowska z Fabiankiem, wreszcie Lewandowski, gospodyni Głuskich i starosta jastkowski, siwowłosy Marcin.

Imć pan Bonawentura chciał rozruszać zebranych i o tem i o owem zagadnął mecenasa, lecz gdy ten nad rządami Austryaków w Lublinie rozwodzić się zaczął — pan Głuski spojrzał na pobladłe twarzyczki Marysi i Janki, na bólem napiętnowane lica pani Gotartowskiej a żałośnie zadumane oczy Urszuli i sam się zasępił, nie zważając na wywody pana Podhorodeńskiego.

Ten ostatni usiłował podtrzymywać rozmowę, lecz w końcu urwał nagle i pochylił się mocniej nad barszczem.

Cisza głęboka panowała przy stole, przerywana ledwie stukotem łyżek o naczynia, miarowym chrobotem wielkiego zegara w rogu izby i sapaniem gospodarza. Wreszcie pani Gotartowska, przemógłszy się, zagadnęła mecenasa:

— A jakież nowiny... z pola bitwy?!

— Nowiny, pani dobrodziejko, prawie żadne!... Powiadają o srogiej rozprawie tu i tam, lecz pewniejszych wiadomości brak... Jesteśmy granicą odcięci zupełnie. Austryacy pilnują i boją się tych nowin... Powiadają w Lublinie, że się na długą wojnę zaniosło, bo to niby dwór wiedeński chce się ująć za Prusakiem... Ho — ho! Siła, siła jeszcze ludzi wyginie a krwi popłynie... Powiadają, w ostatnich bitwach naszych wyginęło...

Imć pan Bonawentura trącił znacząco pana Podhorodeńskiego — ten stropił się myślą, że niepotrzebnie najboleśniejszej dotknął struny i urwał nagle.

Pani Gotartowska poruszyła się niespokojnie.

— Wyginęło, mówisz waćpan, dużo... dużo wyginęło ?...

— Te, te, te! Tam... tego... mości panie! — wmieszał się imć Bonawentura. — Mówi się a niby się mówi... Czego już nie naopowiadano... A to bajdy... herezye! Krzty prawdy! Właśnie bo naszych wcale niema... bo tego... dopiero oddziały się formują a regimenty zbierają... Niby ruchawka jest, ale co jeszcze... veto i koniec!... Czy nie tak?...

— Istotnie, zapewne! — bąkał mecenas, chcąc zapomnienie się swoje naprawić.

Pani Gotartowska uśmiechnęła się smutnie, panny Głuskie westchnęły nieznacznie i poruszyły zadartymi noskami. Pan Bonawentura przekonywał dalej:

— Ja przecież coś powiedzieć mogę, bom przecież ze środowiska francuskiego wrócił... gdzie i tam jeszcze... Napoljon przytem taką moc żołnierza z sobą naprowadził, że mu go starczy na całą kampanię... Wolontarzy niby to formują, przyjmują... ale im nic — trochę dla parady a nauki tego, czy musztry... Komputowy żołnierz sprawniejszy, mości panie i tego... Pospolite ruszenie, ale co nie — bo jeżeli... panie, to ni do pochodu, ni do szarży... Więc Napoljon

owszem zwoływać kazał, ale niby o wąchaniu prochu ani mowy! Musztrować się formować i veto... o!...

Imć pan Głuski odsapnął ciężko i zafrasował się, czując, iż mu wykręty gładko nie poszły.

Pani Gotartowska nadomiar ozwała się cicho, ale stanowczo:

— Nie mogę słowom waszmości dać przystępu, bo takiej gnuśności po naszych oddziałach spodziewać się nie mam prawa!... Toż Francuzy dla nas krew leją, a myż mielibyśmy bezczynnie przypatrywać się?...

— Et! Pani dobrodziejko! Dla nas leją krew?... Myślę, lucyferowi na uciechę prędzej! — mruknął imć pan Głuski.

— Właśnie też pan Bonawentura powiada — wtrącił zręcznie mecenas — że tymczasem wojska nasze udziału nie biorą... ale co potem naturalnie...

— Dziej się wola Boska! — rzekła smutnie pani Gotartowska. — Nic bez niej! Ciężko żyć w takich czasach... a matkom bodaj najciężej...

— Prawda, prawda, pani dobrodziejko! — przyznał mecenas. — Lada pisklę niewypierzone skrzydłami trzepocze... i z gniazda się zrywa! Ale co tam pisklę!... Bardziej chyba serce matki smuciłby się powinno, gdyby widziała, jak syn jej w samolubstwie trwa nieczuły na sprawę publiczną! Są ofiary, są smutki, są bóle serdeczne, lecz i ta w duszach słodka pociecha, że się z zacnych latorośli dzielnej doczekało młodzieży. Toć na tym świecie początek naszego żywota!... A którejż matce nie miło będzie zobaczyć syna, jako w Królestwie Niebieskiem chodzić będzie legią ozdobiony, w wielkim mudurze Bożego żołnierzyka, ostrogami brząkać, a przy Majestacie służby odprawiać?... Hej! Co wobec tego te małe smutki a tęsknoty?!...

Pani Gotartowskiej łzy w oczach stanęły.

— Sercem waszmość przemówił — niech Bóg ci nagrodzi!...

— Pani dobrodziejko, moc Spartanek i hart niechaj cię nie opuszczą. Należy ufać...

— Veto! Niema zgody! — bąknął imć pan Głuski, frykając nosem i wykręcając głowę ku oknu, aby nie zdradzić się z poruszeniem.

— Co tam! — rzekł po chwili weselej pan Podhorodeński. — Troska troską, a co i w tej ciężkiej okazyi nie brak zgoła uciesznych nowin. Jejmościanki może nie wiedzą nawet, że tu i na nich czeka sroga pokusa... A tylko patrzeć, trąbka panny będzie wzywała do apelu..

Panny Głuskie podniosły ciekawie oczy i zwróciły swe zadarte noski ku mecenasowi. Pan Bonawentura trącił znów gadatliwego gościa, lecz ten nie zważał na dawane mu znaki napomnienia i ciągnął:

— Jako żywo!... Starożytne zgoła powracają czasy!... Tylko patrzeć, a chorągiewki niewieście staną, a spódniczki na hajdawerki się zamienią...

Panny Głuskie spuściły oczy, Urszula Gotartowska zarumieniła się.

— Co... co... mecenas! — zagadywał pan Bonawentura. — Facecye, dykteryjki! Ooo! Gdzie?... Figlarz z mecenasa...

— A bodaj mnie... jeżelim zełgał. Sam możebym nie uwierzył... Młoda Kurdwanówna, ośmnastolatek, sierota...

— Mecenasie... Veto, panie! Toć nie warto powtarzać!...

Pan Podhorodeński teraz dopiero spostrzegł i zrozumiał pana Głuskiego i zawrócił na miejscu.

— Tak, zapewne, słusznie... W opowiadaniach ludzkich juści wiele przesady!...

— Oczywiście, oczywiście... i bajek — sekundował pan Bonawentura.

— Ale to... musi być bardzo ciekawe! — ozwała się cicho Urszula Gotartowska i mocniej się zarumieniła.

Pan Głuski szarpnął się niecierpliwie:

— Ciekawe, ciekawe!... Owóż argumentum do słuchania lada czego!... Masz ci, mecenasie... zabiłeś dziewczynom klina! Już ci się napraszają!... Phi! Czasy, panie, czasy... że... veto do czarta i... koniec!

— Ach, panie Bonawenturo! — rzekła pojednawczo pani Gotartowska. — Toż zdrożnego w tem, sądzę, nic niema, bo mecenasby o tem nam nie powiadał! Nie neguję, że ta panna niespełna rozumu wydaje mi się... Lecz posłuchać bodaj dla nauki samej nie wadzi.

— No, to mówże panie Józefie! — zakonkludował imć Głuski, hamując irytacyę. — Dalej, no, czekamy... wszyscy... Bardzośmy spragnieni dziwacznych wysłuchać facecyj, osobliwie ja!...

Pan Podhorodeński, skonfundowany żywością gospodarza, rzucił niechętnie słów kilka o Kurdwanównie i znów urwał.

— Toż wszystko? — zagadnęła pani Gotartowska.

— Wszy...stko! — odrzekł uroczyście pan Józef.

— Żakowskie wybryki! Ot, biedactwo takie, sierota... bez opieki... pali się w główce, zanim statek a rozwaga przyjdzie, na bolesne może być narażona termina... Chociaż poczciwe w tem dziewczątku musi być serce, gdy się na takie waży przedsięwzięcie!..,

— I ja... przyznam toż samo!... — ozwał się mecenas, lecz posłyszawszy tuż przy sobie groźne sapanie pana Bonawentury, umilkł.

Imć pan Głuski tymczasem nie mógł się już wstrzymać, ile, że dostrzegł jako dwa zadarte noski panien Marysi i Janki kiwnęły na znak, że biorą w obronę hajdamaka-dziewczynę.

— A, moja pani dobrodziejko! — zaczął groźnie. — Toż taka poczciwość na załatanie butów nie starczy!... Intencye! Co komu z intencyj, gdy z nich... głupstwo, panie, wyziera!... Na licha poczciwość, gdy z niej mizerne płyną wyniki.

— Jakże to?!...

— Waść pytasz się jeszcze?! Toć nie dość tej dzierlatce samej się na zgubę pewną a sromotę ryzykować... jeszcze, powiadałeś, dwory objeżdża i takie jak sama, kozy namawia, aby na zmartwienie rodzicom a na swoją hańbę między żołdaków iść!... Horrendum, mospanie!... Gdyby mi się tak tu nawi-

nęła, nie strzymałbym, a na cztery wiatry psami wyszczuć kazał!...

— Mnie widzi się inaczej! — rzekła pani Gotartowska. — Takby uczynić nie należało!...

— Więc... pani dobrodziejko! — wybuchnął imć Głuski, resztek dobywając oddechu. — Toż miałbym może czekać, rychło mi taki sowizdrzał moich dziewek nie nakręci i nie zmami dla swoich dziwactw?... Może jejmość panny Marysię i Jankę miałbym namawiać, aby dom ojca rzuciły i splamiły dobre imię?... Oho!... Nic z tego! Veto, mospanie!... Niech sobie gdzieindziej szuka rekruta, nie u mnie, bo tu ją niełada może despekt spotkać...

— Nie, nie mości Głuski! — zaprzeczyła spokojnie pani Gotartowska. — Gdyby w mój dom zawitała ona Kurdwanówna, to właśnie bym ją... jak najżyczliwiej ugościła i starałabym się jeno przełożyć zbłąkanemu dziewczęciu, jako rycerskie rzemiosło nie przystoi niewieście... Inna to sprawa była, gdy jako moja babka, naprzykład, w czasach tatarskich napadów w obronie życia a czci swojej za broń chwytała, a w czasie nieobecności dziada na czele czeladzi nieładajako i nie raz żerujący czambulik przetrzebiła... Tam szło o cześć, o dzieci, o mienie całe...

— Owóż periculum in mora! — przytwierdził mecenas.

— Tak, właśnie! Takiej dziewczynie do serca przemówić, wystawić niebezpieczeństwa, na jakie się naraża... zagadać należycie, a ot, kto wie, umitygowałaby się i na najlepszą w świecie żonę a matkę wyjśćby mogła.

— Hm! Niech ją, mospanie! Asińdźka dobrodziejka możebyś nawet piękny rezultat osiągnęła — lecz co nie ja!... Mnie tam nie stać ani na kazania, ani nawracanie, bom nie Kameduła, ani Bernardyn, a żem już taki urodzon może na gwałtownika, tandem, com rzekł, to strzymam i gdybym podobne monstrum ujrzał przed sobą... to kruchoby z niem było... veto mospanie, na cztery wiatry i koniec!...

Pan Głuski namarszczył się groźnie. Pani Gotartowska zamyśliła się, mecenas bębnił palcami po stole, a panny Marysia i Janka spuściły swe zadarte noski; jedna Urszula z odcieniem jakiegoś wyrzutu spoglądała na pana Bonawenturę. Ten ostatni zaś obtarł kraciastą chustą potem zroszone czoło i niby dodając sobie samemu racyi, mruczał jeszcze:

— Takim, mospanie, już zostanę... Nie dla mnie nowomodne obyczaje!... Dziewczyny mores znać muszą!... Na amazonki ich nie chowałem!... Mosanie... Świat się do góry nogami przewraca! Kurdwanówna, nie Kurdwanówna... Ze mną żartów niema... mos...

Imć pan Głuski urwał nagle, bo oto drzwi od sieni z trzaskiem się otwarły i stanęła wyprostowana po wojskowemu, stara, zamaszysta baba, ubrana cudacznie.

Obecni poruszyli się niespokojnie. Urszula wydała lekki okrzyk, pan Głuski oczy zdziwione wytrzeszczył i, sunąc od stołu, pytał niespokojnie:

— Co to, mospanie? Czego to?

Baba odchrząknęła groźnie, poprawiła sterczącą jej za pasem krucicę i huknęła basem:

— Rotmistrz wolontarskiego szwadronu województwa lubelskiego, imć panna Helena Kurdwanówna i pani kapitanowa Gotartowska proszą o gościnę...

Gdyby piorun padł u stóp imć pana Bonawentury, jeszczeby go tak nie mógł przerazić.

— Co?! Mospanie! Veto!... Niema zgody! — bełkotał wystraszony gospodarz.

— Mateńko... Toć nasza Żubrowa! — zawołała rozradowana Urszula.

Pani Gotartowska, a za nią mecenas, panny, ekonom i Fabianek ruszyli ku babie.

— Żubrowa! skąd wy? — pytała pani Gotartowska, a zwracając się do stojącego bezradnie pana Głuskiego, rzekła tonem perswazyi: Panie Bonawenturc, toć trzeba ich... przyjąć... tę niewiastę znam... w legionach była z synem moim!...

— Nie, mosanie, nie znam babskich legionów — słuchać o nich nie chcę... Veto!... Tu, mosanie!...

— Cóż to!?—ozwała się tymczasem surowo baba.— Może to nie dom imć pana Głuskiego... tylko jakiegoś austryackiego landrata?... To nam wszystko jedno! Obrok i kwaterę dać musicie... jakem Muszyńska z domu, do stu piorunów!... Piśnie kto słowo, to mu kulę... albo sapristi tego...

— Hola, mospanie, najazd! Gwałt! Niema zgody! — pienił się pan Głuski.

— Mości Bonawenturo!... — mitygował mecenas.

— Rozbój! Hola! Wojciech! Grzela! Puszczaj mnie mecenasie! Serpentyny chwycę a opłazuję...

— Panie Głuski! — wstawiała się pani Gotartowska.

— Ojcze... dobrodzieju! — szepnęły nieśmiało panny Marysia i Janka.

Imć Bonawentura rzucił się, jak ryś draśnięty.

— Dziewczyny ani mrumru! Mores! Fora ze dwora! Nie masz gościny! Veto! Co to panie! Nie znam wolontarzy...

Imć Głski fukał jeszcze, lecz nagle urwał, bo oto przed nim stanęły dwie młode dziewczyny w krótkich, zgrabnie opiętych kurteczkach granatowych, w tegoż koloru krótkich spódnicach, w rogatywkach barankiem obszytych, a białemi kitkami strojnych, z pałasikami na białych temblakach, z minkami chwacko a pogodnie patrzącemi.

Zanim imć Głuski miał czas się oburknąć, gdy pierwsza z dziewczyn, o gęstych a wijących się pierścieniowato a jak len jasnych włosach, wyciągnęła małą rączkę, obciągniętą sutą rękawicą i energicznie uścisnąwszy szeroką, niezgrabną prawicę pana Bonawentury, rzekła krótko:

— Jestem Kurdwanówna!

Imć Głuski jeszcze nie mógł ochłonąć z wrażenia, gdy podeszła doń druga dziewczyna o włosach kruczych a oczach palących i tymże tonem ozwała się:

— Jestem... Dziewanowska!

— Co... jakto... mospanie!? — jęknął strapiony pan Głuski, lecz naraz syknął z bolu, bo oto z kolei ścisnęła go za rękę baba i huknęła basem:

— Joanna Żubr, markietanka pierwszej legii, pierwszego batalionu!

— Mospanie... bo... — syknął pan Bonawentura. — Cóżbo za uchwyt garści!...

— Po wojskowemu... u nas tak!—odparła Żubrowa.

— Po wojskowemu!?... Hę? A to mospanie! Redutą istna, czyli maszkarada zapustna! — fukał pan Głuski, mierząc badawczo przybyłych; naraz oczy jego padły na wystające z pod spódniczek ciemne hajdawerki, zwieszające się ponad zgrabnie skrojonemi bucikami. — No — no! Bestyjki fertyczne... choć malować! Jakie miny gęste — uciecha!... Nie myślałem! Et!... Maryś, Janka! Marsz do alkierza!... Nie dla was widowisko! No! Mores jejmościanki!...

Zadarte noski panien Głuskich poruszyły chrapkami, płochliwe oczy spojrzały smutnie na Kurdwanównę i Dziewanowską—rozkaz rodzica był wyraźny.

Marysia i Janka wyszły.

Kurdwanówna tymczasem, przywitawszy się z mecenasem i panią Gotartowską, ozwała się swobodnie:

— Mości Głuski, widzę, że waćpan nam nie bardzo rad jesteś!... Ale trudno, droga nam tędy wypadała... Ledwieśmy uszły pachołkom landrata. Zabawimy niedługo...

— Juści zatrzymywać nie będę! — mruknął imć Bonawentura.

— Gdzie, gdzie znów, dokąd?—zagadywał mecenas.

— Sztuk drogi jeszcze! — rzekła poważnie Kurdwanówna, trzaskając pałasikiem. — Aby konie wytchnęły a podjadły... Ba!... Co widzę? Barszczu faska na stole! Zośka! Dalej — szkoda czasu... Trzy mile kłusem wyciągniętym! Należy nam się popas!... Żubrowa!

— Według rozkazu!

— Dopatrzyć koni!

Żubrowa wykręciła się na pięcie, i głośno stukając podkutymi butami, wyszła do stajni. Kurdwanówna zaś skinęła na Dziewanowską i zasiadła bez ceremonii do barszczu.

Imć Głuski zapomniał języka w gębie, mecenas śmiał się zcicha a ręce zacierał, pani Gotartowska patrzyła się z konfuzyą na dziewczyny. Urszula z małym Fabianem pożerali oczyma to osobliwe widowisko, a stary ekonom Lewandowski szeptał coś do ucha gospodyni, trzaskał tabakierką i głową kiwał.

Czas jakiś panowało głuche milczenie, przerywane tylko żywym brzękiem łyżek o talerze. Imć pan Głuski odsapnął głębiej i rzucił z przekąsem:

— Widzę, że... że... waćpannom impetu do misy nie brak!...

— Jako waszmość widzi!

— Barszczyk nieproszony, ale smakuje!!...

— Z głodu się go chłepce — odcięła się Kurdwanówna.

— Niedobry! — przedrzeźniał imć pan Głuski.

— Bo kwaśny... jako waszmość! — ozwała się sucho Zośka.

— Taki, mosanie, być powinien... dla...

— Niech i tak będzie! W czasie wojennym...

— Waćpanny trznadlom czy poćwirkom bellum wypowiedziały?

— Bądź waszmość spokojny — krzywdy mu nie uczynimy!... Mamy pałasze, nie rożny...

— Do ścinania makówek!

— Albo główek!

— Kapuścianych!...

— Waćpan się boisz o swoją?!...

Pan Głuski poczerwieniał.

— Cóż to, mospanie!... Hola!... Respekt znaj!...

— W tem rzecz właśnie.

— Bo... czeladzi zawołam!...

— Strachy na Lachy!

Utarczka zaczęła się zaostrzać. Mecenas mitygować jął pana Głuskiego, lecz ten nie dał się udobruchać.

— Dość komedyi! Mores! Dzierlatki będą mnie, staremu, w moim własnym domu przytyki czyniły...

— Służę waćpanu, jeżeli wola! — rzekła hardo Kurdwanówna, podnosząc się z miejsca.

— Czem mi waćpanna chcesz służyć?... do posług mam...

— Panie Bonawenturo!...

— Nie — pozwól, asindżko dobrodziejko!... Toć wszystko ustaje... Wolontarze!... Żal się Boże! Świat mi durzyć... Pałasikami dzwonią... a dość palcem tknąć! A do fraucymeru, do kądzieli!...

Kurdwanówna pobladła nieco i chwyciła za głownię pałasza, Zośka pokraśniała i rzekła poważnie:

— Mości Głuski! daruj, nasza wina, nie suponowałyśmy, że taka u waszmości gościnność! Może umiałybyśmy inaczej przekonać go o tem, że nie na komedyę i nie na redutę jedziemy... lecz wolej nam uniknąć rozprawy i odjechać!...

— Bo... mospanie!...

— Z imć panią kapitanową Gotartowską zgadzam się — przytwierdziła Kurdwanówna. — I jeno obligować śmiem, abyś waćpan obliczyć chciał uszczerbek, jaki mu wyrządziłyśmy, a chętnie zapłacimy.

— Co, co?!...

— I w ten sposób... skwitujemy...

— Veto! Dokąd?

— Czas nam wielki... boć waszmość gotów może nietylko czeladź swoją zwołać, ale i Austryaków przyzwać...

— Takiego przyjęcia... nie spodziewałyśmy się!...

— Właśnie — podchwyciła znów Kurdwanówna. — Bo... wiedz waszmość, że... że... co kapitanowa Gotartowska... to już płatnęła jednego Austryaka po drodze... a ja... nie... bo... był tylko jeden! Żubrowa świadek!...

Tu dziewczęcy głosik Kurdwanówny złamał się nagle. W oczach rotmistrza wolontarzy województwa lubelskiego stanęły łzy... Zośka zacięła usta i groźnie zmarszczyła brewki.

Pana Głuskiego chwyciło coś nagle za gardło. Mecenas zatrzymywać jął dziewczyny, pani Gotartowska przyglądała się Zośce, zapytując samej siebie, coby to za kapitanowa Gotartowska być mogła...

Może to z wielkopolskich Gotartowskich, a może to krewna daleka...

— Ot, co tam! Imć Głuski gorączka... waćpanny także wrzątek... Gdzie supozycye takie! A ktoby żałował wam!... Juści osobliwie się prezentujecie!... A to wigor dopiero... Panna Helena choć do oczu!...

— Pewnie, mospanie!... Veto! Niech was nie znam!... za barszcz chcą mi płacić... A cóż u licha! Mores, aspanny, przed starym... Łeb siwy! Nie widzicie?... Ojcem bym wam mógł być! A to jurne przylepki!... Despektu mi nie czyńcie! Zgoda na trzy lata... Tak was nie puszczę! Mości generale! Mości pułkowniku czy hetmanie niewieściego ruszenia... Zgoda! Veto!... Wybaczajcie, jeżelim szarży waszej nie uszanował należycie, ale pierwszy raz takich srogich oficjerów oglądam!... No!... Dosyć fochów! Do stołu z nami!... Miodu, a może... węgrzyna?

— Bóg zapłać waćpanu! — rzekła udobruchana Kurdwanówna. — Napoje nie dla nas. Jeżeli łaska, to o naszej markietance nie zapomnijcie, a jej i szklanica się przyda... Byle prędko, bo nam czas stąd!...

— Nic z tego!... Czas wojenny... więc biorę was do niewoli! — wołał rozochocony pan Bonawentura.— Nie taki Głuski sobek, jak wam się wydaje!... Dziewczyn tylko moich nie pokażę, bo ich nie chowałem na ułanów ani na dragonów...

Kurdwanówna i Dziewanowska upierały się niby jechać zaraz i droczyły się z panem Głuskim i mecenasem.

Pani Gotartowska zaś, miotana domysłami, wyszła niepostrzeżenie z komnaty, chcąc od markietanki wiadomości bliższych o nieznajomej imienniczce zasięgnąć. Jakoż znalazłszy Żubrową na podwórzu folwarcznem przed stajniami, przyzwała ją do siebie i zagadnęła dobrotliwie:

— Cóż to, Żubrowa nawet się nie przywitała ze mną?

Markietanka przypadła do ręki pani Gotartowskiej.

— Jejmościuniu, dobrodziejko nasza!... W tym rozgardyaszu!... Wstyd się wyznać!... A przytem służba! A służba to nie przelewki... Uszanowanie a respekt dla szarży...

— Skądże wy tu? Gdzie mąż wasz?...

Markietance łzy w oczach stanęły.

— Oj! Bóg jeden raczy wiedzieć!... Pani kapitanowa zaklęła się, że spłynął w dół rzeki. Juścić kapitanowa mówi, prawda musi być... ale co niepokój mnie porze!... Co ten biedak, gdzie się podziewa?!... Jeszcze się krzepię a nie daję się niemocy a żalowi... jak mnie Najświętsza Panienka nie pocieszy, to aby się przed naszym porucznikiem wysumituję... i pod kościół pójdę kajać się a zmiłowania Bożego prosić, by mnie stąd zabrał do... mego... serdecznego...

— Co, co się stało z waszym? — pytała pani Gotartowska.

— Jejmościuniu droga! — chlipnęła już na całe gardło markietanka. — Tak się to zrobiło... nagle!... Karlewicz nas zaciągnął do swojej nory, potem mnie chciał piec żywcem! On, poczciwy, udawał niemowę, a potem potarmosił zbirów... Dobiliśmy się do pani kapitanowej i na lód... Mnie nogi utrzymać nie mogły!.. Mój stary zaczął rąbać około siebie! Jakby teraz — jeszcze go widzę!... Upominałam, a on do mnie: „Jasia, dzieci!“ A potem jakby się zapadł w głębię... Mnie zamroczyło... kapitanowa z topieli wyciągnęła ledwie... Prusacy nas potem chwycili na spytki... Kapitanowa jakoś ich umitygowała... zabrali napoleony, pogrozili i pognali niby do niewoli... Lecz gdzie im tam.. Zdarzyła się potyczka i rzucili nas... z chorą, bo nam matka pani kapitanowej, niby świekra, zachorowała na dobre, męczyła się biedaczka!... Aż zamarła na rękach. Słabowita była, a niezwyczajna niewygód takich niewiasta... Tułałyśmy się ze dwie niedziele, ja się napierałam pod Zamość do ciotecznej, ale ot, natrafiliśmy na rotmistrza... Rotmistrz powiada — wy dwie sieroty, a ja trzecia... raźniej nam będzie we troje... Szwadronik miał się sztyftować. Panowie Denhoffowie, krewni rotmistrza, mieli nam

pomagać — ale gdzie!... Donieśli do Lublina — trzeba było nogi za pas brać, żeby aresztu uniknąć...

Pani Gotartowska słuchała ze wzrastającem zdziwieniem bezładnego opowiadania Żubrowej, nie mogąc chwycić wątku wypadków — gdy więc markietanka westchnęła ciężko, jakby tchu nabierając do nowego potoku słów, matka Floryana zdołała wtrącić:

— A powiedzcież mi, co to za kapitanowa z wami jedzie?

Teraz znów Żubrowa zdawała się nie rozumieć pytania.

— Co za kapitanowa?... Jejmościunia nie wie?...

— Jako żywo!...

— Toć... jakby to powiedzieć... Niby to jest pani kapitanowa naszego porucznika! Nie! Zawsze mi się wydaje, że nasz porucznik... nie! Że nasz kapitan jest porucznikiem...

— Czekajcież! — przerwała z lekkiem zniecierpliwieniem pani Jadwiga. — Powiadacie, że to kapitanowa Gotartowska... Więc z których jest Gotartowskich — bo my się wywodzimy z Wielkopolski, z Liniewa... Chcę wiedzieć, bo może nam krewną wypada...

— Krewną! Czy wypada krewną?... — powtórzyła przeciągle markietanka — toż przecież Zośka... nasza Zośka! Jejmościunia nie poznaje?

— O kimże wy mówicie? O jakiej Zośce?

Markietanka aż przysiadła do ziemi z poruszenia.

— Święty Antoni! O Jezusie! O Jezusie!... Toż jejmościuniu... jakby to powiedzieć? Wszak ci to... tak prawie, że nasza synowa!...

— Nasza synowa! Więc macie syna?!

— Et, niech jejmościunia śmiałość wybaczy... Tyle czasu człek się natułał z naszym porucznikiem... to mu się widzi czasem... Mój stary — zacne drabisko.. ale to tam trudno wyspekulować, kto zawinił, a kto niezdarzony... lecz co dziatek nie mieliśmy nigdy! A żeby teraz nie nadzieja na kapitaniątka... tobyśmy całkiem bezpotomnie zeszli z tego świata!

Panią Gotartowską niepokój nagły ogarnął. Miałżeby Floryan śluby potajemnie zawrzeć, bez jej wiedzy?

— Tłómaczcie się jaśniej! O jakimże to poruczniku mówicie?

— O imć panu Floryanie...

— O Floryanie?!

— A przecież jeden jest dla nas porucznik!...

Pani Jadwiga pobladła, lecz nie okazując wewnętrznego wzburzenia, badała dalej:

— Więc ta... jest żoną Floryana?

— O to właśnie! — przytwierdziła z przekonaniem Żubrowa. — I tą samą Zośką, co go tak mordowała w Częstochowie, że ni snu nie miał, ni spokoju... Chodził jeno a wzdychał... aż żal się było patrzeć... Tęsknota go ssała, wreszcie nas wyprawił do Warszawy!... Ale co to jejmościuni?!...

— Nic — mówcie! — rzekła z mocą pani Gotartowska.

— Mnie, mam rzec prawdę, nie widziało się to bardzo... Bo przecież nasz porucznik!... Ho — ho! Kawaler, że pod słońcem drugiego nie znajdzie... Zacność w nim taka!... Postać piękna, twarz krew a mleko!... Chłopiec, że go łyżką jeść!... Więc mi coś doskwierało; staremu się nie zwierzałam, ale coś kłuło a dokuczało: — a może to szlachcianka sobie lada siaka, a może ni z pierza, ni z mięsa, a może chucherko do oglądania za szkłem, a nie na żonę dla oficera, a może rozmarzona lala, wdzięcząca się a płaczliwa?... Siłażem się natrapiła... ale za to, gdym ją zobaczyła, jako matkę — świeć jej, Panie — ratowała, jako odrazu, pewna swej rangi, komendę objęła a pruskim żołdakom słowem urazić się nie dała... to, jejmościuniu, choć Maciej z oczu mi nie schodzi, a boleść trapiła, aż śmiałam się ze szczęścia!... Takiej kapitanowej z latarkąby nie znalazł! Na koniu siedzi! He — he!... W legii, generał Aksamitowski tęgo się na koniu trzymał, lecz co nasza kapitanowa!... Strzela, jak urodzony szaser, pałasikiem tak młynkuje, że ramieniem nie ruszy... aż dziw jak taka

piąstka obracać się może tak szybko... a dobra, a słodka... Jeno chwila się zdarzy, to mnie w kącie ucapi, przytuli się, oczęta zmruży — i powiadajcie o poruczniku — mówi. Człowiekowi już w gębie zaschnie, język kołem staje... ale gdzie, godzinę i dwie słuchałaby tak i jeszcze małoby jej było...

Pani Gotartowska nie podzielała uniesień markietanki.

Wieść o małżeństwie Floryana dotknęła ją boleśnie, zraniła głęboko uczucia patryarchalne...

Floryan, ten ukochany jej syn, którym się tak chlubiła, który wzorem był zawsze dobrego dziecka, on, który tak strzechę rodzinną miłował głęboko... a tyle okazywał jej miłości... mógłże na krok taki ważyć się bez matczynego błogosławieństwa?...

Pani Gotartowska wspomniała na ostatnie widzenie się z synem. Tak, ten jego nagły odjazd, ten pośpiech, ten gwałt może nie samej służby był wynikiem. Gnały go może w świat wyrzuty sumienia...

Pani Jadwiga westchnęła smutnie.

— Oj, dzieci, dzieci! — szepnęła z bólem.

Żubrowa westchnęła także.

— Pewnie, pewnie, proszę jejmościuni. Co dzieci, toby mogły być dawno! Człowiekowi do mogiły coraz bliżej — na czekanie nie ochotny! Choćby jedno kapitaniątko obaczyć, a potem dziej się wola Boska!

Pani Gotartowska zmogła się i przerwała z mocą:

— Żubrowa! Mówcie mi całą prawdę!

— Jejmościuniu dobrodziejko! Gdzieżbym się ważyła kłamstwem kalać!... Bodaj mnie jasny!...

— Dawnoż Floryan znalazł... tę?...

— Czy dawno?... Hm! Zaraz!... Ani chybi jak do Warszawy z Gortatowic wyjechał...

— Gdzie śluby odprawiali?

— Śluby?... Jejmościuniu!

— Muszę wiedzieć o wszystkiem!... Rozumiecie?

— Juści rozumiem... tylko co ślubów... to żadnych nie było!...

Pani Gotartowskiej na myśl przyszły one opowiadania o bezbożnościach, jakie w legii włoskiej panowały — i zatrzęsła się ze zgrozy.

— Więc ta dziewka jest... jego kochanką, a wy... kobieta stara, śmiecie mnie, matce... powiadać o niej i dobrem imieniem mojem ją nazywać!...

Żubrowa oczy szeroko otworzyła.

— Jejmościuniu, co... jakto?... Przecież pani kapitanowa...

— Nie tłómaczcie się!... Wiedzieć o tem nie chcę więcej! Zbierajcie się stąd coprędzej... razem z temi dziewkami! Tu, pod jednym dachem ze mną... nie dla niej miejsce... W was, widzę, ono nieprzystojne niewieście rzemiosło zamroczyło zgoła wstyd a obyczajność, inaczej, możebyście się byli sromali przed matką o kochanicy syna się rozwodzić... i o lada związkach rozpowiadać...

Markietanka z początku słów pani Gotartowskiej słuchała z osłupieniem, lecz im z ust matki ukochanego kapitana padały zarzuty cięższe a wyrazy surowsze, twarz Żubrowej kraśniała coraz gwałtowniej — tak, że zdało się, iż krew ją na miejscu zaleje. Markietanka za pierś się chwyciła ręką, jakby chcąc się uwolnić od dławiącej ją pasyi i wybuchnęła nagle:

— A tożem się dogadała!... A... jeszcze jako mnie święta ziemia nosi... na uszy nic podobnego nie słyszałam!... Masz ci poszanowanie!... Chyba się nie strzymam! Święty Antoni, wspieraj, bym czego nie rzekła. Lada związki!... Kochanica!...

— Dosyć tego! — napomniała pani Gotartowska. — Ruszajcie stąd... a nie wykrzykujcie! Tego mi wstydu przynajmniej oszczędzajcie, niech ludzie ci nie wiedzą!... Dosyć!

Pani Jadwiga chciała zawrócić ku dworowi, lecz Żubrowa zastąpiła jej drogę.

— Dosyć?! O, co tego nie dosyć jeszcze!...

— Szalona kobieto...

— Niech będzie szalona! A co swoje wygadam... Respekt dla jejmości swoją drogą, a co honor hono-

rem... Nie przybłęda żadna jestem, jeno szlachcianka z krwi i kości... Mój stary człek biedny, ale uczciwy...

— Dobrze, wiem! — ucięła pani Jadwiga, chcąc zakończyć rozprawę.

— Nie — jejmość dobrodziejka nie wie, bo uszanowałaby może to tułactwo, one blizny, a mnie, starej niewieście, sromuby nie zarzucała... bo... gdyby nie porucznik... to... potrafiłabym krzywdy dochodzić... Święty Antoni, bo nie strzymam się!... Doczekałam się... no!... Panią kapitanową moją... ooo!...

Pani Jadwidze, mimo goryczy, jaką uczuła dla Żubrowej, żal się zrobiło baby, dodała więc tonem smutnego napomnienia:

— Nawet was nie winuję... Życie obozowe stłumiło w was niejedno!... Wy to może z czystego serca, z nieświadomości!... Ale nie dziwcie się matce, jeżeli ją do żywego dojmie nowina, że syn jej w obrazie Boskiej żyje z dziewką... już nietylko zezwoleniem matki gardząc, lecz i Sakramentem!... Możeż matka widok takiej kobiety ścierpieć?!...

Żubrowa ręce załamała.

— Porucznik! On! W obrazie Boskiej żyje!... Kto to powiedział?... Jakto?...

— Wszakci wy sami...

— Ja?!... Jejmość dobrodziejko, toć nasza kapitanowa jest panienką, niebożę! Toć duszyczka jej jako łza... Zabiła dziś Austryaka, ale to... trzy pacierze aby zmówić... Czego, szelma, nastawać chciał, a przejazdu bronił?...

— Mówiliście przecież... ślubów nie było...

— Bo i nie było! — odrzekła z przekonaniem markietanka. — Skąd miały być!... Widzieli się, jak pan Dziewanowski powiadał, przez dwa dni... a potem jedno tu, drugie tam... Trzeba przecież było na zapowiedzi dać, weselisko należyte sprawić, przystojne wedle szarży... boć nasza kapitanowa pułkownikówną jest z ojca... Ale gdzie! W czasach takich ani o tem pomyśleć nie można było!...

Pani Gotartowska na te słowa proste, szczere schwyciła rękę markietanki.

— Więc Floryan?!... Ślubów nie było!?... Kamień z serca mi spada!... A taż panna co za jedna!?...

— Toć córka świętej pamięci pana pułkownika Dziewanowskiego imci, pono krewna... panu porucznikowi...

— Co, co? Córka Michała i Barbary z Mokronowskich!?...

— Pułkownikowi było Michał, to wiem .. Co naszej kapitanowej, to... Zośka!...

— Zośka Dziewanowska!... Że jej nie poznałam! Prawda, dzieciątkiem ją ledwie raz widziałam!... Żeście mnie nie uprzedzili! Muszę iść do niej!...

— Do kochanicy! — mruknęła zachmurzona markietanka.

— Zapomnijcież o tem! — upomniała pośpiesznie pani Gotartowska. — Wasza wina, żeście mnie należycie nie pouczyli, jak się rzeczy mają... Dziewczyna krewną mi jest, ród dobry... postrzelona trochę... no, ale jeżeli zmówiny się tylko odbyły, to jeszcze nie nieszczęście. W razie czego to i rozchwiać się może!...

— Nigdy! — huknęła Żubrowa—Ani myśli o tem!...

— Co? Nie rozumiem!...

— Pan porucznik powiedział — nie żyć mi bez niej!... Skończone!... Błogosławieństwo, Sakrament rzeczy potrzebne, bez nich ani rusz do kapitaniątek byśmy nie dobrnęli, ale co z naszą Zośką jest skończone! Po bitwie generał Dąbrowski czyni przegląd i powiada — mości taki a taki, jesteś kapitanem! Skończone! Po przeglądzie kapitan szlufy zmienia, poszanowanie kapitańskie odbiera... a czasem miesiąc i pół roku upłynie, zanim sztab instrument kapitański wygotuje, generał podpisze, a włoska rzeczpospolita zatwierdzi! Takoż właśnie jest bo z naszą kapitanową!...

Pani Gotartowska widząc, iż z Żubrową do ładu nie dojdzie, a nadto, poczuwając się, iż mimowolną krzywdę, wyrządzoną dziewczynie, wynagrodzić się godzi, zawróciła śpiesznie ku domowi, nie zważając na dalsze wywody markietanki.

Pani Jadwidze lżej się zrobiło na sercu. Floryan nie zawiódł jej, nie uchybił, nie zawarł związków potajemnych. Wprawdzie nie było wątpliwości, że jakoweś deklaracye między młodymi nastąpić musiały... lecz do ślubnego kobierca jeszcze daleko... Dziewczyna się nie widziała bardzo pani Gotartowskiej. Krewna wprawdzie, zacnej familii, ale zawadyak oczywiście, postrzeleniec, nowomodnej swywoli, a może lekkości obyczajów pełna. Nie o takiej żonie marzyła pani Gotartowska dla Floryana.

Mężczyzna taki jak on, prawy, zasłużony krajowi, a dorodny, mógłby w nielada koligacye wejść, a może i fortuny nieco przysporzyć. Nie idzie za tem, aby miał się zaprzedawać i paranteli jeno a worka szukać, ależ takiemu jak on kawalerowi łatwo byłoby równocześnie i urodę i cnót obfitość a miły sercu sentyment znaleźć.

Pani Jadwiga powzięła postanowienie wybadania Dziewanowskiej — wszedłszy więc do izby, w której pan Podhorodeński z mecenasem słuchali gorących wywodów Kurdwanówny, skinęła nieznacznie na pogrążoną w zadumie Zośkę Dziewanowską i poprowadziwszy ją do alkierza, zagadnęła żywo:

— Nie wiedziałam, że w waćpannie przyjdzie mi powitać krewniaczkę!...

— Krewniaczkę?...

— Jestem Gotartowska... matka Floryana!... Przez brata mego Jacka, skoligaconego z Mokronowskimi, wypada mi waćpanna cioteczną!...

Zośka zarumieniła się mocno i schyliła do ręki pani Gotartowskiej — ta ostatnia pocałowała ją w czoło i rzekła z powagą:

— Nie taję, że milej byłoby mi widzieć i spotkać waćpannę w innych, niż te okazyach!...

— Sierotą jestem! — rzekła cicho Zośka. — Mateńka mnie parę miesięcy temu odumarła. Prusacy nas w Warszawie pochwycili... Siła na nas biedy spadło!..

— Kogóż bo ona dziś ominęła?... Lecz powiedzże mi waćpanna, jak się to stało?!... Toć Basia!... Dziećmi znałyśmy się jeszcze!...

Zośka z pewnem drżeniem w głosie jęła opowiadać szczegóły ostatnich wypadków, tając tylko wszelkie o Floryanie wspomnienia. Gdy skończyła — pani Gotartowska westchnęła cicho i spojrzała ze współczuciem na piękną twarzyczkę Zośki, która pod wzrokiem matki Floryana mieniła się kolorami.

— Ciężkie dopuszczenie Boskie! Lecz gdzież teraz zamyślasz? Dokąd?...

Oczy Zośki błysnęły żywiej, lecz nagle skryły swe ognie pod osłoną jedwabistych rzęs.

— Rodzono-stryjeczny mi został. Do niego chcę do Warszawy...

— A toż waćpanny przybranie co znaczy? Prawda to, że z Kurdwanówną o wojence zamyślacie?...

Zośka nic nie odpowiedziała. Pani Gotartowska rzekła z naciskiem:

— Powiem waćpannie szczerze!... Nie po myśli mi te zapały niewieście, bo Stwórca inne zgoła przeznaczył nam obowiązki... Bacz nadto, że gdyby zamąż ci wyjść przyszło... rodzina przyszła mogłaby krzywem okiem... patrzeć na cię!...

— Ja... ja nigdy zamąż nie wyjdę! — wybuchnęła Zośka, a łzy jej w oczach zabłysły.

Pani Gotartowska pokiwała z podziwem głową.

— Co? Dlaczego? Skądże to postanowienie?... Nie należy się wyrzekać przed czasem! Moje dziecko... mojej posłuchaj rady! Trzeba, żebyś gdzie przy rodzinie osiadła. Pannie tak samotrzeć tułać się nie przystoi! Ot, chcesz... zostań ze mną czas jakiś, zanim się trochę nie uspokoi! Brat, słyszę, wojskowy — też wyciągnie za innymi — cóż poczniesz wówczas?... Ja wprawdzie sama w gościnie a załogą panu Głuskiemu imci jestem, lecz to człek zacny, mający wyrozumienie!... Pomocy nie odmówi!... Gdzie waćpannie! Kto wie jaka cię przygoda może spotkać! Kurdwanówny nie słuchaj, bo to postrzeleniec!... Mówię, jak do ro-

dzonej, przez wzgląd na matkę waćpanny, która serdeczną mi była!... Jakże? Godziszże się?...

Zośka potrząsnęła główką.

— Nie, ciotko dobrodziejko, mnie trzeba...

— Dokąd, po co? Nierozwaga! Zadufanie dziecinne... Dzisiaj mężczyźnie niebezpieczno!...

Pani Gotartowska przekładała długo, tłómaczyła, wystawiała Zośce całą okropność przygód, na jakie się naraża, mówiła o przystojności, zaklinała ją, aby na związki rodzinne pomna, uszanowała słowa jedynej a najbliższej swej ciotki.

Zośka słuchała potulnie wywodów pani Jadwigi, lecz ilekroć razy ta ostatnia o odpowiedź ją niewoliła, potrząsała główką i powtarzała z zaciętym uporem:

— Mnie trzeba!...

Panią Gotartowską uraziła wkońcu ta jednako brzmiąca odpowiedź i ozwała się z rozdrażnieniem:

— Widzę, że waćpanna za nic sobie masz słowa poczciwe, a ono zawadyactwo tak ją otumaniło, że rada doświadczona nie ma do ciebie przystępu... Bacz, abyś lekkomyślności swojej nie żałowała!...

Zośka milczała uporczywie. Pani Jadwidze nie podobała się wielce zaciętość dziewczyny — chcąc zaś dotrzeć do rdzenia prawdy, bez żadnych wstępów zagadnęła pułkownikównę:

— Waćpanna... znasz syna mego Floryana?...

Zośka zbladła.

— Znam! — szepnęła z wysiłkiem, starając się ukryć drżenie głosu.

Pani Gotartowska zmierzyła badawczem spojrzeniem postać dziewczyny i pytała dalej:

— Daruj waćpanna, lecz matką jestem, odpowiesz mi więc chyba!... Czy Florek zwracał się do świętej pamięci matki waćpanny z oświadczynami?...

— Zwracał!...

— Być to może?... Więc waćpanna... jesteś?...

— Nie... mateńka nie pozwolili!

Pani Jadwiga odetchnęła swobodniej.

— Zacna Basia! Tu poznaję jej wielkie serce i wysoką rozwagę... Czasy teraz takie, że lepiej próżnych

słów unikać... Tylko zastanawia mnie jeszcze, skądże to ta markietanka waćpannę... tak obcesowo Floryanowi przeznacza?... Byłyż między wami jakoweś wynurzenia? Bo to teraz inny, nowomodny nastał obyczaj: zanim rodzice przyzwolenie dadzą, młodzi już szepty nawiązują!... Jakże? Daruj, powtarzam, waćpanna mej natarczywości, lecz sądzę, wszelkie mam do niej prawo...

Zośka trzęsła się jak listek.

— Odmawiasz mi? — nastawała pani Jadwiga. — Wzdragasz się? Przed matką chcesz zataić!...

Zośka drgnęła silniej — podniosła śmiało palące swe oczy i wyrzuciła gwałtownie:

— Miłuję... pana... porucznika!...

Panią Jadwigę ten wybuch dziewczyny zaskoczył niespodziewanie. Takiej odpowiedzi się nie spodziewała. Chciała coś na to rzec, lecz nagle słów jej zabrakło.

Zośka tymczasem zerwała się nagle i jak spłoszony ptak, zatrzepotała się i pomknęła do sieni... a stąd na drogę. Zośkę dławiło coś, cisnęło za gardło. Chciała płaczem wybuchnąć serdecznym i nie mogła... Biegła śpiesznie przed siebie, byle zdala być od tych surowych pytań, od tych spojrzeń przejmujących, natrętnych. Przecież w sercu swem do żadnej nie poczuwała się winy, a jednak trwożyła ją ta powaga matki Floryana i te jej napomnienia i krzyżowe zagadnienia.

Zdało się Zośce, jakby z piersi jej chciał ktoś wyrwać przemocą obraz, który był jedynem jej szczęściem... od tej pamiętnej chwili... a któremu wierzyła ślepo, z którym rozstać się nie mogła, z którym związane było na wieki każde żywsze uderzenie jej serca i myśl każda, i uśmiech, i zaduma, i łezka tęskliwa!

Zośka ręce na piersiach skrzyżowała i biegła przed siebie — mocując się z żałością, z bólem...

Tyle dni, tyle nocy przebolała, tylekroć razy zwątpienie ją trawiło a smutne gnębiły przeczucia!.. Aż Floryan stał się jej tak bliskim, tak z nią nierozdzielnym, tak spojonym z nią duchem, iż ani życie,

ani śmierć... oderwaćby go od niej nie mogła!... Tu zaś... wkraczają obcesowo do jej serdecznego ukrycia, kędy przed okiem natrętów spoczywały słowa przysięgi Floryana i pytają, ażali były między nimi „jakoweś wynurzenia...“ iżali prawdą było, że on był jej nie obcym, nie obojętnym!...

I może nie zabolałoby tak Zośkę to pytanie, gdyby je inne wyrzekły usta! Lecz to była jego matka! Matka, która w niej budziła oddawna i cześć zabobonną i lęk!... Której spotkać się bała, a która stanęła przed nią nagle, surowa, jakby o syna swego upomnieć się chciała, jakby jedyne dobro sieroce chciała jej odebrać!...

Nadto wyrzucała jej hajdamaczyznę, że się w świat iść ważyła, że się jej wojaczki zachciało a przygód!... A toć przecież ona musiała, bo ją coś wlekło, coś niewoliło iść za nim i odszukać go bodaj... na polu bitewnem... Nie inne kierowały nią intencye... Chciała za nim iść i przy nim stać!... Z nim życie pędzić tułacze, z nim cierpieć, z nim umierać!...

Zośka dyszała ciężko. Oczy jej błyszczały suche, rozpalone. Goryczą sączyła jej pogodna, jasna dusza...

Szła tak, nie zważając na nieobsiąknięte po deszczu kałuże, szła zapatrzona we własny ból...

Aż tu przed nią lipa staruszka rozstawiła szeroko swe rozłożyste konary... na łonie pnia mchem porosłego ukazała się bieluteńka figura Jezusa.

Zośce ugięły się kolana, osunęła się i przypadła do podnóża lipy, wymoszczonego starannie ręką zbożnych kmieci.

W tejże chwili zakołysały się lipowe gałęzie i strząsnęły na głowę Zośki spływające po liściach łzy niebieskie.

Pułkownikówna zapłakała cicho a serdecznie, zapłakała u stóp Jezusa, Jemu sieroctwo swoje, Jemu żal swój przekładając...

Usta jej szeptały słowa modlitwy niewyuczonej, tkliwej, płynącej ze smutku, z dziewiczej wiary, z wiary która góry przenosi, która jest poddaniem, ufnością, skargą, a która dusze na stal hartuje.

Zośka modliła się, jak modlą się w cichą noc majową kwiaty, jak modlą się jodły, kołysane podmuchem zefirów, jak modli się toń lustrzana Gopła, strumyk szemrzący, leśne poszumy, jak modli się ziemia — ta ziemia potulna, korna, zapatrzona w niebieskie przeźrocza, drżąca przed gromem, a promieniejąca w blaskach słonecznych.

Zośka modliła się, jak listek brzozy, jak łza rosy, perlącej się w śnieżnym kielichu lilii...

— Jezusieńku mój serdeczny! — szeptały koralowe płatki ust dziewczyny. — Jezusieńku mój, coś mateńkę moją jedyną do Królestwa swego powołał— ratuj sierotę!... Nie opuszczaj mnie, biednej — otom niegodna, lecz już mi Florka pozwól, już mi Florka nie odbieraj... Jam go nie szukała!... A tak mi do serca przypadł, że już, jeżeli wola Twoja zabrać, to weź go razem z życiem mojem! Ni mnie znaleźć kogo bliższego, ni się utulić przy kim! Janek Dziewanowski ani chybi do regimentu przystał, a tać Żubrowa jedna, Jezusieńku, choć zacna niewiasta, lecz żałości wyrozumieć nie mogąca!... Pani Gotartowska mi niechętna... zgoła niepolityczne czyniła supozycye!... Ty widzisz, Jezusieńku, jako myślę, jako zamierzam... A jeżelim tego Austryaka palnęła, to... że szpetnie przemówił... a jam przecież córka pułkownika! Florek, Jezusieńku, zaprzysiągł... więc... powinienby strzymać... On strzyma niezawodnie!... Jeno oddal odemnie ten wzrok srogi imć pani Gotartowskiej!... Cóżem jej uczyniła?... W Tobie jedyna moja nadzieja... U Ciebie moja pierwsza i ostatnia instancya!... Nie bacz na to moje przybranie cudaczne, Kurdwanówna powiada, że tak lepiej... a już mi winy daruj i nie karaj... bom samotrzeć na losy puszczona, bo ni dachu nad głową, ni ręki ludzkiej... lecz nic to Jezusieńku, byleś mnie nie odstąpił w łasce Swojej... byleś Florka mego zachował!... Daj żyć sierocie, daj kochać!... A już ci wierność ślubuję uroczyście!... Pociesz mnie, bo mi tak smutno, tak ciężko, a tak dokoła pusto, jak gdyby nie było nikogo, ni świata, ni ludzi... jeno...

— W imię Ojca i Syna!... Melduję pokornie! Pani kapitanowo! — rozległ się przestraszony głos Żubrowej tuż za plecami Zośki. — Co się tu dzieje? Dla Boga!... Pani kapitanowa płacze, niby jaki rekrut przymusowy?!...

Zośka przeżegnała się i podniosła się szybko, a ocierając zroszoną twarzyczkę, rzekła z energią:

— Nie, nie płaczę!...

— Hm! Widzę to, widzę! — mruknęła pod nosem baba. — Tylko co tej gościny to mam dosyć... Et! Aż lepiej nie wypominać... Oo!... Już mnie nie mówię, ale... i tu nie darowała... Respekt respektem, a co innej świekry toby nam się zdało poszukać...

— Co wy?... Żubrowa?!

— Nic — według rozkazu i... tfy... tak zacierkami uraczyli, że aż ckliwość bierze!... Ledwiem panią kapitanową znalazła... bo to niby starsza pani wysłała mnie szukać.

— Starsza pani?!

— Któżby?... Z tego wszystkiego to mi się zdaje, że co nasz rotmistrz nietęgą miał kalkulacyę!... Cóż, chodźmy... na tej wilgoci stać...

Zośka szarpnęła się niecierpliwie.

— Nie, nie pójdę!... Co ja tam, po co?... Dosyć mi!...

Markietanka spojrzała ze zgrozą na pułkownikównę.

— Starsza pani przyzywała... Idźcie, pedziała, Żubrowa, odszukajcie ją — niby panią kapitanową — i niech do mnie przyjdzie!...

— Nie, za nic! — namarszczyła się Zośka.

— Niesubordynacya?...

— Niech sobie!

— To nie może być! — zaopiniowała krótko Żubrowa.

Zośce łzy w oczach znów stanęły.

— Czego odemnie chce?... Com jej uczyniła?... Dręczyć będzie. Nie! Żubrowa, uciekajmy stąd prędzej... ja nie mogę... Widzicie, mnie tu niedobrze... bardzo niedobrze...

Pierś Zośki wezbrała łkaniem. Markietance powieki zawilgły. Otworzyła ramiona i przytuliła pułkownikównę.

— Co, co się stało? — pytała troskliwie. — Święty Antoni, bo się już nie strzymam! Paniusia moja złocista!... Szarża szarżą, a co ubliżyć nie wolno!... Jakiem Muszyńska z domu, nie daruję, a powiem co na sercu!... Dzięki Bogu języka w gębie od parady nie naszam... sacrebleu! Kapitanowej dyshonor uczynić... sąd polowy!... Pluton żołnierzy i kulą w łeb! Tfy! Co ja też wygaduję!... No, no!... Furda wszystko... do porucznika się dobierzemy, wszystko nicpotem nagrodzić musi. Niechnoby on zobaczył, że tu nam zmartwienie czynią!... Cha! Całą kompanięby podniósł na nogi! A bodajże!... Aż kląć bierze ochota! Już! Już dobrze nam... Wsiadanego sobie zagramy — i hajda! A tam porucznik czeka, nie doje, nie dośpi... jeno tęskni sobie... a wzdycha... i powtarza: a juści moja umiłowana przyjedzie...

Zośka uśmiechnęła się.

— Pewneż to!?

— Ho! Sacrebleu! Jakiem Muszyńska z domu, niech... niech mego starego nie zobaczę, jeżelim zełgała! Nasz porucznik... U niego słowo — to mur! Co tam mur! Sto armat ustawić a plunąć, to i mur zwali — a porucznikowego słowa ani myśli! Ba! A toż, jako powiadałam naprzykład o tym fortelu.

— Mówcie, powiadajcie mi!

— Gdzieżbo... tu, na tej wodzie?

— Patrzcie! Na kamieniu przysiądziem...

— Kiedy bo, czekają...

— Odmawiacie posłuszeństwa?

— Według rozkazu! Powiadałam o tem ze sto razy — ale jak trzeba, to trzeba... Otóż, porucznik mnie się pyta — Żubrowa, jak wam się widzi, strzyma, czy mi nie strzyma? Ja niewiele myślący, a nie wiedząc w czem rzecz, walę prosto z mostu: nie strzyma!... Spojrzałam, a porucznik zbladł!

— I co — i co?...

— No i do mnie: Gadajcie... wy coś musicie wiedzieć!... Okropność! Miarkuję, że głupstwo się palnęło, więc dalejże kota ogonem wykręcać, a zaręczać, jako pani kapitanowa strzyma, choćby się ziemia miała rozstąpić, aż tak potrosze się uspokoił...

— A... a jak to było, kiedy was porucznik wyprawiał?

— Ho! co tego, to już za wiele! Pora nam wracać.

— Kiedy bo...

— Subordynacya! A tam czekają!...

— Nie, nie!...

Żubrowa jęła przekładać.

— Tchórz nas oblatuje!?... Nie przystoi... Święty Antoni, a żeby tak na mnie porucznik taki czekał gdzie... Mój stary z myśli mi nie schodzi... To niechby mnie na kartacze, na bagnety wiedli, niechby siekli — anibym się nie ulękła! A tu co?... Matka porucznikowi rodzona... Ja to wiem, czasem cięcie tak nie dokuczy, jak słowo ludzkie... ale westchnąć sobie poczciwie i naprzód!... Zjedzą nas, albo co? Równaj się i marsz! Znów przed lada czem!... Phi! Różnie bywa... Tędy a owędy, a co jak za mego starego wychodziłam — kędy on się, mój robak podziewa! — to przecieżem ślubu z jego matką nie brała! A zła ci była niewiasta!...

— Zła, zła?!

— Okrutnie! Swięty Antoni, aby mnie nie skarz!...

— Co powiadacie?

— Właśnie powiadam, że okrutnie zła była! Słowem się nie odezwij... Dla mego starego księżniczki chciała, a przynajmniej wojewodzianki, z kluczem... a jamci miała aby klucz od puzderka, które mi stryjna moja, Domicela Muszyńska, na wiano dała... Tedy — kwasy, przytyki, konfuzye — a ja nic. Znoszę a Świętemu Antoniemu — jako i teraz — się polecam!... Boczyła się świekra, burczała, gniewała się,

ale gdy w końcu mego starego przyparło... zezwolenie i błogosławieństwo dać musiała!

— Musiała dać!?

— A jakże! Agata jej było na imię! Baba zawzięta a złośliwa... że ani na prawo, ani na lewo!

Markietanka westchnęła żałośnie i dodała szeptem:

— Matko Agato, daruj łgarstwo!...

Zośka na poły była przekonaną. Żubrowa nie dała jej się dłużej namyślać.

— Idźmy już, bo i czas! Rotmistrz nasz gotów pomyśleć, że mu się cały jego regiment rozleciał...

— A jak... znów będzie?

— To i co? Co nasze, to nasze! A porucznik nie czyj inny, tylko jest nasz i basta!... Nie żal, choćby i przykry wyraz usłyszeć, gdy się takiego oficera za pazuchą nasza!...

Zośka dała się poprowadzić markietance do dworu.

Pani Gotartowska tymczasem ochłonęła już z pierwszego wrażenia po rozmowie z pułkownikówną. Proste a szczere wyznanie Zośki przestraszyło ją, lecz i ujęło zarazem. Pani Jadwiga daleką była od myśli, aby onemu afektowi dziewczyny sprzyjać, ale wspomniawszy na związki rodzinne, na jej dolę sierocą, złagodniała w pierwszym impecie i ulżyć jej losowi postanowiła, tusząc sobie nadto, że wpływem swoim nietylko fantazyę jej ukróci, ale i zamysły o Floryanie z głowy wybije... Floryan był dumą pani Gotartowskiej; choć więc sama nigdy dumie, ani jakimś ambitnym kalkulacyom nie dawała do się przystępu, atoli tkliwe serce matczyne nie taką zawadyaka-dziewczynę miało na widoku!... Florkowi pora była spocząć, a może, gdyby się sprawy Rzeczypospolitej pomyślnie ułożyły — urzędu publicznego jąć. Do statku zaś i żona mu potrzebna, któraby i koligacyą i zaletami zasłudze jego sekundowała.

Niemniej — Dziewanowska nie była obcą — obowiązek, pamięć na Basię nakazywała pieczę nad nią rozciągać.

Pani Gotartowska po ucieczce Zośki kazała ją odszukać, a sama panu Głuskiemu rzecz przedstawiła, prosząc go i dla tej krewnej o gościnę.

Imć Głuski przystał bez wahania.

— Dobrodziejko moja! Babieniec to, babieniec! Jedna mniej, jedna więcej! Rządź, rozkazuj, jak u siebie!...

— Nadużywamy dobroci waćpana!...

— Co? Veto! Niema nadużycia!... Czasy takie...

— Pora nam do Gortatowic...

— Gdzie, gdzie?! Nie puszczę! Niech się te chmurzyska przetrą nieco — niech się nareszcie wyklaruje ono bellum... a wówczas obaczymy... wówczas i o naszego Staszka przepytać się będzie można!...

— Gdybyż tylko... biedak!...

— Dobrze będzie! Już mu to było sądzonem!... A co tę krewniaczkę... i owszem!... Ba, choćby i tamta Kurdwanówna także! Mospanie... dobre stworzenie!... Tylko w głowie michałki... Hajdawerkami chce Austryaków straszyć! Sieroctwo takie!... Byle mi dziewek nie zbuntowały, bo mospanie, veto!...

— Bądź waszmość spokojny — już ja na nie wpłynę! — zapewniała pani Gotartowska, i nie zwlekając, dojrzawszy przez okno nadchodzącą Zośkę, wyszła ku niej i zaciągnęła do izby, którą zajmowała z Urszulą i Fabianem.

— Waćpanna zostaniesz ze mną, tutaj!...

— Ja?

— Tak! A chyba... zważywszy na węzły pokrewieństwa tak bliskiego, opierać się nie będziesz?...

— Nie wiem! Nie mogę...

— Jeżeli wolę moją za nic masz, tedy zatrzymywać cię nie będę... Zdało mi się, że słowa moje i wola obojętnemi dla ciebie nie są...

Zośka pokraśniała.

— Co każecie, uczynię!...

— Otóż tak, to lubię! Doświadczenia nigdy lekceważyć się nie godzi, ani życzliwością gardzić! Tu z nami zostaniesz, jak swoja... Uspokoi się nieco, do Gortatowic powrócimy, a tam potem zobaczymy, jak

się wykalkuluje... Daj — niech cię uścisnę! Dobre, widzę, jesteś dziecko, jeno zbyt wcześnie opieki matczynej pozbawione!...

Zośka ucałowała rękę pani Jadwigi, ta ostatnia zakończyła weselej:

— No, więc cały wasz regiment pójdzie do niewoli, bo co i Kurdwanównę radabym zatrzymać! Szkoda i jej, żeby się miała zmarnować! Panna zacnego rodu, zamożna, bo to nielada, słyszę, fortunka na nią spada!... Nie odmówisz mi wpływu swego?

Zośka skinęła przyzwalająco głową. W głębi trwożyła ją myśl sama, że na bezczynne oczekiwanie skazaną zostanie, odmówić jednak nie śmiała. Ta odrobina serdeczności, okazanej jej przez panią Gotartowską, odebrała jej nagle całą wolę. Jego to była matka.

Pani Gotartowska z Zośką powróciły do izby jadalnej — gdzie Kurdwanówna zwierzała się mecenasowi i poziewającemu panu Głuskiemu ze swoich planów.

— Więc regiment bez mała takiej kawaleryi stanie wkrótce! — śmiał się imć pan Bonawentura.

— Musi! Czy babski tylko, nie wiem... alem się zaklęła z Denhoffami... Książę Ossoliński nam pomoże!

— Ossoliński? Zmiłujcie się! — wmieszał się mecenas. — Szesnastoletni wyrostek!

— Nie znaczy! Taki musi, kiedy starsi, którymby iść prędzej wypadało, na austryackie burmistrzostwa się pną!...

— I słusznie, bo im oleju w głowach nie braknie, bo się z motyką na słońce porywać nie chcą! — odciął się za swego przyszłego zięcia imć Głuski.

— No, no? Tedy słuchamy dalej — zagadał żartobliwie mecenas, chcąc uchylić starcie. — Więc rotmistrz jest... kapitan także, podoficerową można na wachmistrza awansować... a gdzie szeregi?...

— Będą — zakonkludowała z przekonaniem Kurdwanówna.

— I cóż potem?... Wątpię, czy Napoljon takowy pułk odważy się między armię wpuścić... bo mu się co najmniej gwardye zdezorganizują...

— A pułki w kumy zaczną się prosić!...

Kurdwanówna ząbki zacisnęła i rzuciła energicznie:

— Ja też cesarzowi francuskiemu imć napraszać się nie myślę. Do księcia Józefa idziemy.

— Do księcia Józefa, mosanie!?

— Tak! — przytwierdziła Kurdwanówna, rumieniąc się po same białka.

— Phi! Mospanie... nareszcieśmy się do Sednowa przycłapali!... Ba! książę Józef! Już ci teraz zęby ostrzy i bodaj całą waćpanny chorągiewkę na nowomodne adjutanty sobie poprosi! Filut z waćpanny!... Jużci tam księciu gorąco będzie, i kto wie, czy pierwszy nie padnie ofiarą męstwa niewieściego regimentu!... Oho! Mospanie!... Do księcia tedy, pod Blachę, odrazu... Hm, możeby lepiej było do sułtańskiej mości się zaciągnąć?...

— Mości Bonawenturo! — wmieszała się poważnie pani Gotartowska, widząc że snadnie coś niestosownego z rozmowy tej wypaść może. — Porzućmy przekomarzania. Tuszę sobie, że imć panna Kurdwanówna także nie odrzuci dobrych intencyj.

— O to, to... dobrodziejko! — przytwierdził z ukontentowaniem mecenas.

— I z nami zostanie!?... Jako już panna Dziewanowska się zgodziła...

Kurdwanówna porwała się z miejsca.

— Zośka! Zostajesz?... Opuszczasz?...

— Tak, tak! Krewna moja... usłuchała rady zdrowej! — objaśniła pani Gotartowska, spoglądając na Zośkę, która pod piorunującem spojrzeniem Kurdwanówny głowę spuściła pokornie.

— Tak, trzeba, mościapanno Heleno — ozwał się pan Podhorodeński. — Patrz, głowa siwa! Dzieckiem cię znam... Imć pani Gotartowska dobrodziejka ze szczerego serca... pan Głuski także...

— Mospanie, juści chleba nie zabraknie! Tylko... co hajdawerki — veto! Niema zgody na hajdawerki!...

— Dziękuję waćpaństwu... lecz przyjąć mi gościny niewolno! Słowom dała!

— Rozgrzeszą, mospanie!...

— Nie, nigdy!... Żegnam! Czas na mnie! Zośka, tego się nie spodziewałam! Kłaniam uniżenie!...

— Co? Gdzie? Dokąd? — zawołali jednocześnie panowie Głuski i Podhorodeński, lecz Kurdwanówna chwyciła za kołpaczek i wybiegła do stajni.

— Żubrowa! — zakrzyknęła zdaleka. — Konie natychmiast!

— Według rozkazu, kulbaki nałożone!

— Siadać!

— Pokornie melduję, że się komenderuje „na koń!"

— Więc na koń! Niema chwili czasu!...

— Czy zatrąbić?

— Nie trzeba!...

— Może przez munsztuk, jako w pobliżu nieprzyjaciela!?

— Żywo — nie marudzić! Dalej! Chwili niema do stracenia!

Markietanka wyprowadziła trzy konie i pomogła wskoczyć na siodło Kurdwanównie.

— No, teraz wy... a tego trzeciego zostawcie!...

— A jakże to... a pani kapitanowa?...

— Pani kapitanowa wystąpiła z regimentu!... Przekabacili ją!... Dalej!

Markietanka zafrasowała się.

— I... i... nie pojedzie z nami?

— Nie! Dalej! Patrzcie, lecą ode dwora... pewnie wstrzymywać będą! Ruszamy.

Żubrowa wygramoliła się na kulbakę, mrucząc pod nosem:

— Hm! Jakże to będzie? Regiment bez kapitanowej?!

— Mospanie! Hej!... Mości rotmistrzu, veto, powiadam, niema zgody! — wołał zdaleka imć pan Głuski, chcąc odjazdowi Kurdwanówny przeszkodzić.

— Jedno słowo! Mościapanno! — przyzywał pan Podhorodeński.

Lecz Kurdwanówna targnęła cuglami i, przesławszy ukłon panu Bonawenturze, ruszyła galopem.

Żubrowa zawahała się, westchnęła i pocłapała za swoim rotmistrzem.

Czas jakiś Kurdwanówna rwała naprzód, aż, ujechawszy kilkanaście staj drogi, zwolniła biegu i zrównała się z Żubrową.

— Tegom się nie spodziewała!... Niby zapał tyli, a ledwie... już się dała odwieść... wstyd pomyśleć... pułkownikówna!

— Jakże tedy będzie teraz?...

— Jak ma być?... Niechże sobie tam godzinki odprawuje, a my w swoją drogę ruszamy!

— A kapitanowa nasza?

— Już mi nawet nie wspominajcie!...

— Według rozkazu... tylko co ja!...

— Co wy? Może też o dezercyi myślicie? Dobrałam sobie kompanię... na przypiecku wam wszystkim siedzieć a pierze drzeć!... Nie trzymam, wolna droga! Dezertujcie!

— Żubrowa nie dezertowała nigdy i nie dezertuje! Tak jej Panie Boże dopomóż!...

— Tak to lubię! Albo się idzie, albo nie... Lecz uchodzić się nie godzi.

— Jabym też tego nigdy nie uczyniła, gdyby tego...

— To co?

— Podałabym się do dymisyi!

— Zapewne! Przynajmniej politycznie! Lecz co po Zośce się nie spodziewałam!... Zawzięła się niby Florka swego szukać i utknęła na pierwszym popasie!...

— Ba, i pewnie jej to nie po myśli — rzuciła niechętnie markietanka i umilkła nagle.

Po pewnym czasie Kurdwanówna zagadnęła niespodziewanie:

— A przecież musi być prawo na dezerterów?

— Prawo? Ba! W czasie wojennym — sąd polowy i kula w łeb!...

— Sąd polowy? Czekajcie, na pierwszym popasie złożymy sąd!...

— Co? Na kogo?...

— Na Zośkę!

— Święty Antoni!... Bez urazy pana rotmistrza... na naszą kapitanową?

— Tak! Przykład musi być! Subordynacya! Jeszcześmy się nie uformowali, a już nam chcą regiment zdemoralizować!...

— Kiedy bo — tutaj na dobrą sprawę niesubordynacyi nie było!

— Co powiadacie!...

— Pewnie! Boć nasza kapitanowa siak czy owak musi słuchać pana porucznika, a tu przecież matka porucznika nakazała!... Prawo starszeństwa! Niby naprzykład brygadyer daje ordynans oddziałowi i powiada: pójdziecie tam a tam i zrobicie to i to! Oddział idzie, a w drodze spotyka swego generała korpusu... no i musi korpusowego słuchać... boć ten jest i jego starszym oficerem, no i brygadyerowi naczelnikiem... Tako właśnie i z naszą kapitanową i ze mną!

— Co z wami?!...

— A ze mną jest taż sama okoliczność... Człowiek rotmistrza słuchać musi, ale mu porucznikowy rozkaz spokoju nie daje...

— I wy mnie chcecie opuścić?...

— Gdzieżby! Teraz ani myśli... Pana rotmistrza zostawić samego nie uchodzi... ale co o dymisyę, to przy okazyi przymówić się muszę!...

— O dymisyę?...

— Tak jest, panie rotmistrzu, z powodu obowiązków familijnych!

Po odjeździe Kurdwanówny we dworze jastkowskim chwilowe zapanowało wzburzenie. Imć Bonawentura jął gorąco powstawać na dawnych cnót a obyczajów upadek, mecenas próbował wziąć w obronę zapały Kurdwanówny, lecz pani Gotartowska w części sprawiedliwość oddała słowom pana Głuskiego.

Pan Podhorodeński, zwarzony nieco, ile że jego misya w sprawie imć pana Tadeusza znów niefor-

tunny obrót brać zaczęła — pomimo zapraszań gospodarza, jął się żegnać, wymawiając się pilnemi sprawami w Lublinie.

Na wsiadanem mecenas zagadnął był raz jeszcze pana Głuskiego:

— Więc... jakiż respons mam panu Tadeuszowi zawieźć?...

— Niech czeka jeszcze! Dziewczyna nie zając! Nie ucieknie! Widziałeś waszmość, co się tu dzieje. Smutek i tyle! Niechby choć się trochę uciszyło! Niechby pani Gotartowska wyciągnęła do siebie w Rawskie... Teraz mi się nie godzi!...

— Wola wasza! Zawiozę odpowiedź! Lecz już potem nie gniewajcie się, jeżeli młodego myśl jaka desperacka chwyci i na koniec świata zaprowadzi!...

— O, o! Veto, mospanie! Niema zgody!... Niech ani się waży! Burmistrzostwo niech obejmie, niech się instaluje... a tam już pomyślę sam o nim!... Uważcie bo... Toć i mnie staremu ciężko... Jedna taka pestka zostanie w domu, to i cóż poczne... Kto ją tam pocieszy a utuli? Nic, mospanie, parol... do świętego Michała tylko zwłokę sobie wymawiam, a potem siak czy owak — bodaj nas Turczyn zajechał nawet... oddam dziewczynę!... Sam jeszcze do ołtarza popędzę boć i mnie staremu pilno do wnuków... mospanie!...

— Ręka!

— Ręka! Verbum i kobyłka u płotu. Niech pan Tadeusz statku się trzyma, a już na tem mojem kunktatorstwie źle nie wyjdzie!

Mecenas, uspokojony nieco o los swego pupila, odjechał z Jastkowa.

W domu pana Głuskiego dawna wróciła cisza i jednostajność.

Zośka Dziewanowska z początku była przedmiotem ogólnego zajęcia. Pani Gotartowska, Urszula, panny Głuskie zasypywały ją pytaniami, pan Bonawentura zagadywał a konceptami sypał, byle pułkownikównę za język pociągnąć, lecz Zośka zacięła się, zasklepiła w sobie zupełnie. Niby odpowiadała, niby

pozoru nie dawała niechęci, a jednak nic z niej wydobyć nie można było.

Wzrok jej zawsze utkwiony, zapatrzony w jakąś dal niezmierzoną, zdawał się odrywać jej myśli i ciągnąć je za sobą. Zośka, choć nie stroniła od rówieśniczek, choć dotrzymywała im placu w zajęciach a robótkach — atoli, gdy się jeno zdarzyła sposobność, wybiegała do ustronia w ogrodzie lub pod figurę Jezusa na rozdroże i tam godzinami całemi przesiadywała zapatrzona w horyzonty, niby zasłuchana w serca własnego bicie.

Pani Gotartowskiej ten dziwny stan Zośki nie podobał się wielce. Starała się na nią wpływać, tę i drugą naukę jej wypaliła, do rozmów ją wciągała, pracą starała się ją zająć. Pułkownikówna z pokorą każdemu życzeniu pani Jadwigi czyniła zadość, potulnie przyjmowała reprymendy, wysłuchiwała nauk, lecz co serca otworzyć nie chciała.

Pani Gotartowska w końcu, aż księdza Maleckiego, proboszcza, a słynącego na całą okolicę z zacności wielkiej, a mądrości staruszka, do narady wezwała, prosząc go, aby na dziewczynę wpłynął i do pojednania z Panem Bogiem skłonił, ile że taka jej zawziętość jużci z niczego poczciwego płynąć nie może.

Ksiądz proboszcz przyznał racyę pani Gotartowskiej, stuknął tabakierką, machnął szeroką, kraciastą chustką i zakonkludował:

— Mościapani! Dać mi tę duszyczkę!... Nie suponuję zepsucia... ot sobie rożek wyrasta i bodzie!... Obaczymy! Siak owak, tędy, tamtędy... odrobina gruntu, jeżeli jest, to się znów kwiatuszek, za Bożą odsieczą, zaweźmie i wilczą skórkę zrzuci!... Wołajcie mi ją tu do mnie, a my się już rozprawimy!

Pani Gotartowska podziękowała księdzu proboszczowi, a ułożywszy się z nim na trzy dni przed Zielonemi Świątkami, niby to pod pozorem, że kościołek na tak wielkie święta ustroić należy a kwieciem i zielenią umaić — wybrała się z pannami koczykiem do parafii. Tam tak zręcznie pokierowała pannami Głuskiemi i Urszulą, że pułkownikówna

w ogrodzie na plebanii została sama, niby dla szczepienia dębowych girland.

Ksiądz Malecki zawiadomiony wcześniej — niby przypadkiem do ogrodu wyszedł i dziewczynę pozdrowił.

Zośka ucałowała rękę staruszka i zajęła się robotą.

Ksiądz Malecki spojrzał serdecznie na piękną twarzyczkę Zośki i zażywszy tabaki, szepnął do siebie półgłosem:

— No! Nicpoń lucypherus, jakiego to mu się kęska zachciewa!... Oho!... Poczekaj, niegodziwcze, zaraz ja się tu do ciebie wezmę! Pójdziesz ty stąd jak zmyty! A zasię mi od tego dziecka!...

Zaczem ksiądz Malecki wytarł nos z hałasem, odchrząknął i przysiadł się na ławeczce koło Zośki.

— Mościa panno! — zagaił energicznie. — Już to z liczka twego widzę, że cię tam smutek, czyli myśl jakaś oblegać musi... Hm! To — to niedobrze!... — Owóż takie zaślepienie, to ultima okazya na wszelakie figliki dyabelskie... Człek w rozterce strzedz się podwójnie musi, bo kiedy mu w sercu interregnum się uczyni, to sam satanas postać na się prymasa bierze i sądy kapturowe symuluje.

Zośka podniosła swe smutne oczy na proboszcza.

Ksiądz Malecki nieco się stropił tem jasnem wejrzeniem, lecz wspomniawszy na słowa pani Gotartowskiej, trzasnął mocniej tabakierką i zaczął po chwili z energią:

— Tak, mościapanno! Bóg zsyła na nas i wesele i smutek!... Wesele na uciechę, na chwałę swoją, a smutek na dusz hartowanie, na probierz, na doświadczenie, na niezbadanych Swych wyroków a intencyj spełnienie... Nam każdą jego wolę należy przyjmować z poddaniem, z pokorą, z wiarą głęboką, że jako On, Ojciec nasz mocen jest i boleść od nas nawrócić... A mościapanna wydajesz mi się markotna a okrutnie w milczeniu swem zawzięta! Owóż! Świątki nadchodzą... Dzień uroczysty. Pamiątka języków ognistych, pod postacią których Duch święty na apostoły

Chrystusowe zstąpił!... Tandem... dobrzeby to było z Panem Bogiem się pojednać...

— Pojednać?

— Właśnie! Bacz tylko! Liczko to ciąglebyś rada wycierać a plamki na ręku nie zniesiesz, a duszyczka to co?... Hę!... A przecież i do duszy ludzkiej one pyłki niewidzialne przystają i choć tam człek do żadnej winy się nie poczuwa, a duszę-smolucha czy morusa dźwiga po świecie i dziwi się, że mu tu i ówdzie błogosławieństwo Boże nie sekunduje.

— Wola wasza, księże proboszczu.

— Do spowiedzi pójść, pychy się wyzbyć, Sakramentem się pokrzepić... to i lżej będzie i weselej...

— Jam gotowa!

Ksiądz Malecki stropił się tą uległością dziewczyny. Pewny był, że na silny opór natrafi, że całą energię kupić będzie musiał, aby ją przekonać, i staruszek w tym celu do nielada się przygotował perory, pełnej przykładów z życia pobożnych niewiast i cytat z Pisma świętego. A tu niespodziewanie ona zbłąkana owieczka nawet dwa razy jednego powtórzyć sobie nie daje!

Proboszcz pogładził łysinę, siwą otoczoną koroną, zażył tabaki i zadecydował krótko:

— Jutro... tedy przed majowem nabożeństwem!... Bo tu odwlekać się nie godzi...

— Przyjdę!...

— Przyjdę, przyjdę!... — burknął proboszcz. — Waćpanna tak to sobie mówisz, jakbyś do kumy na poziomki ze śmietaną wybrać się obiecała!... Pokora, mościapanno, pobożne skupienie! Bez tego Najświętsza Panienka słyszeć o mościapannie nie będzie chciała. A święty Kazimierz, patron nasz, i mnie także nielada może sprawić konfuzyę, żem przed jego obliczem miast skruszonego serca, jakąś jurną czy zgoła hardą czubatkę postawił.

Zośka oczy spuściła. Na rzęsach rosa osiadła. Ksiądz Malecki trzasnął mocno tabakierką, pogładził się po głowie i odszedł, mrucząc pod nosem:

— Zgadnij Jezu, kto cię bije!... Dzierlatka taka niby trzech zliczyć nie umie!... Baranek! Owieczka!... A satanas aż się za boki chwyta z uciechy, że mi tu pod nosem prawie, o kilka staj drogi zaledwie, zaciąg sobie ustanowił!...

Ksiądz Malecki westchnął nad świata tego szpetną przewrotnością, nad rzeczy ludzkich znikomością i skierował się w stronę, gdzie pani Gotartowska siedziała z Urszulą i pannami Głuskiemi.

Pani Jadwiga, zobaczywszy księdza, wstała i podszedłszy doń, zagadnęła cicho:

— Jakże, księże proboszczu?...

— Dobrze!... Satanas zmiękł odrazu... Jutro mamy mu wstręt uczynić ostateczny!...

Pani Jadwiga ucieszyła się szczerze tą wiadomością, ufając głęboko, że słowa księdza wpłyną dodatnio na Zośkę i pozwolą jej niejedno zmienić w dziewczynie a po swojej myśli urobić.

Dnia następnego skoro świt pani Jadwiga obudziła pułkownikównę i do kościółka zawiodła; tam, usadowiwszy ją przy konfesyonale i proboszczowi poleciwszy, usunęła się za ołtarz i pogrążyła w modlitwie.

Upłynęła godzina, druga, a Zośka jeszcze spowiedzi swej nie skończyła.

Pani Jadwiga już się niecierpliwić zaczęła, gdy oto ukazał się nareszcie ksiądz proboszcz wzruszony a zalterowany — spojrzał jakby z wyrzutem na panią Jadwigę i przed ołtarzem ukląkł.

Zośka wróciła z panią Jadwigą do Jastkowa. Pod wieczór zajechał wózek proboszcza. Pani Gotartowska myślała, żeby można było rady księdza jeszcze zasięgnąć, lecz on, ledwie się przywitawszy z panem Bonawenturą, panią Jadwigę odciągnął na bok i odezwał się poważnie:

— Mościapani! Winienem jej wdzięczność wyrazić, iżeś mi dała sposobność... poznania tej zacnej duszyczki!... Masz córkę — tedy módl się... aby i w niej tyle poczciwości się znalazło!...

Pani Gotartowska chciała o coś zapytać, lecz ksiądz Malecki trzasnął z niezwykłym impetem tabakierką i przemówił porywczo:

— Nic nadto powiedzieć, mościapani, non possum, ile że pieczęć świętej spowiedzi na to mi nie zezwala!... Posądzeń się jeno strzeż!... Te cię na manowce mogą wyprowadzić... A co teraz to litanijkę przez tydzień dołożyć sobie do pacierza nie zawadzi... bo co Chrystus Pan nie lubi, gdy mu kto sierotom, bodaj w najniewinniejszej myśli bróździć się ośmiela!

Panią Jadwigę te ostre słowa przejęły, lecz ksiądz Malecki kończył łagodniej:

— Złego nic się jeszcze nie stało. Ja tu do mościapani z inną sprawą. Boże Ciało się zbliża... Do procesyi na dziewczątek przewodniczkę najgodniejszą wybierać się staram, dlatego proszę, byś imć pannie Dziewanowskiej zezwoliła!...

Pani Gotartowska w nielada zachowaniu miała księdza Maleckiego, a mimo to słowa jego dziwnemi się jej wydały, tembardziej, że Zośka usposobienia swego nie zmieniła i po dawnemu w milczeniu swem, a zasklepieniu trwała. Jeden tylko pan Bonawentura umiał niekiedy uśmiech na ustach pułkownikówny wywołać, choć i to mu się niezawsze udawało.

Panny Głuskie, a już osobliwie Urszula Gotartowska, polubiły Zośkę całem sercem. Ta ostatnia szczególniej nietylko, że sama się przywiązała do pułkownikówny, lecz zdołała i w niej samej i zaufanie i serdeczność obudzić.

Zośka, choć strzegła się wyjawić ze swoimi zamysłami, nadziejami a tęsknotami, zręcznie zagadywana przez ciekawą dziewczynę, z niejednem się przed Urszulą zdradziła. Urszula przytłoczona nagle ciężarem sekretu — pośpieszyła ulżyć sobie i to i owo szepnęła Marysi i Jance, te zaś, ogromem tajemnicy zaskoczone, zwierzyły się starej gospodyni... i potrosze cały dwór w Jastkowie o przygodach pułkownikówny rozprawiać zaczął.

W ciszy a jednostajności zeszło tak kilka tygodni.

Niby od Warszawy wieści nowe ciągnąć zaczęły o pokoju, zawartym w Tylży z Napoleonem, o ustanowieniu przezeń Wielkiego Księstwa Polskiego, o przywróceniu saskiej dynastyi, lecz temu wszystkiemu nie wierzono jeszcze, czekając na wiarogodniejsze pogłosek tych stwierdzenie.

Pan Podhorodeński znów zajechał, znów walkę stoczył z panem Głuskim, aż tyle na nim wymógł, że imć pan Bonawentura trzysta pięćdziesiąt złotych gospodyni dał i po zakupy na wyprawę dla Janki do Lublina wysłał.

Tymczasem najniespodziewaniej na dwa dni przed świętym Janem zjechała do Jastkowa Żubrowa.

Zadziwili się niepomału wszyscy, ucieszyła wielce Zośka, a co pan Głuski śmiał się serdecznie a podrwiwał z markietanki.

— To mi się jejmość wybrała! Cha! Mospanie, toż pewno wszystkie armie nieprzyjacielskie muszą być rozbite!... Gdzieżby inaczej? Skoro taki oto rycerz bocznemi drogami wędruje... A może to huczek armatni zanadto dokuczył, a ów wigor wielki, a ochota do rejterady skłoniła? Hę! Fugas chrustas się uczyniło!... Pewnie!...

— Żubrowa, dziękować Bogu, piąty krzyżyk kończy, a jeszcze ani razu pleców swoich nieprzyjacielowi oglądać nie pozwoliła!

— Jakże więc?... Babski regiment dostał kataru i poszedł in primis Julii na hiberny... Bo to strzeżonego Pan Bóg strzeże, a co od świętej Anki, to chłodne wieczory i ranki!... Słusznie, mospanie! Sprawiedliwie! Kto tyle dokonał, temu się odpoczynek należy...

— Et! Jegomość dobrodziej uciechę sobie czyni!... Co tu długo mówić! Jestem na urlopie... i tak się tułam! Starego mego szukam... Myślę pod Zamość... może tam biedak do swojaków się dostał i czeka!...

— Na urlopie — u Belzebuba! — mruknął pod nosem pan Bonawentura.

Markietanka tymczasem ciągnęła swoje:

— Ot, byłam pod Lublinem, myślę: zajadę sobie, przecież mnie tu nikt nie uroczy, a zobaczę przynajmniej, co nasze paniątko, pani kapitanowa, porabia!... Człowiek się starzeje, a w samotności takiej to szuka, gdzieby kości zagrzać stare! A i wygadać się szczerzej a serdeczniej...

— Daleko, dalekoście byli?... — zagadnęła pani Gotartowska.

— Bez mała pod samym Płockiem!... Jezu, co się tam dzieje!... Toć patrzyłam na to własnemi ślepiami i myślałam, że mi się majaczy...

— Mówże aśćka, mów! — zachęcał pan Głuski.

— He! Czy ja to potrafię? Patrzyłam, wybałuszałam oczy, a pod sercem, to mnie jakby rwało coś a huczało. Co tu długo mówić... ani jednego Prusaka!

— Co wy, mospanie?!

— Niech mnie poszarpie, jeżelim zełgała. Jakby kto wymiótł... Choćbyś na lekarstwo chciał — nie znajdziesz ani kawałka!

— Same Francuzy?

— Gdzie zaś! Tam się czasem maruder trafi, czy inwalid... Ale tak, to niema ich wcale!...

— Więc któż u licha jest?

— Nasi są! Nasi, proszę jegomości!...

— Toć wiem, mospanie! Lecz czyjeż armie? Czyjeż wojska?

— Święty Antoni! A toć mówię, że nasze wojska! Nasza armią!... Toć na własne oczy widziałam! Dragoni, ułani, strzelcy, artylerya... Chłopcy pod sznur, sprawne, ochotne. A nieraz jak się oficerek trafi — tyci prawie paniczyk, krew z mlekiem...

— Hola, mospanie! Asińdźkę tu jakieś apetyty biorą, a my chcemy się nareszcie dowiedzieć, co się dzieje?

— Apetyty? Mnie? Jakem Muszyńska z domu! Gdzie zaś! Niechby mi się mój Maciej serdeczny odnalazł, jużbym go...

— Ad rem! Słuchamy!...

— Cóż mam pedzieć?! Król jegomość zjeżdża pono do Warszawy na jesień...

— Kto, kto? Król?. Co, mospanie!?...

— Dobrze mówię! Król jegomość!

— Co aśćka wygadujesz? Jakiego znów króla znalazłaś sobie?!... Ten Napoljon pewnie!...

— W imię Ojca i Syna, a toć mówię wyraźnie, że król Sas... przyjeżdża na dziedzictwo swoje i panować nam będzie!

Imć pan Bonawentura zbladł i porwał się z miejsca.

— Mówcie wszystko!... Skąd wiecie?!... Był sejm? Była elekcya?... Co, jak?!... Kto wam powiedział, że Sas dziedziczy?... Gdzie to macie? Veto, mospanie!... No?..

Markietanka zmieszała się tym nagłym wybuchem imć pana Bonawentury i jęła się plątać.

— Nie wiem, proszę jegomości!... Pokój podpisany w Tylży... Ustanowiono księstwo warszawskie, a na króla obrano Sasa...

— Kto go obierał? — rzucił z impetem imć pan Głuski.

— Przecież nie ja! — odparła porywczo Żubrowa.

— To wiem, bo asińdźka mogłabyś najwyżej kogutki na kapłony wybierać!... Mospanie! Lecz ja go nie wybierałem! Rozumiesz asińdźka... a ja jestem posłem! Posłem... Bo co nasz sejm jeno jest limitowanym! Protestuję! Veto! Mospanie! Niema zgody na intruza! Kto go obwoływał? Gdzie pole elektoralne?!

— Ależ mości Bonawenturo!... — mitygowała pani Gotartowska. — Toż pewno pogłoski jeno.

— Nie, jejmościuniu! Najszczersza prawda. Na własne uszy słyszałam, jak obębniali w Płocku przed ratuszem...

— Co? Króla obębniali?!...

— Jakem Muszyńska z domu!

— Protestuję!... Veto! Sejmu elekcyjnego nie było — nikt go nie zwoływał!... A co my, tutaj

w województwie Lubelskiem, ba i w Bełzkiem i Sandomierskiem i Ruskiem o niczem nie wiemy!

— Toć prawda, proszę jegomości, że co już pod Łukowem i bliżej jeszcze Warszawy jakby inni ludzie byli — Austryak siedzi im na karku i miętosi, a oni nic. Pary z gęby nie puści nikt, a tam za Wisłą ludziska z jelit sobie ostatnią chudobę dobywają!... Pacholęta imają się szabelek, aby za cesarzem pójść, a tu co?!...

— Dosyć! Veto!... Niema króla! Mospanie, i to sobie aśćka zapamiętaj, że póki Głuski żyć będzie, to pacta conventa szanowane być muszą!

Wieści, przyniesione przez Żubrową, zburzyły spokój i ciszę, panującą w Jastkowie. Pan Głuski przez dwa dni burzył się, pomstował a wygrażał, a potem nagle zapadł w głuchą apatyę, z której nic go wyciągnąć nie potrafiło.

Męska, wyniosła postać imć pana Bonawentury pochyliła się, żywe oczy przygasły, starcza głowa coraz częściej ku ziemi zwieszać się zaczęła.

Pani Gotartowska próbowała rozproszyć czarne myśli imć pana Bonawentury, lecz na wszelkie przedstawiane mu racye a wywody — jeno głową chwiał smutnie i odpowiadał z goryczą:

— Jejmość dobrodziejko — wszystkiego dożyć się spodziewałem, lecz nie takiego praw naszych spostponowania. Wolej mi było zejść z tego świata, niż tych czasów doczekać!... Bez elekcyi, bez sejmu Sas sobie zjeżdża i na jagiellońskiem zasiada dziedzictwie! A człek nawet rozmachu nie ma, żeby choć konfederacyę zawiązać.

Pani Gotartowska próbowała pocieszyć pana Bonawenturę; zdobyła się pewnego razu na odwagę i ozwała się łagodnie:

— Szczerze łączę się z waszmością w jego bólu serdecznym... Jeno zważ na smutne rzeczy naszej położenie. Gdzie tu myśleć o sejmie! Zawierucha taka naszła, a my przecież austryackiej mości dotąd jesteśmy podlegli!... Tedy, jeżeli te nowiny są prawdziwe,

toć Napoljonowi wdzięczność od nas się należy, że dla szybkiego ładu Sasa na tron powołał.

— Veto, mospanie! — huknął pan Głuski. — Niema zgody!... Jak waży się taki sobie królik francuski do nas się mieszać?! Chciał nam na odsiecz przyjść, to jego prawo było Prusaków wypędzić, a potem dawnych wojewodów zebrawszy, rzec: Mospanowie senatorzy, oddaję wam ziemię waszą — radźcie teraz i rządźcie się!... Jejmości się to dziwnem wydaje! Obaczymy. Jeżeli ludzka sprawiedliwość w łeb wzięła, toć jeszcze Boska istnieje... A jako mnie tu jejmość żywego widzisz — nie ustąpię i bodaj przed obliczem Najwyższego... veto, mospanie, zawołam!

Pani Gotartowska, rozumiejąc, że tu żadne perswazye nie pomogą, a czas jeden zdolen jest uspokojenie na pana Głuskiego sprowadzić, nie oponowała więcej, tembardziej, że sama zajętą była myślą o powrocie do Gotartowic.

Markietanka zapewniła ją bowiem uroczyście, że na Mazowszu spokój zupełny nastąpił. Z dnia na dzień więc do drogi gotować się zaczęła, bo i do gospodarstwa porzuconego wracać chciała, a i ciągnęła ją jeszcze silniej myśl, że o synach i dziadzie zdoła zasięgnąć wiadomości.

Markietanka tyczasem z Zośką szeptała po kątach a tajne odbywała narady, które nieraz do późnej nocy się przeciągały.

Pani Gotartowska, skłopotana podróżą, nie zwracała uwagi na pułkownikównę, ani na niezwykłe zasępienie Żubrowej.

Ekonom Lewandowski opatrywał kolebkę pani Jadwigi a majstrował około niej po całych dniach, byle ją do dalekiej drogi zaprawić. Żubrowa zaś chodzić zaczęła około konia pułkownikówny i czyścić a szykować kulbakę. Lewandowski zagadnął ciekawie o tę nagłą pieczołowitość, lecz markietanka obruszyła się na niego:

— A co to? Chcielibyście, żeby się to wszystko zmarnowało a zmurszało na wilgoci i kurzu!...

— Pewnie! Widziało mi się, jakby się aśćka do wyjazdu zbierała...

— A tylko co? Toć wszyscy się wybieramy! Z czasem dobrze byłoby dziewczyninie troszkę się na koniu przehajdać. Zakisnąć ma tu do cna?... I zwierzęciu niezdrowo, bo się zastoi! Już to u was dbają o dobytek pański, niema co!...

Ekonom umilkł na taki argument. Żubrowa dalej prowadziła swe przygotowania. Aż gdy ukończone zostały, upatrzyła Zośkę, siedzącą samotnie w oknie alkierzyka i mrugnęła znacząco.

— Co, jakże? — rzuciła niespokojnie pułkownikówna.

— Według rozkazu, wszystko gotowe!

— Kiedyż ruszamy?

— Im prędzej, tem lepiej! Jesień za pasem — bałamucić niema co! Choćby dziś jeszcze!...

Zośka przeżegnała się.

— Więc pod figurą?...

— Tak. Zaraz po wieczerzy... Co noc, to noc. Mogliby zgonić i przyłapać! Byłaby jeno niepotrzebna konfuzya i wstyd.

— Na miłość Boską, aby dobrze wszystko ułóżcie... bobym chyba nie przeżyła... A tu ostać nie mogę — nie! Dobrzy są dla mnie, lecz ani sposób... wlecze coś!...

— Nic! Dobrze będzie! — zakonkludowała z przekonaniem markietanka. — Radę sobie damy! Żeby tak jeszcze mój stary gdzie się odnalazł... Ej! Na koniec świata choćby! Nie nowina to dla mnie... i po takiemu i po siakiemu językiem się miele...

— A którędyż myślicie?...

— Jako się rzekło, paniusieczko moja! Do Niewirkowa wprost na Lublin i Krasnystaw! Ba, abyśmy do Krasnegostawu się dostały! Tam człowiek jak w domu! Niewirków akurat pod Cześnikami, Cześniki pod Miączynem, Miączyn pod Sitnem, a z Sitna to już i mury Zamościa widać o wschodzie słońca!... Tedy odzienie niech wezmę jeszcze...

Zośka wyjęła z kufra kołpaczek swój, hajdawerki a kruciczkę i oddała markietance. Ta ukryła te przedmioty pod narzuconą chustą i wyszła szybko, szepcząc na odchodnem:

— Dziś tedy... po wieczerzy!...

Gdy Żubrowa przechodziła przez izbę jadalną, z poza szaf wyjrzała zarumieniona twarzyczka Urszuli. Markietanka przeżegnała się.

— Święty Antoni! Toż to pisklę gotowe wszystko wypaplać! — mruknęła wystraszona Żubrowa, a nie mogąc pohamować irytacyi, ozwała się z przekąsem:

Piękny obyczaj! Waćpanna widzę w ciuciubabkę jeszcze bawić się lubi, czyli w chowanego...

— Właśnie... tak mi się spodobało! — odcięła się hardo Urszula.

— Niby złe jakie po kątach się kryć!

— Ej, Żubrowa, nie przymawiajcie, bo zaraz wszystko pójdę powiedzieć pani matce.

Markietanka zatrzęsła się z przerażenia.

— Paniusieczko!... Święty Antoni! A to skaranie! Któż widział! Waćpanna nic serca nie masz, a tożbyś panią kapitanową na wiek wieków w nieszczęściu pogrążyć mogła!... Niechże cię Bóg strzeże bodaj jedno słóweczko rzec!...

— To, to nie róbcie przytyków! — zagroziła Urszula.

— Kto? Kto robi przytyki?... A to ci dopiero... dzierl... wściubi... tfy! Mnie ani w głowie!... Szczur medyolań... sroka... Olaboga! Język mi się plącze!...

— Jeszcze? Dobrze, idę natychmiast do pani matki... powiem!...

— Co, co waćpanna powie?!

— Że... że dziś nocą... pod figurą... nie nocą, tylko zaraz po wieczerzy...

— Święty Antoni! strzymaj, bo ja sama nie mogę!... Takie to ledwie urosło, a już grozi zdradą! A wiesz o tem waćpanna, gdybyś tak w legii służyła a wojskową tajemnicę nieprzyjacielowi wydać chciała, to jużby cię rozstrzelali!

— Rozstrzelali?!

— Ani chybi! Ręce w tył. Chustkę na oczy... Pluton żołnierzy z kapralem. Cel — pal!!... i... po wszystkiem... a tu, bez mała także idzie o wojskową tajemnicę... więcej jeszcze może, bo... o wszystkie kapitaniątka!...

— O... o kapitaniątka!... — powtórzyła z przejęciem Urszula.

— Tak i o wszystkich! O pana porucznika...

— O Florka?

— Juści!... Chce waćpanna biedy a lamentu narobić, to dalej go! Niechże porucznik we własnej siostrzycy Judasza znajdzie!...

— Kiedy bo! — zmieszała się Urszula. — Ja tam wygadać nic nie myślę... tylko... tylko widzicie, Żubrowo...

— Co, co takiego?

— Jabym także z wami chciała...

— Dokąd?

— Nic!... Tylko obaczyćbym chciała Wicusia!...

— Wi...wi...cusia?...

— Wicusia Jordana! — poprawiła się z mocą Urszula.

— Jezusie! A toż się świat kończy!... Taki dzieciuch już się do Wicusia napiera!... Co waćpanna myśli?... Gdzie go chcesz szukać?... My do żadnych Wicusiów ciągnąć nie będziemy...

— Przecież Wicuś musi być w jakim regimencie!...

— Wicuś?... Cóż znowu! Jeszcze jak żyję nie słyszałam, żeby taki służył! Zdaje się waćpannie!

— Pojadę i... znajdę!

— Gdzie waćpanna pojedzie? Z kim?

— Z wami!

Żubrowa ręce załamała, czując, że tak starannie a długo przygotowywane plany rozchwiać się mogą i że perswazye nic tu nie zdziałają...

— Zaraz... jak temu kawalerowi... Wicuś?

— Wicuś Jordan!...

— Znałam jednego pięknego oficera, ale jemu było Wincenty Jordan.

— To ten sam!

— Tylko co jego teraz w żadnym regimencie niema!...

— Dlaczego?

— Dlaczego, dlaczego! — powtórzyła przeciągle markietanka. — Bo... został w Puławach tym - jakże go? — gros... majorem! Niby takim... tego...

— Oficerem.

— Otóż właśnie!... Puławy zaś są na drodze do Gortatowic, a my jedziemy do Niewirkowa pod Zamość. Więc jeżeli waćpanna chce, to już musi z panią matką jechać...

— Czy aby pewnie? — zagadnęła z niedowierzaniem Urszula.

— Czy pewnie! — wybuchnęła markietanka. — A cóżbym miała w tem? Bodajbym dziś jeszcze mego Macieja obaczyła... jeżelim skłamała... Puławy stąd jakby strzelił!... Markuszew, Kurów, Końskowola... i już Puławy widać! Święty Antoni! Zresztą, jak sobie waćpanna chce — aby się odczepiła! Nam wszystko jedno!... We dwoje czy troje — taż sama droga, ani jej nie przybędzie, ani nie ubędzie! Pijawka! Tylko co Wicusia... ani poświeć... niech mi ten łeb z karku odpadnie! (Święty Antoni, a już go mi trzymaj)... Powiedziałam! Teraz wola waćpanny!... A czy prawdę powiedziałam, to niechże się waćpanna zapyta, czy będzie pani matka na Puławy jechać czy nie!...

— No, pamiętajcie!... Jeżeli prawdę powiedzieliście, to ani pisnę, a jeżeliście zwiedli, to jadę z wami, albo wszystko rozpowiem!...

— Masz dyable kaftan! A już niech się dzieje co chce! Ale, że waćpannie te amory Wicusiowe z główki wylecą — na to ja rękę daję!...

Urszula z kolei zadrżała z przerażenia.

— Żubrowa! Skąd wiecie?...

— Wiem wszystko i basta! A w razie czego, języka za zębami trzymać nie będę!... Ma pani Gotartowska wiedzieć o jednem, niechże wie i o drugiem!...

Niech się ucieszy nowiną, niech wie, jakie to już wąsale chodzą po główce waćpanny...

— Kiedy bo Wicuś nie ma wąsów!

— To mu urosną! A pani matka...

Urszula rzuciła się na szyję markietance.

— Moja Żubrowa! Moja jedyna!... Już... żeby mnie krajali, ani pary z ust!... Ani mrugnę.. Tylko nie wstydźcie mnie! Nawet może Wicuś o tem nie wie... tylko tak... na myśl przychodzi!... Wy mi tej krzywdy nie uczynicie! Przysięgam, że nie powiem!

Markietanka ledwie się uwolniła z objęć dziewczyny.

— A to ci przylepka sacrebleu! Charakterne to wszystko... a jędrne, choć ognia krzesaj! Krew! No, no! Powiedziałam, to strzymam! Mnie do waćpanny nic! Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie i tyle! Co się to dzieje, co się dzieje! Trzech zliczyć nie umie, ślepki spuszcza, trusia istna, a już ci sobie jakieś szlufy upolowała!

Urszula zasłoniła rękami usta markietance.

— Nie mówcie już! ani słóweczka!...

— Jak się to łasi! Jak się to przymila!... Bodaj was, dzieciuchy!...

Markietanka ucałowała Urszulę, fyrknęła nosem i poszła do stajen.

Słońce zaszło. Na skraju nieba czerwieniły się jeszcze mgliste zasłony, znacząc miejsce, w którem zapadły się ostatnie błyski dnia.

Na rozdrożu pod figurą Jezusa, tonącą w zieleni, stała Żubrowa przygotowana do drogi, trzymając dwa wierzchowce.

Zośka nie nadchodziła. Markietanka zaczęła się już niecierpliwić. Naraz zarośla przydrożne zaszeleściały silniej, a po chwili wysunęła z nich postać pułkownikówny.

— Nareszcie! — odetchnęła głębiej markietanka. — Dalej, żywo!... Kołpaczek... hajdawerki i na koń!...

Zośka gorączkowo ustroiła się w podaną jej odzież, przepasała się rzemieniem, przytroczyła kru-

cicę i zebrała cugle, aby na kulbakę wskoczyć, lecz wtem czyjeś ręce objęły ją za szyję.

Pułkownikówna ulękła się, lecz w tejże chwili posłyszała cichy szept Urszuli:

— Bóg z wami! Siostrą mi bądź!...

Zośka padła jej w ramiona, chciała coś odpowiedzieć, lecz markietanka, siedząca już na kulbace, zawołała ostro:

— Na koń!... Ani chybi, ktoś od dworu nadchodzi!...

Pułkownikówna wskoczyła na siodło. Spojrzała na figurę Jezusa. Przeżegnała się. Konie ruszyły z kopyta.

Urszula westchnęła smutnie i zawróciła zamyślona ku dworowi.

III.

Było południe. Czerwone słońce ważyło się pod firmamentem i prostopadłymi strumieniami przezierało jasne nurty Niemna. Brodate a sutem poszyciem krzaków u pni otulone bory stały ciche, zadumane, kryjąc przed żarem niebieskim miliony ptactwa, legiony zwierza. Faliste i urwiste brzegi świeciły jasno żółtemi, czerwonemi a białemi niekiedy pręgami, zdradzając swe bogactwa, a chełpiąc się szerokim kożuchem czarnoziemu.

Niemen toczył swe fale cicho, majestatycznie, oglądając swoje wielkie dziedzictwo, sięgające Kopyla, Horodyszcz, Oszmiany, Bucławia, Uciany, Upity a Sejn, a obejmując szeroką połać ziemi soczystej, mocnej, strojnej groźnemi baszty zamków krzyżackich, wiejącej z każdej swej piędzi legendowym szeptem baśni, wspomnień, historyi.

A na ziemię tę składały się wierne Niemna leniczki, więc Żmujdzianki — Jura, Dubissa, Niewiaża i Święta — Witołdowe córy — Zejmiana, Narocz, Świr, ostrobramska Wilia z Wilejką, i Strawa, i Mereczanka, i Dzilwa, i Gawja, i Berezyna, i Szczara, i Czarna Hańcza, i Szeszupa. Każda z nich niosła na falach swych wieści a nowiny.

Niemen słuchał, toczył niekiedy pianę, rwał brzegi, targał je, nowe żłobił koryta i znów zapadał w swą potężną zadumę, smętek, melancholię, czekając, aż zejdzie pomazaniec i tęsknicę jego zaklnie w pieśń...

Było południe. Małe miasteczko Tylża, do niedawna słup graniczny pruskiej monarchii, położony nieco powyżej delty niemeńskiej, na którą dwa wartkie koryta Gilii i Rusa się składają, spowite zielenią, spoglądało milczące ze wzgórza ku Niemnowi.

Tędy to, przed tygodniem ledwie, dwór pruski przeciągnął za granicę rosyjską, tędy niedobitki pruskie uciekały po ostatecznym pogromie... tędy cofał się Benigsen.

Niemen na potężnym swym garbie uniósł pontony i tratwy, i barki, i promy, a gdy ostatni żołnierze przeciągnęli, spojrzał ku lewej stronie Skalwii i czekał!...

Aż Tylża znów wyrwaną została ze swego zaściankowego spokoju. Mieścina pokorna, pogrążona w swych skromnych troskach Żmujdzinów, znosząca z poddaniem nawet nakaz pruski, który imię jej na Tilsit przechrzcić usiłował, nie śniła nawet, że przeznaczeniem jej będzie stać się owym słupem, budowanym przez historyę ludów na rozdrożach epok, że kroniki całe rozbrzmiewać będą imieniem nadniemeńskiej mieściny, że ona rozporządzi królestwami a o losach Europy stanowić będzie!

Aż oto tuż za ostatnim maruderem z pod Friedlandu gruchnęła wieść o kapitulacyi Królewca, a w ślad za nią ulice Tylży zaroiły się kawaleryą francuską.

Było południe.

Z lasu, okalającego Tylżę od strony Niemna, wyciągnął niewielki orszak jeźdźców. Z orszaku tego wysunął się jeździec na białym arabie i spojrzał na srebrną wstęgę Niemna. Niemen go snać poznał. Szary obłok wdarł się na tarczę słoneczną. Nurty rzeki przybrały stalowy odcień, głębia skryła swe przeźrocza.

Orszak zbliżył się za jeźdźcem i zatrzymał się w oddali.

Napoleon dumał i wodził dokoła swym bystrym, przenikliwym wzrokiem. W kątach jego ostro zary-

sowanych ust błąkał się uśmiech zadowolenia, z oblicza biła świadomość potęgi i siły.

Stało się więc, czego chciał!... Prusy rozbite. Jutro z cesarzem Aleksandrem będzie zawarte przymierze! Dwóch tylko mocarzów będzie w Europie.

Dlaczego dwóch?! Wszak on sam tylko powinien rozkazywać!...

Napoleon spojrzał ku północo-wschodowi.

Na teraz tu niechaj będzie kres... A potem, jak i dotychczas, żadnego nie zniesie oporu!... Anglia — została! Lecz ona paść musi... W nowym traktacie on o niej pamiętał!... Czego nie dokonał oręż, to sprawi nakaz!...

Bonaparte odwrócił się do orszaku.

— Joachim!

— Sire! — ozwał się Murat, wysuwając konia.

— Patrz, co za przepyszny krajobraz!...

— Istotnie! Znakomity punkt do budowania fortecy.

— Cóż znowu! Berthier, słyszałeś?

— Najjaśniejszy pan ma pewno na myśli deltę Niemna!...

— Naturalnie!... Wyspa!... Wprawdzie od zatoki brzeg płaski!... Już ty, Murat, nie znasz się na inżynieryi...

Książę Bergu zagryzł nieznacznie wargi.

— Więc już po wojnie!... Jutro mamy się spotkać z cesarzem Aleksandrem. Czas nam wracać do kraju! Duroc! Przygotowania poczynione?

— Najzupełniej, sire!... Generał Lariboissière kończy... Pawilon na środku Niemna już pobudowany...

— Chyba grunt będzie neutralny!... Korci mnie tylko punkt o Prusach...

— Książę Łobanow nadesłał mi notę w tej mierze! — wtrącił minister wojny Berthier.

— A — i cóż?

— Cesarz Aleksander żąda stanowczo, aby królowi pruskiemu powrócone zostały wszystkie zdobyte prowincye pruskie za wyjątkiem ziem, które weszły w skład Prus w roku 1772. A co się tyczy projektu

waszej cesarskiej mości utworzenia Księstwa Warszawskiego, to Cesarz gotów jest nań się zgodzić.

— Niechże tak będzie! Żądam tylko, aby w traktacie było jasno i dobitnie powiedziane — że ja przez wzgląd na Cesarza Wszech Rosyi i chcąc Mu dać dowód swej przyjaźni i niewzruszonej ufności, oddaję jego aliantowi, królowi pruskiemu, większą część zdobytych na nim prowincyj...

— Stanie się zadość woli najjaśniejszego pana!

— I tak będzie lepiej! Berlin ukarzemy!... A co jabym z temi ziemiami robił!?

Napoleon był w dobrem usposobieniu. Murat, nie zrażony konfuzyą, jaka go spotkała, podsunął się nieznacznie do Bonapartego i zagadnął:

— Sire! Czy prawdą jest, że koroną... Księstwa Warszawskiego raczyłeś już rozporządzić na rzecz króla saskiego?...

Napoleon skrzywił się.

— Jeżeli chcesz wiedzieć — to od dosyć dawna!...

— Czy, najjaśniejszy panie, wybór ten...

— Jest odpowiedniejszy, niż ci się zdaje! — przerwał sucho Bonaparte. — Król saski jest najgodniejszym... z kandydatów! Wraca zresztą do dziedzictwa swych przodków!... Na razie wybij sobie z głowy projekty... Karolina także niech rozwagi nabierze i... przestanie mnie zasypywać prośbami!...

Bonaparte zawrócił konia ku Tylży.

Stojący za nim orszak rozstąpił się. Napoleon rzucił okiem między gromadkę marszałków i generałów, a dostrzegłszy Dąbrowskiego, dał mu znak, aby jechał przy nim. Gdy Dąbrowski spełnił rozkaz, Bonaparte ozwał się porywczo:

— Cóż, Dąbrowski, widzę, że od dwóch dni chodzisz jakby z nóg ścięty?...

— Najjaśniejszy panie!...

— Pewno ci Berthier powiedział...

— Nie jest to dziś tajemnicą!...

— Krzywicie się! Wam się to nie podoba?!... Chcielibyście Bóg wie czego!... Bo, mów! Dlaczego nie mówisz?!...

— Najjaśniejszy panie, jeżeli każesz mówić — powiem! Pokój z Prusami i Rosyą będzie smutną dla nas niespodzianką!... A nadto Księstwo nie ziszcza nawet...

— Co wam się zdaje!... Chcecie, bym znów z Austryą rozpoczynał wojnę?... Bo czyż ona może się zgodzić na oddanie Galicyi?... Bądźcie kontenci z tego, co wam daję. Stosunki mogą się zmienić! Musicie mi ufać, inaczej nic nie będę mógł uczynić!...

— Sire! — odrzekł gorąco Dąbrowski. — Czy nie składamy dowodów przywiązania bezgranicznego?!...

— Zobaczymy!...

— Tu jednakże pewne nieznaczne nadania podniosłyby ducha, gdy... w przeciwnym razie, ludzie nieprzyjaźni gotowi są podburzać umysły...

— Tem dla was gorzej, jeżeli dacie posłuch intrygom! Dąbrowski, znasz mnie — powiedziałem! Każdy ma z was pretensye... Taki Murat! Gwałtem chce się ubrać w gronostaje! Powiada, że mu już w marszałkowskim pióropuszu nie do twarzy!... Wyobrażam sobie, jaką ten mi znów minę pokaże! Ba! Gdybyście takich, jak wy sami, mieli więcej!...

Zaroiła się Tylża od mundurów wojskowych . zadrżała od brzęku ostróg i szczęku oręża. Lecz w tym zgiełku a rozgwarze nie było ni groźby, ni buty ambitnych synów Marsa. Paradne uniformy, ekkie wizytowe szpady, lśniące a misternie wykrojone buty, nieskazitelnie białe żaboty, kamizelki, rękawice, kamasze, kity, bramowania przeistoczyły oficerów z pod Jeny, Eylau i Friedlandu w zastępy salonowych wykwintnisiów, a żołnierzy — w oddziały niby dla uświetniania pochodów i nimbu dworskiego stworzone.

Na środku Niemna, na szerokim promie ustawiono wspaniały namiot, przeznaczony na spotkanie się dwóch mocarzów: Napoleona i Aleksandra.

W dniu 25-ym czerwca, około południa, obydwa brzegi Niemna wystroiły się w dwie błyszczące wstęgi bagnetów. Armaty zagrzmiały długo, uroczyście. Trąby i bębny uderzyły fanfary... a równocześnie od dwóch

przeciwnych brzegów Niemna ruszyły łodzie, wiozące cesarzów ku namiotowi na środku rzeki.

Bonaparte jechał, mając przy boku swoim Joachima Murata, ministra wojny Berthiera, marszałka Bessièra, ulubionego Duroca i wielkiego koniuszego, generała Caulincourta. Z cesarzem Aleksandrem płynęli: Wielki Książę Konstanty, Benigsen, książę Łobanow, Suworow, adjutant hrabia Liewen i Uwarow.

Monarchowie uściskali się. Europa z trwogą oczekiwała mających pod Tylżą nastąpić wyroków.

Pierwsze to spotkanie było zaledwie wstępem do uroczystości.

Po złamaniu pierwszych lodów i ogłoszeniu Tylży za neutralną — obie armie zmieszały się, połączyły. I naraz ulice skromnej mieściny wypełniły tłumy strojne, różnorodne, różnojęzyczne.

Francuzi, Rosyanie, Prusacy, Bawarczycy, Hiszpanie, Polacy, Włosi, Tatarzy, Mamelucy, Kozacy, Sasi, Wirtemberczycy, Kałmucy, nawet i Szwedów nie brakło. Uczty i bale, przeglądy a rewie następowały co dnia. Niemen tonął w powodzi ogni, lasy roznosiły echa wiwatów. Sztaby oddawały się uciechom i słodkiej bezczynności.

Dyplomacya tylko pracowała po całych dniach. Na nią teraz przyszła kolej! Ona miała krwawe żniwo oręża zmienić na punkty traktatu. Minister Berthier z marszałkiem dworu Duroc'em pracowali bez wytchnienia, prowadząc układy co do wyrażenia punktów traktatu.

Do Tylży w kilka dni później przybył król Fryderyk pruski, a za nim królowa, która w trudnem położeniu podtrzymywała godność rozbitego państwa. A zadanie było ciężkie, ile że Napoleon choć przyjął królowę z należnymi jej względami, jednak gwałtowna jego natura dla kobiet względów nie miała. Wdrożony do życia obozowego, ślepem posłuszeństwem zepsuty, nawykły do krótkich, piorunowych raportów i rozkazów, nie rozumiał półsłówek, półtonami gardził. Bonaparte lubił być szczerym, a wówczas

w salonie stawał się szorstkim, rubasznym, impertynenckim, oschłym.

Królowa pruska wiedziała o tem, że niekiedy w zaciszu dworskiego gabinetu, w mrokach pałacowych ogrodów, pośród uczty napozór etykietalnej, bezmyślnej, niewinnej, ważą się losy narodów; wiedziała, że dyplomacya tu głównie się ściera, tu walczy, tu zwycięża i tu zdobywa.

Niekiedy jeden uśmiech za stołem biesiadnym, jeden wyraz, jedno spojrzenie stanowi więcej, niż armia, zdobywa więcej od najśmielszych, najgenialniejszych wodzów na polu bitwy.

Lecz z Bonapartem była sprawa trudna. Na pierwszą lekką aluzyę, uczynioną mu przez królową, a mówiącą o wspaniałomyślności zwycięzców, Napoleon odrzekł ostro:

— Wasza królewska mość zapominasz, że ja daję więcej aniżeli powinienem, bo mężowi jej ofiarowuję koronę, której w tej chwili nie ma!...

— Losy wojny bywają niezbadane!...

— Ach! To znów co innego!... Jakże mogły Prusy odważyć się na wojnę ze mną!...

— Najjaśniejszy panie, sława Fryderyka Wielkiego upoważniała naszą armię do myślenia nawet o zwycięstwie!...

Bonaparte uśmiechnął się ironicznie.

— Wasza królewska mość... sądzi, że armia znaczy co bez wodza?...

— Bynajmniej... Zdawało się nam, że go znajdziemy!... Boć wielcy wodzowie rodzą się nie w kancelaryach królów, lecz na polu bitwy... Nigdy przewidzieć nie można, rozpoczynając wojnę, czy armia wyda z łona swego zdobywcę... Chyba, że ktoś, jak ty, najjaśniejszy panie, święcił tryumfy.

— Gdybyś wasza królewska mość w ten sposób przemawiała do swego małżonka przed wojną... nie tułalibyście się, jak teraz!...

— Czyż mogłam odwodzić... go...

— Nie trzeba było podżegać!...

— Najjaśniejszy panie!...

— Nie lubię z kobietami mówić ani o wojnach, ani o polityce!...

— Jestem królową!...

— Wyjątków żadnych nie uznaję!

— Najjaśniejszy panie, zbyt cierpkie wyrazy...

Królowa umilkła nagle. Silny rumieniec wystąpił na jej delikatną twarzyczkę. W wielkich, niebieskich oczach zabłysły łzy.

— Wojna nie ma względów.

— Lecz zwycięstwo mieć je powinno! Tam, gdzie ty, najjaśniejszy panie, przewodzisz, tam pogrom nie może być poniżeniem!...

Bonaparte sięgnął do stojącego na stole kosza z kwiatami, zerwał jeden i podał królowej.

— Racz ją przyjąć, wasza królewska mość...

— Tylko różę?... — szepnęła nieśmiało królowa.

— Razem... z Warmią!...

Tak rozstrzygnęły się losy prowincyi, która już była przyłączoną w opracowanym na poły traktacie do Księstwa Warszawskiego i tak dalej ważyły się losy setek i milionów, zawisając co chwila na jednem słowie Bonapartego.

Królowa pruska działała zręcznie. Umiała z każdej chwili skorzystać, układnym frazesem w ambicyę Napoleona uderzyć. Cztery razy zmieniano gotowy do podpisu traktat... Dziwił się Bessières, dziwił książę Łobanow, bo znów ten ostatni nie żądał wcale aż tak wielkich ustępstw dla Prus!

Napoleon dał więcej królowi Fryderykowi, niż chciał cesarz Aleksander, niż Bonaparte mógł, niż mu zezwalały zaciągnięte obowiązki.

Królowa pruska pracowała jeszcze, aby z aktu pokojowego wykreślić upokarzające wyrazy, stwierdzające, że Prusy stają się napowrót królestwem przez wzgląd na cesarza Aleksandra, lecz tu Napoleon okazał się niewzruszonym.

A gdy królowa silniej o to prosić go zaczęła, odrzekł ostro:

— Nawet dla dywizyi tak powabnych jak wasza królewska mość... penitentek od tego nie odstąpię!...

Upokorzenie wpisane zostało do dziejów.

Dwa tygodnie trwały tylżyckie uroczystości, przez dwa tygodnie brzegi Niemna rozbrzmiewały weselem.

Napoleon, uznany przez mocarstwa cesarzem, pławił się w potędze swojej a sławie. Korony braci cesarskich zatwierdzone. Ludwik holenderskim, Hieronim westfalskim, Józef neapolitańskim królem przez dwory sankcyonowani — mogli odtąd rozpościerać swe purpury i gronostaje i czerpać pełną czarą z braterskich trofeów.

Deszcz wstęg, orderów i tytułów posypał się w Tylży. Bonaparte umiał być szczodrym i wspaniałym. Nie zapomniał nawet o tym, który mu się najbardziej dał we znaki podczas ostatniej kampanii... i zobaczywszy pewnego razu stojącego w orszaku cesarza Aleksandra słynnego atamana kozackiego, generała Płatowa, skinął nań.

— Winszuję ci, generale, zdolności! — rzekł łaskawie.

Ktoś ze świty przetłómaczył Płatowowi słowa Bonapartego. Stary ataman schylił głowę i odpowiedział krótko:

— Wasza cesarska mość, niezasłużona pochwała!

— Przeciwnie, ciebie uważam za jednego z najgodniejszych!

Płatow skłonił się jeszcze niżej, a nie mogąc pohamować rogatej duszy kozaczej, ozwał się szybko:

— W najbliższej wojnie postaram się usprawiedliwić słowa waszej cesarskiej mości!...

— Generale! — upominał Napoleon — teraz mamy pokój!...

— Tak jest, najjaśniejszy panie — bąknął ponuro ataman — mamy teraz pokój!...

Napoleon odwrócił się, a nie chcąc dać poznać, że zrozumiał odpowiedź Płatowa, obdarzył go swoim portretem...

W Tylży co dnia zrywały się nowe wiadomości o traktacie... W dniu siódmym umowa z cesarzem

Aleksandrem została ukończoną i podpisaną, we dwa dni później stanął pokój z Prusami.

Paragrafy były zredagowane krótko. Każdy wyraz tam rozstrzygał o tysiącach, każda litera była przed wypisaniem jej obliczoną, każde omówienie było skutkiem głębokich rozpraw i długich dyskusyj. Przecinek starczył za granicę państw, punkt każdy z nieubłaganą stanowczością urywał, rwał nadzieje, usuwał wątpliwości. Ani jednego domyślnika w układzie słów, ani jednego złagodzenia treści.

Wstęp krótki, zawarty w kilku pierwszych punktach, a czyniący zadość tytułom wysokich sojuszników. A dalej już zdanie po zdaniu — śmiałe, wyraźne, jasne, bijące w oczy swą surowością układu.

Artykuł piąty. „Prowincye, które składały część dawnego Królestwa Polskiego i które później w różnych epokach dostały się pod panowanie pruskie, będą należały, jako własność króla saskiego pod tytułem Księstwa Warszawskiego (wyjąwszy wymienionych w artykule 9. i poprzedzającym), i rządzone będą przez konstytucyę, zapewniającą wolność i przywileje ludów tego Księstwa i pogodzić się dającą ze spokojnością krajów sąsiednich".

Artykuł szósty. „Gdańsk z obwodem mili jednej do swej niepodległości powrócony zostaje, pod protekcyą królów saskiego i pruskiego".

Artykuł siódmy. „Dla komunikacyi między Saksonią i Księstwem Warszawskiem oznaczony zostaje „Trakt wojskowy" przez kraje króla pruskiego".

Artykuł ósmy. „Ani król pruski, ani król saski, ani miasto Gdańsk nie będą miały prawa stanowić żadnego cła na rzece Wiśle".

I dalej znów traktat oznaczał granice monarchii pruskiej, regulował przyszłe stosunki celne, zapewniał Rosyi pośrednictwo Napoleona pomiędzy nią a Turcyą — a znów Bonapartemu pojednawcze kroki między Francyą i Anglią — chociaż równocześnie rozszerzał tymczasowo zakres systemu kontynentalnego; w ostatku casus belli z Prusami, liga reńska, w całej swej rozciągłości uznaną została.

Traktat tylżycki w jednej chwili dopełnia napoleońskich tryumfów i rozlegające się tu i owdzie salwy ucisza.

Dwaj dzielni a prawi obrońcy wolności pruskiej — nieustraszony Nettelbeck i niezmordowany Schill, zaprzestają walki na śmierć i życie prowadzonej. Tylża wytrąca im z rąk oręż, podjęty z rozpaczliwą odwagą.

W okolicach Drwenkowa i Ostrołęki ustają utarczki placówek. Generałowie Claperède i Montbrun ściągają swoje oddziały. Między walczącemi niedawno armiami wznoszą kopce i słupy graniczne.

Król szwedzki, który wierny przyrzeczeniu, właśnie był w Stralzundzie kampanię z Francyą rozpoczynał i korpusowi Brune'a zagrażał — opuszczony nagle, wskutek wieści tylżyckich, przez Anglików i nowozaciężną dywizyę pruską Blüchera, musiał cofnąć się na wyspę Rugię, aż tam otoczony, broń złożył... Odstąpili go i ci nawet, za sprawę których walczył.

Gdy pierwsi gońce z nad Niemna stanęli nad Wisłą i gałęzie oliwne przywieźli — Warszawa struchlała, bojąc się pokoju, bojąc się napoleońskich traktatów — a gdy nad stolicą Mazowsza mitra książęca zawisła — smutek a żal jakiś zapanował. Żal do Bonapartego, że tak mało uczynił z tego, co głosił niedawno w swych rozkazach dziennych, żal za uformowanie jakiegoś niekształtnego, chorobliwego w zapoczątkowaniu swojem pisklęcia, mającego od pierwszego dnia swych narodzin cierpieć na bezkrwistość.

Księstwo Warszawskie był to nowotwór złożony z wykrawków z rozmaitych ziem dawnych a obwodów. Nowotwór o tyle nędzniejszy jeszcze, że Bonapartemu podobało się ofiarować królowej pruskiej różę z Warmią.

Nowotwór, może wystarczający na plac musztry dla zbieranego dla armii pruskiej rekruta, może przekonywający o dobrych chęciach Bonapartego.

Zawód był wielki. Wszyscy, którzy dotąd nie ufali orężowi Napoleona — odezwali się głośniej, śmielej. Chciano nową deputacyę formować, posły wyprawiać, przedłożenia uczynić, ale było już zapóźno. Traktat był podpisany — Napoleon bawił w Dreznie, odbierając hołdy a pokłony całego świata.

Bawarya szczyciła się, że królewnę swoją wydaje za mąż za pasierba cesarskiego, Eugeniusza Beauharnais, a Würtemberg znów gotował wspaniałe wiano córce królewskiej Katarzynie, mającej zaślubić króla westfalskiego, Hieronima.

Wśród dworskich uroczystości w Dreznie a wojskowych parad, Bonaparte wspomniał, że Księstwu ma dać konstytucyę. Kuryer cesarski ruszył tejże godziny do Warszawy z wezwaniem, aby Józef Wybicki i Stanisław Potocki stawili się natychmiast...

Gdy zaledwie w dwanaście dni po wysłaniu kuryera do Drezna zjechała cała komisya rządząca, z marszałkiem Małachowskim na czele — Bonaparte, trzymając się wiernie swego rozkazu, wezwał do siebie tylko Wybickiego i Potockiego.

Ze drżeniem serca a z całym szeregiem planów stawili się dwaj komisarze w gabinecie cesarskim.

Napoleon ledwie skinął im na przywitanie.

— Jesteście nareszcie!... Doczekać się was nie mogłem! Nie skorzyście do spełniania rozkazów!...

— Najjaśniejszy panie, dzień i noc bez wytchnienia... — zaczął tłómaczyć się Wybicki.

— Dosyć! Spóźniliście się i koniec!... Z wami tak zawsze!...

— Najjaśniejszy panie! — ozwał się Potocki — imieniem całego kraju chcemy wyrazić waszej cesarskiej mości głęboką wdzięczność...

Bonaparte przerwał Potockiemu niecierpliwym ruchem ręki.

— Przestań pan! Wiem, że jesteście niekontenci!... Nie przeczcie mi, bo wiem o tem!... Nie podoba się wam, że tylko jest Księstwo, ale ja interesów Francyi dla was nie mogłem poświęcać! Ja nie mam

prawa narażać jej na nowe walki dla was! Muszę się liczyć z dobrem mojej ojczyzny!...

Wybicki odrzekł gorąco, że naród przyjmuje z wdzięcznością to, co mu daje Bonaparte i chce w dalszym ciągu dowodzić mu swej wierności i oddania.

Bonaparte rzucił krótko:

— Zobaczymy! — zaczem chwycił za leżący na stole swój kapelusz stosowany i skręcił go w ręku. — Widzicie — rzekł — to wasze księstwo i to wszystko tak się jeszcze połamie!... No?... Cóż?... Macie jaki projekt do konstytucyi?...

Potocki rozwinął wielki memoryał i czytać zaczął.

Bonaparte słuchał przez chwilę, a potem przerwał niecierpliwie:

— Nic z tego! Szkoda było pracy! Dziś trzeba wam dać inną konstytucyę! Rozumiecie? Reprezentacyjną! Wam się śnią dawne dziwactwa! Dosyć!...

Napoleon sięgnął po dzwonek. We drzwiach ukazał się Rustan.

— Księcia Bassano natychmiast!...

Rustan oddalił się pospiesznie.

Napoleon mierzył wielkimi krokami gabinet. Z ust jego wymykały się zdania krótkie, ostre. Komisarze słuchali, nie śmiąc się odezwać.

— Wy potrzebujecie praw, któreby was ujęły w karby, któreby wytępiły bezład, samowolę!... Takiej wam trzeba konstytucyi!

Wybicki zebrał na odwagę i odezwał się nieśmiało, że w poczekalni był prezes komisyi rządzącej z innymi członkami. Bonaparte polecił ich przywołać natychmiast.

Gdy Małachowski i towarzyszący mu panowie zaczęli znów dziękować, Napoleon zmarszczył się groźnie i odrzekł surowo:

— Nie lubię pustych słów! Dziękujecie, a wszyscy macie pretensyę, żem dla was za mało uczynił!... Nie przecz mi, panie prezesie, wiem o tem!... Toż samo mówią wasze twarze! Inaczej być nie mogło! Dwieście lat pracowaliście na stan wasz dzisiejszy! Wasza wolność przeszła w anarchię, niezgodę, waśnie, obez-

władniała królów!... Nie szanowaliście praw przez samych siebie ustanowionych!... A dziś chcecie, abym ja przywrócił wam to, coście sami roztrwonili! Czasu trzeba. Musicie najpierw przejść przez twardą szkołę, zaprawić się do obowiązku, do posłuszeństwa!...

Komisarze zwiesili ponuro głowy.

Bonaparte zasunął rękę za klapę munduru.

— Gorzkie słowa! Nie zasłużyliście na inne! Entuzyazm i nic nadto!... Dam wam konstytucyę reprezentacyjną pod berłem króla saskiego i jego dynastyi, zniosę poddaństwo, ustanowię równość stanów!

Drzwi gabinetu cesarskiego otworzyły się cicho. Wszedł pośpiesznie książę Bassano. Bonaparte zwrócił się do niego:

— Jesteś nareszcie!

— Sire! — bąknął książę, kłaniając się nisko.

— Siadaj i... pisz!

Bassano usadowił się przed biurkiem i zagadnął cicho:

— Mam zatytułować, sire?

— Konstytucya! — rzucił przez zęby Napoleon i bez ociągania się jął dyktować księciu Bassano punkt po punkcie.

Członkowie komisyi stali wyprostowani, patrząc w niemem osłupieniu, jak tu przed ich oczyma rosły statuty bez rozpraw, bez dyskusyi, bez wotowania.

Stary marszałek sejmu czteroletniego szczególniej był wzruszony i przejęty. To, na co ongi trzeba było miesięcy, lat całych, tu załatwiało się w minutę!...

Bassano ledwie mógł nadążyć pisać. Chwilami Bonaparte urywał nagle, zamyślał się, a potem pytał znienacka komisarzy, iżali im ten lub inny układ przypada do przekonania, ale zanim który z nich zdążył coś rzec, Napoleon już dalsze punkta rozwijał

Oficer służbowy zameldował Talleyranda.

— Niech wejdzie! — rozkazał cesarz.

Książę Benewentu wszedł zgięty w pałąk.

— Masz projekt konstytucyi księstwa?

— Właśnie, sire, przyniosłem go... jeszcze nie jest ukończonym...

— Taki wolumin!?... Schowaj go na pamiątkę dla siebie! Gadulstwo! Miałeś dwa tygodnie czasu!... Patrz, ja już kończę!... Bassano, pisz! — Marszałek z grona członków sejmu, przez króla mianowany, prezyduje! Większość stanowi! Sejm jest zwyczajny i nadzwyczajny... pierwszy wybiera się co dwa lata...

Adjutant służbowy znów ukazał się we drzwiach.

Napoleon skrzywił się niechętnie.

— Kto tam znów?

— Jego królewska mość... król westfalski!...

— Niech czeka! — rozkazał cesarz Francuzów i dalej dyktował konstytucyę...

W ciągu godziny ustrój nowego państwa był gotowy. Bonaparte polecił księciu Bassano uporządkować go i na dzień następny przygotować w kilku egzemplarzach. Następnie członkom komisyi nakazał udać się do sali audyencyonalnej.

Szambelan służbowy zaprowadził ich i ustawił pośrodku sali.

Komisarze ledwie mieli czas otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarło na nich dyktowanie konstytucyi, gdy drzwi środkowe otwarły się raptownie.

Napoleon, poprzedzony przez szambelanów i wielkiego marszałka dworu, wszedł pośpiesznie, mając za sobą króla saskiego, Fryderyka Augusta i ministra saskiego, hrabiego Schönfelda.

Napoleon polecił przedstawić komisarzy królowi. Gdy szambelan skończył prezentacyę, Bonaparte ozwał się do Fryderyka Augusta:

— Nie mogę dość zalecać waszej królewskiej mości, abyś ich trzymał na wodzy, a szczególnie magnatów w karby ujął! Oni zniszczyli, zmarnowali cały kraj!... Wybicki!

— Najjaśniejszy panie!...

— Nie przecz! — podchwycił cesarz. — Ce sont vos magnats qui vous ont perdu! Gdyby wasza dro-

ona szlachta, wasz lud od nich nie zależał!... To dzielni ludzie, ale nierozważni!... Entuzyazm nimi rządzi zawsze i wszędzie!... Vous êtes excellente chair à canon... Czas wielki na rozwagę, na zastanowienie! Macie dobrego króla, szanujcie go, czcijcie, aby jego szczerych dla was uczuć nie osłabić!... To sobie pamiętajcie, że jeżeli do dawnych powrócicie nałogów a bezrządu, to jak dziś dałem wam konstytucyę, tak potem odbiorę!...

Napoleon uścisnął rękę stojącego za nim króla i usunął się na stronę, zagadnąwszy o coś Duroca.

Fryderyk August głosem cichym, jakby nieśmiałym wobec swego wielkiego protektora, któremu i koronę zawdzięczał i teraz znów dziedzictwo Księstwa Warszawskiego — wyrzekł kilka słów łaskawych do komisarzów, darząc szczególniejszymi względami Stanisława Potockiego i Wybickiego.

Minister Schönfeld równocześnie zaczął naradzać się z Małachowskim nad wprowadzeniem konstytucyi.

Komisarze jeszcze dwa dni zabawili w Dreznie, uczestnicząc w dworskich przyjęciach i uroczystościach jakie się tam codzień odbywały — a równocześnie będąc świadkami piorunowego spełniania rozkazów Napoleona. Ten ostatni kunktatorstwa nie znosił. Król saski umiał w tym razie rozwinąć rzadką u niego energię.

Józef Wybicki i tu decydował jeszcze, będąc silnie poleconym przez Bonapartego, który dla uczciwości, bezinteresowności a zacnego serca ex-posła wielką powziął sympatyę. Zdanie Wybickiego tem większą miało powagę, że przy rozdawaniu wielkich urzędów nigdy nie myślał o sobie.

Jeszcze tego samego dnia ruszył z Drezna do Warszawy kuryer do dyrektora spraw wewnętrznych w tymczasowej organizacyi a dawnego prezesa izby administracyjnej poznańskiej, Stanisława Brezy, wioząc mu instrument na ministra sekretarza stanu Księstwa Warszawskiego i powołując go do osoby króla. Równocześnie minister saski, Schönfeld, goto-

wał się do podróży, mając pełnomocnictwo rozwiązania komisyi rządowej i zaprowadzenia nowej władzy w myśl brzmienia konstytucyi.

Tymczasem z łona traktatu tylżyckiego zaczęły się wychylać powoli te korzyści, które i z tego nowoufundowanego księstewka miały spłynąć na Francyę, a które pozory bezinteresownego wstawiennictwa cieniem okryły.

Księstwo było krajem sprzymierzonym, od lat piętnastu składało się wraz z całą ziemią na dobrowolny podatek krwi dla armii Bonapartego, przez pięć miesięcy znosiło bez szemrania ciężary przemarszu i postoju olbrzymiej armii, na pierwsze wezwanie podążyło wspierać francuskie szeregi — więc kontrybucyi wojennej płacić nie mogło! Ale, mimo to, pod innymi pozorami miało być pozbawione resztek dobytku.

Ziemie, które ongi, stanowiąc dobra narodowe, przeszły były do Prusaków — teraz znów, mimo niezawisłości księstwa, dostały się w ręce Francuzów.

Dwudziestu siedmiu marszałków i generałów za trudy, za zasługi położone w wojnie z Prusami odebrało nagrody z polskiej ziemi. Davoust za Auerstaedt dostał księstwo Łowickie, Perrin-Victor — Przedecz, Bessiéres — Kruszwicę, Lannes — księstwo Siewierskie, Ney — księstwo Sieluńskie, Berthier, Soult, Bertand, Oudinot niemniej suto obdarzeni zostali. Mniejsze folwarki a wsie dostały się generałom dywizyi, brygadyerom i pułkownikom.

Prawda, Bonaparte nie zapomniał o Polakach i trzem wodzom ofiarował to, co było już ich, jako Polaków, własnością. Zajączek wziął Opatówkę, Dąbrowski Winną Górę, a książę Józef Wieluń.

Lecz nie koniec na tem. Sumy, które rząd pruski rozpożyczył był szlachcie na hypoteki, chcąc ją do szybszego wyzucia z ziemi przywieść — Bonaparte uznał za swoją własność i nowemu rządowi Księstwa polecił wynaleźć środki na ich pokrycie.

Było to ciężkie zadanie! Tem cięższe, że odeń uchylić się, bez narażenia się na gniew mocarza, nie było możliwem. A dwadzieścia milionów franków było nielada ciężarem dla pustego skarbu.

Wprawdzie za drugie dwadzieścia milionów ziemianie, kupcy, mieszczanie a wieśniacy posiadali rewersów francuskich za wybrane zboże, owies, bydło, konie a prowiant rozmaity, ale te po większej części miały pozostać w aktach rodowych, jako smutne wspomnienie o tem, co do ostatecznej ruiny doprowadziło pradziadowską fortunę.

Sumy hipoteczne zaś, wobec nacisku gabinetu francuskiego — objęte w roku następnym układem podpisanym w Bajonnie, w ciągu trzech lat spłacone zostały... Historyi do sum neapolitańskich przybyły „bajońskie...“

Zanim komisarze wyruszyli z Drezna, nadjechał porucznik Łukasz Wybicki ze sztafetą do Napoleona z Warszawy od marszałka Bessières.

Bonaparte, odebrawszy papiery, kazał natychmiast wezwać do siebie Józefa Wybickiego i Stanisława Potockiego, którzy już byli do koczobryka siadali.

Komisarze strwożyli się tym nagłym rozkazem. Jakież atoli było zdziwienie pierwszego komisarza, gdy w gabinecie królewskim zobaczył syna własnego w świetnym uniformie pułku szwoleżerów gwardyi. Bonaparte na widok komisarzy, porwał się z fotelu przed biurkiem i zaczął podniesionym głosem:

— Ładne nowiny z Warszawy! Niema co! Pięknie się sprawiacie! Obietnice, przyrzeczenia, przysięgi, to u was się sypią — lecz czynu zawsze wam brak! Do czego to was doprowadzi?... Jakie z tego wynikną dla was samych skutki? Najgorsze! Czas nareszcie, abyście się opamiętali!...

— Najjaśniejszy panie, nie wiem, czem zasłużyliśmy sobie znowu na nieukontentowanie?..

— Czem? Zapytaj swego syna! On mi tę nowinę przywiózł!... Chciałem wam dać dowód mojej życzliwości i rozkazałem utworzyć pułk gwardyi polskiej!...

Krasiński pokazał mi jeden szwadron w Tylży, a teraz... Bessières raportuje mi, że dla braku pieniędzy formacya musi być zawieszoną!... Widzicie!... U was tak wszystko idzie! Uniesienie wielkie, a potem nic!...

— Najjaśniejszy panie! — rzekł Potocki. — Nie pojmuję tego, co się stać mogło, bo o ile mi wiadomo, książę Poniatowski dla nawału ochotnika musiał odrzucać podania!... Młodzież, jak o szczęście, dobija się o możność służenia przy osobie waszej cesarskiej mości!

— To są frazesy! Ja mam tu dowód w ręku! — przerwał Bonaparte, uderzając ręką w leżące na stole papiery.

— Niepojęte... — szepnął Potocki.

— Niepojęte! — podchwycił żywo Napoleon, zaczem zwracając się do wyprostowanego porucznika szwoleżerów, zapytał ostro:

— Ile kompanij macie utworzonych?

— Dwie wyciągnęły pod szefem Łubieńskim — w składzie pułku pozostało półtorej!

— Macie! I to w przeciągu czterech miesięcy! A ochotnika dużo się melduje?

— Do tysiąca z górą się zgłosiło, najjaśniejszy panie! — odrzekł młody Wybicki.

Napoleon postąpił ku porucznikowi.

— Tysiąca!?... Cóż się dzieje? Dlaczego niema ich w pułku?

— Bo nie każdy może ponieść sam koszty ekwipowania, a choć paragraf piąty dekretu powiada, że niezamożnym ochotnikom będzie wydana zaliczka, a paragraf siódmy mówi o potrąceniu tej zaliczki z żołdu, jednak pieniędzy na zaliczki niema!...

Józef Wybicki spojrzał z zadowoleniem na syna. Bonaparte zmierzył od stóp do głowy porucznika i uśmiechnął się nieznacznie.

— Wybicki, widzę, że i twój syn nie grzeszy brakiem przytomności!... Tylko go na posła nie kieruj, bo i tak do rozpraw będziecie mieli ich za wielu!...

— Najjaśniejszy panie, choćbym chciał, nie potrafiłbym go skłonić do opuszczenia sposobności walczenia pod okiem tak wielkiego monarchy i wodza!...

— Zobaczymy, zobaczymy! Hm!... Tylko z tą formacyą trzeba skończyć co prędzej... Niech kasa waszego księstwa zasili tymczasem pułk...

— Legia tworzy się równocześnie — zauważył Potocki.

Bonaparte złagodniał.

— Wam ciężko!... Ofiary muszą być, nic bez ofiar!...

— Najjaśniejszy panie! — zawołał gorąco eks-poseł Wybicki. — Składki zarządzimy, obłożymy się dobrowolnym podatkiem, a pułk musi stanąć...

Napoleon kiwnął głową dobrotliwie.

— Mój Wybicki, o tobie nie wątpię! Gdyby wszyscy Polacy tak myśleli i postępowali... nie potrzebowaliby teraz mnie... Ale!... Wybicki! Pójdziesz do marszałka dworu, tam za te wsie, które ci skonfiskowali Prusacy, odbierzesz papiery na przyznanie ci innych dóbr! Należą ci się one rzetelnie!...

— Najjaśniejszy panie! O jedną łaskę ośmielam się prosić!...

— Mów! Cóż jeszcze?!

— Pozwól mi .. odmówić przyjęcia!...

— Co, dlaczego?...

— Tak, najjaśniejszy panie, to są dobra narodowe... Nie chcę, aby ktokolwiek mógł powiedzieć, że Wybicki dla zbogacenia się, dla wyzysku służy ci! Gdybyś, najjaśniejszy panie, raczył powrócić mi zabrane Manieczki... przyjąłbym z wdzięcznością... Stara to bowiem siedziba moich przodków...

— Ależ... dziwaczysz się... Te dobra dziesięćkroć przewyższają wartość tamtych twoich!...

— I dlatego, najjaśniejszy panie... przyjąć nie mogę.

— Będziesz miał te swoje wsie z powrotem! — odparł Napoleon, a obróciwszy się do porucznika szwoleżerów, rzekł poważnie:

— Ucz się i bierz przykład z ojca! Nie znam równie dobrego obywatela kraju!... Dziś odbierzesz odpowiedź z kancelaryi dla marszałka i zawieziesz ją!

— Według rozkazu waszej cesarskiej mości!...

— Wy zaś, panowie, wracajcie także!... Obym jaknajprędzej usłyszał, że godnie odpowiedzieliście na nadane wam swobody i przywileje... Poczynacie sobie na małym obszarze! Poczynajcie więc tak, abyście kiedyś na dużym radę sobie dać mogli!...

Zaledwie w ostatnich dniach lipca Floryan powrócił do Warszawy z Gortatowic i udał się z końmi i pacholikiem wprost do kapitana Dziewanowskiego.

Ten ostatni, który już był zwątpił, żeby Floryan w zamiarze swoim wytrwał i posądzał go o zasklepienie się w wiejskiem zaciszu — uradował się wielce na widok dawnego towarzysza. A gdy pierwsze słowa powitania ze sobą zamienili, jął ostrożnie wypytywać go o dalsze zamiary.

Floryan uśmiechnął się smutnie i rzekł spokojnie:

— Napróżnobyś mnie, panie, pytał o zmiany! W domu głusza, pustkowie! Próbowałem ład siaki taki zaprowadzić... Pola leżą odłogiem... marnieje wszystko!... O pani matce, o rodzeństwie słychu prawie niema!... Powiedziałem, dotrzymam!... Na ekwipowanie się brak... więc przywiodłem trzech źrebców... Dwóch myślę odprzedać, a trzeciego zachować dla siebie, na towarzysza!...

— Doskonale! Jakiej miary?

— Cztery stopy cali ośm!

— W sam raz! Takich potrzebujemy najwięcej! Jutro złożę raport grosmajorowi Dautancourtowi, weźmie je z pewnością! Ba, i suto zapłaci, bo o dobre a młode konie trudno. Mało kto chce sprzedać, bo każdy woli dla siebie zachować! O umundurowanie niema się co kłopotać. Pełny komplet oficerski z trzema zmianami mundurów, z rajtuzami zamszem podszytymi, z pokrowcami ceratowymi, z rzemieniami, płaszczem, rzędem na konia, kosztuje około trzystu złotych polskich!...

— Hm! A uniform szeregowca musi być tańszy!...

Dziewanowski poruszył się niecierpliwie.

— Panie Floryanie! — rzekł z mocą. — W chwili pierwszego żalu nie śmiałem ani wam przeczyć, ani od zamiarów odwodzić, lecz co teraz muszę!... Jakaż bo intencya wami kieruje?... Przecież jako oficer możecie dzielniej jeszcze służyć...

— Nie — nie! — potrząsnął głową Floryan. — Nie wódź mnie na pokuszenie! Zakląłem się! Wstyd powiedzieć... dzisiaj nie chluby szukam!... Chcę nie pociechy, lecz uspokojenia!... Już mnie nie mordujcie namowami! Dopomóżcie raczej, bo z kroku mego nie chcę czynić rozgłosu, nie chcę, aby o tem rozprawiano zbyt wiele!...

Dziewanowski uścisnął serdecznie rękę Floryana.

— Już odemnie słowa przeciwnego nie usłyszycie! Wola wasza! Tem mi lżej wam powiedzieć, że pułk nasz jest niby tą starą hussaryą. U nas każdy szeregowiec ma zachowanie mu należne — a poza służbą... nie masz pomiędzy nami różnicy... jesteśmy sobie równi... A już mi tego zaszczytu nie odmówisz... chyba i do mojej kompanii wstąpisz!... Będzie nam obydwom raźniej obok siebie!

— Nie mogę! — odrzekł głucho Floryan.

— Jakto? Więc nawet mi tego ustępstwa odmawiasz?

— Muszę!... Widzicie, panie Janie, ja chcę służby! Nie potrzeba mi względów... chcę być na równi z innymi traktowany!... I dlatego tam myślę pójść, gdzie mi najbliżsi oficerowie obcymi będą!...

— Ciężko z wami poradzić! Obligować nie śmiem... choć do czasu gościnę u mnie przyjmijcie!...

Floryan bez zwłoki postanowił się zaciągnąć do szwoleżerów. Zaraz dnia następnego poszedł księciu Józefowi się przedstawić.

Poniatowski również usiłował wyperswadować mu dziwaczny zamiar i namawiał, żeby choć zaczynał służbę od porucznika drugiej klasy, lecz Floryan nie ustąpił. Książę Józef, widząc zawziętość Gotartowskiego, przyrzekł święcie wstawić się za nim, a żegnając go, pożegnał serdecznie słowami:

— Tracę w waszmości dzielnego oficera! Lecz choć wysokie swe zalety chcesz ukryć pod mundurem żołnierza, poznają się na nich wkrótce... o tem nie wątpię!...

Formacyą pułku szwoleżerów w Warszawie zajmował się major Piotr Dautancourt, szef szwadronu żandarmeryi polowej francuskiej. A ponieważ pułkownik Wincenty Krasiński podążył był już za pierwszym wyprawionym oddziałem szwoleżerów jeszcze pod Tylżę — więc major był zastępczo najpierwszą osobą w pułku w Warszawie. Od niego zależało przyjęcie nowozaciężnych, od niego zdanie o zdolnościach ochotnika, o przymiotach i znajomości służby.

Dautancourt miał minę groźnego służbisty. Zawsze prawie namarszczony, z wąsami nastrzępionymi, z krótkiemi szerokiemi bokobrodami a czupryną rozwichrzoną, budził postrach w ochotnikach. Lecz gdy który z nich pierwszą indagacyę przetrzymał, na zadane mu przez tłómacza pytania odpowiedział przytomnie, wówczas surowe oblicze rozpogadzało się nagle, a twarz tyle odstraszająca stawała się łagodną, pociągającą.

Niemniej Dautancourt przy przyjmowaniu nowozaciężnych był niezmiernie wymagającym, a zapalczywość swą w uporze do tego stopnia posuwał, że poleconych sobie przez księcia Poniatowskiego kandydatów usuwał — tak, że niejednokrotnie sprawa opierać się musiała o Gauviona, gubernatora warszawskiego, później o Bessières'a, a w końcu o Davousta, który jako gubernator wojenny przez czas pewien w Warszawie przebywał.

Młodzież, garnąca się tłumnie do pułku szwoleżerów gwardyi, ze drżeniem przygotowywała się do pierwszego przeglądu, który się na placu koszar Mirowskich odbywał, bo często Dautancourt, mimo pomyślnych zaświadczeń medyka służbowego, Onufryona, o stanie zdrowia wolontarza, mimo, że wolontarz miał zapewnione przez rodziców środki na wyekwipowanie się... z listy trzymanej w ręku kandydata wykreślał.

Opowiadano sobie w Warszawie, iż major szwoleżerów ma sposoby zawsze na zasięgnięcie wiadomości o zaciągającym się do pułku i jeżeli na przeszłem życiu ochotnika bodaj plamka, skaza cięży, Dautancourt gotów jest nawet cesarzowi opozycyę stawiać!...

Z tych przyczyn formacya pułku szła opieszale, bo choć na pierwszą odezwę, wydaną o tworzeniu się gwardyi, ze wszech stron młodzieży napłynęło — jednak ten i ów w ostatniej chwili wolał do legii nadwiślańskiej lub do wojsk Księstwa Warszawskiego wstąpić, niż narażać się może na odprawę. A nadto Dautancourt nawet świetności rodu pod uwagę nie brał, tak, że w szeregach, tworzących się kompanij i szwadronów, częściej można było spotkać nazwisko szlachcica drążkowego, mieszczanina, rzemieślnika, kmiecia, niż pana.

Korciło to wielce bogatą młodzież, która teraz pociągnięta duchem Marsa, skwapliwie rada była papuzie i paljowe kamizelki, granatowe, zielone a piaskowe fraki zamienić na co najpiękniejszy mundur. Korciło ją tem więcej, że pułk gwardyi czekała służba zaszczytna przy osobie cesarskiej i czego się spodziewano, pełna zabaw, festynów, uciech. Dautancourt był nieubłaganym.

Kontrole pułkowe co dnia stroiły się w takie skromne nazwiska, jak Leon Gadacz, Kacper Gawor, Korkuć, Żydok, Wigner, Tycz, Skibczyk, Smul, Owsian, Niekras, Piwo, Nadar, Mikuta, Krantz, Kurza, Łakomiak, Janik, Braun, Bieldak, Szczerbaczek, Szum, Lach.

Kapitan Dziewanowski, choć polecony sam Dautancourtowi przez generała Milhauda i cieszący się wielkimi względami majora, gdy miał podanie Gotartowskiego przedstawiać, udał się do kolegi swego, kapitana Pawła Jerzmanowskiego, którego słowo u Dautancourta wiele ważyło.

Jerzmanowski zainteresował się szczerze Floryanem, ile że go z legii włoskiej pamiętał, i tak sprawą pokierował, że na drugi dzień Gotartowski zaliczonym został do pułku i po przedstawieniu stanu swojej

służby, przeznaczonym do zbieranego oddziału, mającego w połowie września wyruszyć do Francyi dla połączenia się z dwiema poprzednio wysłanemi partyami.

Floryan, ucieszony tak szybkim rezultatem swoich zabiegów, zajął się natychmiast sprzedaniem dwóch przyprowadzonych źrebców i zakupieniem potrzebnych materyałów na umundurowanie i rzęd, z których mistrze pułkowi zajęli się wyrobieniem całego uniformu według wzorów a ustanowionych przepisów. W zabiegach tych dopomagał mu gorliwie Dziewanowski.

Dwa tygodnie minęło, zanim wyprawa była ukończoną. Floryan jeszcze czekać musiał na pierwszy przegląd, na którym dopiero miał być przydzielonym do kompanii i umieszczonym w koszarach Mirowskich.

Tymczasem gościł u Dziewanowskiego, ujeżdżając codzień przyprowadzone ze sobą źrebce i ledwie z panem Janem obojętne prowadząc rozmowy.

Ten ostatni starał się Floryana rozerwać, zabawiał go rozmowami, ciągnął niekiedy do winiarni na Daniłłowiczowską, kędy szynkareczka Marcysia witała ich żywym rumieńcem, a żegnała tęsknem spojrzeniem, chciał wreszcie między koło szwoleżerów wprowadzić, lecz Floryan wymawiał się, unikał towarzystw, a jeżeli przypadkiem się w liczniejszem gronie znalazł, milczał uporczywie.

Tem mu było ciężej, że wszystko to byli dlań ludzie obcy, choć często kawalerowie już odznaczeni. Braci Jordanów nie było już w Warszawie, bo wyciągnęli już byli z drugim oddziałem, poprowadzonym ku wielkiemu zadziwieniu wszystkich przez płaksę Stanisława Gorayskiego, którego major Dautancourt szczególniejszem zaufaniem zaszczycił. Łukasz Wybicki wyjechał był do Drezna, Wincenty Szeptycki bawił w Poznaniu, gdzie z dywizyi generała Dąbrowskiego miał polecone stu ochotnika sprowadzić. Fredro i Marscy ruszyli także.

Ze znanych Floryanowi bliżej był tylko młody Niegolewski i Jan Kozietulski, który już był w mun-

durze szefa szwadronu chodził, odznaczywszy się, jak mówiono, pod Friedlandem w oczach Napoleona.

W tydzień coś po bytności u księcia Józefa, strzelec dworski odszukał Floryana u Dziewanowskiego i przyniósł mu pięknie wypisane zaproszenie na zebranie, które z powodu uroczyście obchodzonych imienin cesarskich odbyć się miało na Zamku, lecz Gotartowski nie poszedł, wymówiwszy się grzecznie chorobą.

Przegląd pierwszy, inspekcyjny nowozaciężnych szwoleżerów wyznaczono na placu Mirowskim na koniec sierpnia.

Floryan w mundurze służbowym, w narzuconym płaszczu białym, o karmazynowym kołnierzu, dosiadł wcześniej upatrzonego konia i wyjechał na plac, zlustrowany przedtem starannie przez Dziewanowskiego.

Plac koszar Mirowskich ciekawy przedstawiał widok. Tłumy ludu otaczały go zewsząd zwartem kołem, tworząc pośrodku obszerny krąg, na którym kapitan Jerzmanowski przy pomocy adjutantów i wachmistrzów ustawiał nowozaciężnych. A był to kłopot nielada! Nieujeżdżone, nienawykłe do subordynacyi konie rwały się, wyłamywały. Niewprawni jeźdźcy nie wiedzieli czasem, czy konia za cugle trzymać, czy zsuwającą się czapkę, czy plączący się płaszcz.

Tuż przy baryerze wjazdowej na placu stali zgromadzeni ojcowie, matki, rodzeństwo a znajomi nowozaciężnych, czekając na rezultat oględzin.

Niebawem nadjechał major Dautancourt w świetnym mundurze uroczystym, otoczony sztabem oficerów. Egzamin się rozpoczął. Każdy z ochotników, zawołany po nazwisku, wyjeżdżał z szeregu i stawał przed majorem. Dautancourt mierzył bacznie przedstawiającego się i sprawdzał, iżali w rynsztunku jakiego uchybienia nie znajdzie. Równocześnie mistrz konował oglądał konia, jeżeli ten nie miał jeszcze cechy pułkowej z dokonanej rewizyi. Dwaj adjutanci ze swej strony oceniali, czy mundur jest z przepisanego gatunku sukna uszyty, czy lampasy nie są za

szerokie, a kulbaka i porządki pochodowe w należytym ładzie.

Jeżeli ochotnik z badania tego wychodził zwycięsko, wówczas kapitan instruktor rozkazywał mu kilka zwrotów z koniem wykonać i przejechać na nim stępa, kłusem i galopem. Mistrz konował wówczas pilnie zważał na chody końskie i ich wyrzuty, a Dautancourt decydował, czy szwoleżera należy zaliczyć jeszcze do plutonów początkowych, czy wcielić go, jako obznajmionego dobrze z koniem, do szwadronu.

Dautancourt był dnia tego więcej, niż zwykle, nasrożony. Z trzydziestu pierwszych ochotników, dziesięciu uznał za nieposiadających odpowiednich uniformów, a z pozostałych żadnego nie odesłał do szwadronu.

Kapitan Dziewanowski chciał przemówić za poleconym mu silnie przez kogoś Toedwenem, lecz Dautancourt oburknął się ostro:

— Ani mowy! Dzieciaki! Wyrostki! Materyał surowy! Lat trzeba będzie, żeby z nich żołnierzy zrobić!

— Panie majorze... ten młodzieniec dołoży starań...

— Powiedziałem! Panu się zdaje... Ja sam chciałbym, żeby zaciąg skończyć jak najprędzej! Wlecze się to do nieskończoności... Następny!

— Towarzysz Floryan Gotartowski!

— Znów lada jakiś! — mruknął major i umilkł nagle.

Siwo-jabłkowity źrebiec, jak strzała, wyrwał się z szeregu i za pociągnięciem cugli zarył się o dwa kroki przed Dautancourtem.

Majorowi aż się oczy zaśmiały do dzielnego konia; spojrzał na prosto a dziarsko trzymającego się jeźdźca — i zagadnął półgłosem Dziewanowskiego:

— Kto to taki?

Dziewanowski szepnął mu słów kilka do ucha. Dautancourt skinął głową i rozkazał krótko:

— Kompania kapitana Jerzmanowskiego! A potem dodał: — Co za koń pyszny!... Panie... proszę przejechać go...

Floryan spiął źrebca ostrogami i puścił cugle. Źrebiec zarżał, wyciągnął szyję, rozwarł chrapy i ruszył wyciągniętym galopem, zda się, ziemi kopytami nie dotykając. Aż nagle na głos Floryana zatrzymał się i szedł na miejsce łagodny, potulny.

— Dzielny! Znakomity!... Co za budowa!... Jaki łeb! W całym pułku nie mamy takiego konia! Winszuję panu! No... następny! — zawyrokował Dautancourt. z żalem odwracając się ku nowemu ochotnikowi.

Floryan tymczasem na dany znak skręcił za kapitanem Jerzmanowskim w stronę, gdzie stali brygadyerzy szwoleżerów.

Jerzmanowski podjechał do pierwszego z nich i zawołał, wskazując na Floryana:

— Brygadyerze, weź pod swoją opiekę nowego towarzysza... Druga półkompania... Wyznaczyć kwaterę!...

— Według rozkazu!...

Jerzmanowski odjechał. Floryan spojrzał na młodzieńczą twarz, wystającą z pod zamaszystej czapy szwoleżerskiej brygadyera i nie mógł się powstrzymać od okrzyku:

— Jezus! Marya! Marcelek...

Brygadyer zatrząsł się i, roztworzywszy ręce, chciał rzucić się na szyję brata, lecz w tejże chwili nadjechał młody szef szwadronu, Ludwik Małachowski. Brygadyer wyprostował się salutując.

— Hej! — zakrzyknął dumnie Małachowski. — Jakże acanowi?... Kupię od niego konia!...

— Panie pułkowniku—odparł spokojnie Floryan — nie na sprzedanie ..

— Ile acan zażądasz, płacę.

— Nie sprzedam!

— Jak nazwisko?

— Floryan Gotartowski.

— Więc ileż?...

— Nie handluję końmi!...

— Jesteś hardym, mości Gotartowski!... I to od pierwszego dnia wstąpienia do pułku... Subordynacyi, jako rekrut, możesz nie znać, ale o uszanowaniu dla starszych powinieneś pamiętać...

Floryan zbladł i rzucił przez zęby:

— Czy dlatego mam ustąpić konia panu pułkownikowi?...

— Wiesz, że do oficera sztabowego mówisz?

— Wiem, bo dziś rano nim jeszcze byłem!...

— Dosyć tego! Gotartowski!... Dziś jeszcze raport złożę... takich nam nie potrzeba!...

Małachowski zawrócił konia do sztabu. Bracia stali zwarzeni niespodziewanem zajściem. Marcelkowi oczy gorzały.

— Florek, do milion dyabłów, jak co, to ja mu nie daruję!...

— Brygadyerze!

— Nie wstydź mnie, bo ci te szewrony pozrywam!...

Alteracya brygadyera nie miała granic. Niespodziewane spotkanie, widok ubóstwianego brata w mundurze żołnierskim, groźba szefa szwadronu, wstrząsnęły do głębi Marcelkiem. Na twarzy wystąpiły mu ceglaste wypieki, w oczach łzy walczyły z marsem. W tejże chwili trąbka dała sygnał, że przegląd został ukończony.

Marcelek poprowadził Floryana do stajen pułkowych, a stamtąd do koszar. Tam dopiero padli sobie w objęcia, opowiadając nawzajem przebyte chwile. Rozmowa toczyła się urywana, bezładna, niekiedy w głosie Marcelka jakiś spazm się odzywał, czasem bolesne wspomnienie targnęło piersią Floryana. Gdy młody brygadyer opisywał pamiętne spotkanie z ojcem i dziadem na polach Friedlandu, Floryan drżał całem ciałem.

Spowiadali się tak sobie wzajem wśród serdecznych uścisków a słów, tchnących ufnością i przywiązaniem. Aż serca ich skrzepłe, zabiły nową wiarą, nową otuchą.

Marcelek odezwał się weselej:

Do krocset, jednego nie rozumiem: ty, kapitan strzelców, legionista.. kawaler krzyża, do szeregu!... Tfy!... Do stu piorunów, niech mnie dyabli porwą, jeżeli jest sprawiedliwość na świecie!...

— Widzisz, wszak dobrowolnie idę! — odrzekł cicho Floryan, który był ledwie przelotnie o pani Dziewanowskiej wspomniał.

— Toż pewnie! Gwałtem cię nie chwycili! Lecz co tobie, to się i u nas szlufy przynajmniej kapitańskie powinny znaleźć!...

— Et, zdaje ci się! Widzisz, chciałem do gwardyi... wakansów było mało!...

— Do licha!... Przecież i u nas w pułku młokosów nie brak!... A i to porucznikowskie obszlegi mają... Ty Florek... na prostego żołnierza, niech mnie pierwsza kula nie minie!...

— Nie żałuję wcale!... Razem nam będzie lepiej...

— Prawda!... Tylko mi to brygadyerstwo dokucza!... Do pięćkroć stu tysięcy...

— Skąd takiemi przekleństwami sypiesz!...

— At... przyzwyczajenie żołnierskie do!...

Marcelek urwał i sięgnął po meszek lśniący pod nosem.

Floryan z serdecznością a dumą spojrzał na brata, lecz ten ostatni nagle schwycił się za piersi i zaczął kaszlać głucho Na twarz wystąpiły mu znów ceglaste wypieki.

Floryan zaniepokoił się.

— Marcelek! Tyś chory?

— Tfy do czarta!... Na psa urok! Ani mi w głowie! Czasem jeszcze to pchnięcie lancą dokucza, ale to furda! Parę tygodni i... przejdzie, bo musi... Florek! baczność... kapitan!

Bracia porwali się z miejsc, nadszedł Dziewanowski i skinął na Floryana.

— Chcę z waszmością pomówić.

— Kapitanie!...

— Porzuć-że te tytuły! Wszystko poszło wybornie... major przed chwilą jeszcze wspominał o was! Tylko cóż to za zajście mieliście z Małachowskim?

Floryan opowiedział całą sprawę. Dziewanowski oburzył się.

— Pyszałek! Raport złożył do sztabu, żeście mu ubliżyli! Nieznośny człowiek!... Lecę do Jerzmanow-

skiego, bądź pan spokojny... Ale, a kto był świadkiem rozmowy?

— Ten oto brygadyer!

— Hm!... To bardzo ważne!... Brygadyerze, słyszałeś, jak szef Małachowski mówił z towarzyszem?

— Słyszałem!

— A zeznasz?

— Nie będę zeznawał, kapitanie!

— Jak to?...

— Bo towarzysz jest moim bratem!...

Dziewanowski uderzył się ręką po czole.

— Wszak cito brygadyer Gotartowski!... Patrzże, panie Floryanie, miałem się waszmości pytać, czy wam powinowatym nie wypada... Witajże mi!... Ba! to z Małachowskim sprawa skończona!... Brygadyer świadczyć nie może!... Idę do majora!... Bądźcie spokojni! Dautancourt go nie cierpi, bo wszystkim nam dał się we znaki!... Trzeba tylko, żebyś, panie Floryanie, trzymał się ostro... i z kapitanem Jerzmanowskim ruszył stąd!... Wasza kompania będzie przydzieloną do szwadronu Kozietulskiego!... A to zacna dusza!... Chociaż, może się co zmienić jeszcze, bo ledwie podział szwadronów jest jako tako dokonanym! Małachowski jest moim naczelnikiem! Ciężki z nim żywot... O służbie wojskowej ani wyobrażenia, a mina i pretensye to najmniej do wielkiej buławy!.. Choć przebąkiwać zaczynają, że mimo wielkich protekcyj Davousta, ustąpić będzie musiał!...

Jak przewidywał Dziewanowski, zajście z Małachowskim skończyło się na niczem. Dautancourt przeciął sprawę oświadczeniem, iż szwoleżer Gotartowski, nie przeszedłszy jeszcze kursu instrukcyi i służby, nie może być odpowiedzialnym za nieświadomość, niemniej kapitan, dowodzący odnośną kompanią, winien napomnienia nie żałować.

Jerzmanowski, służbista wielki, ściśle wypełnił rozkaz majora, co Floryana skwasiło niepomiernie, tak dalece, że brała go ochota służbę porzucić, a przenieść się do legii nadwiślańskiej, lecz perswazye Dziewanowskiego a wzgląd na Marcelka przemogły.

Tymczasem już dnia następnego rozpoczęły się długie i nużące musztry. Jerzmanowski chwili wypoczynku nie dawał żołnierzom. Gdy konie ustawały, zaczynał służbę pieszą, wykładał instrukcyę, ćwiczenia z bronią.

Nadto, prócz Jerzmanowskiego, inni oficerowie wykładali sposób kulbaczenia koni na komendę, puszkarz pouczał o konstrukcyi karabinków i pistoletów, w jakie byli uzbrojeni szwoleżerzy, płatnerz wskazywał, jak pałasze toczyć, konował o pielęgnowaniu konia szeroko się rozwodził.

Każda część służby, każdy drobiazg miał swego nauczyciela — ba! nawet stary brygadyer legionista pokazywał młodzieży, jak rzemienie wygładzać a guziki czyścić.

Służba taka nie każdemu przypadała do gustu. Raz w raz paniczyk jakiś, zasmakowawszy rygoru, a zrażony tem, że mu nawet pacholika na swoim koszcie, choćby i oficerowi, trzymać nie było wolno — wymykał się pocichu i znikał, mając nadzieję przystojniejszą dla się służbę wynaleźć.

Dautancourt gniewał się, pienił na wieść o każdej dezercyi, lecz mimo to była ona na porządku dziennym.

Młodzież bogata, postrzegłszy, że na „reunionach“ mundur coraz większe zjednywał sobie prywileje — hurmem rzucała się go przywdziać, lecz zakosztowawszy gorzkiego obowiązku, traciła często zapały i rezygnowała nawet z karmazynowych rogatywek szwoleżerów.

Martwiło to księcia Józefa, który po dawnych towarzyszach z pod Blachy, skłonnych do zbrojnych rozpraw — nie spodziewał się tego. Martwiła się i rada rządząca pod sędziwym marszałkiem. Lecz równocześnie, gdy paniątka z małymi wyjątkami, bądź unikały zupełnie szeregów, bądź zawieszały się przy sztabach, mających rezydować w Warszawie — mieszczaństwo a szlachta drążkowa śpieszyła gromadam do pułków.

Na połowę sierpnia z wielkim trudem a mozołem udało się Dautancourtowi wygotować trzeci oddział szwoleżerów, których miał poprowadzić do Chantilly, we Francyi, kapitan Jerzmanowski, aby tam połączyć się ze szwadronami wysłanymi pod Łubieńskim i Gorajskim. Książę Józef chciał opóźnić wymarsz, tłómacząc, że lepiej byłoby większy oddział zebrać a młodych żołnierzy lepiej do służby zaprawić, lecz Dautancourt nie ustąpił.

Nadto, gdy porucznik Łukasz Wybicki z Drezna przywiózł odpowiedź cesarską, zalecającą pośpiech i nakazującą udzielenie zaliczki na koszta dalszej formacyi marszałkowi Davoustowi — a z drugiej znów strony nadeszły listy gwałtujące z Francyi od pułkownika Wincentego Krasińskiego i pierwszego gros-majora Delaître — Dautancourt natychmiast ogłosił wymarsz.

Rozkaz ogłoszony w koszarach a otrąbiony i obębniony na odwachu miejskim, zapowiadał nieodwołalnie na siedemnastego sierpnia wielki przegląd pożegnalny oddziału szwoleżerów gwardyi na placu Ujazdowskim, a na dzień następny wymarsz do Francyi.

Warszawa przyjęła tę wiadomość, jako zapowiedź świetnego widowiska, książę Józef nakazał poczynić przygotowania do ugoszczenia żołnierzy — pani Vauban zajęła się urządzeniem wielkiej zabawy wieczornej.

Rodziny odjeżdżających ostatnie przedsiębrały starania, aby synów swoich należycie opatrzyć.

Tu i owdzie serce żywiej zabiło, smutnem trawione przeczuciem... ale nikt zresztą odjazdu do serca nie brał.

Gwardya taka cesarska bardziej bo do parad a uroczystości służyć miała, niż do rozpraw na polu bitwy! Stąd ojciec, opiekun czy łaskawy protektor nie tyle wdrażał synowi czy pupilowi swemu rycerskie zalety, ile przestrzegał go, aby gładkością obyczajów a przytomnością umiał zasłużyć się na dworze francuskim i honoru munduru z kawalerską fantazyą bronić...

Pułki Księstwa Warszawskiego a legii nadwiślańskiej nie szczędziły uwag złośliwych szwoleżerom, opowiadając sobie, że udziałem ich będzie prowadzenie piesków cesarskich i straż u drzwi fraucymeru.

Starszyzna znów zgoła inne stawiała horoskopy. Według niej, Napoleon chciał mieć przy boku swoim coś w rodzaju polskich janczarów, którzyby mu byli duszą i ciałem zaprzedani, a którzy stanowiliby niejako reprezentacyę narodową.

Przepowiednie zdawały się znajdować potwierdzenie. Bo gdy na polach Ujazdowskich wyciągnęła się linia szwoleżerów gwardyi, linia równa, a odcinająca się niby świetnie haftowany pas na zielonym kobiercu pól, gdy oczom tłumów przedstawił się zbliska ten oddział młodzieńców, niekiedy wyrostków, w zgrabnie opiętych mundurach, błyszczących od srebra, oślepiających śnieżnością białych, wzorzystych szlaków, lampasów a misternych wypustek — gdy Warszawianie zobaczyli ten szereg wypieszczonych, wymuskanych prawie uniformów, linię nieskazitelnych białych kit i wstęgę oczu jasnych, patrzących tak poczciwie, tak spokojnie, tak dziecinnie czasem — wówczas usta tłumu składały się do uśmiechu, wówczas zachwycano się świetnością widoku i mówiono sobie, że trudno byłoby znaleźć bardziej zabójczy regiment dla serc niewieścich.

Oddział dzielnie się spisał na przeglądzie, zwijał i rozsuwał linie, w największym galopie nie łamał szyku, szedł za głosem trąbki, nie chybiając ani razu komendy.

Książę Józef dziękował majorowi Dautancourtowi, przemówił serdecznie do żołnierzy — ale mimo ogniem tryskających słów — było to pożegnanie rodzica, wyprawiającego ongi syna na dwór wojewody magnata, w którem mówiło się o wielkim świecie, o zjednaniu dla domu łaskawości pańskiej, o przypodobaniu się... pozyskaniu większych względów, a może o nowym dla imienia splendorze.

Tęskne spojrzenia tonęły w karmazynowych wyłogach i nie mówiły — czy wrócisz — ale czy nie zapomnisz, czy dochowasz przysiąg, czy nie pójdziesz za inną?...

Po przeglądzie, oddział przy dźwiękach trąb, eskortowany przez dwa szwadrony ułanów, wrócił do koszar, gdzie go czekały zastawione stoły i grono najprzedniejszych obywateli.

Tu znów książę Józef przemówił do żołnierzy, Jerzmanowski odpowiedział i posypały się toasty i ochota zawrzała. Rangi zacierać się zaczęły, krew żywiej uderzała o pulsa, węgrzyn zapalał młode głowy.

Floryan stał na uboczu z Marcelkiem, nie przyjmując udziału w ogólnym rozgwarze.

Książę Józef, który był z majorem Dautancourtem przechadzał się właśnie wzdłuż stołów, spostrzegł Floryana i skinął nań przyjaźnie.

Gotartowski podszedł wyprostowany.

— Wyłamałeś się waszmość z pod mojej opieki!... Nawet znaku życia o sobie nie dałeś!...

— Wasza książęca mość mizerną moją osobą...

— Ba! Żebyśmy takich mizernych osób mieli więcej! — zauważył książę.

A odwracając się, rzekł po francusku do Dautancourta:

— Majorze!... Świetną wróżę wam przyszłość! Patrz, jeden z najlepszych oficerów legii jest u was żołnierzem!...

— A... pan Gotartowski! Wiem, wiem... dwóch ich jest... Pierwszy awans!...

— I dobrze uczynisz, majorze, mając go w pamięci; przy pierwszej okazyi przypomni ci się! Ale, mości Gotartowski, mam prośbę do niego...

— Racz rozkazać, wasza książęca mość!...

— Nie rozkazuję, tylko proszę! — rzekł z naciskiem ks. Józef. — Bądź dziś wieczorem u hrabiny na przyjęciu!... Wyświadczysz mi przysługę... bo mi z twego powodu nie dają spokoju!...

— Mości książę!...

— Choć na chwilę!...
— Będę sobie uważał za obowiązek!...
Poniatowski odszedł.

Floryan opatrzył swój mundur paradny i, spełniając wolę księcia, stawił się w salonach pałacu pani de Vauban, która po chwilowem osamotnieniu wyprowadziła się z pod Blachy i zaczęła znów odzyskiwać zaćmione przez czas stanowisko królowej tonu i elegancyi.

Wieczór, wydany na cześć szwoleżerów gwardyi, był jednym z najwspanialszych, jakie pamiętała Warszawa.

Najświetniejsze nazwiska rodowe polskie wyznaczyły tu sobie schadzkę razem z najprzedniejszemi figurami nowego rządu i przedstawicielami cesarza. Wszystko, co mogło wzbudzać zaciekawienie, było tu zebrane. Więc obok takich burczymuch — kapitanów, jak: Kurtz i Żymirski, ocierali się Tyszkiewicze, Krasińscy i Radziwiłłowie. Wybicki, Józef i Stanisław Potoccy stali w jednej gromadce z Ludwikiem Pacem, panem de Serra, rezydentem rządu francuskiego i Rautenstrauchem, dawnym adjutantem z pod Blachy.

Koźmian rozprawiał z panami Gutatrowskimi, Osiński gotował się do wygłoszenia pochwalnej ody, oficerowie rozmaitej broni kupili się, obserwując zdala olbrzymią postać marszałka Davousta i ściągłe matowe rysy generała Gauviona, Stanisław Breza, nowomianowany sekretarz stanu, z jedną z pań Potockich żartobliwie-miłośną prowadził rozmowę. Cała kolonia emigracyi francuskiej, która do niedawna była wierną strażniczką dziedzictwa Burbonów i ze zgrozą wspominała dzieje pierwszej rewolucyi... godziła się na cesarskie orły, cesarski dwór, cesarski styl, cesarską modę. Liczne grono pań z najlepszego towarzystwa ówczesnego wypełniało salony pani de Vauban. Nawet dawne przeciwniczki „Blachy“, które hołdując progom kasztelanowej Połanieckiej, unikały wszelkich stosunków z francuską damą — przybyły na uroczystość.

Wśród kobiet powszechną uwagę zwracały dwie piękności: pani Walentowa Sobolewska i Anastazowa z Łączyńskich Walewska, szczególniej ostatnia, o której tyle już kursowało plotek na temat względów, okazywanych jej przez cesarza.

Pani Aleksandrowa Potocka, pod panieńskiem swem nazwiskiem Anetki Tyszkiewiczówny znana powszechnie, zaklinała się hrabinie Maryi Krasińskiej, że Walewska trzy tygodnie bawiła w Finkensteinie, na dworze cesarskim. A Franciszek Potocki, adjutant marszałka Davousta, gdy go tu i owdzie, jako świadomego rzeczy, zapytywano, uśmiechał się dwuznacznie i wskazywał na róg sali, w którym ciężki a niezgrabny marszałek francuski bawił rozmową piękną panią Walewską.

Fala napływających gości, mimo spóźnionej pory, nie ustawała. Salony tonęły w morzu świateł, biły kolorowymi inicyałami pułku szwoleżerów, rozrzuconymi obficie na tę uroczystość, rozbrzmiewały tonami wygrywanych przez orkiestrę trzeciego pułku marszów i drżały od szmeru szeptów, westchnień a szelestu powłóczystych sukien. Na różnobarwnym, pstrym tłumie gości pani de Vauban, niby maki na kwieciem różnorodnem przepełnionej łące — odbijały się mundury szwoleżerów gwardyi. Ku nim zwracały się mowy, rozprawy, ku nim strzelały z poza wachlarzy rozmarzone spojrzenia.

Pośród bogatych mundurów oficerskich, wyróżniał się skromny, matowy uniform Floryana, a może bardziej jeszcze wyróżniała się postać Gotakowskiego, pełna wdzięku i godności, i twarz pełna tęsknej zadumy, i oczy wyraziste, ciemne, niebieskie, i urok młodzieńczej męskości, który odbijał od wybladłych uśmiechów a przygasłych oczu młodzieży, goszczącej u pani de Vauban.

W kole pań zwrócono uwagę na Floryana, starszyzna z zadowoleniem nań spoglądała. Nazwisko Gotartowskiego biegło z ust do ust, wymawiane z odcieniem zdziwienia, skąd się tu wziąć mogło, w tem wykwintnem towarzystwie.

Ale gdy zobaczono, że do Floryana i książę Józef słów parę przemówił, gdy postrzeżono, iż komisarz Wybicki zamienił z nim kilka wyrazów, a stary marszałek Małachowski przywitał go jak swego starego znajomego — wówczas domysły ustały — boć musiał to być ktoś znaczny.

Chevalier Gotartowski dostąpił zaszczytu przedstawienia pani pułkownikowej Krasińskiej, a pani Walewska uszczęśliwiła go łaskawem odezwaniem.

Marszałek Davoust również zaczął interesować się żołnierzem i właśnie chciał był o niego zapytać, sądząc, że usłyszy jakiś starożytny tytuł, gdy podeszła doń pani de Vauban i zaczęła znienacka:

— Panie marszałku, udaję się pod twoją opiekę jako do „kompatryoty...“

— Racz rozkazać, pani! — odparł marszałek, w niezręcznym ukłonie wyginając swe szerokie plecy.

— Ty jeden możesz mi w tem pomódz...idzie o pewnego młodego człowieka...

— Który w salonie pani dosłużył się już rangi kapitańskiej...

— Jesteś, panie marszałku, złośliwym! Ów młodzieniec służy w szwoleżerach, jutro ma wyruszyć z oddziałem!... Czy nie mógłbyś go pan zatrzymać?...

— Nie rozumiem... Muszę znać powody...

— Ach! to takie proste... Młodzieniec jest kochany szalenie przez osobę z naszego towarzystwa, tymczasem, choć skłania się ku niej, jednak bolejąc po stracie niewiernej bogdanki... powziął myśl zaciągnięcia się do szwoleżerów... i będąc już kapitanem, wstąpił jako prosty żołnierz...

— Hm!... Nie wiem, doprawdy! Trudno mi do spraw służby mieszać... zakulisowe wpływy...

— Ależ, marszałku, wyświadczysz dwojgu ludziom przysługę!...

— Jak nazwisko tego młodzieńca?

— Chevalier Gotartowski!...

— Nie odmawiam... będę się starał!

Marszałek przyzwał do siebie swego adjutanta, Potockiego, i wydał mu jakieś polecenie.

Floryan tymczasem, stojąc na uboczu, gawędził z młodym Wybickim, który dlań powziął serdeczną życzliwość, gdy naraz pani de Vauban podeszła nieznacznie i uderzywszy go zlekka wachlarzem po ręku, rzekła tonem rozkapryszonym:

— Podaj mi pan, proszę, ramię, panie kawalerze!

Gotartowski spełnił rozkaz. Pani de Vauban skierowała się w stronę ogrodu.

— Powinnam się gniewać! Nie poczuwałeś się pan nawet do konwencyonalnej wdzięczności! — mówiła po francusku.

— Pani raczy darować! — bąknął Floryan, onieśmielony spojrzeniami, które go na widok, że z panią de Vauban idzie, zaczęły ścigać natrętnie.

— Więc jutro chcesz pan... koniecznie ruszać w świat?!...

— Tak jest!!... Służba nakazuje!...

— I nie tęskno ci będzie... za nikim?

— Bezwątpienia! Mam rodzinę....

Pani de Vauban skrzywiła się.

— Jesteś pan nieznośnym!... Nie o to go pytam!... A gdybyś wszakże chciał... mógłbyś zostać...

— Niepodobna!

— Ciągnie cię wielka stolica... sukcesy... dwór!...

— Nie, pani, nie myślę o tem... Chcę służby twardej, obozowej, niczego więcej!...

— Wątpię, żebyś ją znalazł!... A gdyby ci kazano zostać?...

— Daruje pani, nie rozumiem!...

— Gdybym ja tego chciała?...

— Nie, niepodobna!

Pani de Vauban podniosła swe szkliste, przenikliwe oczy na Gotartowskiego. Floryan zarumienił się. Spojrzenie to drażniło go, dotknięcie ramienia przekwitłej piękności, zapach mocnych perfum, bijący od niej — odurzał szwoleżera.

— Jesteś impertynentem! — odrzekła pani de Vauban. — Kobiecie takiej jak ja, nie odmawia się!... Lecz ta impertynencya robi ci do twarzy!...

Floryan milczał. Pani de Vauban mówiła dalej:

— Usłuchaj mnie!... Nie masz pewnie na świecie drugiej równie życzliwej ci przyjaciółki! Zostań tutaj! Masz przed sobą przyszłość wielką! Ten mundur żołnierski nie dla ciebie... O nic się nie troszcz, pozostaw to mnie!...

— Nie pani! To już się stało! Nic zmienić mego postanowienia nie zdoła...

— Nawet rozkaz... majora?

— Jestem żołnierzem, musiałbym usłuchać!...

— Uparty jesteś jak dziecko!... Powinnam się pogniewać. Lecz chcę dać mu dowód, że o nim myślę!...

Pani de Vauban pociągnęła nieznacznie Floryana ku zacienionej alei ogrodu i tam, zdjąwszy z szyi kosztowny medalion, zawiesiła mu go na piersiach, mówiąc cicho:

— Noś go zawsze i myśl!... W medalionie tym znajdziesz moją miniaturę i promień włosów!...

— Pani!...

— Przyjmij go, nie dziękuj!... A teraz do zobaczenia, do prędkiego zobaczenia! Zostałabym jeszcze, lecz muszę odejść dla twego i mego, dla... naszego dobra...

Floryan chciał odpowiedzieć, lecz pani de Vauban podała mu końce palców do pocałowania i znikła szybko, dążąc ku grupie dam, stojących w oddali.

Gotartowski stał przez czas jakiś osłupiały. Co znaczyły nareszcie te względy szczególniejsze? Co te dwuznaczniki przekwitłej damy? Na toż go tu przyzwano? Złe duchy jakieś sprzysięgły się, aby mu i to wspomnienie o Zośce wydrzeć czy skalać!...

Floryan machinalnie ściągnął z szyi medalion i schował go do kieszeni, nie zastanawiając się, aby do niego wartość jaką przywiązywać. A sam, nie chcąc w ten wir szeleszczący a rozbawiony wchodzić—usunął się w głąb ogrodu i, przysiadłszy na ławce pod gęstym krzakiem czeremchy, zadumał się.

Dziwne mu się zdawały wynurzenia pani de Vauban. Wszakci tyle razy łączono imię jej z nazwiskiem księcia?... A teraz... Wreszcie ma podobno męża! On zaś nie dał jej powodu żadnego! Chociaż...

wszak gniewać się nie ma prawa — zawdzięczać jej nadto musi opiekę w chorobie!... Ot, głupstwo sobie. Jutro wyruszy, skończy się ta komedya!...

Gotartowski chciał odpędzić od siebie nasuwające się myśli, lecz chochlik zaczął mu szeptać do ucha nieznane mu słowa:

— Patrzże, to... dama! Bogata!... Zostałbyś może wielką figurą... Onaby umiała twoje ciche zasługi odsłonić światu i nagrodę wyjednać! O urząd teraz łatwo, a tyś godny, tyś zasłużony krajowi. Gdzie to teraz błędnego rycerza udawać... Pomożesz sobie, rodzinę dźwigniesz!...

Floryan targnął się niecierpliwie, chcąc się opędzić własnym myślom a podszeptom.

W tejże chwili, od przeciwnej strony krzaka, przy którym siedział, doszedł go głos żywo prowadzonej rozmowy. Gotartowski mimowoli zaczął się przysłuchiwać.

— Więc mówisz, Anetko, że Vaubanka zakochana? — pytał jakiś cienki głosik z ironicznym chichotem.

— Ma foi! Je te jure, c'est la vérité!

— Mais comment? Co tej staruszce w głowie? Skąd ta wiadomość?...

— Z najpewniejszych ust!... Wyobraź sobie, czesze mnie zawsze Gibal!... Nicpotem wielki i złośliwiec, ale moja panna służąca nie umie greckiego czesania! Alors, aujourd'hui comme toujours... nie jestem ciekawą, jak wiesz, lecz pytam się, co słychać?.. A on mi się przysięga, że dziś rano zaniósł Vaubance pukiel włosów do medalionu... Tu comprends... Vaubanka, chociaż jej serce zabiło très fort, nie mogła ryzykować... więc zamówiła Gibala! Wiesz, gdy o tem mówił... cha, cha, cha!... Quelque chose d'extraordinaire... nie mógł dobrać koloru i musiał aż farbować!...

— Anetko, co ty mówisz? Doskonałe!...

— Imagine toi.. maintenant... Pukiel włosów ukryty na piersiach podczas... deszczu zamoknie... luby... nie może poznać włosów swojej... Cha, cha, cha!... Bo...

trzeba ci wiedzieć... Gibal, niecnota, ten promień kupił od prostej kobiety!...

— Ainsi, c'est un militaire?...

— Skąd wiesz? Mówili co — mówili?

— Przecież sama przed chwilą!...

— Voilà comme je suis! Mais oui!... Żołnierz, szwoleżer... joli garçon d'une famille simple. Oczarowany pudrem i ołówkami!... Dla takiego karyera, choć zazdrosnych mieć nie będzie!... Jest tutaj!

— Jest? Anetko droga!... Pokaż mi go... ciekawa jestem ogromnie zobaczyć gust Vaubanki!...

— Pas mal! Można jej powinszować... wyobrażam sobie jego minę, jak w chwili tęsknej przyciśnie promień do ust, nie wiedząc, że oddaje hołd... cha, cha!...

Głosy rozpłynęły się w przeciągłym chichocie i zginęły w oddali.

Floryan zęby zacisnął i śmiech go porywał i złość, że go traktują jak dudka. Nie namyślając się, skierował się szybko do sali, a z niej do przedpokoju. Gdy przypasywał szablę, nadszedł go Dziewanowski i zagadnął niedbale:

— Waszmość odchodzisz?

— Tak, kapitanie, mam dosyć...

— Czyżby tak? — rzucił niepewnie Dziewanowski.

— Wracam do koszar... i żałuję, żem tu przybył!...

— Odprowadzę waćpana! — rzekł Dziewanowski i wyszedł z Floryanem na ulicę.

Gdy się oddalili od zgiełku, panującego przed pałacem, kapitan odezwał się niespodziewanie:

— Więc waszmość zostajesz się w Warszawie?

— Ja!? Cóż znowu! Ani mi to w głowie!...

— Przecież major mówił do mnie przed chwilą, że wobec wstawiennictwa pewnej wielkiej damy do marszałka musi cię wykluczyć z oddziału... i w tym celu prosił mnie, abym przygotował rozkaz do Jerzmanowskiego.

— Co? Waszmość, żartujesz chyba!

— Nie, bynajmniej! — odparł sucho Dziewanowski. — I muszę powinszować mu wyboru... Partya

świetna, a koligacya, choć niebardzo jasna, ale mitry książęcej sięga.

— Kapitanie... zaprzestań żartów niewczesnych...

— Ależ to nie żarty... o tem wszyscy zebrani tam... głośno mówić zaczynają!... Major wydał już rozkaz...

— Przeklęte zebranie! Nie mów do mnie tak, kapitanie... bo gotówem zapomnieć o należnem ci uszanowaniu!...

— A! Nie rób sobie waćpan subiekcyi i tak pewno lada dzień przejdziesz mnie rangą!...

— Więc i waćpan zasadziłeś się, by mnie lepiej jeszcze w tej intrydze usidlić...

— Panie Floryanie!...

— Widzę teraz, co są warte deklaracye waćpanowe o dozgonnej przyjaźni! Uczyniono mnie przedmiotem jakiejś niecnej swywoli, a waszmość sekundujesz jej, pomagasz!...

— Panie Floryanie, cóż więc to się stało?...

Gotartowski opowiedział Dziewanowskiemu szczegóły poznania pani de Vauban, jej przedstawienia, a w końcu rozmowę ostatnią. Dziewanowski, wysłuchawszy rzeczy do końca, wybuchnął serdecznym śmiechem.

— A bodajże was! Toć szczęście!...

— Waszmość dworujesz sobie!...

— Nie! Dalipan nie!... No, ale przyznaj, panie Floryanie... Historya jak na teatrze!... Ale, ale... — rzekł poważniej Dziewanowski. — Tu rozkaz!... Rozkaz... marszałka, aby waćpana obces zatrzymać dla damy... cha, cha!...

— Ani myślę zostać!

— Ba, ba! przecie służba!...

— Niech się dzieje, co chce — nie zostanę! Klnę się waszmości! Żadna siła nie zdoła mnie do tego zniewolić!

— Panie Floryanie, toż nie tak gorąco!...

— Powiedziałem już — stało się!...

— Powiedzieć łatwo... ale...

— Nie, nie mów mi, kapitanie!

— Ot, wybrałeś się w porę z tytułem! — odparł zafrasowany Dziewanowski.

— Należy on się wam słusznie! Nie ustąpię! Dosyć mam tej komedyi. Jeno żal mam do księcia, który mnie na oczywistą igraszkę wystawił!...

— Nie tak surowo, nie tak ostro! Książę z niewiastami słaby!... Jejmość mu pewnie dobrze głowę nasuszyła. Ustąpił, nie suponując może, abyś waszmość ostał się podszeptom...

— A tenże rozkaz?...

— Nie od niego pochodzi!... Słowem ręczę! Marszałek Davoust, jeżeli chcesz poznać prawdę, o waszmości pytał majora i polecenie mu wydał.

— Davoust? Co waszmość powiadasz?

— Nie kto inny! I dlatego nabawia mnie to niepokoju. Rozkaz marszałka. Lekceważyć go nie można. Zostać trzeba! Inaczej zamknąłbyś waćpan przed sobą raz na zawsze karyerę wojskową.

— Niechże i tak będzie!... Powiedziałem i nie ustąpię — odrzekł chmurnie Floryan. — Tylko — dodał gorzko — innej rady spodziewałem się po waszmości!...

— Panie Floryanie! — odrzekł zafrasowany szczerze Dziewanowski. — Co ja tu mogę zrobić? Rozkaz! Idę do Jerzmanowskiego. Pan Paweł filut wielki. Gdyby was chciał wziąć z sobą, kto wie! Z Francuzami wszystkimi w zażyłości. On jeden.

— Być może! — wycedził ponuro Gotartowski. — Ja wracam do koszar. Czekam. A jeżeli nadejdzie rozkaz szefa, wyłączający mnie z jutrzejszej ekspedycyi, porzucam pułk!...

— Nie klnij się waćpan, bo niewiadomo!...

— Ja siebie jestem najzupełniej pewnym.

Dziewanowski zatrzymał się na rogu ulicy i pożegnał serdecznie Floryana.

— Wszystko zrobię, co będzie w mojej mocy! — rzekł. — Mnie ta intryga również do smaku nie przypada... Bądź waćpan pewien, że potrafię się za nim ująć!...

Dziewanowski dotrzymał słowa i odszukawszy Jerzmanowskiego, zakomunikował mu rozkaz Dautan-

courta, a potem ze swej strony istotę rzeczy przedstawił.

Jerzmanowski szczerze zajął się losem Floryana i zanim Dziewanowski zdołał zwierzyć mu się ze swoich zamysłów, Jerzmanowski oświadczył krótko:

— Ja na to nie pozwolę!...

— Panie Pawle, toć nie można tu być dość ostrożnym!... Z marszałkiem gra!...

— Wszystko mi jedno! Służba u mnie na pierwszem miejscu — ale gdy imć marszałek daje posłuch intrygom, to ustaje posłuszeństwo!...

— Co waść zamierza?!

— Idę do Dautancourta i powiadam mu wręcz: albo — albo!...

— Jezus, Marya!... Panie Pawle!... Toż z tego wyniknąć może cała awantura.

— Niech wyniknie! My zaciągamy się do szeregu, ażeby iść za Bonapartem, a nie, żeby słuchać rozkazów pani Vauban! Ja pierwszy podaję się do dymisyi i, ręczę, jutro ani jeden szwoleżer nie wyjedzie!...

Dziewanowski uląkł się zapalczywości Jerzmanowskiego i chciał perswadować. Lecz ten był niewzruszonym.

Chwili czasu nie tracąc, udał się do Dautancourta. Dziewanowski, chcąc go ułagodzić, poszedł z nim razem. Tłómaczył w drodze, przekładał, molestował — naprożno. Jerzmanowski wziął sprawę do serca — wobec tego marzyć nie można było o żadnem ustępstwie.

Dautancourt powrócił był właśnie tylko co od pani de Vauban i zabierał się do udania się na spoczynek, gdy dano mu znać o przybyciu Jerzmanowskiego.

Major wyszedł zły, rozespany i zaniepokojony zarazem spóźnioną wizytą.

Zanim Jerzmanowski zdołał się odezwać, już Dautancourt wpadł na niego:

— Co się stało? Pewno pożegnalna awantura! A mówiłem, prosiłem, urlopów w ostatnim dniu jaknajmniej, młodzież jest lekkomyślną, o nieprzyjemno-

ści najłatwiej! Zaprószy sobie głowy, a potem zajścia, kłótnie, pojedynki!... No, co takiego, co?...

— Czy pan, panie majorze, raczyłeś wydać rozkaz pozostawienia szwoleżera Gotartowskiego... w Warszawie aż do dalszych rozporządzeń?...

— Tak jest! W istocie!...

— Rozkaz będzie niezwłocznie zakomunikowanym Gotartowskiemu, ale... w takim razie zarówno ja... jak i większość moich podkomendnych będziemy musieli natychmiast podać się do dymisyi...

Dautancourt zbladł.

— Co — co? — zawołał zirytowany. — Nieposłuszeństwo!... Bunt! Co to znaczy?... Sąd polowy...

— Owszem! — odrzekł zimno Jerzmanowski. — Inaczej postąpić nie mogę! Zaciągając się do gwardyi, chciałem służyć cesarzowi, a nie... pani de Vauban!...

— Co mi pan pleciesz?... Jakiej pani de Vauban?! Rozkaz i koniec! Niema rozpraw!... Książę Auerstaedtu, marszałek, kazał! Wara nawet oficerowi wglądać w przyczyny! Dosyć! Jutro proszę być na placu!...

— Panie majorze! Racz mnie wysłuchać... honor oficerski nie pozwala...

— Proszę mi nie opowiadać o honorze! — pienił się Dautancourt. — Honor oficera, to znaczy: „słuchać“!

— Jak pan uważa! W takim razie raczy pan przyjąć do wiadomości... moje podanie się do dymisyi... Niech mnie jutro kto inny zastąpi!

Dautancourt posiniał. Z nabiegłych krwią oczu okulary zsunęły mu się na koniec nosa. Z szerokiej piersi dobyło się przeciągłe sapanie.

— Więc pan ustępujesz! W ostatniej chwili!... Żądasz uwolnienia!...

— Tak jest, majorze, bo... muszę!... Bo pan w mojem położeniu nie postąpiłby inaczej!...

— Morbleu, co wy sobie myślicie! Żarty? Zabawki?... Uwolnienie! Zobaczymy jeszcze!... Podawać się pan możesz, lecz zanim dymisya nadejdzie, musisz pan

być posłusznym, inaczej pod sąd oddam! Wasze porządki, wasz bezład chcecie wprowadzić? Proszę jutro być na miejscu o wyznaczonej godzinie... a co do reszty... złożę raport panu marszałkowi! Żegnam!

— Majorze!...

— Nic! O niczem nie chcę wiedzieć.

— Lecz!...

— Kapitanie!

— W sprawie nie mającej związku ze służbą!...

— Więc co takiego? Proszę mówić prędko! Noc! Jestem znużony!...

Dautancourt rzucił się niecierpliwie na krzesło i zaczął bębnić nerwowo palcami po poręczy.

Jerzmanowski, niezrażony usposobieniem majora, które nic dobrego wróżyć nie mogło, jął opowiadać historyę Floryana, unikając nazwisk i niby mówiąc o kimś, będącym poza obrębem stosunków służbowych. Gdy skończył — major spojrzał nań ostro i wycedził przez zęby:

— I cóż to wszystko ma znaczyć? Co mi pan głowę suszy taką opowieścią! Baba się wtrąciła, więc niema mowy o sprawiedliwości!... Potrafiła przekabacić zwierzchników tego kawalera, tem gorzej dla niego, że takich sobie znalazł!

— Bezwątpienia!

— Niema o czem mówić! Jeżeli się panu zdawało, że mnie ta historya zajmie, to się grubo mylisz!... Ani nowe, ani ciekawe — dudków, którzy się za nos dadzą wodzić babom — nie braknie.. Dobrej nocy panom! Panie Dziewanowski, masz także co równie przyjemnego do powiedzenia?

— Nie, ja z kolegą tylko...

— Tem lepiej!...

— Jeszcze słówko!...

— Cóż takiego?...

— Ten młodzieniec, o którym mówiłem, służy w naszym pułku, to właśnie ten sam, któremu kazał pan zostać!... A tym prowadzonym za nos...

— Morbleu, a dlaczegoś mi pan tego wcześniej nie powiedział?

— Bo trudno było się spodziewać, aby pani de Vauban miała tak decydujący głos w gwardyi cesarskiej...

— Co za głupstwa! Morbleu! Nigdy! Rozumiesz pan! Ani myśli! U mnie baba miałaby rządzić! Oho! żadnych podszeptów, żadnych intryg, żadnych protekcyj!... Komu się uśmiecha awans, niech się umizga do pałasza, do kuli... morbleu do krocset!... Patrz! Toż sobie teraz dopiero przypominam, że mi przez godzinę blisko opowiadała o jakimś szwoleżerze! A ja ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska, boć trudno, żebym się uczył nazwisk, jeszcze takich jak wasze, których wymówić czasem niepodobna!

— Więc teraz, jak pan major radzi?

— Nic nie radzę!... Marszałek kazał. Co ja tu mogę? Jutro rano przy raporcie powiem i... i... wszystko!

— Pan marszałek zapewne... nie cofnie?

— Najpewniej! Niema o czem marzyć!... Baba się wdała! Mało jeszcze nieporządków, mało kłopotów... jeszcze baby! Nie wiem morbleu, za jakie grzechy mnie tu zapędzono do takiej roboty!... Zawsze przychodzicie za późno! Złe się stało!...

— Panie majorze... możnaby mimo... rozkazu...

— Co? Mimo rozkazu?...

— Właśnie... bo ja dotąd jeszcze rozkazu nie odebrałem.

Dautancourt spojrzał na Dziewanowskiego.

— Tak jest, majorze, rozkaz mam jeszcze w kieszeni.

— Więc go oddaj natychmiast!

Dziewanowski podał papier Jerzmanowskiemu — ten ostatni rozwinął go spokojnie, przebiegł treść i wyprostowawszy się po służbowemu, zaraportował:

— Panie majorze, melduję, że szeregowca Gotartowskiego zatrzymać niepodobna, bo właśnie wysłałem go naprzód z furyerem, aby zajął się furażem i kwaterami; według danego ordynansu, dopiero pod Berlinem... Gotartowski połączy się z oddziałem!...

Dautancourt spojrzał groźnie na Jerzmanowskiego i jakby po walce wewnętrznej, rzekł krótko:

— Kapitanie Dziewanowski! Proszę natychmiast wygotować papier do pana marszałka z odpowiedniem zawiadomieniem. Nadto może pan nadmienić, że w razie życzenia jego ekscelencyi, może być wybrany inny szwoleżer... równie uzdolniony.

Major mrugnął znacząco na Jerzmanowskiego.

— Czy papier zaraz ma być sporządzonym?...

— Jak najprędzej! Nadeśle mi go pan do podpisu przez wachmistrza, morbleu! — rozkazał Dautancourt i odwróciwszy się szybko do kapitanów, wycedził przez zęby: — Panowie darują.. noc...

Floryan siedział jeszcze pogrążony w myślach na posłaniu swem w koszarach, gdy niespodziewanie brygadyer służbowy nadszedł i wezwał go do kancelaryi. Floryan w milczeniu uporządkował odzież, rozumiał, co go tam czekało!...

Najniezawodniej ów rozkaz, o którym uprzedził go był Dziewanowski. Lecz Gotartowski był już zdeterminowanym. Gdyby go mieli zatrzymać, to ustąpi. Pierwszy raz w życiu dopuści się takiego zuchwalstwa, samowoli, nieposłuszeństwa!... Lecz inaczej postąpić mu nie wolno!...

Zaciągnął się do pułku, aby w dal wędrować, aby w tej drodze choć cząstkę smutku a żalu zgubić, aby myśl oderwać... ale nie, by mundurem świecić... może po salonach tej damy!...

W kancelaryi Floryan zastał tylko Jerzmanowskiego.

— A! mości Gotartowski... mam dla pana dosyć przykrą wiadomość i rozporządzenie...

— Według rozkazu pana kapitana! — odrzekł ponuro Gotartowski.

— Musisz pan zrezygnować z jutrzejszych uroczystości, jakie przy wyruszaniu szwadronu się odbędą bezwątpienia... i natychmiast ruszysz w drogę! Tu masz przepisaną marszrutę... Ze mną połączysz się za Poznaniem...

— Panie kapitanie!

— Jesteś pan niezadowolony... hm... to możesz zostać nawet zupełnie! Lecz jeżeli chcesz iść z nami, to się nie ociągaj, kulbacz konia!... Brat zajmie się resztą rzeczy, którychbyś nie zdążył zabrać, zostaw bratu!... Byle prędko... byleś chwili jednej nie stracił!...

— Według rozkazu! — huknął raźno Floryan. — W trzy pacierze już mnie tu nie będzie!...

— Wybornie! Ale... mości Gotartowski! — odezwał się po przyjacielsku kapitan. — Nie bierz mi za złe, znaną mi jest twoja historya ostatnia z tą damą! A przecież wartoby jej było podziękować!

— Panie kapitanie! Kobieta i tak nie spełna rozumu, gotowa sobie imaginować!...

— Otóż trzebaby ją wyleczyć z tego!...

— Co mi pan kapitan doradza?

— Żebyś jej zwrócił ów podarunek!

— Miałem tę samą intencyę! chciałem oto wystosować list, że mi się daru tego przyjmować nie godzi, że...

— A tobyś się waszmość wybrał!... Ani myśli!... Tu trzeba dać nauczkę!... Hm! Gdybyś mnie zawierzył...

— Z ochotą!

— Więc zostaw mi ten medalion... a już ja go zwrócić potrafię... tak...

— Wyznam panu szczerze, iż nie chciałbym z uwagi na księcia...

— Bądź waćpan spokojny!...

Floryan doręczył medalion Jerzmanowskiemu, a sam, ledwie uścisnąwszy Marcelka i powierzywszy jego pieczy uniform odświętny, okulbaczył konia i ruszył na noc w drogę.

Nazajutrz pół miasta naznaczyło sobie schadzkę w Mirowskich koszarach, z których oddział szwoleżerów miał wyruszać. Każdy śpieszył bądź po raz ostatni uścisnąć rękę syna, przyjaciela, krewniaka, bądź oczy napaść niezwykłym widokiem, a przyjrzeć się ceremoniom.

Twarze wszystkich były rozradowane. Tu i ówdzie błysnęła łza w oku matki, błogosławiącej syna, lub zawilgły długie, jedwabiste rzęsy w oku dziewicy, ba! niekiedy i młody szwoleżer głowę odwracał i daszek u czapki poprawiał, ale ani żal, ani smutek dostępu tu nie miał. Boć oddział nie na wojnę szedł, nie na zmaganie się, nie na trudy, ale na służbę cesarską, dworską, na służbę przy osobie Napoleona. Miał być niby jednym z owych promieni, w blasku których przebywać zwykł Bonaparte.

Nikt przeto ani nie współczuł trudom, bo gwardye opływały zawsze we wszystko, ani trwożył się o najbliższego sobie, boć jemu tam lepiej może będzie, niż w domu!

Była to wszakże przykra chwila rozłąki z miłymi sercu, niekiedy trwoga matki... czy aby jej syn faworyt potrafi się na tym wielkim świecie znaleźć przystojnie!

Może najwięcej kłopotał się major Dautancourt, który co chwila przestrzegał Jerzmanowskiego a zalecał mu, aby tylko od pierwszego dnia zaprowadził zaraz rygor pochodowy i aby nie folgował fantazyi i samowoli młodzieży.

Jerzmanowski przyrzekał solennie, lecz Dautancourt znów po małej chwili odciągał go na stronę i nowe kazanie prawił.

Na obszernym placu przed koszarami tłum zmieszał się ze szwoleżerami — ściskał ich, żegnał, żartował a śmiał się. Szwoleżerzy odpowiadali ochoczo, chociaż na jasnem czole żołnierza niekiedy chmura się ukazywała, a w oczach jakaś melancholia gasiła pogodne spojrzenia.

Na podwórzu koszarowem rozległy się dźwięki trąbki. Dźwięki przeciągłe, uroczyste, czasem krótkie, stanowcze, jak gdyby mówiące: — Teraz ja was biorę w niepodzielną władzę! Mnie odtąd słuchać musicie! Ja rozkazuję...

Trąbka brzmiała długo, tęsknie, aż umilkła — potem jeszcze dwa akordy silne rzuciła i dźwięki jej rozpłynęły się w dalekich echach.

Tłum przed koszarami zachwiał się. Z jego głębi wysuwać się zaczęli pośpiesznie szwoleżerzy i dążyć do stajen pułkowych. Trębacze zagrali wnet wsiadanego. Oddział uformował się we czwórki i wyciągnął na plac.

Szwoleżerzy wyglądali dziś poważniej, groźniej. Białe kity znikły, karmazynowe czapy skryły się w szarych ceratowych pokrowcach, białe paradne mundury zastąpiły granatowe kurtki z wyłogami. Konie, objuczone sakwami płóciennemi, siatkami z racyami owsa na najbliższy postój — manierkami a całym dobytkiem żołnierza, nie wyglądały już tak dziarsko, tak lekko.

Oddział wyciągnął się równo przed ustawionym na placu ołtarzem. Ksiądz Woronicz odprawił krótkie modlitwy i przeżegnał szwoleżerów znakiem krzyża.

Książę Józef z marszałkiem Davoustem wystąpili naprzód w otoczeniu kapiącego od złota sztabu. Szwoleżerzy sprezentowali broń.

Poniatowski zatoczył koniem naokoło oddziału, wyciągnął pałasz i skinął.

Sygnały rozległy się ponownie. Oddział skręcił się, odwrócił, złamał w trójki, wyciągnął — schował szable.

— En avant — marche! — rzucił dźwięcznym głosem Jerzmanowski.

Trąbki zagrały ochoczego krakowiaka. Oddział skierował się ku drodze do Błonia.

Tłum rozsunął się i rzucił się za odjeżdżającymi. Gdy jedni biegli, aby choć raz ostatni spojrzeć na bliskiego sobie, a może przelotny uścisk dłoni zamienić — drudzy śpieszyli do stojących w dali pojazdów, aby oddział szwoleżerów chociaż do pierwszego popasu przeprowadzić.

Na drodze, idącej przez Wolę, wyciągnęły się w dwa zbite łańcuchy — sznury powozów, karyolek, bryk, karoc i wózków, między którymi z trudem przeciskał się szwadron szwoleżerów.

Dautancourt ledwie że na koniu mógł usiedzieć na widok tego bezładu, panującego w oddziale — bo

panowie towarzysze nietylko głośne rozmowy prowadzili z otaczającymi ich wozami, lecz przyjmowali nawet podawane im gościńce a poczęstunki.

Major nawoływał, burczał, lecz większość młodzieży nie rozumiała jego francuskich złorzeczeń, a w dodatku i jego ścigały niekiedy przelotne pytania, uwagi rozbawionych dam a poufałe zaczepki panów. Major zęby zaciskał i brwi ściągał. Toć ten, z takim trudem a mozołem sformowany oddział może mu się lada chwila rozprządz!... Zawiadomienia do głównej kwatery wyprawione! Odpowiedzialność spadnie na niego!...

Ledwie w trzy godziny kolumna dotarła do Błonia. Obawy majora zaczęły się sprawdzać — szwadron stracił już linię, plutony pomieszały się, skotłowały. Dautancourt, dojrzawszy wysmukłą postać Jerzmanowskiego, który był kłusował na przedzie u drzwiczek powozu pani Wincentowej Krasińskiej, dopadł do niego.

— Kapitanie! Na litość Boską, patrz, co się dzieje! Jeszcze mila, a nie zostanie ci ani jednego żołnierza!...

— Panie majorze, ja jestem spokojny, że...

— Zobacz, zobacz! Szwadron prawie przepadł! Wstyd, hańba!... Polski bezład! Z Błonia teraz i za tydzień się nie ruszycie!...

— Więc co major każe?...

— Co każę?... Zebrać ich .. szyk sformować... odsunąć się od tej ciżby... Ale to już przepadło! — wołał płaczliwie Dautancourt.

— Panie majorze! Za kilka minut złe się naprawi! Ruszamy w tej chwili!

Dautancourt spojrzał ze zdziwieniem na Jerzmanowskiego i pokiwał głową.

— Niedoświadczenie, nieopatrzność!...

— Zobaczymy! — rzucił sucho Jerzmanowski i, skłoniwszy się damom, zawrócił konia ku kolumnie.

Zadanie było istotnie niełatwe, lecz Jerzmanowski w jednej chwili zoryentował się w sytuacyi. Skinął na poruczników. Trąbki zagrały spoczynek.

Powozy, widząc, że szwoleżerzy stoją — zatrzymały się także. Wówczas Jerzmanowski zakomenderował:

— Formuj się!

Żołnierze, sądząc, że to może jakiś manewr ceremonialny — spełnili rozkaz jak najszybciej.

Wówczas kapitan, wyjechawszy na pole, tuż przy drodze, skinął na trębaczy i jął najspokojniej wywoływać pluton za plutonem, a potem ustawiać frontem do drogi. Odprowadzający przyglądali się z zadowoleniem tym manewrom, które dla nich snać był zgotował dowódca oddziału. Żołnierz ze swej strony, rozumiejąc chwilę popisu, sprawić się chciał jak najlepiej...

Trąbki grały. Szwadron zwrócił się i na komendę posunął się truchtem ku Warszawie, potem znów wrócił się na miejsce. Po małej pauzie ruszył kłusem w bok.

Na drodze rozległy się okrzyki zadowolenia.

Lecz tu nie był koniec niespodzianki, jaką zgotował na poczekaniu Jerzmanowski odprowadzającym i odprowadzanym.

Sygnały zagrały gwałtowną, chrapliwą pobudkę.

Szwoleżerzy pochylili się na koniach. Ziemia zadudniła pod kopytami końskiemi. Szwadron jak wicher przesunął się tuż przed linią powozów, witany wybuchem wiwatów, i pomknął w dal...

Na szosie dzielono się wrażeniami:

— Dzielnie! Znakomicie! Jak się świetnie trzymają... Szalony galop!...

Ten i ów zaczął powoli poglądać ku stronie, w której znikł był szwadron, lecz mgły sine zamknęły za nim swe niebieskie zasłony.

— Muszą wypoczywać! — pocieszano się w tłumie i czekano cierpliwie.

Tak minęła godzina. Niepokój zaczął dręczyć oczekujących. Pojazdy naprzód wysunięte potoczyły się zwolna, idąc naprzeciw... wracających pono szwoleżerów... Gwar wesoły umilkł.

Jeszcze krzepiono się, pocieszano.

Koniom musieli dać wytchnąć. Nadjadą wkrótce... pożegnać się...

Upłynęła druga godzina. Kilku oficerów legii, którzy za szwadronem pomknęli, powróciło....

W tłumie rozległy się ponure słowa: — Poszli... nie wrócą!...

Niespodzianka była obustronną, boć żołnierze nie spodziewali się, aby ten galop miał ich rozdzielić z bliskimi sercu na lata całe... może na zawsze.

Jerzmanowski nie dał atoli im się spostrzedz i blisko milę pędził ich co koń wyskoczy, a potem dla ulżenia pianą okrytym rumakom, przeszedł w kłusa. Gdy nakazano stępa... już szmat drogi oddzielał szwoleżerów od Błonia.

Żołnierze teraz dopiero jęli spoglądać po sobie w osłupieniu... Miałżeby to być taki odjazd!?...

W szeregu odezwały się szepty, potem pomruk lekki. Jerzmanowski ściągnął konia, zawrócił i jak wicher podsunął się do pierwszej kompanii.

— Mości panowie! Co to znaczy? — huknął groźnie. — Niewoli niema! Komu nie po sercu... ten niech zawraca pod piec, do kądzieli! Takich nam tu nie potrzeba!... Dosyć tego cackania się!... Trzymaj szereg, do krocset!...

W szwadronie zapanowało głuche milczenie. Żołnierze byli nachmurzeni.

Jerzmanowski powiódł bystrym wzrokiem po twarzach żołnierzy pierwszego plutonu i dopadł młodego szwoleżera Masłowskiego.

— Cóż to acan!? Co to za krzywienie się?

— Kapitanie!...

— Odpowiadaj na pytanie!...

— Panie kapitanie! — odrzekł plącząc się Masłowski — Nic... tylko... bo właśnie.... pani stryjenka!...

— Dosyć! Wrócisz acan do niej dziś jeszcze! Może jeszcze kto więcej ma ochotę!?... Dalej!...

Cisza zaległa szeregi.

— Więc Masłowski!...

— Panie kapitanie! — ujął się młody Wybicki za szwoleżerem. — Daruj!... Towarzysz Masłowski nie ze złej woli...

— Daruj, panie kapitanie! — odezwały się pojedyńcze głosy.

Jerzmanowski pokręcił wąsa i rzekł, srożąc się niby jeszcze:

— No, zobaczymy! Co rzekłem, nie cofam, jeno odkładam!... A od imć Masłowskiego dowodów służbistości podwójnej żądać będę!...

— Kapitanie! — ozwał się rozpromieniony szwoleżer. — Na koniec świata prowadź, pójdę... i ani pisnę!...

— Pamiętaj sobie waćpan! A i wy, mości panowie także! Służba!... Słuchać, jeden z drugim!... W obce kraje jedziemy, wstyduż nie uczyńmy ziemi, która nas na tyle zaszczytne miejsce przeznaczyła! Zgodą, gromadą! Braćmi sobie bądźmy, ale w szeregu komenda, do pioruna! Niema tu mościów! Niema szemrania!... Na salony, na uczty, czy na głód i niewczasy pójdziemy za sygnałem, za sztandarem, za cesarzem naszym! Formuj się! Baczność! Za mną! Marsz!...

Jerzmanowski skinął pałaszem na trębaczy. Wśród ciszy zapadającego wieczoru rozlegały się dźwięki smętnego krakowiaka.

Szwadron ruszył ochoczym truchtem.

Krakowiak na skrzydłach wiatru rozległ się po lasach, odbijał w parowach, rozpływał nad równinami i żegnał, zda się, dźwiękami swoimi wierzbę przydrożną, każdy kątek zagajnika i wartkie strumienie, i łąki, i zżęte pola...

Niekiedy nad drogą, którą ciągnął szwadron, kupiły się gromadki kmieci, poglądając ze zdumieniem na szwoleżerów, czasem czapkując pokornie, a czasem żegnając się znakiem krzyża. Z dworków wychylali się starcy, oko dziewczyny zachodziło melancholią.

A trąbki grały, aż niekiedy serce rosło. A zuch wielki, trębacz-brygadyer Olszewski, na chwilę nie

ustawał. Trąbka jego śmiała się, huczała radością, zawodziła, jakby żegnała ziemię, którą szwadron przechodził, drżała smutkiem.

Szwadron posuwał się szybko, trzymając się wiernie przepisanej marszruty, choć było to zadanie bardzo ciężkie, całe kolumny bowiem armii francuskiej obozowały jeszcze zarówno w Wielkopolsce, jak i na Śląsku i w Saksonii aż po Ren. Nieraz dla zdobycia noclegu szwoleżerzy kluczyć musieli i zbaczać z drogi, byle ominąć zajęte kwatery a wyjałowioną z furaży okolicę. Jeszcze póki szwadron szedł ziemiami polskiemi na Łowicz, Łęczycę, Kalisz do Wrocławia — nie zbywało mu na niczem. Boć ten i ów z pod serca sobie wyrywał, ostatni grosz z kalety oddawał, byle drogich gości przyjąć poczciwie a miłe w ich sercu zostawić wspomnienie.

Lecz na Śląsku zaczęło już być ciężej. Lud, od roku bez mała znoszący ciężary przechodów a postojów wojskowych, tarmoszony ukazami i proklamacyami, nie mającymi litości ani nad ziarnem do siewu przygotowanem, ani nad niezbędnym do życia zapasem — uchylał się od wszelkiej daniny, krył dobytek a nędzą się osłaniał.

Biedny lud śląski!

Oddany przed laty na pastwę pruskiej chciwości, na zjednanie sprzymierzeńca chwiejącemu się Królestwu, podarowany wspaniałomyślnie, aby zamaskować niemoc!

Śląsk został skazany na ofiarę! On miał okupić jeszcze chwilę pozornej mocy, samodzielności!

Biedny Śląsk! Lud jego cichy, spokojny, pracowity, zbożny, z pod przemocy panków dostał się w żelazne obręcze pruskich ukazów.

Zaczęto mu codzień powtarzać: jesteś poddanym jego królewskiej mości, jesteś mieszkańcem pruskiej prowincyi, jesteś Prusakiem! Lud śląski chylił głowę, dźwigał jarzmo, modlił się i znosił w pokorze wszystkie rozlegające się nad jego głową wrzaski.

— Nie jesteś Słowianinem! Językiem twoim jest niemiecki! Ojczyzną twoją są Prusy!...

Lud śląski słuchał, a gdy wzrok smutny, załzawiony, mgłami zasnuty podniósł — to można w nim było jedną i tę samą zawsze myśl wyczytać: „Ja chcę żyć!“

Ile zatargów z elektorami, ile krzyżackich najazdów, ile razy Szwed konie w Wiśle poił, tylekroć wsie i miasta śląskie stawały się pastwą płomieni i łupiestwa, tylekroć kmieć osiedziały na własnej roli musiał zaczynać od szałasu, i niekiedy lata schodziły, zanim na gruzach swej sadyby zdołał wznieść zręby chaty, zanim lipy osłoniły ją swoim cieniem, a wspomnienie krwawej nocy... przygasło.

Aż nieszczęścia znieczuliły Śląsk. Zastygł on na długie lata w bólu i nic go wzruszyć nie zdołało, nic porwać. Nie wierzył żadnym mundurom, żadnym sztandarom, żadnym hasłom! Śląsk w Gdańsku najdzielniejszy opór stawił Francuzom, a stawił go nie dla bronienia pruskiego królestwa, lecz siebie!... Bał się utracić to, co miał, a Bonapartemu nie ufał.

Jerzmanowski odczuł to usposobienie Ślązaków, zrozumieli je szwoleżerzy i unikali zatargów z ludem. Kupowali za własne pieniądze strawę i jednali swemu mundurowi miłość i zaufanie.

Pod Wrocławiem połączył się z oddziałem Floryan ku wielkiemu zadowoleniu Jerzmanowskiego i Marcelka.

W Dreźnie czekała szwoleżerów niespodzianka. Dwór saski wystąpił i jako najwierniejszy Napoleona sprzymierzeniec i jako władca nowo utworzonego Księstwa. Z rozkazu króla zgotowano oddziałowi Jerzmanowskiego sute przyjęcie, a oficerów ugoszczono wspaniałą ucztą, pełną wiwatów a wspomnień saskich czasów.

Drezno było ostatnim etapem, na którym szwoleżerzy nie czuli się jeszcze zupełnie obcy, gdzie wśród tłumu ukazywała im się nieraz ogorzała twarz wąsala, gdzie niekiedy dopytać się można było nietylko swojaka, ale i krewnego.

Od Drezna zaczęła się droga ciężka, lud nieprzychylnie ku żołnierzom zezujący, kryjący się z dobytkiem swoim i ledwie pod groźbami ustępujący.

Szwoleżerowie bez szemrania znosili trudy marszowe a niewygody. Choć niewielu było w szwadronie zaprawionych, zahartowanych — jednak serce krzepiło ciało i nie pozwalało mu upaść...

Delikatne ręce kaleczyły się o popręgi, palce do krwi zacierały od trzymania cugli, lędźwie drętwiało na kulbace... Niekiedy kaszel suchy, męczący rozlegał się w szeregach, a czasem na noclegu szwoleżer cisnął do siodła rozpaloną głowę! Służba!...

Jerzmanowski starał się ulżyć oddziałowi. Na każdym postoju kołatał o czyste a suche kwatery, troszczył się o każdego z żołnierzy, a gdy bliskość korpusu francuskiego, a co za tem idzie, brak dachu nad głową, zmuszała do biwakowania w polu — pierwszy z pogodnym uśmiechem dawał przykład, jak na dżdżu wilgotnym, na gołej ziemi posłanie zrobić, jak czuwać na placówkach, jak chłód, a i głód potrosze znosić.

Szwoleżerzy polubili swego kapitana. Węzeł między nim a żołnierzami zacieśniał się coraz silniej. A równocześnie i szwoleżerzy między sobą nawiązywali serdeczne nici.

Floryan przychodził zwolna do równowagi. Czas koił ból a uspokojenie zsyłał. Trudy marszu pośpiesznego, rozmaitość przebywanych okolic, wreszcie otoczenie pełne życia, werwy a ochoty — pozwoliły zażywać zwolna jego rąnom. W oku tylko Floryana, na obliczu jasnem rysowały się jakieś cienie, niby ślady przeszłej tędy burzy! Floryan stał się zamkniętym w sobie, małomównym, unikającym obozowego rozgwaru i gawęd swywolnych towarzyszów broni.

Nawet z Marcelkiem niechętnie prowadził rozmowy, a gdy ten razu pewnego wręcz go o przyczynę tej oziębłości a odosobnienia zapytał — zbył go oświadczeniem, że niezdrów się czuje.

Szwoleżerowie krzywo patrzyli na Floryana, a o ile Marcelek pozyskał był serca wszystkich — o tyle Floryanowi nie szczędzono przymówek. A szczególniej był z początku nastawał na Floryana Józef

Stadnicki, brygadyer, chłop jak dąb, barczysty, krzepki niepomiernie, a gaduła i zawadyaka nieokiełznany.

Floryan nie podobał się był Stadnickiemu. Rozhukana natura brygadyera nie znosiła cichego smutku, a tem mniej melancholii.

— Piecuch, kawaler z morskiej piany!... i tyle, psia mać — mruczał zawsze Stadnicki. — Niby kapitan, niby legionista, psia mać, a wygląda, jakby w nowicyacie drwa nosić się zbierał!... Choroba z takim!... Nie lubię, psia mać, i już!... Nic mi nie zrobił... bo i gdzieżby chuchrak taki!... Ale ci tak czapkę nosi, jakby wołał — patrzcież... jaki splendor na was spływa!... Nie lubię, psia mać!... Młodszy — nie mówię! Smyk, ale aż mu się ślepie skrzą!... Świderek zgoła sobie, półkurczę... ba! ale to żołnierz... kawał żołnierza!... Ale tamten!...

Stadnicki co dnia krzywiej spoglądał na Floryana i gdyby mu był ktokolwiek powiedział wówczas, że dokucza swemu najlepszemu w przyszłości... przyjacielowi... to gotówby za tę obelgę kości porachować śmiałkowi.

Niemniej Stadnicki wprost sprzeczki z Floryanem nie wszczynał, bo oto było trudno. Ostatni bowiem unikał kompanii, a dwuznaczne uwagi puszczał mimo uszu.

Co zaś szczególniej gniewało Stadnickiego, to względy, które kapitan Jerzmanowski a bardziej jeszcze młody Wybicki, porucznik, okazywali Floryanowi — zapraszając go do siebie na gawędy, a często, omijając go w kolei placówek i warty.

— Lizus, psia mać!... Skacze na dwóch łapkach! Nie lubię, psia mać! — mruczał coraz groźniej Stadnicki.

Opinia ta, wygłaszana ciągle przez tyle lubianego brygadyera, udzieliła się całemu szwadronowi. Wzgląd na Marcelka przeważył, że hamowano się jeszcze, lecz chmury co dnia zbierały się groźniejsze!...

Floryan, zadumany, zapatrzony w drogie rysy Zośki, które w sercu nosił wyryte głęboko, nie zda-

wał sobie sprawy z usposobienia towarzyszów i nie zwracał uwagi ani na uśmiechy złośliwe, ani na szepty, którymi witano go w szeregach i na biwakach.

Marcelek spostrzegł złe, lecz nie wiedział jak mu zapobiedz. Wszczynał często gawędy z kolegami w obozie, tłómaczył, ile on w życiu chwil ciężkich przebył, jak niedawno ze śmiertelnej choroby wyszedł — lecz nie na wiele się to zdało. Jedno słowo Stadnickiego — znów burzyło umysły — niweczyło perswazye Marcelka.

Szwadron zbliżył się tymczasem do Frankfurtu nad Menem, gdzie marszruta ustanowiła im trzydniowy wypoczynek, a skąd wysłana sztafeta do stojącego tam ze swoim korpusem marszałka Kellermana zapowiadała szwoleżerom gościnne a dostatnie przyjęcie.

Radość szwadronu była powszechna. Każdy czynił sobie projekty zakupów a myślał o oporządzeniu się po męczącej drodze. Nadto postój w mieście, zajętem przez korpus francuski, uwalniał prawie zupełnie szwoleżerów od służby i zapowiadał niebywałą swobodę.

Jakoż nadzieje nie zawiodły szwadronu. Marszałek Kellerman wysłał na spotkanie oddziału swego adjutanta razem z intendentem. W godzinę wszyscy żołnierze znaleźli już wygodne pomieszczenie w trzech obok siebie leżących domach w śródmieściu, a za zezwoleniem Jerzmanowskiego, po roztasowaniu się a opatrzeniu koni, rozbiegli się po mieście, bądź w pojedynkę, bądź gromadkami. Floryan z bratem poszli za przykładem innych, oglądając się, gdzieby rzemienia kupić na oporządzenie kulbak.

Błąkali się po mieście, a gdy wreszcie sprawunek załatwili, wstąpili do napotkanej gospody pokrzepić się a pragnienie zaspokoić. W gospodzie, przepełnionej tłumem mieszczan, zastali gromadkę szwoleżerów ze Stadnickim na czele, który, władając nieźle niemieckim, ofiarował się za przewodnika kolegom.

Szwoleżerzy, wnosząc z rozczerwienionych twarzy a hałaśliwej rozmowy, mieli już nieco w czubie.

Floryan z bratem usiedli w kącie gospody i zażądali piwa, niepostrzeżeni przez towarzyszów.

Tymczasem tłum mieszczan Niemców otoczył Stadnickiego, przyglądając się mu ciekawie, a zarówno jemu, jak i pozostałym szwoleżerom, nie szczędząc cichych a złośliwych uwag.

Pomiędzy Niemcami przewodził barczysty mieszczanin, który, obrócony tyłem do Floryana, raczył się wielkim kuflem, a poglądając ku Stadnickiemu, mruczał przez zęby:

— Pudle napoleońskie! Jak to się rozbija, hołota!...

Floryan spojrzał na Marcelka znacząco i zagadnął zirytowany:

— Co? Komu on tak?...

— A!... pijane niemczysko!... Co nam do niego!...

Stadnicki zaś, nie słysząc przymówki, perorował na całe gardło po niemiecku:

— Znałem ci bardzo wielu Niemców porządnych ludzi! Wiem, że między wami dużo jest nicponiów, a co u nas siła ich gościło; ale teraz, gdyście w skórę potężnie dostali, niech tam, w wasze ręce!... Polak nienawiści długo nie chowa!... Rozumiecie?...

— Polak, Polak!... — rozszedł się ironiczny szmer między Niemcami.

— To wy jesteście Polakiem? — zagadnął piskliwy głos.

— Jakbyś wiedział! — huknął Stadnicki. — Grabiliście nas, a ot, widzicie na co wam zeszło! Hę?..,

— Polskie zwierzę! — rzucił przez zęby barczysty Niemiec.

Floryan porwał się z miejsca i stanął przed Niemcem.

— Cóżeś to powiedział? — zaczął groźnie.

Niemiec zmierzył pogardliwie Floryana, wyciągnął pięść i, uderzając o stół, odparł hardo:

— Powiedziałem, bo mi się podobało! A ty ze mną nie zaczynaj, bo ci kości połamię!...

— Czego ten ogryzek polski chce?... Po uchu go! — mruknęli Niemcy.

Marcelek stanął za bratem. Przy stole Stadnickiego zrobił się ruch. Właściciel gospody chciał uspokajać.

— Zamknijcie gęby!... — syknął groźnie Floryan.

Niemcy parsknęli śmiechem.

— Milcz sam, pauprze, żebyś swemu Napoleonowi kości całe zaniósł! — huknął barczysty Niemiec.

Lecz w tejże chwili Floryan wymierzył mu tęgi policzek. Niemiec porwał się z za stołu i rzucił kuflem we Floryana, ale ten uchylił się i kufel uderzył w głowę stojącego obok Niemca.

Niemcy rzucili się na szwoleżerów. Floryan a za nim Marcelek wyrwali się z otaczającego ich koła — stanęli w rogu izby i ujęli za ławy.

— Mości panowie! — wołał Floryan. — Do mnie! Bij szelmy!...

Lecz tu nie potrzeba już było zachęcać do obrony. Stadnicki, napadnięty z tyłu, otrząsnął się, porwał za stołek i jął młócić nim, jak cepami, krwawiąc dokoła. Roman, Toedwen, Masłowski a trębacz Olszewski pomagali mu dzielnie. Ale Niemiec barczysty nie dał za wygraną; gdy mu Floryan się usunął, zaszedł z za pleców Stadnickiego i powalił go na ziemię. Stadnicki, mimo że był olbrzymiej siły, pod tym zdradzieckim napadem uległ, ile że na powalonego tłum Niemców się rzucił. Toedwen z Romanem, widząc przewagę Niemców, rejterowali ku drzwiom, ale tu Floryan dobył pałasza i rzucił się między Niemców, tnąc na prawo i lewo.

W jednej chwili na głowę Floryana posypały się kufle, gąsiory, stołki i ławy. Ale nic go powstrzymać nie zdołało. Ze skroni sączyła mu się krew — on szedł naprzód, rozdzielając razy, aż w końcu Niemca barczystego dopadłszy, który dławił za gardło Stadnickiego, ciął go po głowie. Niemiec powalił się, tracąc zmysły. Wówczas ruszył się z ziemi Stadnicki, z twarzą posiniałą, z oczyma krwią nabiegłemi. Był straszny. Pięście wzniósł do góry i szedł na Niemców... jednem uderzeniem rozciągając najśmielszych...

W kilka sekund izba gospody przedstawiała istne rumowisko. Kto zdążył z Niemców, ratował się ucieczką, reszta tarzała się we krwi wśród porozbijanych stołków, stołów i naczyń. Ale Stadnickiemu nie dość tego było — gdy mu przeciwnika zabrakło — rzucił się do niszczenia wszystkiego, co napotkał w nienawistnej gospodzie... Szwoleżerzy, pałający zemstą, poszli za nim.

Stadnicki po schodach wpadł na pierwsze piętro. W jednej chwili cały dobytek znalazł się na ulicy, pogruchotany w kawałki, razem z ramami okiennemi, szczątkami pieców i drzwi. W ostatnim pokoju znaleziono dwie kołyski. Olszewski porwał jedną z nich i zmierzał ku oknu. Dało się słyszeć kwilenie... Floryan przypadł do Olszewskiego.

— Dziecko! Na Boga!...

— Zostaw je... psia mać! — ujął się Stadnicki. — Dalej za mną!...

Odgłos bijatyki przedostał się był na ulicę i wzburzył całe miasto. Dano znać na odwach. Patrol żołnierzy księcia würtzburskiego otoczył gospodę. Oficer z karabinierami naszedł szwoleżerów, gdy ostatnią szafę na bruk wyrzucali.

Karabinierzy pochylili bagnety.

— W imieniu jego książęcej mości aresztuję panów! — oświadczył surowo oficer.

Szwoleżerzy zmieszali się, lecz Floryan pierwszy oprzytomniał.

— Kto nas śmie aresztować?... Co za mość książęca?...

— Odzywaj się, braciszku, z większym szacunkiem... bo odpokutujesz za to ciężko! — zgromił Floryana oficer.

— Ani myślę! Niech wiem, w czyjem imieniu pan występuje...

— W imieniu jego książęcej mości... księcia würtzburskiego, który tu prawo stanowi! Dosyć mitręgi! Żołnierze, brać ich w środek!...

Karabinierzy postąpili naprzód, lecz tu Stadnicki wystąpił i, ująwszy się pod boki, stawił się ostro oficerowi.

— Mość würtzburska! Co? Ja jestem mość Stadnicka!... Rozumiesz, kawalerze... psia mać?... Nie wiesz, co to znaczy, psia mać!... Będziesz nas napastował...

— Dosyć! Nie opierajcie się napróżno! Pogorszy to tylko waszą sprawę... Wzywam was po raz ostatni do posłuszeństwa!...

— O, co to, to nic z tego, mości oficerze brandeburski czy frankfurcki! Posłuszeństwa się tu nie spodziewaj, bo my u twojej mości za pachołków nie jesteśmy...

— Józek! — upomniał Toedwen — lepiej...

— Co lepiej? — huknął Stadnicki.

— Gdzie racya? — wołał Floryan. — Kto zaczynał?... Tamtych nicponiów aresztuj, żeby ludziom spokojnym nie wchodzili w drogę!

— Właśnie! — wołał Stadnicki.

— Trzymać się razem! Niech następują! — dowodził Floryan.

Oficer dobył pałasza i, skinąwszy na karabinierów, rozkazał krótko:

— Między bagnety...

— Tak ci łatwo powiedzieć!... — zawołał drwiąco Stadnicki i, podsunąwszy się ku wymierzonym ku niemu bagnetom, schwycił za dwa najbliższe... wyrwał je z rąk żołnierzy wraz z karabinami.

W tejże chwili młody Masłowski, nie mogąc pohamować gorączki, krzyknął junacko:

— Walić psianogi!

Stadnickiemu tego tylko było potrzeba — zawinął młynka trzymanymi karabinami i spuścił je na głowy atakujących żołnierzy. Reszta szwoleżerów skoczyła za nim.

W izbie rozległ się głuchy trzask, łomot i jęki tuzowanych żołnierzy. Patrol księcia würtzburskiego, nieprzygotowany do zbrojnego oporu, ratował się

ucieczką, pozostawiając na placu poturbowanego oficera i kilku okrwawionych żołnierzy.

Gdy się to działo, wieść o awanturze dobiegła już do kwatery marszałka Kellermana, do którego już sam burmistrz zdołał dotrzeć i zawiadomić go, że oddział Polaków, świeżo do miasta przybyły, rabuje domy...

Kellerman, który właśnie podejmował łaskawie sztab swój, a między nim i Jerzmanowskiego, zatrząsł się z gniewu. Na suchem, bladem czole marszałka ukazały się czerwone plamy.

— Kapitanie! — rzucił groźnie. — Cóż to za bandę prowadzisz?!... Toż się nazywa gwardya? Rozbój, tu?...

— Panie marszałku! Nie pojmuję, co się stało! — jąkał przerażony Jerzmanowski.

— Zaraz zobaczymy, pułkowniku!

Stary adjutant Kellermana wyprężył się.

— Wysłać żandarmów. Okuć w kajdany. Na jutro sąd wojenny!... Przeprowadzić śledztwo! Generale Roger, proszę tem się zająć!... Złe trzeba wytępić w zarzewiu!... Przy badaniu chcę być!...

Jerzmanowski chciał się odezwać, lecz marszałek przeszył go zimnem spojrzeniem i uciął.

— Żadnych względów! Żołnierz, który w spokojnym a zaprzyjaźnionym z nami kraju zachowuje się jak opryszek, będzie traktowany jak opryszek!...

Jerzmanowski umilkł, czując, że mu się grunt pod nogami usuwa. Rozkazy marszałka zaś wybiegły już z kwatery, podniosły na nogi szwadron żandarmeryi polowej francuskiej i skierowały się ku nieszczęsnej gospodzie. Szwoleżerzy nie zdołali jeszcze zoryentować się w odniesionem zwycięstwie nad patrolem księcia würtzburskiego, gdy oczom ich ukazały się kaski żandarmeryi cesarskiej.

Porucznik, prowadzący oddział, z dwoma żołnierzami wszedł na górę.

— Oddajcie broń! Jesteście aresztowani!...

— Według rozkazu! — huknęli jednogłośnie szwoleżerzy, odpasując szable.

Porucznika, który spodziewał się oporu, ujęło to posłuszeństwo. Zagadnął więc łagodnie:

— Który najwięcej nabroił?!...

— Ja! — odezwali się równocześnie Floryan i Stadnicki.

— Więc dwóch?

— Nie, panie poruczniku! — odezwał się Floryan. — Jam rozpoczął, bo dałem mieszczuchowi w gębę!

— To nic, panie poruczniku — zaoponował gorąco Stadnicki — ale ja pierwszy ubroczyłem!...

— Ja, ja także! — huknęli pozostali szwoleżerzy. — Wszyscy jednakowo!...

Porucznik pokiwał smutnie głową.

— A wy, szalone głowy!... Trudno!... Żal mi was... Naprzód!...

Konwój żandarmeryi otoczył szwoleżerów i zaprowadził na odwach...

Jerzmanowski tymczasem z porucznikiem Wybickim starali się dociec prawdy... ale wszystko świadczyło przeciwko szwoleżerom. Skargi na rozmiary bójki i zniszczenie rosły... napływały ze wszystkich stron. Jerzmanowski był zdesperowany. Wiadomość o awanturze trafi bezwątpienia do głównej kwatery... Hańba spadnie na cały pułk... a na jego głowę, jako dowódcy, ciężka odpowiedzialność, a może i dymisya.

Jerzmanowski, chcąc się czegośkolwiek dowiedzieć, poszedł z Wybickim na odwach, aby winowajców wybadać, lecz dowódca odwachu grzecznie, lecz w sposób stanowczy odmówił.

Położenie było bez wyjścia. Oficerowie francuscy, znający surowość Kellermana, wróżyli jak najsmutniejszy koniec przestępcom, wina bowiem ich była oczywistą!

Uwięzieni szwoleżerzy ani przypuszczali, jak groźne chmury zawisły nad ich głowami i gwarzyli między sobą swobodnie, wspominając szczegóły walki. Jeden Floryan zapadł już w swoją zwykłą zadumę, ale co dziwniejsza, iż Stadnicki milczał zawzięcie, zezując kiedy niekiedy na Floryana.

Milczenie Stadnickiego, przewodzącego wszystkim rozprawom, zwróciło uwagę towarzyszów. Pierwszy ozwał się Masłowski:

— Nasz brygadyer Stadnicki... stracił coś cały humor!...

— Żal mu pewno, że mu się więcej Niemców nie nawinęło! — wtrącił Roman.

— Będą go pamiętali, a najlepiej podobno mość würtzburska — zauważył Toedwen.

— Panie Józefie, co?... Jakże? — zagadnął Marcelek.

— Et!... psia mać... bodaj go! — mruknął Stadnicki, poglądając na Floryana.

— Prawda! — przyznał Masłowski, odgadując myśl Stadnickiego — imć Floryan Gotartowski zadał im chwacko! Ani mi w głowie było, że ma taki zamach!...

— I serce! — dodał trębacz Olszewski.

— Psia mać! — westchnął ponsowy Stadnicki, łypiąc powiekami.

— Waści nielada przysługę oddał! Toć Niemcy na karku ci siedzieli!...

Brygadyer sapnął ciężko i rzucił przez zęby:

— Flo... Florek... psia mać!...

— Co... brygadyerze? — odrzekł spokojnie Floryan.

Stadnicki machnął ręką i chciał coś rzec, lecz wtem drzwi się otworzyły i do kazamaty wszedł oficer z rozkazem, aby więźniów rozdzielić i pojedyńczo rozsadzić. Szwoleżerzy przyjęli z poddaniem rozkaz.

Tego samego dnia jeszcze zaczęło się śledztwo przeciwko sprawcom „rabunku i rozboju“, jak głosił protokół. Zeznania poszkodowanych były jednomyślne. Weszli do gospody i rzucili się znienacka na spokojnych obywateli, ośmiu ludzi pokaleczyli, zniszczyli cały dom, stawili zbrojny opór warcie książęcej...

Kellerman z gniewem wysłuchał raportu, a gdy adjutant zapytał go, czy należy przesłuchać winnych, marszałek odparł z rozdrażnieniem:

— Nie trzeba! Jutro na sądzie wystarczy! Wina oczywista!

Jerzmanowski ze smutkiem dowiedział się o rezultacie śledztwa i decyzyi marszałka. W szwadronie

nie mniejsze zapanowało przygnębienie, dola towarzyszów była prawie zdecydowaną!

W nocy Jerzmanowski otrzymał rozkaz, aby dwa plutony szwoleżerów z karabinami i ostrymi ładunkami stawiły się z porucznikiem na placu, za odwachem...

Marszałek, potęgując surowość, chciał, aby winni zostali rozstrzelani przez własnych towarzyszów. Szwoleżerzy przyjęli rozkaz z ponurą determinacyą.

Dnia następnego od wczesnego ranka przed domem, zajmowanym przez sztab francuski, zbierać się zaczęły tłumy osób. Jedni przybyli dla zaspokojenia ciekawości, drudzy jako świadkowie, trzeci poszkodowani.

Na parę minut przed godziną dziesiątą zjechał dowódca warty księcia würtzburskiego, mający asystować przy sprawie, a wkrótce po nim sam marszałek w otoczeniu sztabu. W sali, natłoczonej oficerami a co przedniejszymi obywatelami, zasiadł sąd wojenny, któremu przewodniczył Kellerman.

Po odczytaniu aktu oskarżenia przez kapitana żandarmeryi polowej, raz jeszcze przesłuchano świadków i poszkodowanych. Żadnych nie było wątpliwości. Zbrodnia gwałtu i haniebnej napaści nie ulegała wątpliwości.

Kellerman dał znak, aby wprowadzono oskarżonych.

Siedmiu szwoleżerów weszło z głowami hardo podniesionemi i ukłonem wojskowym powitało marszałka.

Kellerman spojrzał groźnie ku przybyłym i zagadnął surowo:

— Przyznajecie się do popełnionej napaści na ludzi spokojnych?

— Nie! — odrzekł pierwszy Floryan.

— Nie! — odezwali się niby echo pozostali winowajcy.

Marszałek rzucił się gwałtownie na fotelu i rozkazał krótko:

— Badać pojedyńczo!

Dowódca warty wyprowadził szwoleżerów, pozostawiając tylko Floryana.

— Imię, nazwisko, miejsce urodzenia... stan służby? — badał pośpiesznie pułkownik, prowadzący protokół sądu.

— Floryan Gotartowski, z województwa rawskiego, porucznik legii włoskiej, kapitan trzynastego pułku strzelców francuskich, szeregowiec pułku szwoleżerów gwardyi jego cesarskiej mości!...

— Co, co? Porucznik? Kapitan? Żołnierz! — przerwał sucho Kellerman. — Kapitanie Jerzmanowski, co to znaczy?...

— Panie marszałku... szeregowiec mówi prawdę! Wstąpił dobrowolnie... pomimo rangi...

— Nazwisko?...

— Gotartowski!

— Gotartowski? — powtórzył marszałek.

Na czole sędziwego marszałka ukazała się groźna fałda.

— Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

— Nic!...

— Więc się przyznajesz?!...

— Nie... ekscelencyo!...

— Do licha!... gadaj nareszcie, jak było?... Podpiliście sobie i wszczęliście awanturę?...

— Nie, ekscelencyo! Nigdy nie byłem spokojniejszym i trzeźwiejszym... Niemcy drwili... Jeden z nich ośmielił się znieważyć naszą narodowość... Wyciąłem mu policzek... Jego kamraci rzucili się na nas... broniliśmy się. W końcu chcieliśmy ukarać...

— Dosyć! Dlaczego stawiliście opór warcie księcia würtzburskiego?... Przecież ta napadać was nie miała zamiaru... Odpowiadaj!...

— Bo żołnierz jego cesarskiej mości cesarza Napoleona nie oddaje broni jakiemuś cudzoziemskiemu oficerowi!... Znam tylko oficerów armii cesarskiej, a nawet sam książę würtzburski nie ma mi prawa ani rozkazywać, ani mnie sądzić!...

Cisza zaległa salę po tej odpowiedzi. Marszałek odwrócił głowę, aby ukryć dziwny blask swych ruchli-

wych oczu, przedstawiciel księcia würtzburskiego kręcił się niespokojnie. Oficerowie poglądali na siebie, zdziwieni śmiałością a dzielnością odpowiedzi.

— Kto między wami najwinniejszy? — zagadnął po dłuższej pauzie marszałek.

— Ja, ekscelencyo!

— Dosyć! Następny!

Warta wprowadziła Stadnickiego. Kellerman na dźwięk nazwiska „Stadnicki" zapytał porywczo:

— Co za Stadnicki?...

— Ten sam, któregoś wasza ekscelencya widział pachołęciem w Barze!...

Kellerman spojrzał surowo na brygadyera.

— Byłeś uczestnikiem wczorajszego napadu?... Tłómacz się! Co masz do powiedzenia?

— Że gdyby mi jutro ktoś poważył się znów tak ubliżyć... ani chwilibym się nie wahał, aby mu dać taką samą nauczkę!...

— A wiesz, co cię czeka za taką śmiałość?...

— Wiem, ekscelencyo!... Pochwała, że nie pozwoliłem zbezcześcić munduru, który noszę!...

Kellerman pochylił głowę, i unikając spojrzeń oficerów, którzy szukali na twarzy marszałka wyroku, mruknął:

— Słowem, przyznajesz się?!... Tyś pierwszy rzucił się na karabinierów... księcia...

— Tak, ekscelencyo!...

— Hm! Dali powód... odezwali się nie dość przystojnie?...

— Nie, ekscelencyo!...

Kellerman zagryzł wargi.

— Więc... nic nie masz do nadmienienia?

— Owszem, ekscelencyo! Że karabinierzy księcia würtzburskiego powinni pójść na odwach...

— Milcz! Jesteś hardy...

— Dla każdej würtzburskiej mości!...

— Byłeś pomocnikiem... tego Gotartowskiego!... On was pobudził, on przewodził?... On był głównym sprawcą?

— Nie, ekscelencyo! To ja właśnie!...

Kellerman szarpnął się niecierpliwie na fotelu.

Wprowadzono kolejno resztę przestępców. Żaden z nich nie stracił fantazyi, każdy winę przyjmował na siebie i za głównego sprawcę wszystkiego złego się przedstawiał.

W miarę badania, Kellerman objawiał coraz większe zniecierpliwienie, które do zenitu doszło przy indagowaniu Masłowskiego, gdy ten z całą werwą jął opisywać przebieg bijatyki... a głównie epizod otrzymania tęgiego guza na czole.

— Ja, ekscelencyo, siedziałem ze Stadnickim... Słyszę trzask... a potem brzęk rozbitego szkła... Gotartowskiego Floryana napadają. Stadnicki skoczył na pomoc... Mnie z tyłu chwyta dwóch Niemców za bary i tarmosi... Szarpię się, wyrywam. Naprożno! Lecz Olszewski nadbiega z pomocą i uwalnia mnie... Chwytam za ławę i zapieram się o ścianę... Zawinąłem raz i drugi — pusto około mnie!... Chcę posunąć się ku Stadnickiemu, lecz wtem zza framugi wysuwa się Niemiec z prętem żelaznym w ręku... i zamierza się...

— A ty? — zagadnął żywo marszałek.

— Ja?... Cofam się...

— Mazgaj!...

— Cofam się, ekscelencyo, dobywam pałasza, podbijam pręt, kiedy mi oto tego guza zadaje, i tnę po ramieniu...

Marszałek skinął z zadowoleniem głową, lecz naraz, jakby żałując mimowolnego odruchu, zmarszczył się i odezwał się krótko do członków sądu:

— Panowie! Zdaje mi się... że zeznań tych wystarczy do powzięcia postanowienia?

Oficerowie sądzący skłonili się twierdząco. Marszałek się podniósł. Sąd udał się na naradę.

W sali wśród zebranych gwar powstał i zamieszanie. Oficerowie, przysłuchujący się rozprawom, rzucili się ku winowajcom.

— Dzielnie! Wybornie! To zuchy! — odezwały się głosy.

Śmielsi podchodzili do ławy, otoczonej żandarmami i zagadywali uprzejmie. Jerzmanowski jeden był niepocieszony. Rozprawa wprawdzie była dlań miłą niespodzianką... zmieniła bowiem całą postać oskarżenia... ale, bądźcobądź, co do wyroku nie było podobna się łudzić! Młody kapitan szaserów francuskich, z którym był się zapoznał Jerzmanowski, dodawał mu otuchy i pocieszał:

— Kolego! Nie znasz naszego marszałka! Ogień! Ale sprawiedliwość w nim wielka! Jedno słowo jest w stanie go zmienić! Nie przeczę, że objawiał niebywałą zaciętość i wzburzenie, ale... podczas badania widziałem w jego oczach błysk zadowolenia! Wyrok surowy być nie może...

— Ba! Toć sąd wojenny!

— Istotnie znający tylko dwie odpowiedzi: „tak“ i „nie“... Jednak jesteśmy na stopie pokojowej... Sąd może przekazać ukaranie porządkowi dyscyplinarnemu!... Żal mi serdecznie tych młodych ludzi, bo karyera ich zwichnięta jest... bądźcobądź!... A bardziej jeszcze żal mi pana... boć to dla dowódcy przykrość wielka!...

Jerzmanowski uścisnął serdecznie rękę kapitana szaserów i, odnalazłszy w tłumie porucznika Wybickiego, udzielił mu tych pomyślniejszych nieco nowin.

Szwoleżerzy stali tymczasem wśród karabinierów i gawędzili między sobą. Ktoś z tłumu szepnął im, że wyrok będzie bardzo surowy.

— Niech sobie! — bąknął pogardliwie Stadnicki. — A co tamtym się dostało, psia mać... tego im nikt nie odbierze.

— Marszałek się odgrażał! — zauważył Toedwen.

— Widzicie! — wtrącił Olszewski. — Tam na lewo, na wzniesieniu, siedzi pułkownik księcia i czyha na to, aby nam skórę wytatarowali!...

— Może nam się po funcie ołowiu dostać! — odezwał się melancholijnie Roman.

— Więc cóż z tego? — przerwał niecierpliwie Floryan. — Choćby!... Strach taki?... Stać spokojnie!...

Niech nikomu nie postoi nawet myśl, że cośkolwiek może nas zalterować!

Szwoleżerzy spojrzeli z szacunkiem na Floryana. Stadnicki sapnął ciężko, przysunął się do Gotartowskiego i rzekł cicho:

— Florek... psia mać!... Daruj, bo mnie zadławi!

Florek spojrzał ze zdziwieniem na Stadnickiego.

— Co wam, brygadyerze?...

— Florek! Nie patrz tak na mnie... bo mi duszę wypatrzysz... Widzisz, ja tego... a tyś chłop.... na schwał... z flakami serdeczny... Daj rękę!... Bądź mi przyjacielem, daruj, przebacz! Uważasz, psia mać... tyś nasz kapitan... i koniec!...

— Ależ brygadyerze! Nie rozumiem... ja dla was...

— Nic, nic, Florek! Daj gęby!... Powiedz słowo!... A psia mać, skoczę... bodaj ci tego würtzburga zezującego ściągnę a wytuzuję!..

Zapał Stadnickiego udzielił się reszcie towarzyszów. Wszyscy rzucili się do ściskania Floryana. Marcelek z dumą spoglądał na brata.

Wynurzenia przyjaciół przerwał ostry głos dzwonka. Cisza zaległa salę. Marszałek wszedł na podniesienie razem z członkami sądu i skinął na pułkownika. Ten głosem cichym jął odczytywać wyrok, zaczynający się od ustępu pełnego formalistyki i nazwisk, wreszcie zatrzymał się i wyrzucił gwałtownie:

— Sąd uznaje szwoleżerów za... niewinnych zbrodni napadu i przekazuje sprawę naczelnikowi sztabu... do rozpatrzenia jej na drodze dyscyplinarnej!...

Sala zabrzmiała okrzykami zadowolenia i wiwatami na cześć marszałka. Przedstawiciel księcia würtzburskiego posiniał i wstając pośpiesznie z miejsca, rzekł do Kellermana:

— Doprawdy, nie pojmuję, jaki był cel waszej ekscelencyi powoływania mnie tutaj... chyba, żebym był świadkiem krzywdy i obrazy jego książęcej mości...

— Mylisz się pan! — odparł sucho Kellerman. — Chciałem, abyś mógł dokładną zdać sprawę i zapewnić księcia, że sprawiedliwości stało się zadość.

— Nie sądzę! — odciął się przedstawiciel księcia — aby postanowienie sądu uwzględniało krzywdę naszych mieszczan i śmiem zapewnić waszą ekscelencyę, że w tej mierze dziś jeszcze wyślemy gońca do Paryża!

— Wolna droga! Proszę pamiętać tylko na przyszłość, że jeżeli milicya księcia raz jeszcze poważy się zaczepić moich żołnierzy — wówczas zmuszony będę ją rozbroić!...

Kellerman odwrócił się po tych słowach od książęcego sługi i zaczął żywą rozmowę ze swoim nieodstępnym adjutantem.

Wyrok tymczasem już zdołał się przedostać poza mury odwachu, budząc szczerą radość nietylko szwoleżerów, ale i żołnierzy załogi francuskiej.

Jerzmanowskiemu ciężar spadł z serca. Przynajmniej obyło się bez ofiar!...

Jerzmanowski z Wybickim udali się co prędzej na kwatery szwadronu, aby natychmiast nakazać zgromadzenie się oddziału, a wypaliwszy perorę wszystkim... winnych ukarać odpowiednio, niezależnie od tego, co jeszcze sztab postanowi.

Lecz zaledwie Jerzmanowski zdołał wydać pierwsze rozkazy — nadjechał ordynans od marszałka. Jerzmanowski ze drżeniem rozerwał kopertę.

Kellerman wzywał, aby szwadron stawił się za dwie godziny przed odwachem...

Jerzmanowski podał papier Wybickiemu.

— Masz, czytaj! Widzisz, co nas czeka!...

Wybicki przebiegł treść rozkazu i odezwał się spokojnie:

— Przegląd!

— Oszalałeś!... Nie znasz zwyczajów wojskowych! Szwadron jest wezwany, aby wysłuchał napomnienia... i dowiedział się o karze... Wstyd... kompromitacya! Krasiński mi tego póki życia nie daruje! A Dautancourt? Książę Józef?... Rękę sobie pozwolę uciąć, że za tydzień, dwa, w Warszawie będą wiedzieli o wszystkiem! Nie sposób oczu pokazać! Marszałek miał wzgląd... przyczynił się do uwolnienia ich... ale teraz!... Słuchaj — ja podaję się do dymisyi!... W Chantilly

mamy połączyć się ze szwadronem Łubieńskiego i z Gorajskim! Ustępuję, trudno! Trzeba skwitować...

— Kapitanie!... Toć przecież... niewiadomo!...

— Chcesz mnie pocieszać!... Radbym dać posłuch, nie mogę!... Nauczyłem się śmiało myśleć o tem, co mnie czeka! Trzeba w porę się usunąć... pomyśleć o powrocie do kraju...

— Za dwie godziny mamy się stawić...

— Masz słuszność — zawołał Jerzmanowski. — Trzeba wytrwać do ostatka!...

Jerzmanowski poszedł do kwater szwoleżerów wydać rozkazy i dopilnować natychmiastowego zebrania się szwadronu. Nie było to jednak łatwem zadaniem, ile że część znaczna żołnierzy rozbiegła się po mieście, zapijając i racząc się obficie na cześć uwolnionych towarzyszów, Jerzmanowski atoli rozesłał co starszych żołnierzy, a wreszcie samego Wybickiego po mieście. Więc choć w końcu kilku ludzi brakło, lecz szwadron mógł wystąpić.

Gwałtowne to było zbieranie się i szykowanie; ani na staranniejsze oczyszczenie koni, ani opatrzenie mundurów czasu nie było. Jerzmanowski napędzał, strofował i za każdym żołnierzem się uganiał. Gdy w końcu szwadron stanął gotowy, kapitan Jerzmanowski odezwał się krótko:

— Wolałbym się pod ziemię zapaść, niż z wami na tę paradę ruszać! Czeka nas wstyd, a to dzięki kilku awanturnikom!... Pod złą wróżbą zaczęła się nasza potrzeba... O jednem pamiętajcie, że dopóki ja będę waszym zwierzchnikiem a dowódcą, dopóty nie spodziewajcie się odemnie żadnej względności, żadnego ustępstwa... Na krok nikomu nie wolno będzie z koszar się oddalić... A co się tyczy tych siedmiu kawalerów, to z nimi ja będę miał jeszcze oddzielną rozprawę!...

Jerzmanowski zakomenderował, szwadron ruszył kłusem na plac przed odwachem. A czas był najwyższy po temu, bo zaledwie szwoleżerzy zdołali się ustawić według wskazówki czekającego na nich oficera sztabowego — już był nadjechał marszałek w oto

czeniu licznej świty. Jerzmanowski złożył raport ceremonialny. Marszałek Kellerman kiwnął mu przyjaźnie głową.

— Zobaczymy teraz — rzekł — czy te zuchy coś więcej umieją prócz bijatyk po zajazdach!... Generale Arrighi, weźno ich na egzamin.

Sędziwy generał kawaleryi stanął przed frontem szwadronu. Jerzmanowski cofnął się na prawe skrzydło — i rozpoczęły się zwroty. Arrighi zwijał szwadron, wyciągał, łamał na szóstki, zataczał nim półkola, zawracał na miejscu, ale ćwiczenia szły kulawo, żołnierz nie znał dobrze komendy francuskiej. Kellerman kręcił głową.

Skinął na Jerzmanowskiego.

— Słabo! Niewprawnie!..

— Wasza ekscelencyo, żołnierz nie rozumie dobrze komendy...

— Zobaczymy! Dawać sygnalistów!

Trębacze wyjechali na bok i zaczęli grać. W szwadron jakby jedna dusza wstąpiła. Konie na włos nie chybiały obrotów, a gdy trąby zagrały — atak — runęły naprzód szalonego galopa, ledwie ziemi dotykając kopytami, a trzymając linię łeb w łeb.

Marszałek podjechał do szwadronu i odezwał się łamaną polszczyzną:

— Jeszcze trochę pracy, a wyjdziecie na tęgich żołnierzy! Hej! Gdzież są ci awanturnicy? Wystąpić z szeregu!

Floryan, Marcelek, Stadnicki, Toedwen, Masłowski, Roman i trębacz Olszewski wysunęli się naprzód.

— Zaczyna się — szepnął Jerzmanowski do Wybickiego.

— Gotartowski! — rzekł marszałek. — Jako kapitanowi strzelców, nie przystoi ci być żołnierzem... jesteś brygadyerem... Stadnicki! Mianuję cię wachmistrzem!... Nie dlatego, żeś się dał we znaki warcie księcia würtsburskiego, ale byś równie dzielnie stawał na polu bitwy!...

— Ekscelencyo... niech mnie... psia!... — jąkał wzruszony Stadnicki. — Na śmierć!...

— Zobaczymy, zobaczymy! Mam nadzieję o tobie jeszcze coś usłyszeć!.... Kapitanie Jerzmanowski, a z tych zuchów przedstaw mi kilku do awansu, których za godniejszych uważasz... Jutro w drogę! A dziś... żebyście znów jakiemu Niemcowi gospody nie zburzyli... kazałem wam zgotować poczęstunek w koszarach moich szaserów!...

— Wiwat! Niech żyje marszałek! — huknęli szwoleżerzy.

Jerzmanowski salutował Kellermana, prężył się na koniu a mienił wszystkimi kolorami, porwany niespodziewaną łaskawością a dobrocią marszałka.

Kellerman zwrócił się do generała Arrighi:

— Zawsze ci sami!... Teraz można ich zaprowadzić na dno przepaści...

— Dobrze im patrzy z oczu! Wasza ekscelencya musi znać dobrze ich naturę?

— Czy znam? Zważ tylko! Ile lat walczyłem z nimi w konfederacyi barskiej! — Istotnie, oni nie wywołali wczorajszego zajścia, ale gdyby to był nasz żołnierz, to kara byłaby potrzebną... Z nimi surowością nie poradzi!... Za słowem dobrem w ogień skoczyć gotowi! A bądź przekonany, generale, że po raz drugi nie dopuszczą się podobnej samowoli! Wielebym dał, żeby w moim korpusie mieć taki oddział!...

Tu marszałek zwrócił się do Jerzmanowskiego:

— Kapitanie! Proszę za mną! A i twój porucznik! Szwadron doprowadzi ci do kwater ten twój brygadyer-oficer.

Jerzmanowski dał rozkaz Floryanowi, a sam z Wybickim ruszył za marszałkiem.

Floryan sformował szwadron szóstkami i dał znak trębaczom.

Olszewski, a za nim pyzaty Świętarek, Dzięcioł i młody Waśniewski zagrali od ucha marsza szwoleżerów, ułożonego jeszcze w Warszawie przez porucznika Brockiego. A gdy trąby ucichły — szwoleżer Norwiłł, niewyczerpany w koncypowaniu piosnek uciesznych a okolicznościowych, zaczął nucić z początku cicho, półszeptem:

Nasz marszałek wielki wódz, wielki wódz, wielki wódz!...
Szwoleżerów nie dał zmódz, nie dał zmódz
Dziś!...

Książę Würtzburg skruszony, skruszony, skruszony,
Nam przybyły szewrony, szewrony...
Dwa!...

Słowa piosnki zatrzęsły szwadronem. Chór dźwięcznych, młodych głosów poderwał ochoczo nutę.

Odgłos pieśni dobiegł do uszu marszałka i dumy jakieś snać w nim obudził, bo czoło wypukłe sfałdowało mu się, a wzrok pomknął w dal.

— Wasza ekscelencyo! — zauważył jadący obok generał Arrighi. — Czy nie za hałaśliwie zachowują się ci Polacy? Ekscelencya zdaje się być zamyślonym... a to denerwuje... Pozwolisz... każę...

— Nie, generale! Mylisz się! Wspomnienia to dla mnie lat minionych! Drogie wspomnienia!

Szwoleżerów tego dnia spotkał suty poczęstunek. Honory domu pełnili wachmistrze szaserów francuskich.

Pod koniec stypy zjawił się marszałek ze sztabem i łaskawie zagadywał żołnierzy. Stadnicki, Floryan a i Marcelek byli przedmiotami szczególniejszej względności marszałka.

— Jak ci na imię? — zapytał Kellerman Stadnickiego.

— Józef! Ekscelencyo!

— Prawda!... A przypominasz mnie sobie?

— Tak jest, ekscelencyo!... Wybornie! Miałem zaszczyt ciągnąć zawsze ekscelencyę za harcap!

Marszałek roześmiał się serdecznie.

— Pamiętam cię, urwisie! Patrz, jak wyrosłeś!... Kapitanie Jerzmanowski, trzymajże go krótko!... Bo już to i ojciec jego był szaloną głową.

— Ekscelencyo! Znam go... tylko ciężka z nim sprawa, bo to siłacz, że mu i sześciu ludzi nie da rady!

Kellerman zmierzył wzrokiem olbrzymią postać Stadnickiego.

— Znać to po nim, ale naszemu Jackowi z dragonów nie dałby rady!...

— Ekscelencyo, za Stadnickiego ręczyłbym! Toć nasz porucznik, Seweryn Fredro, wielkiej jest siły a zręczności, lecz Stadnickiemu musi ustąpić...

Kellerman się rozochocił i kazał przyzwać Jacka, aby się zmierzył ze Stadnickim na siłę.

Ów Jacek był nielada siłaczem. Mały, krępy, a niezwykle barczysty, w swych wielkich muskularnych rękach gruchotał i łamał karabiny, zginał podkowy. Jedną ręką podnosił najtęższego żołnierza do góry, a w korpusie Kellermana nie było śmiałka, któryby się ważył Jackowi stawić.

Jacek, zobaczywszy wysoką, wybujałą nadmiernie postać swego przeciwnika, uśmiechnął się pod wąsem i odgarnął gęstą, czarną, spadającą mu na czoło czuprynę.

Zapasy zaczęły się od podnoszenia ciężarów. Jacek złożył wnet dowody nadzwyczajnej siły. Skrzynie, wypełnione ołowiem do wyrobu kul — podnosił i podrzucał do góry.

Stadnicki spoglądał na te ćwiczenia dosyć obojętnie, a gdy na niego kolej przyszła, prosił o przyprowadzenie najbardziej niesfornego konia.

W pułku dragonów francuskich właśnie odbywano remont koni; pośród dostarczonego pułkowi zapasu był źrebiec bułany, nadzwyczaj niesforny, któremu mistrze kowalscy nawet podków przybić nie mogli, a czterech ludzi ledwie go na surowcowych kantarach utrzymać zdołało. Pułkownik dragonów, który się szczycił posiadaniem takiego jak Jacek siłacza — szepnął na ucho swemu ordynansowi, aby śmiałemu Polaczkowi tego właśnie źrebca przyprowadzono.

Gdy marszałek spostrzegł to silne a półdzikie zwierzę, szarpiące ciałami uwieszonych u jego uzdy żołnierzy, ozwał się z perswazyą do Jerzmanowskiego:

— Kapitanie! Niech Stadnicki lepiej próby zaniecha! O wypadek nie trudno...

— Ekscelencyo, pozwól! Toć ambicya nasza nie pozwala go odwodzić...

Kellerman chciał wstrzymać Stadnickiego, lecz ten już doskoczył do źrebca, schwycił go prawą ręką za grzywę i kazał odstąpić stajennym. Źrebiec próbował targnąć się, zaparł się nogami, lecz drgnąć nie mógł. Stadnicki jedną ręką trzymał go w miejscu, nie okazując zbytniego wysiłku. Źrebiec uspokoił się i stał potulny.

— Doskonale! — pochwalił marszałek.

— Istotnie, ekscelencyo! — wmieszał się pułkownik dragonów. — Żołnierz zna obejście się z koniem, lecz co do siły...

Pułkownik nie dokończył, w oczach zebranych stało się bowiem coś, czego nikt się nie spodziewał.

Otóż Stadnicki lewą ręką ujął źrebca za ucho, z prawej puściwszy trzymaną grzywę. A potem zaparł się o ziemię i szarpnął konia za łeb. Źrebiec, mimo wściekłego oporu, zachwiał się i runął. Stadnicki pochylił się i trzymał go przy ziemi!...

Żywe oklaski zebranych nagrodziły brygadyera, lecz ten jeszcze nie dał za wygraną. Kazał sobie podać kilka popręgów, a gdy mu te przyniesiono, owinął niemi zad konia i podniósł go do góry. Po chwili zaś spętał szybko nogi źrebca, podsunął ramię... i poniósł go w kierunku stajni!...

Marszałek, generałowie i cały sztab winszowali Jerzmanowskiemu takiego żołnierza. Jacek usunął się na bok, nawet nie myśląc mierzyć się z tym siłaczem.

Kellerman wśród oficerów zarządził składkę na Stadnickiego. Posypały się srebrne a i złote pieniądze. Gdy zebrała się spora sumka, marszałek przywołać kazał Stadnickiego.

— Dzielnieś się spisał!... Zuch, zuch! Masz, przyjmij tę małą zapomogę, niech ci będzie na nowy mundur, który ci podobno Niemcy poszarpali!...

Stadnicki zgarnął obojętnie pieniądze i zaczął je liczyć spokojnie, stojąc przed marszałkiem.

Kellerman zagryzł wargi gniewnie, oficerowie oniemieli.

— Chcesz się przekonać, czy suma jest dostateczną?... Odejdź!...

— Nie, ekscelencyo! — odparł zimno Stadnicki, wyciągając z zanadrza woreczek z dukatami — chciałem tylką taką samą sumę dołożyć... i prosić waszej ekscelencyi, abyś te pieniądze rozdzielić raczył pomiędzy ubogich... Stadnicki ma żołd, a sztuk za pieniądze nie pokazuje...

Kellerman powstał z miejsca i rękę położył na ramieniu brygadyera.

— Patrzcie, panowie — rzekł do oficerów — oto krew!... Polska krew! Daj rękę!...

Oficerowie jęli się cisnąć do Stadnickiego i winszować mu szlachetnego znalezienia się. Marszałek wpadł w świetny humor. Jerzmanowski mienił się kolorami z zadowolenia a dumy szczerej.

— Stadnicki! — wołał rozochocony Kellerman. — Ale co tego źrebca, to już go musisz sobie wziąć!... Niech ci służy za dar, za pamiątkę odemnie, od całego pułku dragonów!... Ty jeden dasz sobie bezwątpienia z nim radę!... Toć on drży przed tobą...

— Zły to jeździec, ekscelencyo, co strachem konia w karności trzyma! — wtrącił Arrighi.

— Słusznie! Trafna uwaga, ale u nich... kiedy mają takich Herkulesów!...

— Ekscelencyo! — odezwał się ośmielony Jerzmanowski. — Jeżeli pozwolisz pokazać sobie, jakie mamy konie w szwadronie...

— No, widziałem je na rewii, dzielne, ale owszem!

Jerzmanowski poszedł do Floryana i zamienił z nim parę słów.

Oficerowie z marszałkiem stanęli półkolem. Upłynęła dobra chwila, zanim na placu przed koszarami ukazał się szwoleżer, prowadzący siwo-jabłkowatego wierzchowca. Zebrani z zadowoleniem znawców jęli przypatrywać się kształtom pięknego rumaka. Żołnierz tymczasem zarzucił koniowi cugle na grzbiet i puścił go...

Koń parsknął raźno, zarżał, zarył kopytami i obejrzał się niespokojnie. Naraz za plecami mar-

szałka rozległ się lekki gwizd. Koń poruszył się gwałtownie i kłusem zbliżył się do oficerów. Wśród tych ostatnich wszczął się popłoch.

— Wstrzymać go!... Przytrzymać! — odezwały się głosy.

— Panowie! Proszę stać na miejscu! Odpowiadam, że koń nie tknie nikogo! — uspokoił Jerzmanowski.

Jakoż koń, podszedłszy do wału stojących ludzi, zaczął powoli przeciskać się między nimi, torując sobie drogę poruszeniami łba — aż wydostawszy się za linię ludzi, przypadł z radosnem rżeniem do ręki Floryana i przytulił łeb do jego piersi.

Marszałek aż zdumiał się takiej zmyślności zwierzęcia. A dopiero było ukontentowanie, gdy Floryan wyprowadził siwka na środek i głosem spokojnym, cichym zaczął nim powodować.

Koń każde skinienie rozumiał, każde słowo w lot pojmował i spełniał zwrot za zwrotem cicho, potulnie, łasząc się i przymilając Floryanowi.

Lecz gdy marszałek chciał do niego przystąpić... najeżył grzywę i białe zęby wysunął...

Do późna w nocy przeciągnęła się uczta u marszałka. Koń Floryana był przedmiotem żywych rozpraw. Zastanawiano się nad jego pochodzeniem. Znawca wielki a koniarz, pułkownik dragonów, miał go za araba, generał Arrighi upatrywał w nim ślady krwi angielskiej. Dyskusya wywiązała się żywa. Przeciął ją marszałek:

— Panowie! Ja coś wam o tym koniu powiedzieć mogę. Jest to tak zwany u nich polski koń, powstały ze skrzyżowania arabskich synów pustyni z dawnymi wychowańcami stepów naddnieprzańskich. Wykształcony w bojach, a wychowany wśród potulnych koników mazowieckich, koń to zalet wysokich, bo obok przymiotów wytrwałości a rączości łączy najważniejszy, bo przywiązanie do swego pana. Zasługa tu wprawdzie i jeźdźca! Konie te za mojego pobytu w Polsce były już rzadkością!... Tem większą, że kto miał konia takiego, sprzedać go nie chciał. Zresztą stworzenie to dziwne.... Zmiana pana psuje go...

demoralizuje!... Wówczas tylko stoi na wysokości swoich zalet, gdy służy temu, kto go ujeżdził, kto z nim obcuje, kto go sam pielęgnuje i opatruje!...

Nazajutrz szwadron ruszył w dalszą drogę, kierując się, w myśl odebranych rozkazów, na Metz, Chalons, Orlean, Tours aż do Bordeaux. Zdziwiło to nieco żołnierzy, zaniepokoiło Jerzmanowskiego, że Paryż kazano mu ominąć.

W Bordeaux miał czekać szwoleżerów dłuższy postój i połączenie się z innymi oddziałami pułku!... Lecz co gwardya miała robić w Bordeaux? Czyżby tam miała wyznaczone leże?... Nie!... Ani w Bordeaux, ani nigdzie!... Leżem pułku miały się stać wzgórza Rioseco i Tudeli, wąwozy Somo-Sierry, pola Wagramu!...

IV.

I zdało się ludom Europy, że nad głowami ich niebo wyjaśniać się zaczęło, i zdało się, że ostatnie gromy padły na polach Friedlandu, a dobroczynne blaski tylżyckiego traktatu na długie lata staną się prawem. Zdało się, że te ognie, rozniecone przez pierwszą rewolucyę francuską — wygasły nareszcie, a chmury, powstałe nad zgilotynowanem ciałem pomazańca królewskiego, rozproszyły się, zczezły.

Zjazd monarchów w Erfurcie potwierdzał te mniemania, łudził.

Ludy jęły się zaniechanej pracy... Rolnik wracał do zapuszczonych pól, miasta dźwigały się z ruin...

Burza przeszła — mówiono.

Lecz nie burza to była, ale dziejowy huragan, który póty zrywać, póty szaleć nie przestaje, póki nie rozbije się o moc swoją — póki z rozsianego przezeń popiołu, rumowisk, z utoczonej krwi, a z rozsypanego żelaza nie narodzi się siła, co go zmoże, co mu stawi czoło, co w pochodzie swym go wstrzyma!...

Od Renu aż po Niemen, od Rzymu aż do Baltyckich wybrzeży, na piaskach Egiptu i Arabii, w wilgotnych gajach S. Domingo, piętrzyły się już pomniki, które na wielkich cmentarzyskach ludzkich głosiły nieśmiertelną sławę Bonapartego. Miliony już złożyły się na krwawe wawrzyny, miliony zginęły w zapomnieniu, byle imię Napoleona przetrwało — lecz jeszcze nie wypełniła się czara przeznaczeń.

Bonaparte coraz częściej spoglądał na kąt Europy, gdzie za łańcuchami Pirenejów, wśród kastylskiej

pustyni wznosiła się stolica Karola IV., króla hiszpańskiego.

Smutne były rządy Karola IV. Już gdy w roku 1785 wkładał koronę po swym wielkim ojcu, Karolu III., nad Hiszpanią zawisły chmury. Napróżno minister Florida Blanca usiłował je zażegnać. Wojna z Anglią odrazu podcięła finanse państwa, a echa rewolucyi francuskiej zniewoliły Karola IV. do upominania się za tak bliskim krewnym, wreszcie w nim samym budzić zaczęły trwogę i nieufność.

Karol IV. miał wiele zalet wystarczających do zyskania tytułu dobrego obywatela, lecz za mało na miano dobrego króla.

Karol IV., nie ufając Blancowi, powołał do swego boku hrabiego Arandę, i dalej oglądał się a szukał człowieka, któryby zdjął z jego ramion ciężar władzy...

Tymczasem do Madrytu przyszedł pieszo dwudziestoletni młodzieniec, syn ubogiego szlachcica z Badajoz w Estremadurze... Manuel de Godoy... Przyszedł z mandoliną w ręku, z piosnką na ustach, z ogniem w czarnych, głębokich oczach... przyszedł w pogoni za szczęściem, za losem... i grać zaczął...

Rok cały przesiedział Godoy w Madrycie na łasce miłosiernego oberżysty, zbierając niekiedy po kilka miedziaków. Aż camarera królowej Maryi Ludwiki zwróciła nań uwagę i w chwili nudy dworskiej wspomniała o młodym, pięknym śpiewaku.

Godoya przywołano do pałacu królewskiego, i odtąd już zeń wyjść nie miał. Królowa zapałała gwałtowną miłością ku ubogiemu szlachcicowi, królowi podobał się młodzieniec pełen życia a energii... Manuel Godoy został zaliczony do gwardyi przybocznej... i odtąd dzień każdy nowe nań sprowadzał zaszczyty. W rok był adjutantem gwardyi, w dwa lata później generałem i kawalerem wielkiego krzyża. W cztery lata księciem Alcuda, kawalerem złotego runa i głową państwa.

Naród ze zgrozą patrzał na tego ulubieńca królewskiego, na hańbę domu panującego, na zaślepienie Karola IV. i występne miłostki Maryi Ludwiki.

Lecz Manuel Godoy potrafił zręcznie ster rządu uchwycić i lawirować wśród intryg dworu i dyplomacyi. On to, śpiewak estremadurski, zagroził konwentowi nowej Rzeczypospolitej, on wojnę wydał po śmierci Ludwika XVI-go i prowadził ją ze zmiennem szczęściem dla oręża hiszpańskiego, szukając oparcia w przymierzu z Anglią, i on pokój zawarł w Bazylei.

Karol IV. umiał być wdzięcznym, a Marya Ludwika wierną... Manuel Godoy wyniesionym został do niesłychanej w dziejach królestw godności, bo do tytułu jego królewiczowskiej mości, odbierając również wspaniałe wynagrodzenie w dobrach i złocie.

Godoy stał u szczytu potęgi. W roku 1796 nowy traktat zawarł już z Dyrektoryatem francuskim przeciwko Anglii. Ta ostatnia przyjęła wyzwanie; mimo pozornego powodzenia... klęski jęły się zwalać na Hiszpanię... Skarb pusty, milionowe straty w ludziach i okrętach, zastój w handlu, wrzenia rewolucyjne, tłumione z trudnością, niesnaski z duchowieństwem gnębiły kraj, niszczyły, trawiły...

Lud z coraz większą nienawiścią spoglądał na Manuela Godoya, uważając go za przyczynę wszystkich nieszczęść.

Karol IV., chcąc nietykalnością otoczyć osobę swego ulubieńca, umyślił śluby jego z Maryą Teresą de Bourbon, córką stryja swojego, Ludwika. Piętnastoletnia dziewczyna miała paść ofiarą Maryi Ludwiki!... Usłużni dworacy, chcąc ten związek usprawiedliwić, wywiedli ród Godoya od meksykańskiego Montezumy!...

Lecz wówczas stał się wypadek, który o mały włos nie przeciął życia ulubieńca... W wigilię zaślubin księcia do pałacu królewskiego wpadła młoda kobieta, znana w kołach towarzyskich Madrytu pod nazwiskiem Józefiny Tudor... i rzuciła się z płaczem do nóg królowi!... Była to tajemnie zaślubiona żona Godoya... matka jego dzieci...

Marya Ludwika... pozostała niewzruszona. Ślub się odbył...

Lecz Godoy zaczął myśleć o koronie, przyjmując udział w knowaniach przeciwko Dyrektoryatowi. Rząd Rzeczypospolitej pochwycił nici zmowy i zagroził wojną. Karol IV. musiał ulubieńca usunąć, lecz nie na długo.

Nieszczęścia tymczasem nie przestawały spadać na kraj. Susza zniszczyła zasiewy południowej Hiszpanii, żółta febra w samej Andaluzyi około stu tysięcy ludzi pochłonęła, trzęsienie ziemi w Granadzie napełniło lud zabobonny lękiem...

Na morzu huk dział nie ustawał. Anglia nie mogła przebaczyć Karolowi czwartemu przymierza z Francyą. A niedołężny król, dostawszy się pomiędzy dwa wojujące ze sobą państwa, tracił grunt pod nogami tronu... Nie chciał wojny z Anglią, a gorzej się bał jeszcze oręża francuskiego, którego sława pod wodzą konsula rozbrzmiewała coraz silniej. Wybierając z dwóch ostateczności mniejszą, stał się biernem narzędziem Francyi. Do tego stopnia, że gdy Lucyan Bonaparte przybył do Madrytu z żądaniem, aby Karol IV. wydał wojnę... córce własnej, zaślubionej regentowi portugalskiemu... wojna... wybuchła, a z nią Manuel Godoy powrócił do władzy. Anglia ze swej strony zmusiła Portugalię do obrony... i tak dwa bratnie, a w zgodzie ze sobą żyjące ludy, rozpoczęły wojnę... Pokój w Amiens przywrócił półwyspowi chwilowe uspokojenie, lecz nie na długo.

Bonaparte skrępował swego sprzymierzeńca warunkami o dostarczaniu mu na każde żądanie posiłków i coraz natarczywiej ich żądał. Anglia przy każdej sposobności nie omieszkała szarpać i rwać flotę sojuszniczki, nienawistnej Francyi. Duma hiszpańska długo znosiła korsarstwo angielskie, aż zapałała chęcią odwetu...

Drogą ofiar, drogą ciężkich podatków a wyzbycia się ostatnich piastrów — Godoy uzbroił nową flotę... Cztery miesiące połączone okręty francusko-

hiszpańskie kusiły się o zmożenie Nelsona... aż pod Trafalgar zniszczone zostały doszczętnie.

Wielki Nelson życiem własnem okupił zwycięstwo angielskie, lecz marynarka hiszpańska istnieć prawie przestała.

Karol IV. osłabł na duchu. Panował już tylko Godoy z Maryą Ludwiką, opierając całą przyszłość upadającego państwa na Francyi. Lecz naraz, po zwycięstwie austerlickiem, na dwór madrycki padły słowa, które goryczą napełniły serce słabego króla.

Król neapolitański, skuszony przez Anglię, przystąpił do koalicyi. Bonaparte nie zniósł niesforności i oświadczył krótko:

— Dynastya neapolitańska przestała panować!...

A przecież ta dynastya stanowiła najbliższą rodzinę Karola IV., przecież przed kilku laty zaledwie przez związek syna swego Ferdynanda z Maryą Antoniną neapolitańską chciał węzły rodzinne zacieśnić!

Policzek był wyraźny. Znieść go było trzeba. Godoy jednak dał się wciągnąć do układów z Anglią.. i gdy Bonaparte ruszał na pogrom pruski — ulubieniec królewski wydać musiał manifest do narodu, wzywający go do składania ofiar i zaciągania się pod sztandary.

Zanim ta odezwa dosięgła wszystkich zakątków Hiszpanii — echa Jeny i Auerstaedtu odbiły się o mury Madrytu. Uląkł się król, przestraszyła królowa — Godoy zaś, nie tracąc przytomności, obwieścił, że manifest był sfałszowany i jaknajpoddanniejsze zaręczenie Napoleonowi wysłał.

Przyjął je Bonaparte z ponurym błyskiem oczu. Stojąc w obliczu Pułtuska, Iławy i Friedlandu, nie miał czasu na karanie winnych zdrady za Pirenejami...

Hiszpanię czekały już krwawe dni, lecz może mniej bolesnymi, mniej upokarzającymi one były od gorszących zajść, których świadkami miały być ściany zamku Eskuryalskiego, Aranchuezkiego, w ostatku Bajońskiego...

Stronnictwo, nienawidzące panoszenie się estremadurskiego mandolinisty, wzrastało z dniem każdym. Książę Asturyi, następca tronu Ferdynand, znieść nie mógł plamy, jaką Godoy rzucał na koronę ojca, i z coraz większą następował nań zaciętością.

Nieokrzesany, niepowściągliwy charakter Ferdynanda, a małe jego ukształcenie, oddało go na łaskę zauszników takich jak Escoiquiz. A ci podsycali w nim nietyle może poczucie honoru, ile żądzę panowania, żądzę władzy, od której Godoy go odsuwał.

Inkwizycya hiszpańska, szukająca swego odrodzenia, podtrzymywała zmysły Ferdynanda i pomoc swoją rozpoczęła od wytoczenia Godoyowi procesu o dwużeństwo. Karol IV. osłonił atoli swego ulubieńca. Lecz Ferdynand, a właściwie nieubłagany wróg Godoya — Escoiquiz ukuł spisek przeciwko tronowi. Czujny Godoy wykrył go.

Król, a głównie niepomna na macierzyńskie uczucia królowa... nakazała uwięzienie następcy tronu i spiskowych.

Gdy w posępnym Escurialu wrzała haniebna rozterka między synem a rodzicami — Bonaparte, poruszony napaścią, dokonaną przez Anglików na Danię, jako aliantkę systemu kontynentalnego — postanowił zgotować Anglii odwet.

Pierwszym skutkiem odwetu było stanowcze przechylenie się cesarza Aleksandra na rzecz Napoleona i rozpoczęcie kroków wojennych przeciwko Szwecyi, polegających na przyłączeniu Finlandyi do cesarstwa Rosyjskiego. Drugim — wykreślenie z listy państw europejskich Portugalii.

Małe królestwo, zawieszone na pasku półwyspu Iberyjskiego, miało być podzielone w części na królestwo samodzielne Godoya, w części na berło Luzytanii dla króla dawnej Etruryi...

Egzekutorem wyroku Napoleona został Junot, który bez zwłoki wkroczył do... Hiszpanii ze swoim korpusem, witany z zapałem przez ludność... Dnia 30 listopada Lizbona została zajętą. Król z rodziną ratował się ucieczką do Brazylii.

W miesiąc niespełna, w granice Hiszpanii wszedł drugi korpus francuski pod dowództwem generała Duponta... Hiszpanie przyjęli ukazanie się tej armii równie przychylnie, choć nie mogli się oprzeć zdziwieniu... W styczniu 1808 r. wszedł marszałek Moncey, a w kilka tygodni za nim ukazały się dywizye generałów: Lecchi, Chabron i Duchesne...

Co znaczyła ta armia w zaprzyjaźnionym kraju?... Co znaczył ten pochód innych wojsk francuskich, które wciąż posuwać się ku Pirenejom nie przestawały?... Co znaczyło, że już Bessières gwardye cesarskie prowadził, ba! i sam Murat gotował się do drogi na Bidassoę?...

Jeszcze zastanawiano się nad rozwiązaniem tej zagadki w Escurialu, gdy armia francuska rozproszyła się już po całym półwyspie, a równocześnie zaczęły się dziać rzeczy zgoła niepojęte, szczególniej tam, gdzie wznosiły się skały i mury warowni hiszpańskich...

Relacye z prowincyi nadchodziły do pałacu królewskiego niejasne.

Dowódca twierdzy hiszpańskiej w Figuieres na prośbę generała Chabron zgodził się chętnie na osadzenie w fortecy stu nowozaciężnych żołnierzy, którzy na dezercyi przyłapani sostali. Generał Chabron w gorących słowach podziękował dowódcy za tę przysługę, a w trzy dni później... forteca, otwarta w nocy z wewnątrz przez tych stu... doświadczonych a starych żołnierzy, została zajęta przez wojska francuskie!

Generał Duchesne, przybywszy do Barcelony, zapowiedział wielką rewię na polu, pod cytadelą. Tłumy ciekawych przez dwie godziny podziwiały postawę i sprawność francuskiego żołnierza; licznie zebrani oficerowie hiszpańscy nie szczędzili pochwał...

Aż nagle, batalion, manewrujący tuż pod bramą fortecy, zmienił front, rzucił się na straże hiszpańskie i... w kilka minut groźna forteca, bez wystrzału została opanowaną, wojska hiszpańskie grzecznie rozbrojone i wyproszone za mury...

Ten sam los spotkał Pampelunę. Jeden dowódca Montijo nie dał się podejść, lecz generał Lecchi zagroził szturmem, jeżeli mu fortecy nie wyda...

Dowódca ustąpił. Łuska spadła z oczu Hiszpanii. Dziedzictwo Burbonów zatrzęsło się w posadach...

Godoy słał jeszcze posła za posłem na dwór Napoleona. W Burgos zaś już był stanął Murat, naczelny wódz wszystkich korpusów a namiestnik cesarski.

Karty były otwarte...

Dwór Karola IV., bawiący w Aranchuez, rozumiał, że chwila upadku jego się zbliżała. Godoy nalegał, żeby natychmiast udać się do Sewilli. Propozycyę przyjęto...

Uwolniony z więzienia książę Asturyi umiał skorzystać z chwili...

Wśród zburzony, wyniszczony głodem, uciemiężony podatkami, zgnębiony lud padły słowa:

„Król ucieka!“

I minęły piękne dni Aranchuezu! Minęły na długie lata, może bezpowrotnie...

Gwiazda, przyświecająca mandoliniście z Estremadury, zbladła, zgasła. Stopnie tronu załamać się miały pod Karolem i losy ludu, losy mocarstwa, którego potęga sięgała dalekich mórz i oceanów, które rządziło światem a niezmiernemi władało bogactwy, losy tego państwa miały stać się zawisłymi od bohaterstwa kobiet, odwagi dzieci, poświęcenia starców!...

Minęły piękne dni Aranchuezu! Na pierwszą wieść o zamierzonym wyjeździe króla — do Aranchuez, niby stadą czyhających na żer kruków, zaczęły się zbiegać ponure postacie włóczęgów, tłumy opryszków i fale nędzy. Setki mnichów kręciły się między ludem i wojskiem. Hrabia Montijo był tu bożyszczem.

W dniu 18 marca 1808 r. nastąpił wybuch rewolucyi, lud rzucił się na pałac tego, którego uważał za sprawcę wszystkich swoich nieszczęść. Godoy zdołał schronić się na dwór królewski. Rewolucya wzmagała się. Rozszalały motłoch jął grozić...

Wylękły Karol IV. nazajutrz po zburzeniu pałacu swego ulubieńca ogłosił usunięcie go od władzy.

Lecz tego było mało. Oczy tłumu zwracały się ku księciu Asturyi, jako mogącemu odwrócić wszystko złe... Ferdynand umiał tę chwilę wyzyskać. Mając za sobą lud, wojsko, przewódców rewolucyi, w obliczu wściekłego motłochu, otaczającego pałac i miotającego obelgi na króla, wobec tłuszczy, która z pianą na ustach zaczynała rękę wyciągać ku tronowi... Ferdynand podyktował ojcu zrzeczenie się korony.

Wybuch szczerej radości powitał wstąpienie na tron Ferdynanda VII. Ale Joachim Murat czuwał. Zawiadomiony o zajściach w Aranchuez, przyśpieszył pochód, zajął Madryt... i wysłał posłów do Karola IV.

Stary król, czując podporę... otrząsnął się z pierwszej niemocy i ogłosił unieważnienie zrzeczenia się swojego, jako napisanego pod przymusem...

Ferdynand, dawszy ujście swej zemście i wtrąciwszy Godoya razem z oddanymi mu sługami do więzienia i zwoławszy surowy sąd na niego, wyjechał do stolicy... W Madrycie jednak panował Murat... Wszelkie zabiegi Ferdynanda, aby go namiestnik cesarski uznał królem, spełzły na niczem. Jedyną nadzieją Ferdynada była zapowiedź Murata, że Napoleon zjeżdża do Madrytu sprawę pomiędzy ojcem a synem rozstrzygnąć... Nie namyślając się długo, postanowił zabiedz drogę Bonapartemu, jako wierny lennik...

Ferdynand wyjechał do Bajonny, za nim udał się Karol IV., Marya Ludwika, a w końcu, uwolniony przez Murata Godoy.

Napoleon nie ociągał się z wyrokiem. Wśród zgrozą przejmujących scen, w których matka przeklinała własnego syna, ojciec dziecku własnemu wyrzucał zbrodnie, a syn nie wahał się najhaniebniejszych czynić rodzicom wymówek, Bonaparte nakazał zarówno ojcu, jak synowi i infantom zrzec się na wieczne czasy wszelkich praw do korony.

Ferdynand próbował się opierać... Karol chciał warunki stawiać, lecz gwardye cesarskie otaczały pa-

łace obydwóch królów... Bonaparte, raz postanowiwszy pozbyć się niemiłego sąsiedztwa Burbonów... nie ustąpił... Gdy zaś gońce z Madrytu przynieśli wiadomość o zaburzeniach na rzecz Ferdynanda, Napoleon postawił kwestyę na ostrzu noża...

Imię Ferdynanda stało się hasłem do formowania się pierwszych, tajnych zebrań.

Chunta w Oviedo, stolicy asturyjskiej, pierwsza dała hasło do zbrojnego oporu, wypowiadając śmiało wojnę... Napoleonowi. Za przykładem tej garstki śmiałków poszły chunty Sewilli, Santanderu, Kadyksu, Granady, Saragossy, Kartageny i Leonu.

Lud porwał za broń i zaczął od zemsty!... Chunty zadrżały ze zgrozy i jęły przedsiębrać kroki, aby rozpoczętej wojnie nadać charakter walki, a nie mordów!... Więc rozpoczęły równocześnie pościg za dowódcami napadów, nie żałując miecza ani szubienicy... Murat wydał surowe rozkazy wojsku — i oto Hiszpania spłynęła krwią. Jęki mordowanych a bezbronnych, zaciekłe potyczki, krwawe odwety wojska, salwy wystrzałów wstrząsnęły półwyspem.

Na czele zbrojnych gromad coraz częściej ukazywać się zaczęli mnisi z krzyżami w dłoniach, prowadzący do boju w imię Tego, który miłością nakazał zwalczać nieprzyjacioły swoje.

Hiszpanie szli za godłem wiary Chrystusowej, niby na bój z niewiernymi, niby na nową krucyatę.

Żołnierz francuski na widok tych godeł... żegnał się, cofał, a wreszcie oburzony, iż mu z pod krzyża grozić się ośmielają — ściskał karabin i tratował.

Legia nadwiślańska ponuro spoglądała na hiszpańskie sztandary. Tu wiara była równie silną, może głębszą, choć spokojniejszą. Legionista ku niebu oczy zwracał, jakby czekając, iżali grom nie wytrąci z rąk świętokradców godła męki Zbawiciela!...

Gdy dano znać do ataku szedł, unikając spotkania z habitem... Lecz kiedy z pod nasuniętego kaptura błysnęły ku niemu oczy krwią nabiegłe, a ręka,

trzymająca krzyż, wyciągnęła cuchillo i podnosiła się do ciosu, wówczas legionista nie znał pardonu...

Szwadron Pawła Jerzmanowskiego dotarł szczęśliwie do Bordeaux, choć w drodze musiał pozostawić porucznika Wybickiego z chorymi i końmi.

W Bordeaux czekała szwoleżerów niespodzianka, na powitanie ich bowiem wystąpił wcześniej tu przybyły szwadron Tomasza Łubieńskiego i oddział przyprowadzony przez Gorajskiego, z szefami Łubieńskim i Kozietulskim na czele.

Żołnierze witali się z zapałem. Przybywający — ożywieni nadzieją wypoczynku — spotykający napełnieni otuchą, że odtąd większą gromadą chodzić będą...

Naczelne dowództwo objął z prawa starszeństwa szef pierwszego szwadronu, Tomasz Łubieński, pod pozornym dozorem pierwszego gros - majora pułku, Delaître'a, który pod ten czas siedząc w Paryżu, zajmował się głównie administracyjnemi sprawami szwoleżerów.

W Bordeaux po raz pierwszy zaznaczyły się sympatye i kwasy żołnierzy.

Tomasz Łubieński nie był lubionym. Choć oficer dobry a dbały o żołnierzy, choć powściągliwy w wymierzaniu kar, nawet łagodny i wyrozumiały — miał w swojem obejściu coś, co odeń odpychało szwoleżerów, co mroziło ich szczere, otwarte serca, co wznosiło między nim a żołnierzami nieprzebytą zaporę ukrytych niechęci. Czy może działała tu głównie pewna pyszałkowatość, cechująca skrzywioną protekcyonalnie twarz pana Tomasza, czy owo jego rozwodzenie się w kole oficerów nad swymi arystokratycznymi węzłami, stosunkami, przedostało się do koszar, dość, że nie miał miru Łubieński. Rzecz to była tem dziwniejsza, że właśnie cieszył się był względami samego Napoleona.

Wykonywano bez szemrania rozkazy Łubieńskiego, poddawano się wszelkim jego zarządzeniom, lecz oziębłość co dnia wzrastała. Żołnierzowi nie podobał się sztywny, wymuskany szef szwadronu, który nawet w chwili uniesienia umiał pamiętać o formach

towarzyskich, który bodaj ani razu nie umiał przemówić do nich bez konwencyonalnych, sztucznych efektów.

Usposobienie żołnierzy udzieliło się i oficerom. Ci znów mieli za złe szefowi, że nie szczędził uwag złośliwych Wincentemu Krasińskiemu, pułkownikowi i zdawał się żywić doń urazę, że ten może go wyprzedził w łaskach u Bonapartego. Nadto oficerowie co dnia do większej ze sobą dochodząc zażyłości a braterstwa, nawet dopuszczając doń wielu żołnierzy... nigdy nie przeszli Rubikonu powszednich grzeczności z Łubieńskim.

Ten ostatni miewał wybuchy, w których pyszność jego zdawała się łamać, sprawiał nawet kolegom częste uczty, ale chłód wiał za stołem szefa, niewyczerpanego w rozwodzeniu się nad tem, jakie ród jego wiążą koligacye, z kim śniadał, z kim obiadował, a z jakiemi to osobami już rozmawiał. Pycha czasem tak unosiła pana Tomasza, że niekiedy brat jego rodzony, Franciszek, kapitan pierwszej kompanii, słynny jąkała, przerywał bratu swem ulubionem:

— Po...oomówimy ooo... czem innem!...

Przeciwieństwem Tomasza Łubieńskiego był szef drugiego szwadronu, Jan Kozietulski.

Młody, bo dwadzieścia lat liczący pan Jan, a już okryty sławą dzielnego żołnierza i oficera w krwawych bitwach, stał się duszą pułku.

Trochę zawadyaka, w fantazyi przewyższał Jerzmanowskiego, a w zapalczywości może nie miał sobie równego. Żołnierzy kochał. Burczał, klął, groził, lecz w końcu przebaczał każde przewinienie, ujmował się nawet za szwoleżerami, a w chwili rozochocenia, z ciurą gotów był zdrowie pić.

Kozietulski nie miał postawy Seweryna Fredry, nie mógł się równać z Ambrożym Skarzyńskim w szlachetności marsowej, lecz łączył w sobie jakiś wdzięk młodzieńczy a tak swojski, tak sarmacki, tak polski, że porywał szwoleżerów i niewolił ich serca.

Kozietulski był szczupły, smagły, o włosach płowych, oczach skośnie zarysowanych, jasno-niebies-

kich, małych, niedbale zwieszających się wąsikach i bujnej a rozwichrzonej czuprynie.

Na kształtnie wykrojonych ustach rysował się dobrotliwy a łagodny uśmiech, w oczach błąkał się często smętek. Zdawał się być uosobieniem dobroci — nic nie było w nim, coby znamionowało wielkiego rycerza.

Ale gdy Kozietulski dosiadł konia a dobył szabli, działa się w nim niepojęta przemiana. Na twarzy Kozietulskiego zjawiała się stalowa wola, skry mu szły z oczu, a głos młodego szefa dźwięczał jak metal, którego nigdy zgłuszyć nie mogły ani salwy armatnie, ani zgiełk i łomot bitewny.

Głos Kozietulskiego miał moc nieznaną, która pętała żołnierzy, obezwładniała i porywała za sobą, która trafiała do najzaciszniejszych zakamarków serc szwoleżerów, kędy przechowywać zwykli byli najdroższe, najświętsze, najczystsze uczucia, kędy tryskały źródła ich siły, ich zapału, skąd poświęcenie początek swój brało, gdzie się zrodziła ich pierwsza myśl, aby stanąć w szeregach.

Kozietulski nie dobierał wyrażeń. Zdania i słowa jego były proste, graniczące może z grubijaństwem, lecz płynęły z duszy, z uczuć czystych, jasnych.

Z domu rodzicielskiego wyniósł on był rzadką bogobojność a umiłowanie religii przodków. Rzadką, bo choć wiara w opiekuńcze skrzydła Bogarodzicy nie zaginęła, choć pieśń jej przetrwała... atoli pod koniec czasów pruskich nowe prądy z zachodu zakradać się jęły. Loże masońskie mnożyły się w całym kraju, a setki młodzieży przystawały do nich.

Więc i w pułku szwoleżerów nie brakło ani oficerów, ani żołnierzy, którzy nosili godła „Świątyni Hesperydy“, „Rycerzy tarczy północnej“, „Eleusis“, „Swiątyni szczerego połączenia i doskonałego milczenia“, „Rycerzy Astrei“, „Izydy“, „Uwieńczonej cnoty“, „Świątyni Palomona“ i w. in.

Kozietulski nie dał się skusić. W wierzeniach swoich pozostał takim, jakim był w dzieciństwie swojem, gdy za rodzicem, imć panem Antonim Hab-

dank Kozietulskim, starostą bendzińskim, odmawiał wieczorne i ranne pacierze.

Kozietulskiego kochali żołnierze. „Starościc“, jak go poufale tu i owdzie nazywano, posiadł serca wszystkich.

Za Kozietulskim szedł Jerzmanowski, istny zawierucha-kapitan — potem Seweryn Fredro — dla trefnego dowcipu, szlachetnego obejścia a nieskażonej prawości, obok niezwykłej dzielności a nielada rycerskości...

W przeciwieństwie do tych trzech był Stanisław Gorajski, już kapitan piątej kompanii, „płaksą“ obwołany.

Gorajski był wątłym, cichym młodzieńcem, na którego kto spojrzał, ten dziwić się musiał, że taki służbie wojskowej się oddał i tak wysoką szarżę dostał... Gorajski był uosobieniem dobroci i potulności. Nigdy nie szemrał, nigdy nie narzekał. Niekiedy wśród snopów i kłębów nieznośnego pyłu, który na mustrze wyrywał się z pod kopyt końskich — Gorajskiego chwytał kaszel suchy, gwałtowny i targał nim. Niekiedy znów gorączka jakaś obezwładniała go i trawiła po dni kilka. Gorajski wystrzegał się, otulał, chronił... a czasem i skarga z ust mu się wyrywała...

Żartowano sobie często z „płaksy“, a już Hermelaus Jordan nie dawał mu spokoju.

— Stachu, od morza do morza... znów cię strzyka pod łopatką?... Widzisz, koń się pod tobą zagrzał i... kataru cię nabawił! Albos może zapomniał w rumianku się wymoczyć!... Widzisz!...

„Płaksa“ uśmiechał się smutnie. A gdy mu raz Hermelaus żywiej dopiekł, wytykając, że powinienby raczej w domu za piecem siedzieć, nie przy takiej niemocy na wojaczkę się rwać, Gorajski odrzekł spokojnie:

— Długo zawadzać ci nie będę!...

— Oo!... — przerwał rubasznie Hermelaus. — Ani rusz z tobą! Jakbyś nie zaczął od morza do morza, jużci na melankolii a sentymentalności utkniesz!...

Widzisz, nie lepiej toby ci było osiąść gdzie na dewocyi w zaciszu? Co?... A tu, uważasz, może się zdarzyć jakaś potrzeba... kula gwizdnie i choć się rozpłaczesz, delikatną figurkę przewierci! Co lepsze, może wyprawić cię, dokąd ci nie pilno! Uważasz, płakso, od morza do morza!...

— Właśnie na nią czekam! — uciął sucho Gorajski, a w głosie jego tyle było gorzkiej determinacyi, że Jordana na długo chęć do żartów odbiegła.

Szwoleżerowie tymczasem nie próżnowali. Szef Łubieński i Kozietulski codzienne a nużące odbywali musztry, zaprawiając żołnierza do służby. A nadto generał Le Pic, dowódca dywizyi konnicy francuskiej, stojącej załogą w Bordeaux, mając swej pieczy powierzonych szwoleżerów, również nie dawał im spokoju. Dwa razy tygodniowo wyciągał ich bądź z grenadyerami konnymi, bądź z szaserami i rewie odbywał.

Na tych ćwiczeniach a manewrach zeszło szwoleżerom trzy miesiące. Od czasu do czasu nadchodziły jakieś wieści niejasne z Paryża, zwiastujące niechybne wyruszenie z Bordeaux, lecz nawet sam Le Pic nie wiedział, ile jest prawdy w tych pogłoskach. Zdawało się szwoleżerom, że zapomniano o nich! Boć przecież dotąd w niczem się jeszcze nie sprawdziły te wróżby o zaszczytnej służbie przy boku cesarza!

Żołnierze codzień gubili się w domysłach, co znaczyć mogło, że ich trzymają w mieścinie nadmorskiej — oficerowie codzień posępniej witali mgły, zrywające się z ponad koryta Girondy.

W końcu lutego gruchnęła nowina, że szwoleżerowie wraz z kawaleryą francuską mają wyruszyć za Pireneje, do Hiszpanii. A w ślad za nią nadeszły z Paryża zagmatwane szczegóły o zatargu z Portugalią, wkroczeniu armii Junota do Lizbony i zapowiedzianym przyjeździe Murata, księcia Bergu.

„Monitor“ milczał, zamieszczając dwuznaczne artykuły, które rozwodząc się szeroko nad upadkiem Hiszpanii i złą administracyą — nic nie mówiły. Wśród szwoleżerów nieukontentowanie się wzmogło.

Tytuł gwardyi był widocznie czczym przydomkiem, mieli się stać uczestnikami jakiejś pustej demonstracyi...

Jeszcze nie zdołano z temi nowinami się oswoić, gdy w nocy nadjechał kuryer z rozkazem do generała Le Pic. Spokojne, ciche miasto zakotłowało się. Wymarsz wojsk nakazano natychmiastowy.

W koszarach szwoleżerów zawrzały gorączkowe przygotowania.

Floryan przyjął rozkazy z ukontentowaniem. Jednostajność pobytu w Bordeaux dała mu się już we znaki. Nie takiej służby się spodziewał...

Wprawdzie zarówno towarzysze szeregowi, jak i oficerowie darzyli go życzliwością i przyjaźnią, lecz w tej ciszy, w tem wypoczywaniu wróciły doń ucichłe nieco żale a myśli ponure.

Pierwsze zebranie kawaleryi naznaczone zostało na godzinę dziewiątą rano... Czasu więc było dosyć!... Gdy wtem około szóstej, wśród szarzeć zaczynających mgieł marcowego poranku ukazał się pluton pędzących, jak wicher, białych ułanów Murata... a w dwie godziny sam marszałek ze sztabem stanął na placu Girondy.

Zamieszanie wzmogło się. Sygnały zagrzmiały krótkie, gorączkowe. Kawalerya miała iść za marszałkiem i eskortującą go gwardyą.....

Łubieński sprawił szyk szwadronów i już miał dać znać do ruszenia na plac obozu, kiedy przyszło mu na myśl, że należy zostawić pluton żołnierzy na miejscu dla uprzątnięcia porzuconych gwałtownie koszar i rozciągnięcia opieki nad kilku chorymi żołnierzami. Wzrok Łubieńskiego padł na Stadnickiego.

— Wachmistrzu Stadnicki! — zakomenderował oschle. — Wystąp ze swoim plutonem!

Stadnicki spełnił rozkaz.

— Zostaniesz się w Bordeaux!... Wyślesz kuryera z papierami, które doręczę ci przed wyruszeniem do gros-majora Delaitre'a i czekać tu będziesz na dalsze jego rozkazy!

Stadnicki poczerwieniał. Żołnierze jego plutonu i brygadyer Floryan Gotartowski zbledli.

— Pułkowniku! — ozwał się śmiało Stadnicki. — W naszym szwadronie jest kilku żołnierzy słabych... może oniby zostali...

— Powiedziałem! Zjechać na bok!... Formuj się! — zakrzyknął niecierpliwie Łubieński.

Stadnicki zacisnął usta i skręcił ze swoim plutonem na stronę.

Kozietulski, a za nim Jerzmanowski podjechał do Łubieńskiego.

— Kolego! — rzekł łagodnie Kozietulski. — Pozwól im! Są tacy, którzy chętnie zostaliby się! Tym dusza rwie się do pochodu!...

— Najlepszy pluton w całej mojej kompanii! — wtrącił Jerzmanowski.

Łubieński zmarszczył się, wydął pysznie policzki i zawołał swym piskliwym głosem:

— Panowie! Proszę na miejsca! Formuj się — powiedziałem raz! Marsz!

Jerzmanowski z Kozietulskim zawrócili do oddziałów. Szwoleżerzy ruszyli na plac.

Stadnicki z plutonem swoim stał na boku osłupiały, wreszcie, gdy ostatnie rogatywki zniknęły na zakręcie ulicy, odwrócił się i spojrzał na towarzyszów.

— Co? Szczęście! Tfy! Bodaj go, psia mać! I co?... A no, chodźmy do budy!...

— Miałeś dostać papiery jakieś! — upominał Wincenty Toedwen.

— Bierz je licho! Wracajmy, nie było rozkazu, żeby czekać.

Pluton zawrócił apatycznie w stronę koszar. Gdy szwoleżerzy rozkulbaczali konie, nadjechał w pełnym galopie szeregowiec Żwan i podał Stadnickiemu zwój papierów.

— Od pułkownika dla gros majora! — rzucił śpiesznie.

— Stoicie jeszcze?

— Czekamy na marszałka!... Wachmistrzu żegnaj-

cie mi!... Cały szwadron nasz oburzony... „Starościc“ aż zębami zgrzyta... Et! lepiej wam może, że Łubieńskiego nie będziecie mieli na karku!...

— Bierz go licho!... Ale jeżeli mu się zdaje, że na to zaciągnąłem się do pułku, abym gratów i rupieci żołnierskich pilnował, no, to myli się, psia mać... Jeszcze ja mu się przypomnę!,..

— Bywajcie! — zawołał Żwan, zwracając konia.

— Bywaj nam! — odpowiedzieli chórem szwoleżerzy.

W oddali dały się słyszeć dźwięczne tony trębaczy marszałka... Szwoleżerzy zwiesili ponuro głowy.

Najwięcej tym niespodziewanym rozkazem był wzburzony Floryan, bo nietylko rozdzielił go z Marcelkiem, lecz tym razem na zupełną prawie skazywał go bezczynność.

Stadnicki klął na czem świat stoi. Toedwen, Roman, Masłowski chodzili jak struci. Pozostali szwoleżerowie pocieszali i uspokajali wachmistrza.

Cierpliwość jednak Stadnickiego i jego towarzyszów na długą miała być wystawiona próbę — codzień prawie widzieli przeciągające przez Bordeaux wojska, codzień przypatrywali się uroczystościom, sprawianym przez miasto rozmaitym pułkom... Kuryer, wysłany do Paryża przez Stadnickiego, ruszył natychmiast i zginął...

Na domiar utrapienia coś w tydzień po wyruszeniu szwadronu pod Łubieńskim nadciągnął kapitan Radzimiński, prowadząc z Chantilly szóstą kompanię szwoleżerów.

W Stadnickiego i Gotartowskiego otucha wstąpiła. Poszli zaraz meldować się kapitanowi i przekładać, aby ich zabrał ze sobą. Radzimiński wysłuchał dokładnie Stadnickiego i rzekł z żalem w głosie:

— Ot!... chciałoby się, lecz nie można!... Sami to widzicie! Rozporządzenia szefa Łubieńskiego zmieniać mi się nie godzi, a tem mniej tu, pod bokiem grosmajora!...

Odpowiedź była stanowczą. Stadnicki zębami zgrzytał. Wszystko zdało się zapowiadać, że jeszcze

i miesiące całe zejść mogą, zanim się to pokutowanie w Bordeaux skończy. Na trzeci dzień po swojem przybyciu Radzimiński ruszył dalej.

Kuryer z Paryża nie wracał. Znów dnie płynąć zaczęły plutonowi na wypatrywaniu gońca, bądź na zasięganiu wiadomości u komendanta placu w Bordeaux, iżali niema rozkazu.

Aż pewnego wieczora, wśród wiosennej nawałnicy, która dobywszy z pod chmur resztek śniegu, lunęła na Bordeaux, szwoleżerzy posłyszeli znane im dźwięki marsza Brockiego.

Był to Jan Dziewanowski z trzecią kompanią trzeciego szwadronu.

Floryan szczerze uradował się panu Janowi i zwierzył mu się ze swoich utrapień, lecz Dziewanowski uśmiechał się a mrugał filuternie.

— Widzisz, panie Floryanie, rwałeś się naprzód, nie chciałeś czekać, a wpadłeś w moje ręce!

— Jakże to?

— Masz, czytaj! Gros-major kazał mi was ze sobą zabrać i do kompanii wcielić! Na wasze zaś miejsce nadciągnie tu porucznik Wybicki z chorymi ludźmi!... Biedakowi temu aż serce się kraje, że ma taki szpitalny ordynans, ale rychło pewno za nami pójdzie! Dwa dni będziemy spoczywali i ruszymy!

Stadnicki, Toedwen, Roman i Masłowski przyjęli tę nowinę z zapałem. Uciecha zaś ich była tem większą, że w kompanii Dziewanowskiego znaleziono setnych towarzyszów a serdeczność taką, jakiej pod Kozietulskim nawet nie było. Nadto całą gromadę znajomych.

Więc Piotr Wasilewski z Wasina, wachmistrz, Benedykt Zielonka, Wojciechowski, dwaj bracia Sokołowscy, brygadyerzy — Krzyżanowski, Babecki, Rudowski, Niegolewski, porucznicy — a śród szeregowców wielu młodzieńców co z przedniejszych rodów obok synów kmieci, mieszczan, kupców a zagonowej szlachty.

Wszyscy tu żyli ze sobą gromadą.

Dziewanowski sam w chwili wolnej między żołnierzami zasiadał i żartował z nimi a gawędził.

Kompania Dziewanowskiego była już słynną, że w niej podobno było najwięcej nazwisk jednobrzmiących, tak iż nieraz cały pluton zawierał szwoleżerów jednego nazwiska.

Gdy po roztasowaniu kompanii Stadnicki z kolegami swego plutonu wszedł do koszar witać towarzyszów, natrafił na tak zwany w kompanii pluton „dwóch drzew“, ponieważ było w nim jedenastu Jaworskich, dwunastu Grabowskich, jeden Jaworowski i jeden Grabczyński! Szwoleżerzy ci nie byli ze sobą nawet powinowatymi.

Stadnicki podszedł do gromadki żołnierzy, wyciągnął rękę i huknął:

— Stadnicki jestem!...

— Grabowski! — Grabowski! — Grabowski!... — sypnęły się odpowiedzi.

Stadnicki pokręcił wąsa.

— Panom towarzyszom... żarty!... Moja stryjenka Grabowska z domu!... Za kpa mam tego, kto imieniu Grabowskich waży się przymawiać!...

— Wiwat! niech żyje Stadnicki! — odpowiedzieli chórem wszyscy Grabowscy, ujęci wielkiem dla ich imienia zachowaniem.

Stadnicki nachmurzył się i zawrócił do obok stojącej gromadki, lecz tu nowa czekała go niespodzianka — trafił na jedenastu Jaworskich.

Za szóstym Jaworskim Stadnicki już nie mógł się strzymać.

— Do czarta! Cóż wy? Chcecie, abym wam kości, psia mać, policzył?...

— Co to? — Patrzcie-no! — ozwało się kilku Jaworskich, urażonych tonem Stadnickiego.

Stadnicki garście już zacisnął i marsa postawił, lecz w tejże chwili ktoś go uderzył z impetem w plecy. Wachmistrz obejrzał się. Przed nim stał młody brygadyer z twarzą jowialnie uśmiechniętą.

— Podnóżek wachmistrza! Jestem Gąsiorowski do usług... jeden! Uważ, wachmistrzu, jeden tymczasem!...

— Gdyby mi nie szło o uniknięcie zwady, dostałoby się tobie i tamtym trefnisiom...

— Wachmistrzu! — perswadował brygadyer. — Toć z waszeci nikt dworować nie myśli! Jużci taka kompania zdarzona! Nie dość tego, bacz, że mamy u siebie... dziesięciu rozmaitych Bieńkowskich... pół tuzina Laskowskich, mendel, którzy nazwę swą wzięli od wiśni... trzech Michałowskich, siedmiu Orłowskich, dwunastu Piotrowskich — jeden, ani chybi, Judaszem będzie — pięciu Zielińskich i czterech Zawadzkich! Uważ, jaki bigos mamy... Waści miano Stadnicki... To będziesz trzecim, bo mamy już Ignacego i Adama!...

— Tfy! Toście się chyba w korcu maku szukali! — zauważył wprowadzony w dobry humor Stadnicki.

— Pewnie!... Mamy w kompanii stu trzydziestu siedmiu ludzi... nie licząc maruderów, którzy dla kataru w Chantilly... rumianek zapijają, a raptem wystarcza nam dwadzieścia trzy nazwiska! Gąsior tylko w całym regimencie jest dotąd jeden!...

— I jeden Puciata! — rozległ się przeciągły bas za plecami Stadnickiego.

— Nie drzyj się, borsuku nieświeżski, bo nie jeden Puciata, tylko jedna Puciata... masculima z feminimami nie mieszaj... a wstydu infimie nie czyń!...

— Ło-ło-ło! — zaśmiał się basem Litwin. — Świergolisz... nu!...

— Bodaj was psia mać! — sekundował wesoło Stadnicki. — Jeno, mości Gąsiorowski, muszę twoją pychę złamać... dowiedz się, iż... w pierwszym regimencie jest towarzysz Gąsowski!...

— Ło-ło-ło! — huknął basem Puciata. — Nu, widzisz!...

— Gąsowski, powiadacie? Hm! Wcale mi nie dziwno, boć to wam nie tajno, wachmistrzu, że zawsze musi być para! Gdy przeto na jednym końcu świata rodzi się chłopak, na drugim w tejże godzinie jawi się dziewczyna! Sprawiedliwa więc rzecz, że i tu w regimencie gąsior znajduje gąskę.

— Nu, nu! Świergolisz, a co Puciata?...

— Puciata? — podchwycił wesoło Gąsiorowski. — Prosi na dzbanek wina bordoskiego, o którem nam Francuzy przez całą drogę dziwy prawili...

Ochota w kompanii zawrzała wielka, ile że wśród zbratania się szwoleżerów rachunki nie istniały, a jeden z drugim dzielił się wszystkiem, więc kompanii na niczem nie zbywało.

Dla plutonu Stadnickiego była to tem większa uciecha, iż koledzy jako później z Warszawy wyruszywszy, moc nowin ze sobą przywieźli z kraju i to nowin pomyślnych.

Więc przedewszystkiem opowiadano sobie o uroczystościach, o obchodach, jakie na cześć króla saskiego wyprawiano w Warszawie, o niezmiernej dobroci, łagodności i sprawiedliwości nowego monarchy, o popularności jego i wielkiem umiarkowaniu w roztaczaniu królewskiego majestatu.

Dalej przywieziono nowiny o nowym podziale Księstwa na sześć departamentów, o mianowanych ministrach, o zarządzeniach wojskowych marszałka Davousta, o wyprawieniu czterech pułków piechoty do Hiszpanii, o kwasach, jakie zaszły pomiędzy generałem Zajączkiem a księciem Józefem wskutek tego, że nie pierwszy, lecz drugi mianowany został wodzem naczelnym...

W tych opowiadaniach nie brakło było ani warszawskich nowinek, a niekiedy i plotek. Głównym ich przedmiotem była pani Walewska, która według opowieści miała całkowicie zawojować serce Napoleona... co znów dało pole do nader śmiałych i daleko idących przewidywań...

Floryana czekała tu może nierównie milsza pogawędka z panem Janem, który, złożywszy ceremonialną wizytę komendantowi miasta i prezydentowi bordoskiej municypalności, zaprosił do siebie Gotartowskiego na cały wieczór — ani razu nie dając uczuć mu swej wysokiej w stosunku do Floryana rangi.

Rozmowa, wszczęta de publicis, ciągnęła się długo.

Floryan z zaciekawieniem a zapartym oddechem wysłuchiwał relacyi Dziewanowskiego.

— Przykra to rzecz tak daleko od kraju wędrować,

jako my naprzykład, lecz godzę się i na to, choć zgoła pojąć nie mogę, dokąd i przeciwko komu iść mamy. Z Hiszpanią przymierze zawarte. Portugalia dawno w rękach Junota!...

— Coś się tam szykować musi! Więc wyruszamy dalej.

— Ba! Wam, panie Floryanie, mogę rzec całą prawdę, bo i korci mnie wygadać się przed kimś!... Anim marzył o tak zaszczytnym ordynansie, jaki nas spotkał!... Uważ — mam rozkaz maszerowania do Bajonny i tam zatrzymania się dla asystowania pobytowi cesarza!...

— Cesarz tam jedzie?

— To tajemnica jeszcze!... Nie wolno mi nawet moim zuchom tej nowiny zwiastować! Toby się cieszyli!... Patrzaj, nie spodziewałem się takiego honoru! My pierwsi z całego pułku, bo tamci poszli za Muratem!.. Mam ordynans zaadresowany wprost na imię cesarza! Stąd i uciecha i strach. Codzień molestuję towarzyszów, aby umundurowanie, rynsztunek a konie mieli w szczególniejszej pieczy!...

— Cesarz w Bajonnie! — powtórzył z podziwem Floryan.

— Sza! Ani słowa!... Wam się zdradziłem, bo ufam wam, bo nicbym skrytego przed wami mieć nie chciał!...

— Panie Janie, powinszowania moje przyjmijcie! Cieszy mnie, że to wam w udziale przypadło!

— A mnie, że was mieć będę obok siebie! Pusto człowiekowi na świecie! po waszem wyciągnięciu! Et! Co tam... Niby przykro było z Warszawy, ale gdym rozważył, że nikogo tam nie zostawiam życzliwego... chyba Marcysię szynkarkę! Dobre, poczciwe stworzenie! Chwyciła mnie za serce na odjezdnem. Imaginujcie sobie, pod Sochaczew aż najętymi końmi zabiegła!... Ponoć jedyna to istota, która może wspomni czasem...

— Nie doszły was, panie Janie, wieści nowe o tem nieszczęściu?

— Nic!... Przepadło wszystko!... Cha! Starałem się

o zarządzenie jeszcze raz badania — ale gdzie! Zamieszanie jeszcze trwa dotąd, nowy rząd się instaluje. Rozgardyasz, nie wiadomo co do kogo należy!... A i przecież nieszczęścia toby nie zmieniło!... Pusto i tyle!... Nie wiem, lecz mam jakieś przeczucie, że już nigdy do kraju nie wrócę!...

— Co? Dlaczego?...

— Nie wiem sam. Tak mi coś szepce do ucha! I... śmiejcie się ze mnie — ale ot, wożę ze sobą garść naszej poczciwej, mazowieckiej ziemi... Kto wie!...

— Panie Janie! Toć grzech takiemi supozycyami głowę zaprzątać!... Wy, żołnierz zasłużony, tak wysokiej rangi...

— Chcesz mi przymawiać?...

— Nie. Widzicie, ja na nic się przydać nie mogę. Złamało mnie, lecz wy!... Ale, ktoś z kompanii Radzimińskiego powiadał mi, że chcieli was żenić, i nietylko nie dziwiłem się temu, lecz szczerze się cieszyłem...

— Nie mówmy o tem! — przerwał energicznie Dziewanowski. — W Warszawie swatek nie brak!... Nigdy o tem nie pomyślałem!... klnę się...

— Na cóż zaklęcia!... Czyżby grzechem było?... Czy nie masz, panie Janie, prawa...

Dziewanowski potrząsnął smutnie głową.

— Może i nie mam! Nie pytaj mnie waćpan!... Nie dlatego, bym się krył przed tobą... Przyjdzie czas — powiem... Teraz pozwól zamilczeć...

Po dwudniowym wypoczynku Dziewanowski ruszył na południe, zagarnąwszy ze sobą pluton Stadnickiego.

W Bajonnie wiadomość o przyjeździe cesarza i przeznaczeniu kompanii szwoleżerów do służby — przestała być tajemnicą. Szwoleżerowie przyjęli nowinę z zapałem i zaczęli natychmiast szykować się do uroczystego wystąpienia, ile że w Bajonnie lada dzień już spodziewano się Bonapartego.

Forteca bajońska ledwie pomieścić mogła tych, których tu z przyczyny przyjazdu cesarskiego ściągnęli.

Wyporządkowane ulice, zaprowadzone nad brzegami szerokiego Aduru kwietniki, girlandy, orły cesarskie, flagi, transparenty przystrajały miasto. Co rozleglejsze domy zajmowano na pałace dla dostojników dworu. Dla Napoleona wykończano urządzanie zamku Marrac, położonego na wzgórzu poza Bajonną, wśród gajów okrytych bujną zielonością, z przepysznym widokiem na faliste wzniesienia niknących w Atlantyku Pirenejów i na szeroki przestwór gaskońskiej zatoki.

Równocześnie pod miasteczkiem nadmorskiem Biarritz szykowano namioty, budowano ozdobne pawilony i uprzątano pole do uroczystości a rewij cesarskich.

Dnia piętnastego kwietnia sto jeden salw armatnich powitało monarchę. Wśród bram tryumfalnych, hołdów deputacyj, orszaku, kapiącego od złota, odbył Bonaparte swój wjazd. Przy starożytnym moście zwodzonym, znajdującym się w baszcie, broniącej przystępu do drugiego mostu na kanale Aduru — wyciągnął się szwadronik Dziewanowskiego.

Bonaparte, wjeżdżający konno na czele świty adjutantów i generalicyi, skinął przyjaźnie szwoleżerom.

Książę Neuchatelski, jadący tuż obok Napoleona, zauważył złośliwie:

— Najjaśniejszy panie!... Można im powinszować stroju! Przeszli Mameluków... Nic podobnego nawet na teatrze paryskim niema!

— Prawda! Mundurem zakasowali całą gwardyę... A co będzie gdy przejdą ją na polu boju?...

— Ach, sire! Tego się nie obawiam! Twoi guidowie dawni nie dadzą wydrzeć sobie pierwszeństwa... Zresztą ta młodzież prędzej z paziami pójdzie w zawody...

— Zobaczymy!... Tymczasem chcę ich mieć przy sobie!..

Szwadron Dziewanowskiego tego samego dnia znalazł pomieszczenie w pobliżu zamku, otrzymawszy rozkaz, aby codzień na służbę wysyłał pluton szwoleżerów.

Ze świtą Bonapartego spadł z Paryża grosmajor Delaître, nie chcąc pominąć okazyi zbliżenia się do Bonapartego. Delaître jął nachodzić koszary, nudzić, męczyć szwoleżerów pytaniami, których częstokroć nie rozumieli, a z przerażeniem biadać nad tem, co będzie, gdy cesarz każe sobie szwadron sprezentować! A tu czasu na naukę nie było. Dzień i noc luzowały się kolejno plutony. Służba ordynansowa ciągle rozpraszała żołnierzy. Nadto znaczniejsze podjazdy wysłano naprzeciw przybywającej z Paryża cesarzowej Józefiny. O zebraniu więc oddziału całego i szykowaniu jakiejś próbnej rewii mowy być nie mogło. Dziewanowski z porucznikami ledwie tyle czasu miał niekiedy, żeby mundur do porządku doprowadzić lub zmienić.

Szwoleżerowie wpadli w wir wielkiego życia dworu. Tuż przed ich oczyma odbywały się uczty, zebrania, świetne przyjęcia, festyny, tuż przed ich oczyma rozegrać się miała pamiętna w dziejach Hiszpanii chwila...

Mocarz Europy nie napróżno wszak stawał na granicy swego państwa, nie napróżno przeciągał pod Pireneje, nie napróżno przybywał w pełnym blasku swego majestatu.

Floryan zaraz po przyjeździe cesarza wraz z plutonem Stadnickiego, pod porucznikiem Krzyżanowskim został wysłany dla towarzyszenia marszałkowi Berthier w drodze do Vittoryi, gdzie miano spotkać nadciągającego króla Ferdynanda VII.

Szwoleżerowie z ochotą wielką przyjęli wiadomość o nowym zaszczycie, który na nich spływał oczywiście, zcicha szepcąc między sobą, jak to będą mogli napatrzeć się hiszpańskiemu dworowi.

Cała ta wyprawa zdawała im się być uroczystym pochodem, wielką paradą.

Świta księcia Neuchatelu składała się zaledwie z kilku adjutantów, a poza szwoleżerami pod Krzyżanowskim i kilku Mamelukami, dodanymi dla większej okazałości, a przydzielonymi do komendy pol-

skiej — nikogo więcej nie było. Lecz na samym wstępie nadzieje szwoleżerów zwarzonemi zostały.

Milczący, nieprzystępny, zamknięty w sobie charakter marszałka nie znosił żadnego rozgwaru, nie dopuszczał najmniejszej swobody. Oficerowie jego świty jechali za karocą księcia, bojąc się ust otworzyć. Szwoleżerom zły humor i zasępienie udzieliło się także. Orszak ten ponury, mimo świetności swojej, zakrawał na jakąś wyprawę zbrojną.

W Irunie, kędy na granicy hiszpańskiej miejscowy alkala wyszedł na spotkanie wysłańca cesarskiego, Berthier ledwie mu głową skinął z okna karety i nawet nie wysiadł z niej, nagląc tylko do szybkiego przeprzęgania koni.

W Tolosie pod Vittoryą, po przebyciu ciężkiej, bo wijącej się już wśród gór drogi — marszałek zmuszony był zarządzić wypoczynek.

W przydrożnej hosteryi wyporządkowano naprędce kwaterę dla marszałka i dwóch jego nieodstępnych adjutantów. Dopiero gdy Berthier wysiadł z karety i zamknął się w kwaterze, gdy Krzyżanowski zaciągnął warty — szwoleżerzy odetchnęli swobodniej. Wówczas Krzyżanowski przekonał się, że i ten marsowy kapitan grenadyerów konnych, i towarzyszący mu porucznik są dobrymi kompanami.

Za stołem, w gospodzie, przy szklanicach wina nawiązała się odrazu między oficerami pełna werwy a ochoty pogawędka.

Kapitan Laplace pierwszy wyrozumiał zadziwienie Krzyżanowskiego.

— Cóż, poruczniku, niebardzo jesteś zachwycony... bliższą znajomością z naszym księciem? Co?...

— Ależ nie...

— No, nie udawaj!... My jesteśmy do tego przyzwyczajeni!... Wielki generał... ba!... Tylko to nie Lannes.

— Nie Bessières! — dodał porucznik Villeneuve.

— O tem i mówić tu niema co! Bessiéres, to kolega, przyjaciel... żołnierzy!... Davoust jest zamknięty w sobie, lecz gdzie... porównać z księciem Neucha-

telu!... Służba przy nim męczy!... Człowiek od świtu do nocy musi być opięty, wysznurowany!... Uf!... poznasz go jeszcze!...

Krzyżanowski chciał coś odpowiedzieć, gdy do izby przybiegł Stądnicki z ordynansem od adjutanta, że marszałek wzywa do siebie dowódcę szwoleżerów. Laplace spojrzał znacząco na Villneuve'a.

— Trzymaj się, poruczniku, ostro! Bo na dobitek marszałek dziś nie w humorze!

Krzyżanowski, nie słuchając Laplace'a, porwał się z za stołu, przypasał szablę i ruszył do marszałka.

Adjutant wprowadził go niebawem do izby, zajmowanej przez księcia Neuchatelu.

Berthier siedział pochylony nad papierami. Gdy Krzyżanowski wszedł i zatrzymał się wyprostowany, jak struna, przy drzwiach, marszałek odwrócił się i zagadnął z grymasem:

— Pan... poruczniku, prowadzisz tych... żołnierzy...

— Tak jest, ekscelencyo!

— Czy jesteś ich pewnym?

— Najzupełniej!...

— Powoli! — przerwał sucho Berthier. — Mogą zajść wypadki, że potrzeba będzie mieć ludzi oddanych, którychby nic nie zdołało skusić... przekupić!...

— Ekscelencyo! Ręczę honorem!... Moi żołnierze nie służą dla pieniędzy... mają... dosyć własnych!...

— No, tak... słyszałem coś o tem... Nie zawadzi wszakże wdrożyć im raz jeszcze... bo w razie uchybienia sąd polowy nie będzie się wdawał w długie rozprawy! Zrozumiałeś?

— Ekscelencyo!

— Teraz uważaj! Wybierz z twego oddziału człowieka, za którego mógłbyś głową własną ręczyć... Człowieka nadto przytomnego i nie prostaka... Otrzyma on bardzo ważną misyę!... Proszę odpowiedzieć szczerze — jest taki? Jeżeli nie, trzeba będzie inaczej rzecz poprowadzić...

— Ekscelencyo... mam brygadyera... lepszego trudnoby...

— Bez wstępów! Krótko! Co za jeden?

— Był w legii włoskiej porucznikiem, służył w trzynastym pułku strzelców francuskich, teraz jest w mojej kompanii...

— Za co zdegradowany?

— Wstąpił dobrowolnie do nas... Awansów nie było!...

— Dobrze! Przyślesz go do mnie. Proszę uważać! Zwołasz dziś swoich żołnierzy i zapowiesz im, aby ślepo wykonywali rozkazy tego... brygadyera. A sam swoje rozkazy będziesz stosował...

— Ekscelencyo! Brygadyer...

— Strzeż się przed kim zdradzić tajemnicę!... Dziwnem ci się wydaje... Otóż pan jesteś porucznikiem... Na niego oczy będą zwrócone... i dlatego potrzebny ni jest ktoś, nie wzbudzający niepokoju... Dosyć! Chcę widzieć go natychmiast...

Krzyżanowski wyszedł, a po małej chwili do pokoju marszałka wszedł Floryan. Berthier zmierzył go od stóp do głowy.

— Imię i nazwisko?

— Floryan Gotartowski.

— Słyszałem o tobie!... Słuchaj! Komenda kompanii przechodzi na ciebie...

— Ekscelencyo!...

— Teraz milcz! Lada chwila może nadjechać orszak z królem hiszpańskim!... Od pierwszej chwili spotkania rozciągniesz nad nim wartę!... Ostre ładunki i broń w pogotowiu!... Nikt z orszaku królewskiego nie może się odłączyć w drodze... nie może zawrócić... do Hiszpanii! Żaden goniec, żaden wysłaniec nie będzie mógł dostać się... do króla, ani wydostać!... Ty za to będziesz odpowiedzialnym... Komenda pozornie będzie podlegała porucznikowi... w istocie tobie... Słowem nie zdradzisz się ani z otrzymanej misyi, ani z władzy swej! Zachowywać się będziesz tak, jak brygadyer, nieświadomy celów otrzymywanych rozkazów!... W razie potrzeby użyjesz broni i siły... gdyby nawet trzeba jej było użyć przeciwko najwyżej postawionym osobom!... W razie wykrycia czegoś... dasz mi znać wprost... będziesz miał przy-

stęp ułatwiony! Powtarzam ci zadanie! Z chwilą połączenia się orszaku królewskiego ze mną nikt z przybyłych nie może się oddalić... ani nikt się doń przyłączyć!... Masz sposobność wyróżnienia się... i zasłużenia na względy najjaśniejszego pana i moje!... Wracaj na stanowisko i strzeż się wygadać z czem... bo czekałaby cię odpowiedzialność, której życiem byś nie okupił!...

— Według rozkazu, ekscelencyo! — odrzekł zimno Floryan.

— Pamiętaj, że jest to zarazem egzamin, mający sprawdzić, o ile cesarz może liczyć na waszą wierność!... Idź i namyśl się, a postępuj rozważnie...

Floryan salutował po wojskowemu i wyszedł.

Rozkaz niespodziewany marszałka napawał go trwogą i dumą. Pojął, iż tu o nielada sprawę chodziło. To rozporządzenie rozciągnięcia straży nad królewskim orszakiem nie było miłem, lecz Floryan zbyt długo był żołnierzem, by ważyć się na krytykowanie zwierzchników...

Porucznik Krzyżanowski tymczasem zdążył już plutonowi swemu rozkazać, aby ślepo słuchał we wszystkiem Gotartowskiego — nawet w wypadku, gdyby to nie zgadzało się z wydanemi przez niego rozkazami.

W plutonie słowa porucznika wywołały poruszenie. Gdy więc Floryan wrócił między towarzyszów, ci otoczyli go kołem i zasypali pytaniami.

Gotartowski odrzekł krótko:

— O nic mnie nie pytajcie, bo nic powiedzieć nie mogę! Zaklinam was, abyście w milczeniu spełniali to, co wam powiem... Nie o wywyższenie tu idzie, lecz o głowę... o los całego pułku!

— Florek... psia mać, gadaj! Cóż! Sekrety przed nami... nie lubię! — wmieszał się Stadnicki porywczo.

— Czy dotrzymujesz danego słowa?

— O! Florek... psia mać!... Wątpisz? Słowo u mnie mur!...

— Więc pozwól i mnie go dotrzymać! — rzekł spokojnie Gotartowski.

Pozostali koledzy chcieli jeszcze nalegać, lecz wtem rozległ się sygnał, powołujący wszystkich na koń. Od Vittoryi nadjechał goniec generała Savary z wiadomością o zbliżaniu się króla.

Marszałek Berthier dosiadł konia i stanął na czele swego sztabu, kierując się ku wąwozowi górskiemu.

Krzyżanowski zjechał na tył kompanii, do Floryana, i zagadnął go zcicha:

— I jakże u marszałka?

— Byłem!... Mam prośbę do was, poruczniku! Pierwsze, byście nie brali mi za złe, jeżeli coś w zachowaniu wyda się wam dziwnem, a powtóre, abyście mi pozwolili wybrać ośmiu ludzi i tych uwolnili od służby... ile że czekać ich będzie o wiele cięższa!...

— Zgoda! Uczynię, jak zechcesz!... Rozkazuj, masz prawo... Byleś nie zawiódł nadziei marszałka! Wiesz, on i tak krzyw nam wszystkim!...

Krzyżanowski powrócił na miejsce. Floryan tymczasem, nieznacznie przesuwając się między czwórkami szwoleżerów, odwołał na tył plutonu Stadnickiego, Nidermajera, Toedwena, Masłowskiego, Kasarka, Norwiłła, Ponińskiego i Jeziołkowskiego i sformował z nich dwie partye pod dowództwem Stadnickiego i Masłowskiego, dając im stosowne instrukcye.

Stadnicki słuchał rozkazu Floryana z roztwartemi z podziwu oczyma i mruczał co chwila i zarzucał go pytaniami.

— Florek... psia... no, a tego... gdyby mość hiszpańska?... To także?

— Niema wyjątków!

— Wiem! A czekaj... gdyby tak który z francuskich oficerów?...

— Powiedziałem ci: jeden rozkaz dla wszystkich.

— Aha! No, a gdyby?...

— Zawsze to samo!

Stadnicki spojrzał z uwielbieniem na Floryana.

— To lubię, psia mać!... Niechno który... za ucho chwycę, a przytrzymam.

Tymczasem zdala, wśród czerwonych blasków

zachodzącego słońca z poza góry wyłonił się orszak królewski. Berthier ściągnął konia i jak gdyby umyślnie, opóźniał chwilę spotkania.

Karoca króla Ferdynanda mknęła szybko naprzód. Tuż przed Berthierem kawalkata się zatrzymała. Książę Neuchatelu salutował Ferdynanda i wyrzekł kilka powitalnych wyrazów, tytułując go „jego królewiczowską mością“...

Ferdynand udał, że nie zwrócił uwagi na ten tytuł i zaprosił księcia do karocy, w której już siedział nieodstępny a oddany królowi Escoiquiz i książę Infantado. Berthier usadowił się obok króla, konwój marszałka salutował świtę Fedynanda i ruszono ku Tolosie.

Orszak króla Ferdynanda był nader szczupły. Składał się z trzech pojazdów, z których pierwszy zajmował król, drugi Don Carlos z ministrem Cevallos i generałem Savary, trzeci margrabia Musquis z kawalerem don Pedro Labrador, don Justo de Hax Navarro. Za pojazdami wlókł się furgon królewski, ośmiu mułami zaprzęgnięty.

Bokiem jechało dwunastu gwardzistów królewskich w białych metalowych kaskach pod dowództwem trzech oficerów, pułkownika Butron i kapitanów: Lazan i Don Jozego Palafoxa y Melzi. Nadto za karocami kłusowało czterech ordynansów generała Savary z dwoma adjutantami z gwardyi francuskiej.

Kiedy orszak króla połączył się z Berthierem — porządek pochodu nieco się zmienił, a to za wskazówką Floryana. Za każdym pojazdem stanęło po czterech szwoleżerów. Oficerowie francuscy, z wyjątkiem adjutantów księcia Neuchatelu, którzy jechali przy drzwiach karety, usunęli się ku kolegom z pod dowództwa generała Savary.

Pozostali zaś szwoleżerowie z Mamelukami rozciągnęli się wzdłuż całej kawalkaty, tak że nietylko przód zamykali i strzegli furgonów, lecz opasywali i boki, mając pośród siebie żołnierzy gwardyi królewskiej. Nadto jechali z karabinkami wspartymi na siodle...

Szyk pochodu sprawiony został tak nieznacznie,

tak błyskawicznie, że ledwie go spostrzedz zdołano, gdy pojazdy ruszyły już wyciągniętym kłusem.

Kapitan Laplace, jadący obok Krzyżanowskiego, odezwał się niechętnie:

— Panie! Patrz, co się dzieje!... Z honorowej eskorty robisz... jakąś straż zbrojną!...

Krzyżanowski zmieszał się i przyzwał Gotartowskiego:

— Co się dzieje?... Oficerowie burzą się na ten porządek! Czy nie za daleko posuwasz daną ci władzę?...

— Inaczej mi nie wolno! — odrzekł krótko Floryan i odjechał.

Laplace, który nie zrozumiał słów zamienionych po polsku, ozwał się ironicznie:

— Pańscy podkomendni nie grzeszą zbytkiem poszanowania dla swych oficerów!

— Prawda, kapitanie!... Powinienem był przed chwilą pierwszy salutować!

— Co pan mówisz? Jakto? Brygadyera?...

Krzyżanowski opowiedział pokrótce dzieje służby Floryana. Laplace słuchał z podziwem.

— Wiele mi o was mówiono — rzekł w końcu. — Lecz im bliżej was poznaję, tem większego nabieram szacunku .. Tylko ta postawa twoich żołnierzy... dzisiaj wydaje mi się nieprzystojną...

— Kapitanie, jednemu chciej wierzyć, iż bez rozkazu nic się nie dzieje!...

Hiszpanie zdawali się nie zwracać uwagi na ten dosyć niezwykły wyraz poszanowania dla osoby króla. Berthier nie silił się bynajmniej na zabawianie Ferdynanda, raczej ten ostatni, znając wpływy księcia Neuchatelu, starał się go sobie zjednać. Kanonik Escoiquiz i książę Infantado pomagali królowi, lecz rozmowa się rwała.

W drugim powozie minister Cevallos, poznawszy już skrytość Savarego, nawet nie zadawał sobie trudu bawienia go i prowadził obojętną pogawędkę z księciem Don Carlosem. W trzecim — trzej panowie hiszpańscy dyskutowali zawzięcie, a niekiedy zamieniali

oderwane wyrazy z przysuwającymi się do nich oficerami gwardyi hiszpańskiej.

Tak dojechano do Tolosy. Król Ferdynand chciał zarządzić wypoczynek dłuższy, Berthier atoli zaopono wał, przekładając, że wyruszywszy na noc, staną w południe w Bajonnie, gdzie poczyniono już przygotowania na przyjęcie gości.

Ferdynand próbował się opierać, lecz marszałek nie chciał ustąpić. Poprzestano na krótkim popasie przed opuszczoną dopiero co przez marszałka hosteryą.

Ludność Tolosy zebrała się tłumnie na powitanie tyle upragnionego króla, który kraj uwolnił od niecierpianego faworyta, Godoya. Deputacya miasteczka i okolicznych obywateli przygotowała się do uroczystego wystąpienia. Król wszakże nie wysiadł z karocy, a nadto, gdy alkala chciał do orszaku się przysunąć, spotkał się z ostrą odprawą szwoleżerów...

Tłum wzburzył się, szemranie rozlegać się zaczęło, wieść, że król jest uwięziony przez Francuzów, przechodziła z ust do ust... Lecz adjutanci marszałka czuwali. Zanim iskry zapalić zdołały umysły, orszak ruszył z kopyta ku granicy francuskiej.

Noc była cicha, gwiaździsta. Księżyc ostrym sierpem rzucał swe blade światło na skalistą drogę górską, ślizgał się po błyszczących kaskach gwardyi królewskiej, przeglądał w białych pasach i wypustkach szwoleżerów, to znów chował się za grzebienie Pirenejów, nikł za szczytami, aby się po chwili wychylić i rozświetlić złociste blachy na karmazynowych czapach żołnierzy.

Pojazdy zalegała cisza. Król, książęta, marszałek, minister, panowie hiszpańscy, znużeni jednostajnością ruchu, wpół drzemali.

Oficerowie i żołnierze kiwali się automatycznie na kulbakach. Konie szły ociężale, strzygąc strachliwie uszami. Muły tylko, ciągnące furgon, tupotały raźno, pobrzękując zawieszonemi u chomąt dzwonkami. Niekiedy trzask bicza woźnicy rozległ się wśród ciszy i rozpływał w dalekich echach, lub osie pojazdów zatrzeszczały silniej.

Floryan ze Stadnickim i Masłowskim jechali na tyle pochodu. Wachmistrz, a z nim Masłowski słaniali się nawpół bezwładnie na koniach, zmęczeni pochodem. Gotartowski jeden czuwał. Czuwał nie dla ostrożności, bo czego tu się strzedz było w tem pustkowiu? lecz troszcząc się o konia, bojąc się, aby go nie odparzył, o co przy słanianiu się ociężałem na siodle jest bardzo łatwo. Aby zaś senność odpędzić, Floryan wytężał wzrok i rozglądał się uważnie pośród fantastycznych olbrzymich cieniów, rzucanych przez skały, zawały ziemi i góry.

Naraz zdawało się Gotartowskiemu, że sunący o kilkanaście kroków przed nim oficer gwardyi hiszpańskiej nachylił się ku jadącemu obok niego żołnierzowi i wręczył mu jakiś zwój papierów. Floryan jął baczniej się wpatrywać... Oficer atoli otulił się swym fałdzistym płaszczem... żołnierz wlókł się jak przedtem, chwiejąc się w takt stąpającego miarowo konia.

Po dłuższej chwili Floryan zauważył, że koń żołnierza, jak gdyby osadzał się powoli, cofał.

Gotartowski dotknięciem ręki zbudził lekko Stadnickiego i Masłowskiego. Zaledwie ci zdołali się ocknąć... koń gwardzisty wykonał gwałtowną woltę, zarył się na miejscu i ruszył wyciągniętym galopem ku Tolosie... Stadnicki z Masłowskim pomknęli za nim...

W ciągnącym orszaku nikt nie zwrócił uwagi na ten wypadek. Gotartowski wezwał do siebie Norwiłła i Jeziołkowskiego, nakazawszy im opatrzenie pistoletów. Zaledwie ci zdążyli stanąć obok Floryana, z poza furgonu wysunęło się śmiało trzech gwardzistów hiszpańskich i, spiąwszy konie ostrogami, rzuciło się gwałtownie do ucieczki. Norwiłł z Jeziołkowskim ruszyli za nimi.

Gotartowski nie wahał się dłużej, skinął na trębacza.

W wąwozie, którym ciągnął orszak, rozległy się alarmujące sygnały. Ocknęli się wszyscy. Szwoleżerzy pochwycili za karabinki. Śród oficerów francuskich i hiszpańskich wszczęło się zamieszanie. Z pojazdów

wychylać się zaczęły głowy. Równocześnie w oddali dał się słyszeć odgłos strzałów.

Toedwen z Nidermajerem na rozkaz Floryana ruszyli ku strzałom...

Marszałek skinął na jadącego obok karety adjutanta. Ten skoczył ku Krzyżanowskiemu.

— Pan prowadzisz? Co się dzieje?...

Krzyżanowski zmieszany nie wiedział, co odpowiedzieć i zwrócił się ku Floryanowi:

— Co znaczy ten alarm? Te strzały?...

— Nic zgoła, panie poruczniku. Żołnierze moi ścigają kilku włóczęgów... którzy dobierali się do furgonu królewskiego... Wszystko w porządku.

Marszałek, odebrawszy z kolei zapewnienie od adjutanta, pośpieszył wyjaśnić królowi powód zamieszania. Ferdynand przyjął skwapliwie to tłómaczenie... Panowie hiszpańscy zdawali się nie zwracać uwagi na ten wypadek. Oficerowie francuscy objawili żywe niezadowolenie, szczególniej kapitan Laplace był poirytowanym.

— Co to za nierozsądek — mówił do Villeneuve'a — powierzać taką służbę młokosom! Zamiast trzymać wartę, oni dopuszczają włóczęgów do orszaku, a potem wszczynają alarmy i strzelaninę! Ten porucznik dosyć sympatycznie wygląda, ale odwach go ominąć nie powinien!... Kompromitują nas wobec Hiszpanów, którzy nie odróżniają naturalnie, że nie z francuskim żołnierzem mają do czynienia.

Opinię Laplace'a skwapliwie podzielili wszyscy oficerowie, nawet pułkownik hiszpański, Butron, zwrócił uwagę na dosyć niezwykły bezład...

Zajście odjęło wszystkim ochotę do snu i drzemki... Rozmowa potoczyła się dosyć żywo. Marszałek ubolewał nad śmiałością i zuchwałością łotrzyków. Escoiquiz delikatnie zwracał uwagę, czy żołnierze eskortujący nie zbyt gorąco wzięli się do nic nieznaczącego wypadku? Jeden generał Savary nie uważał za właściwe krępować się — i wręcz zapewniał księcia Don Carlosa i ministra hiszpańskiego, że dowódca oddziału pociągniętym zostanie do surowej odpowiedzialności.

Dla nadania zaś większego tonu swoim pogróżkom przywołał adjutanta i polecił mu zanotować nazwisko oficera.

Krzyżanowski, o uszy którego odbijały się co chwila przymówki, jechał skwaszony, przeklinając tę całą podróż razem z Berthierem i Floryanem.

Nieobecności czterech żołnierzy gwardyi i sześciu szwoleżerów nikt nie zauważył...

Na świtaniu dopiero nadciągnęła cicho gromadka żołnierzy i zgrupowała się około Floryana...

Około szóstej rano kalwakata przejechała most na Bidassoi, poza którym przywitały ją trzy kompanie francuskiej piechoty.

— Jesteśmy więc na ziemi cesarza! — zauważył król Ferdynand. — Trudno nie oprzeć się wzruszeniu na myśl, że zaledwie kilka godzin oddziela mnie od uściśnienia dłoni najpotężniejszego z mocarzów!

— Wasza królewska mość! — odezwał się gorąco Escoiquiz. — Mam przeczucie, że Bóg natchnął waszą królewską mość i skłonił do podjęcia tej podróży!... Jestem dumnym z tego, że miałem szczęście nie odwodzić waszej królewskiej mości od powziętego zamiaru!

— Istotnie! — wtrącił książę Infantado. — Anibyś przypuszczał, panie marszałku, jak gorącego zwolennika ma cesarz Napoleon w naszym kanoniku!...

— Nie przypuszczałem! — odparł chłodno Berthier.

— Moje przekonania nie mogą równać się z zaufaniem, żywionem przez jego królewską mość — dodał Escoiquiz.

— Ze swej strony mogę zapewnić waszą królewską wysokość — ozwał się zimno książę Neuchatelu — że najjaśniejszy pan ma jak najlepsze chęci...

Na granicy francuskiej zarządzono popas. Król, książęta, marszałek i panowie hiszpańscy zajęli przygotowane dla nich namioty.

Berthier, uwolniwszy się od asystowania królowi, przyzwać kazał natychmiast Floryana.

— Obawy moje się sprawdziły! — zaczął surowo marszałek, patrząc pogardliwie na Gotartowskiego. —

Miałem nieszczęście postąpić wbrew przekonaniu! Naraziłeś mnie na wstyd swoją głupotą... Nie tłómacz się! Karę zasłużoną odbierzesz! Możesz odejść!

Gotartowski stał wyprostowany z ustami zaciśniętemi.

— Czego czekasz? — mruknął ostro Berthier.

— Mam papiery do doręczenia!

— Co? Jakie papiery?...

— Odebrane wczoraj czterem gwardzistom!

Floryan podał marszałkowi zwój papierów. Książę Neuchatelu jął je przerzucać szybko, nie mogąc ukryć zadowolenia.

— Dobrze, bardzo dobrze!... Tego się spodziewałem... jakże... to było, żeś je przejął?...

Floryan opowiedział krótko wypadki nocy.

— Więc opierali się?

— Trzech żołnierzy ranionych. Z Hiszpanów dwóch zginęło, dwóch doprowadziliśmy tu, są w konwoju piechoty.

— Dobrze! Kontent jestem z ciebie... Myślałem, że było inaczej! Oddałeś ważną usługę! Masz tu... tymczasem...

Marszałek sięgnął do kieszonki mundura i podał Floryanowi kilka sztuk złota.

— Ekscelencyo... pieniędzy tych przyjąć mi nie wolno!...

— Co?...

— Pobieram żołd — ten mi wystarcza!

— A! Jesteś bezinteresownym! Może ci za mało?... No, zobaczymy później!... Oka nie spuszczaj z nich, czuwaj!... Nagroda cię nie...

Berthier nie dokończył, gdyż zasłona namiotu uchyliła się i generał Savary wszedł z miną wzburzoną.

— Marszałku! — rzekł głosem zirytowanym. — Daruj, że wchodzę bez opowiadania! Sprawa gwałtowna! Twoi Polacy bunt podnoszą... Odmawiają posłuszeństwa. Uchybili królowi... własnemu oficerowi stawią opór...

— Generale, czy podobna?

— Nie wierzyłbym, gdybym na własne oczy nie

widział... Król chciał wysłać zawiadomienie do chunty madryckiej i kortezów o szczęśliwym wjeździe w granice Francyi... Tymczasem gońca królewskiego obcesowo zatrzymali szwoleżerzy, ściągnęli go z konia i odebrali mu papiery... Escoiquiz przybiegł do mnie... wysłałem, ma się rozumieć, adjutanta... Żołnierze nie tylko stawili się ostro, lecz wręcz oświadczyli mu, że nietylko żołnierza, ale żywej duszy poza pikiety nie przepuszczą. Bardzo przykre zajście... Niema wątpliwości, że dojdzie ona uszu najjaśniejszego pana, a wówczas...

— Może cię spotkać gruba niespodzianka!

Savary nie zwrócił uwagi na zagadkową odpowiedź marszałka.

— Jak się zachowa król hiszpański, rzecz nie moja! Jednak ja mam prawo i będę i muszę mieć zupełną satysfakcyę...

— W tej chwili! — odrzekł zimno Berthier. — Chodźmy do króla najpierw.

Marszałek z Savarym kazali się zameldować w namiocie Ferdynanda. Król przyjął ich natychmiast w otoczeniu świty i książąt, odzywając się na samym wstępie:

— Masz niesfornych żołnierzy, panie marszałku!...

— Wasza królewiczowska mość, chyba nieporozumienie? Armia francuska nie zna tego wyrazu.

— I ja tak sądziłem — odparł porywczo Ferdynand, marszcząc groźnie swe krzaczaste brwi. — Niestety, nader dotkliwie dano mi uczuć, że są wyjątki! Twoi oficerowie, generał Savary, podzielają, zdaje się, to mniemanie!

— Wasza królewiczowska mość! — rzekł spokojnie Berthier. — Nie śmiem przeczyć... Zły przykład działa piorunująco!... Gwardziści hiszpańscy dali ubiegłej nocy naukę szwoleżerom.

— Mości marszałku!

— Tak, czterech ich uciekło wczoraj w nocy... Moi żołnierze zaś wykazali tylko zbytnią gorliwość... widząc piątego z kolei żołnierza siadającego na koń,

zatrzymali go, obawiając się, abyś wasza królewiczowska mość nie został bez należytej eskorty!...

Ferdynand rzucił marszałkowi złowrogie błyskawice z pod przymrużonych oczu. Savary spoglądał niespokojnie na Berthiera. Dostojnicy hiszpańscy patrzyli na się pomięszani. Escoiquiz chciał ratować sytuacyę.

— W tem zajściu należy się spodziewać i sprzeczki między żołnierzami!... Zresztą osoba wasza, panie marszałku, jest nam rękojmią, że wypadek ten znajdzie zadośćuczynienie...

— Tymczasem zaś — dodał minister Cevallos — goniec jego królewskiej mości, zwiastujący stolicy radosną wieść szczęśliwego przybycia... nie spotka przeszkód?...

— Najmniejszych!... Komendant poczt otrzymał już rozkaz stosowny. Każdy papier, doręczony mu, będzie przesłanym przez naszych gońców na miejsce.....

— Za pozwoleniem — przerwał marszałkowi minister. — Król ma własnych kuryerów!...

— W Hiszpanii!... Tutaj nie mogę zgodzić się na bezpośrednie komunikowanie; mundur gwardyi hiszpańskiej jest tu nieznanym... bałbym się uchybienia...

Ferdynand szarpał nerwowo koronki żabotu.

— Nie mówmy o tem! Uprzedzam was, panie marszałku, że panowie margrabia Lazan i Don Jose Palafox wracają dziś jeszcze do Madrytu... zgodnie z naszem poprzedniem postanowieniem...

— W takim razie będę zmuszony prosić tych panów, aby zostali przy osobie...

— Cóż to?! — wybuchnął Ferdynand, zrywając się z krzesła. — Jestem tutaj na prawach więźnia, czy na prawach zaprzyjaźnionego króla?...

— Wasza królewiczowska mość — odrzekł flegmatycznie marszałek Berthier. — Przyjazdu jego królewskiej mości, króla hiszpańskiego Karola IV., spodziewamy się lada dzień...

Ferdynand posiniał. Odpowiedź była aż nadto zrozumiałą.

— Panowie! — odezwał się dumnie król. — Wobec tego oświadczenia nie pozostaje nam nic innego, jak wracać... Proszę zarządzić przygotowania!...

— Wasza królewska mość! — szepnął błagalnie Escoiquiz. — Rozważ...

— Odjeżdżamy natychmiast!

— Stanie się zadość waszej królewskiej mości — wmieszał się marszałek — lecz stąd jest już tylko jedna droga, a ta prowadzi do Bajonny...

Książę Neuchatelu skłonił się ceremonialnie i wyszedł. Za nim uczynił to samo generał Savary, rozumiejąc, iż stracił pod nogami swój dyplomatyczny grunt...

W godzinę później pochód ruszył w dalszą drogę. Panowie hiszpańscy jechali w ponurem milczeniu. Ferdynand ani słowem nie odezwał się do marszałka, zachowując się tak, jak gdyby go nie widział naprzeciwko siebie... w karocy...

W Bajonnie powitała orszak cisza popołudniowej syesty. Żadnego przyjęcia, żadnego powitania. Gdy kareta stanęła przed skromnym pałacykiem, przeznaczonym na mieszkanie hiszpańskich gości, Ferdynand, rozdrażniony do głębi, zagadnął ostro:

— Racz zakomunikować, panie marszałku, jego cesarskiej mości, że życzeniem naszem jest jak najprędzej złożyć mu osobiście nasze pozdrowienia...

— Stanie się zadość woli waszej wysokości... Nie sądzę, żeby to mogło nastąpić zaraz... Cesarz mieszka za Bajonną, w zamku Marrac!... Żadne rozkazy dotąd nie doszły!...

Ostatnie nadzieje prysły. Hiszpanie przestali się łudzić. Escoiquiz, twórca tego politycznego kroku, który miał utrwalić koronę Karola IV. na głowie Ferdynanda, wpadł w rozpacz. Wszystkie po mistrzowsku obmyślane plany były zagrożone. Tryumf nad Godoyem mógł się rozbić lada chwila o jedną zmarszczkę Bonapartego... Przyjęcie, jakiego doznano, pozwalało się spodziewać najgorszej przyszłości.

Floryan ze szczerem zadowoleniem powitał mury Bajonny — ta służba strażnicza nie po myśli mu

była. Szwoleżerzy niemniej uradowani byli, że ów ponury a dziwny pochód skończył się nareszcie.

W Bajonnie atoli zawiódł spodziewany wypoczynek, gdyż ledwie zdążono się oporządzić, konie oczyścić, a jak towarzysze Floryana, u cyrulika rany lekkie obmyć a przewiązać, gdy ordynans gros-majora Delaîtrèa przybiegł z rozkazem do Dziewanowskiego, że na ranek dnia następnego naznaczony został przegląd szwoleżerów pod zamkiem Marrac.

Praca gorączkowa zawrzała w koszarach. Dziewanowski z porucznikami, a w końcu sam gros-major każdą sprzączkę, każdy drobiazg żołnierski lustrowali.

Delaître był w doskonałym humorze. Przegląd zapowiadał się świetnie. Pochwała cesarska wisiała już w powietrzu... no, i bezwątpienia na to, aby spaść na głowę tego, który najmniej trudów poniósł przy organizacyi pułku... Dziewanowski natomiast był skwaszony, zły nawet. A gdy Floryan, według zwyczaju, wpadł doń na serdeczną pogawędkę, zastał pana Jana niezwykle nachmurzonym.

— Coś wam, kapitanie, ten przegląd się nie uśmiecha!

— Kapitanie!... Nigdy może tak bardzo nie pragnąłbym być we własnej kompanii brygadyerem lub wachmistrzem, jak dzisiaj... Jak sobie pomyślę o jutrze, to mi się trzewia łamią!...

— Dlaczego? Szwadron przecież...

— Nie o szwadron tu chodzi, lecz o Delaîtrèa!... Mam złe przeczucie i obawiam się, żeby nam piwa nie nawarzył!... Zapowiedział mi, że on poprowadzi rewię!... Nie pojmuję. Człowiek, który ani razu nie miał z naszym żołnierzem do czynienia... bierze się do komendy na cesarskim przeglądzie!... Gotóweś przypuścić, że mnie idzie tu o wydarty zaszczyt!... Pal go kat! Lecz sprawa o kompanię naszą... Złe na mnie się może skrupić... Jak wiecie, nasz szwadron nie ma dotąd naznaczonego szefa — Dziewanowski ani chybi będzie wisiał.... Licho tu przyniosło... tego narwańca paryskiego.

Floryan uspokajał, jak mógł, kapitana, lecz Dziewanowski był niepocieszony.

— Gdyby choć jedną, dwie musztry z Delaîtrem odbyć — co innego! Jesteś starym, doświadczonym żołnierzem, wiesz, co to za zamęt z nowym dowódcą... ile czasu potrzeba nieraz, aby żołnierz nauczył się rozpoznawać akcent komendy. W dodatku wiesz, że żołnierz nasz z francuskim jest niebardzo!... Mówiłem o tem majorowi! Ale gdzie! Wzruszył tylko ramionami... Pewny był, że chcę z nim iść o lepsze...

Szwadron według rozkazu wyciągnął się nazajutrz w pobliżu pałacu. Delaître z zadowoleniem toczył koniem przed szwoleżerami, starając się przybrać równie imponującą postawę.

Upłynęła dobra godzina, zanim na ścieżce, wiodącej do pałacu, ukazał się orszak świty z Bonapartem.

Napoleon szedł z rękoma założonemi, słuchając opowiadań Berthiera o odbytej podróży z Ferdynandem.

Marszałek skończywszy, poważył się zagadnąć:

— Sire, kiedy rozkażesz stawić się królewiczowi hiszpańskiemu?

— Nie wiem! Nie dziś i nie jutro... dowiesz się od Duroca!

Poczem, zwracając się do generała, wielkiego koniuszego, odezwał się, spoglądając na linię szwoleżerów:

— Du Rosnel!... Patrz!... Dobrze wyglądają!...

— Postawę mają świetną, sire!

— Zobaczysz zaraz resztę!...

Adjutant gwardyi dał znak Delaîtrowi. Grosmajor w pełnym galopie stanął przed cesarzem, salutując szpadą.

— Trzecia kompania trzeciego szwadronu pułku szwoleżerów polskich gwardyi jego cesarskiej mości!...

Bonaparte zmierzył Delaitrèa bystrym wzrokiem.

— Ilu ludzi?

— Stu... dzie... dziesięciu! — wyjąknął gros-major, tracąc przytomność.

Napoleon spojrzał na linię szwadronu i rzucił przez zęby.

— Zełgałeś!... Zaczynaj! Najpierw rozwiniętą linią!

Delaître zawrócił konia i ruszył ku szwadronowi, a odsadziwszy się na kilkanaście sążni od cesarskiego orszaku, zakomenderował zadyszanym głosem:

— Fermez vos rangs!

Szwoleżerowie stali w miejscu, spoglądając niespokojnie po sobie.

Gros-major po raz wtóry podniósł szablę do góry i zawołał z wysiłkiem:

— Fermez vos rangs!...

Lecz i tym razem słowa komendy nie doszły żołnierzy. Wiatr silny, idący ku nadjeżdżającemu gros-majorowi, tłumił jego z natury cichy, piskliwie niewyraźny głos.

Bonaparte szarpnął się gniewnie.

— Ces jeunes gens ne savent rien! Dosyć! Du Rosnel!!...

— Sire?...

— Weźmiesz ich pod swoją komendę! Od pierwszej musztry zaczniesz!

Napoleon odwrócił się z gniewem i poszedł do pałacu.

Konfuzya była niepowetowana. Delaître trząsł się z gniewu i w pierwszym impecie wpadł na Dziewanowskiego.

— Kapitanie!... Ładną masz kompanię!... Żołnierz nie zna rozkazów, nie ma pojęcia!...

— Nie, majorze!... Żołnierze znają komendę, lecz aby ją wykonać, muszą ją słyszeć!...

— Jak pan śmiesz mi tak odpowiadać?... Wiesz, co może cię spotkać za... takie niedbalstwo? — degradacya!... Jak Dautancourt mógł wypuścić tych rekrutów! Wstyd! hańba!

Dziewanowski zaciął zęby i zbył milczeniem wymówki Delaîtrèa.

Wiadomość o niefortunnym przeglądzie dosięgła wnet Bajonny. I zaczęto odtąd uśmiechać się ironicznie na widok karmazynowych wyłogów.

Delaître prawie nie pokazywał się na ulicy, udając chorobę. Dziewanowski był niepocieszony.

Wszyscy spodziewali się ważnych zmian, kar nawet, lecz wbrew przepowiedniom te nie nadchodziły. Natomiast w koszarach zjawił się pewnego dnia generał Du Rosnel i rozpoczął długie codzienne musztry. Pierwsza, druga, trzecia szła dosyć kulawo, lecz za czwartą szwadron tak dzielnie się spisał, że aż Du Rosnel się zadziwił...

Tego samego wieczora pluton szwoleżerów znów rozpoczął codzienną służbę w zamku Marrac. Floryan zaś został wyznaczonym na ordynansa w pałacu, zajmowanym przez króla Ferdynanda.

Położenie tego ostatniego jakby zaczęło się poprawiać. Bonaparte przyjął go kilkakrotnie na posłuchaniu, rozmawiał z Escoiquizem, a choć oświadczył, że dotąd nie może uznać Ferdynanda królem, dopóki z ust Karola IV-go przyzwolenia nie usłyszy, atoli w orszaku Hiszpanów zapanowało lepsze usposobienie.

Floryan, którego służba ograniczała się na nudnem wystawaniu w antykamerze Ferdynanda, był niemym świadkiem dziwnych i niezrozumiałych dlań prawie wizyt, które oddawały rozmaite figury nieznane, a nie budzące powierzchownością swoją zaufania. Dziwił się niepomiernie Gotartowski tej odbywającej się codzień procesyi, lecz nie mieszał się do niej, nie mając żadnych w tej mierze poleceń, a będąc dla ostentacyi przeznaczonym do dworu Ferdynanda.

Służba królewska nie robiła sobie z nim ceremonii, otrzaskała się z wyprostowaną figurą szwoleżera, a wiedząc oczywiście, że Gotartowski nie zna języka hiszpańskiego, rozprawiała przy nim głośno. Nawet panowie ze świty tuż przy Floryanie żywe prowadzili rozprawy.

Gotartowski wsłuchiwał się mimowoli w dźwięki obcej mowy i zaczął chwytać pojedyńcze wyrazy, przypominające mu żywo łacinę.

Stadnicki i Masłowski, którzy luzowali Floryana, również szybkie czynić zaczęli postępy. Szczególniej

pierwszy prym trzymał, ile że zaprzyjaźniwszy się z gwardzistą hiszpańskim, umiejącym trochę po francusku, szerokie z nim prowadził rozprawy, zabijając dłużący mu się czas. Choć dobrze im się działo na tej służbie ordynansowej, gdyż Don Pedro Labrador pełniący urząd marszałka dworu Ferdynanda, sute wydawać kazał szwoleżerom poczęstunki, czem szczególniej ujął sobie Stadnickiego.

— Florek, psia mać! — zwierzał się z tego powodu wachmistrz. — Mów sobie, co chcesz, a te Hiszpany to honorowy lud!... A taki ci dworski, że aż człeka chwyta, psia mać... Niby kuchnię mają gorszą od piwnicy... bo ta baranina i ta oliwa ich, psia mać, już mnie dławi. Pieprzu ani poświeć, soli skąpo, przaśne jadło, ckliwe zgoła... lecz dla gardła święto nielada. Te ich petercymenty, małmazye, czy po ichniemu malagi, zgoła błogością cię smarują... Grzeczni ludzie, aż mi żal, żeśmy tamtym czterem karku nadkręcili w drodze... Francuzów ci nienawidzą okrutnie... ale cóż, psia mać, my też nie Francuzy!...

— Ba, jak dla nich, to i Francuzy!

— Pewnie!... Lecz tych czarnych dyabłów lubię, choć przysiągłbym, że coś tam knują nieczystego!...

— Co mówisz?!

— Trzech groszybym za to nie dał! Nie dalej jak wczoraj nad wieczorem — ty byłeś na służbie... ja stoję sobie za węgłem, no, i gapię się bezmyślnie... aż tu od Bramy hiszpańskiej wlecze się biedak o kiju... Myślałbyś włóczęga, psia mać... oberwany, wytarty i staje przed podjazdem... Gwardzista oburknął go, lecz naraz wyprostował się drągal, i wpuścił nicponia wprost do pałacu... Splunąłem! Nie lubię, psia mać, takich komedyi!... I powiadam ci, że to nie pierwszy raz!...

Floryana uderzyło opowiadanie Stadnickiego, bo potwierdzało w zupełności jego własne spostrzeżenia. Przy sposobności wspomniał o tem Dziewanowskiemu.

Kapitan się zasępił i rzekł niechętnie:

— Już mi się ta cała awantura hiszpańska nie podoba oddawna! Na dworze cesarskim szepcą na do-

bre... że korona hiszpańska ma się dostać Muratowi, który już się podobno zainstalował w Madrycie... Hiszpanie się burzą i o zbrojnym oporze myślą... Nie w smak mi ten najazd!... To ci, powiadam, martwi mnie! Sam nie wiem... co z tem zrobić!... Czekaj! Toć wczoraj przybył Dezydery Chłapowski, który mianowany został własnym jego cesarskiej mości ordynansem!... Temu rzecz wyłożę...

Dziewanowski udał się zaraz do Chłapowskiego; rezultatem widzenia się był rozkaz, aby Stadnickiemu wachmistrzowi dodać jeszcze czterech szwoleżerów i zalecić w razie zauważenia czegoś podejrzanego użycie siły i zaalarmowanie załogi.

Wachmistrzowi rozkaz ten popsuł humor.

— Florek! — zwrócił się Stadnicki z prośbą do Gotartowskiego. — Ratuj, bo się załamię, psia mać!... Na takich sztuczkach się nie znam i nie lubię... Bić, to bić, ale tu trzeba zimnej rozwagi! Radź, przyjacielu, bo mię te Hiszpany w pole wyprowadzą!...

Floryan przyrzekł pomoc, lecz Stadnicki nie był wcale tak niezaradnym, za jakiego się wydawał.

W dwa dni później, gdy Floryan czekał z Norwiłłem, aby zluzować Masłowskiego i Kasarka, niespodziewanie nadszedł Stadnicki, który powinien był zajmować pierwszy posterunek w antykamerze królewskiej.

Floryan zaniepokoił się opuszczeniem warty.

— Wachmistrzu! Co wy? Tutaj? A tam?...

Stadnicki przewrócił znacząco oczyma i zatoczył się bezwładnie.

— Florek! — bełkotał. — Psyt! Ani... mru-mru... psia mać!... Mal...aaaga... psia mać... porządny cabalero... Don Husto de Ibare... avarro!... Drugi... także, psia mać... Palll... fex!!...

— Panie Józefie! Na litość... toć spiliście się!...

— Ja?... Nie!... To... mal... aaaga... psia mać!...

— Chodźcie stąd, na miły Bóg!... Żeby was kto nie zobaczył...

Gotartowski skinął na Kasarka i zaciągnął Stad-

nickiego do pobliskiej austeryi nad Adurem i tam w izdebce na ławie ułożył.

Stadnicki opierał się i bełkotał z uporem.

— Florek, odczep się! Tobie się zdaje, że ja jestem pijany! Nie! To... mal...aaga!... Porządni Hiszpanie!... Mają drzwiczki z antykamery do ogrodu!... Niech sobie mają!... Chodzą rozmaici... niech chodzą, psia mać!... Ja nie jestem Francuzem!... Mal...aaga!... Daj gęby, Florek! Tobie się zdaje! Cha, cha! Czekaj!... Wracam na służbę! Służba!...

Gotartowski z Kasarkiem zaczął układać Stadnickiego do snu, a chcąc mu ulżyć, rozpiął wachmistrzowi wysoki a niewygodny kołnierz mundura... w tejże chwili pęk papierów wysunął się z zanadrza.

Wachmistrz uśmiechnął się wpółprzytomnie.

— Widzisz, Florek... psia mać! Stadnicki, uważasz... co mal...aaga — to mal...aaga... a co papiery, to papiery... Uważasz! Oni porządni i ja porządny — a papiery służba!... Cabalero... à su saluted de usted! Po naszemu... w wasze ręce! mal...aaga!

Wachmistrza trunki na dobre rozmarzać zaczęły. Floryan powierzył go opiece właściciela gospody, a sam podążył zająć opuszczone przez Stadnickiego stanowisko, Kasarkowi zalecając objęcie nadzoru nad zmianą posterunków.

W antykamerze królewskiej zastał Gotartowski tylko Masłowskiego, który z gorączkową niecierpliwością przyjął Floryana.

— Jesteś nareszcie! Mało się nie skręcę... Widziałeś Stadnickiego... upoili go. Mniejsza, żeby tylko nie doniosło się do kwatery!... Ale słuchaj, tu w pałacu coś się dzieje, czego pojąć nie mogę... Jacyś ludzie zakradli się... Teraz tam w pokojach królewskich zebrali się wszyscy prawie... Oficerowie gwardyi przybrani, jak do pochodu. Rzecz dla mnie niepojęta, bo przysięgnę ci, stojąc w głównem wejściu, nikt tu dzisiaj, prócz zwykłych osób, nie wchodził i nie wychodził... Tymczasem przed chwilą, gdy pokojowiec uchylił niebacznie drzwi, dojrzałem kilka obcych zupełnie twarzy! Rękę dam sobie uciąć, że tu coś się knuje!

Ba! Już mnie dwa razy ciągnęli na poczęstunek... do tej tu izdebki... Co robić?...

— Nie przypuszczasz, że mogą mieć drugie, boczne jakieś wejście?...

— Jestem tego pewny nawet...

— Stadnicki coś bełkotał o tem. Ale teraz z nim się dogadać nie można!... Czekaj, miał przy sobie jakieś papiery. Widzisz, lecz kto je tam zrozumie, po hiszpańsku pisane...

— Masz papiery?... Musiał je stary urwis zabrać im... Przed chwilą jeszcze ich tu szukali!...

Floryan zamyślił się, a po chwili rzekł:

— Gra tu się zaczyna nielada! Zmierzch zapada... Nie ruszaj się stąd. Pójdę do kapitana i powrócę natychmiast. Na wszelki wypadek trzeba będzie sprowadzić kilku naszych zuchów.

Gotartowski pobiegł szybko do Dziewanowskiego, oddając mu papiery i wyrażając swe obawy.

Kapitan nie zdawał się podzielać niepokoju Gotartowskiego i, ledwie ulegając jego naleganiom, pozwolił mu zabrać pluton „dwóch drzew“, prosząc, aby możliwie szybko zwrócił go do koszar z uwagi na ludzi... Papiery zaś przyrzekł oddać wieczorem Chłapowskiemu lub Laplace'owi, aby je tam rozpatrzyli. W końcu upominał Dziewanowski Floryana:

— Byle rozważnie, byle ostrożnie, żeby nam ta gorliwość piwa jakiego nie nawarzyła! Ten nieszczęsny przegląd do dnia dzisiejszego nam pamiętają... Byłem przed chwilą w zamku. Niegolewski Jędrek trzyma dziś wartę przy cesarzu... mówił mi właśnie, że marszałek Berthier, zobaczywszy go, odezwał się ironicznie: „Cóż, kawalerze, nauczyliście się już musztry?“ Miłe odezwanie, co? Aż mnie poderwało, gdym się dowiedział. Jeszcze jedna taka historya, cień jakikolwiek... i może być koniec z nami! W sztabie cesarskim jeszcze teraz opowiadają o karze, która nas ma spotkać! Tfy!... Miałem złe przeczucie. Więc strzeż się jak ognia, wszystkiego... Tu młot, a tu kowadło...

— Pewnie! Sam waham się, bo nie dosolić źle,

a przesolić także źle. Te papiery mogłyby być wskazówką...

— Zdaje ci się!... Zresztą pójdę za chwilę sam. Tylko strzeż się pokazywać zwiększonej warty, bo za to może być kara... w razie czego wytkną nam samowolę. Cesarz podpisuje sam rozkaz, wyznaczający ludzi na służbę.

Floryan udał się do koszar, zebrał Jaworskich i Grabowskich i, omijając główne ulice, poprowadził ich zaułkami na tyły pałacu królewskiego.

Tam, trafiwszy na otoczony niskim parkanem ogród, rozstawił ich, zalecając surowo, aby każdego, ktoby chciał wydostać się z ogrodu, zatrzymywano bezwzględnie.

Tak się sprawiwszy, sam zawrócił do głównego wejścia, aby zluzować nareszcie Masłowskiego.

Jakież atoli było zdziwienie Floryana, gdy wszedłszy do przedpokoju królewskiego, nie zastał towarzysza!

Gotartowski przeraził się. Czyżby podobieństwem było, aby i ten dał się upoić, czy lekkomyślnie porzucić stanowisko, a przecież za to spotkać go mogła ciężka odpowiedzialność... Floryan machinalnie jął się rozglądać po słabo oświetlonej antykamerze, lecz nie było w niej żywej duszy. Nawet gwardzista hiszpański, stojący przez całą noc przy drzwiach wchodowych, nie przybył jeszcze.

Floryanowi przyszło na myśl, że może Masłowski poszedł do sąsiedniej austeryi, gdzie Kasarek z Norwiłłem siedzieli może przy Stadnickim, i w tym celu skierował się śpiesznie ku drzwiom, aby ich z gospody wyciągnąć. Zaledwie jednak postąpił kilka kroków naprzód, gdy drzwi, prowadzące do królewskich pokoi, otworzyły się szybko.

Floryan ujrzał przed sobą ciemną, ściągniętą twarz oficera gwardyi, Palafoxa.

— Hej! Mości brygadyerze! — zaczął ostro ten ostatni łamaną francuzczyzną. — Jakieś nieporządki między was się zakradły! Przed chwilą potrzebny był ktoś dla odniesienia papierów panu marszałkowi

dworu... żadnego z was nie było! Nie wiem, czy to się zgadza z waszą instrukcyą!...

Gotartowski zmieszał się.

— Kapitanie! — rzekł. — Szwoleżer, który tu stał, musiał być wezwanym... Niepodobna mi nic innego przypuścić...

— To się pokaże! Dowiemy się, jakie to was przepisy obowiązują! Tymczasem odniesiesz te oto papiery do zamku Marrac i doręczysz je służbowemu oficerowi...

— Według rozkazu!...

Floryan wyszedł z ciężkiem sercem, czując, że nowa burza zawisła nad szwadronem. Mijając gospodę, wstąpił był, aby upomnieć Masłowskiego, a przynajmiej Kasarka z Norwiłłem napędzić, lecz ku wielkiemu zdziwieniu, prócz pogrążonego we śnie Stadnickiego i kiwającego się nad nim gospodarza, w gospodzie żadnego ze szwoleżerów nie było.

Właściciel austeryi zaś zapewnił, że zaraz po oddaleniu się Gotartowskiego szwoleżerowie wyszli do pałacu i dotąd nie wrócili.

Floryan przeraził się tem oświadczeniem. Oczywiście koledzy pozwolili sobie na jakąś lekkomyślność, mogącą pociągnąć wprost zgubne następstwa dla nich i całego pułku.

Gotartowski, chcąc ratować zagrożoną sytuacyę, podążył za pałac, gdzie był wartę rozstawił, aby którego z Jaworskich postawić tymczasem dla niepoznaki w antykamerze. Lecz tam, skoro się zbliżył do pierwszego z brzegu towarzysza, ten jął mu dawać znaki tajemnicze, a w końcu ujął za rękę i poprowadził ku trzem Grabowskim, przyglądającym się pilnie przez szczelinę parkanu, co się w ogrodzie królewskim dzieje.

Floryan, zniecierpliwiony tem dziwnem zachowaniem się kolegi, zagadnął oschle:

— Cóż wy tu widzicie osobliwego, miast służby pilnować?

— Brygadyerze! — szepnął wystraszony Jaworski. — Ani słowa! Patrz!

Floryan przysunął głowę do parkanu i wzrok

wytężył. Wśród mroków zapadających ujrzał pięciu uzbrojonych ludzi, opatrujących karetę dworskę i zaprzęgających śpiesznie konie... W głębi gromadka mężczyzn, ubrana po podróżnemu, przypatrywała się tym przygotowaniom.

Pośród gromadki Floryan dostrzegł nachmurzoną twarz króla i chude, żółte oblicze Escoiquiza.

Floryan stropiony tą sceną, chciał coś rzec, lecz Jaworski odciągnął go na bok i na końcu małej, wąskiej uliczki wskazał mu kalwakatę jeźdźców.

— Widzisz, tamci czekają!... Radź, co robić? Wyjazd gotowy!... część parkanu ruchoma.

Gotartowski sam nie wiedział, co czynić. Władza jego nie sięgała tak daleko, aby samowolnie na krok jakiś się ważyć. Bo nawet gdyby król chciał wyciągnąć z pałacu... nie miał rozkazu na zatrzymanie go... Ta rzecz należała do komendanta, strzegącego bram i przejazdów Bajonny... Jednakże te nocne szykowania wydały mu się podejrzanemi.

Nie namyślając się dłużej, skinął na dwóch Grabowskich, aby szli za nim, i przesadziwszy parkan, zapuścił się w zarośla ogrodu, chcąc możliwie najbliżej podejść do karety. Zaledwie jednak kilka kroków zrobił naprzód, jeden z Grabowskich, sunący obok Floryana, potknął się i upadł.

— Na miłość Boską! Uważaj, bo nas spostrzegą! — upominał Gotartowski.

— Brygadyerze! — mruknął Grabowski. — Tu ktoś leży.

Floryan pochylił się i natrafił na leżące bezwładnie a jakby skręcone ciało. Grabowscy unieśli je pod parkan, kędy na wolnej od zarośli przestrzeni padały promienie księżyca.

Gotartowski nachylił się nad ciałem. Był to Masłowski, skrępowany powrozami, z głową szczelnie owiniętą w płachty i ustami zakneblowanemi. Grabowscy uwolnili szybko towarzysza z więzów i napoili winem z żołnierskiej manierki.

Masłowski odetchnął ciężko. Floryan pochylił się nad nim.

— Co wam?... Skąd wy tutaj?... Kto was skrępował?!...

Masłowski jęknął ciężko.

— Ratujcie... zdrada!... Zamach na cesarza... słyszysz!... Dziś... mają napaść... w Bajonnie pożar...

— Mów wyraźniej... przez litość!... Majaczysz!

Masłowski potrząsnął głową.

— Nie! — jęknął z wysiłkiem. — Patrz, co ze mną! Norwiłł raniony, Kasarek! Chwili nie trać, zaklinam cię!

Masłowski omdlał. Floryan przestał się wahać. Pluton cały wprowadził do ogrodu i uformował łańcuch, gotowy wystąpić na każde skinienie. Jednego zaś z Grabowskich wysłał do koszar dla zaalarmowania porucznika Krzyżanowskiego, a dwom Jaworskim nakazał trzymać wartę przed pałacem od strony głównego podjazdu.

Gdy przygotowania te zostały ukończone, Floryan wysunął się śmiało z zarośli i jął podchodzić do karety. Kilkunastu ludzi czyniło ostatnie przygotowania do odjazdu. Z pałacu wynoszono pośpiesznie puzderka i skrzynki, lokowano je pod siedzeniem i przytraczano w tyle między kołami. Król z Escoiquizem, ministrem i książętami stał na uboczu i przyglądał się przygotowaniom...

Floryan zastanawiał się jeszcze, co mu czynić wypada, i namyślał się, czy nie lepiej będzie czekać rozkazów, które od porucznika nadejść muszą, gdy nagle zadrżał z przerażenia. Oto z poza karety wysunęło się naraz dwóch oficerów pułku strzelców gwardyi cesarskiej.

Więc to, co się tu działo, było za wiadomością cesarza...

Gotartowski otrząsnął się, mrowie go przeszło na myśl, coby go spotkać mogło za zbytnią gorliwość... Floryan cofnął się pośpiesznie ku oparkanieniu, zamierzając co tchu ściągnąć placówki, byle uniknąć zajścia z oficerami francuskimi.

Lecz było już za późno. Z zarośli, w które miał

zamiar skręcić Floryan, wyszedł trzeci oficer strzelców francuskich i rzucił ostro po hiszpańsku:

— Kto tu?

Gotartowski zmieszał się. Nogi pod nim się ugięły. Awantura była nieunikniona i to... z oficerem guidów!...

— Odpowiadaj natychmiast! — groził oficer, lecz tym razem już po francusku.

— Brygadyer szwoleżerów gwardyi jego cesarskiej mości!

— Co tu robisz? Jak śmiesz? — gromił oficer, podchodząc do Floryana.

— Kapitanie! — jąkał Gotartowski, rozpoznawszy już szlufy.

— Jesteś aresztowanym! Wytłómaczysz się z tego nocnego zakradania się...

— Według rozkazu! — odrzekł ponuro Gotartowski.

Oficer klasnął w dłonie. Z zarośli wychyliły się dwie ciemne postacie i zanim Gotartowski zdołał zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, rzuciły się na niego i jęły go krępować.

Floryan, przytomnością oficera zbity z tropu, nawet się nie bronił, gdy jednak wiązano mu ręce, szarpnął się, a mając nogi skrępowane, zatoczył się ku oficerowi.

Kapitan zaklął zcicha i zawołał na zbirów po hiszpańsku:

— Trzymać mi tego psa francuskiego!

Gotartowski rzucił wzrokiem na oficera i teraz dopiero w świetle księżyca poznał w nim Palafoxa.

Zbirowie zdołali go już dosięgnąć, usiłując mu głowę workiem okręcić. Floryan zaczął się bronić rozpaczliwie, a uwolniwszy się na chwilę z dławiących go rąk — huknął gwałtownie:

— Do mnie, towarzysze! Na pomoc!...

— Skończyć z nim! Dalej! — komenderował oficer.

Zbir wyciągnął nóż. Równocześnie prawie zakołysały się zarośla — zwarte koło szwoleżerów otoczyło polanę. Palafox dobył szpady, zbirowie odstąpili Floryana.

Szwoleżerowie, widząc mundur oficera francuskiego, stanęli jak wryci. Palafox zrozumiał niepewność żołnierzy i cofnął się w tył, chcąc się wydostać za łańcuch, lecz Gotartowski rozkazał krótko:

— Brać ich! Zdrada!...

Szwoleżerowie rzucili się na Hiszpanów, Floryan, uwolniony z więzów, objął dowództwo. Czterech ludzi odkomenderował dla strzeżenia obezwładnionych więźniów, a sam z pozostałą częścią plutonu, uformowawszy półkole, zbliżał się do karety.

Wtem, tuż za oparkanieniem ogrodu buchnął snop ognia ponad dachem drewnianej lepianki i szeroką łunę rozlał na niebie...

Radośny okrzyk około karety powitał łunę. Konie ruszyły naprzód...

Floryan wahał się. Okolo karety widać było jeźdźców w mundurach francuskich...

Kareta zmierzała wprost alejami ogrodu ku miejscu gdzie szwoleżerowie pokazywali Floryanowi ruchomy parkan. Gotartowski nie namyślał się dłużej.

— Baczność! — zakomenderował szeptem. — Broń opatrzyć!...

A gdy kareta zaczęła najeżdżać na łańcuchy, zawołał groźnie:

— Stój, kto idzie?...

Na głos ten dokoła karety wszczął się popłoch. Jadący na czele oficer ściągnął konia.

— Do mnie żołnierze! — huknął, wyciągając pałasz. — Kto śmie nam zastępować drogę?...

Floryan chciał odpowiedzieć, lecz oficer ciął go po ramieniu. Pałasz atoli rozpłatał mu zaledwie rzemień od przewieszonego patrontasza. Równocześnie prawie padło sześć strzałów. Jeden z Grabowskich zatoczył się, brocząc krwią. Szwoleżerowie podnieśli karabiny.

— Mierz w konie! — komenderował Floryan. — Pal! Nabijaj! Cel!...

Trzy salwy jedna po drugiej rozległy się w ogrodzie. Dwa konie u karety padły na miejscu, cztery pod jeźdźcami ranione, wspinały się i mięszały szyk orszaku...

— Zdrada, zdrada! — dały się słyszeć nawoływania Hiszpanów.

— Poddajcie się! — wołali szwoložerzy.

— Nacieraj! Za mną! — komenderował oficer, prowadzący kalwakatę.

Hiszpanie skupili się i sunęli ku szwoleżerom.

Gdy wtem śród ciszy nocnej rozległy się tuż za ogrodem bębny piechoty francuskiej.

Hiszpanie cofnęli się... Z karety wyskoczyło kilką ciemnych postaci i rzuciło się ku pałacowi. W ślad za niemi jeźdźcy jęli porzucać swe konie i na przełaj uciekać ku pokojom królewskim.

Zanim szwoleżerowie się spostrzegli, przed nimi była już tylko próżna kareta i kilkanaście rozbieganych i powalonych na ziemię koni.

Gdy się to działo, w zamku Marrac zgoła inna rozegrała się scena.

Dziewanowski, otrzymawszy od Floryana papiery, zaledwie nad wieczorem wybrał się z nimi do zamku, chcąc równocześnie, jak to miał w zwyczaju, naocznie przekonać się, czy w plutonie, pełniącym służbę przy cesarzu, wszystko jest w porządku.

Na odwachu zamkowym zastał Dziewanowski Niegolewskiego, siedzącego razem z drugą zmianą szwoleżerów i gawędzącego z nimi. Kapitan jął pytać o Chłapowskiego, lecz Niegolewski zapewnił go, że Chłapowski jest w tej chwili na służbie i że pewno wówczas będzie wolnym, gdy cesarstwo przejdą do swoich sypialni; teraz bowiem Duroc ma swój raport wieczorny, po którym jeszcze cesarz zwykł był pracować przez czas pewien. Dziewanowski, znając zwyczaje dworu, zrozumiał, że mowy nie było, aby przed północą można widzieć Chłapowskiego...

Papiery zaś doręczone nie wydawały mu się dość ważnymi, aby docierać do pokojów cesarskich i wszczynać alarm. A że kapitana Laplace'a nie było także, gdyż ten oddalił się właśnie do Bajonny razem z marszałkiem Berthierem, więc Dziewanowski po namyśle oddał papiery Niegolewskiemu, prosząc, by je Chłapowskiemu doręczył i, udzieliwszy mu objaśnień,

jaką drogą te papiery rąk jego doszły, zawrócił z powrotem ku Bajonnie.

Zaledwie atoli Dziewanowski się oddalił, gdy na odwach wpadł jak wicher Chłapowski.

— Dowodzący wartą?!

— Porucznik drugiej klasy, Jędrzej Niegolewski, panie adjutancie!

— Wysłać natychmiast szwoleżera do Bajonny, do komendanta, aby dwóch kuryerów było gotowych! Dalej! Co koń wyskoczy!...

— Według rozkazu! Szwoleżer Michałowski, na koń!...

— Gdy kuryery nadjadą, dasz mi znać poruczniku!

— Wedle rozkazu!

Chłapowski zawrócił śpiesznie.

— Panie adjutancie! Mam papiery do wręczenia mu!

— Co za papiery?!

Niegolewski powtórzył słowa Dziewanowskiego.

Chłapowski wziął niechętnie papiery.

— Dzieciństwa jakieś! No, zobaczymy!... Kuryerów natychmiast zaraportować.

Chłapowski powrócił śpiesznie na stanowisko swoje w komnacie, poprzedzającej gabinet cesarski.

Porucznik grenadyerów gwardyi, Villeneuve, który chwilowo pełnił obowiązki drugiego oficera ordynansa cesarskiego, powitał Chłapowskiego szeptem:

— Latasz kolega, jak fryga!

— Zdaje się koledze, że za prędko! No, ręczę ci, że zanim żołnierz zdąży dopaść do Bajonny, najjaśniejszy pan już zapyta, dlaczego jeszcze niema kuryerów? Już to noc będzie dzisiaj ciężką!

— Z czego to wnosisz, kolego?

— Najjaśniejszy pan zasiadł do przeglądania papierów i podpisywania... Papier podpisany nie może godziny czekać! Duroc do rana będzie wysyłał!...

— A to co, kolego, masz w ręku?

— Sam nie wiem! Jakieś papiery hiszpańskie! Odebrane czy znalezione pod pałacem Ferdynanda! Objaw gorliwości! Nie wiem, co z nimi zrobić! Obawiam się, czy niezbyt błahe to... papiery!

— Pozwól, kolego, niech przejrzę...
— Znasz hiszpański?
— O tyle, że zrozumiem!...

Villeneuve jął niedbale przewracać papiery, naraz drgnął i porwał się z miejsca.

— Kolego! — rzekł szybko. — Nie pojmuję! Własnym oczom nie wierzę!...
— Co takiego, co? — pytał gorączkowo Chłapowski.
— Rozkaz do „chunty" madryckiej... wzywający ją do zbrojnego oporu!... Manifest do wojska! Do ludu!... Spisek... spisek na życie najjaśniejszego pana! Kolego, chwili niema do stracenia... Natychmiast zaraportuj!
— Do gabinetu cesarskiego? Czy nie za śmiało?...
— Idź natychmiast!... A nie, to ja pójdę! Każda sekunda tu decyduje!...

Chłapowski, podniecony wzburzeniem Villeneuve'a, odebrał szybko papiery i poszedł do drzwi gabinetu cesarskiego, lecz zanim zdążył ująć za klamkę, te otwarły się gwałtownie, stanął w nich Bonaparte.

Oficerowie wyprostowali się.

— Kuryerzy gotowi? — spytał ostro Napoleon.
— Natychmiast będą, według rozkazu, najjaśniejszy panie!...
— Powinni już być! Jak staną, dać mi natychmiast znać!...
— Według rozkazu, najjaśniejszy panie! — odpowiedzieli raźno oficerowie.

Bonaparte odwrócił się. Chłapowski postąpił naprzód.

— Najjaśniejszy panie!...
— Co takiego?
— Doręczono mi papiery, przejęte wypadkowo w pałacu jego królewskiej mości!

Napoleon skrzywił się pogardliwie.

— Oddasz je jutro marszałkowi dworu!...
— Najjaśniejszy panie... papiery bardzo ważne!...
— Powiedziałem!
— Najjaśniejszy panie...
— Jak śmiesz?...

— Tu... o życie waszej cesarskiej mości idzie!...

Bonaparte spojrzał zdumiony na Chłapowskiego.

— Oszalałeś?!...

— Manifesty do „chunty“, do wojska!...

Napoleon odebrał niecierpliwie papiery z rąk Chłapowskiego i wyszedł. Rustan drzwi za cesarzem zatrzasnął.

Chłapowski po wyjściu Bonapartego spojrzał przerażony na Villeneuve'a.

— Kolego, na miłość Boską!... Czy aby nie pomyliliście się... Jeżeli słowa wasze się nie sprawdzą...

— Bądź, kolego, spokojnym!... I popraw raczej szablę i opatrz pistolety... mogą nam być dziś potrzebne!...

Chłapowski spojrzał niedowierzająco na Villeneuve'a, lecz naraz drzwi gabinetu cesarskiego rozwarły się po raz drugi, szybciej, gwałtowniej...

— Rustan! — dał się słyszeć stalowy głos Bonapartego. — Szpadę i pistolety!...

Mameluk spełnił rozkaz w mgnieniu oka.

— Duroc! Alarmuj odwach!

Wielki marszałek ruszył naprzód. Napoleon rzucił okiem na oficerów.

— Panowie, za mną!...

Przed pałacem rozległ się wystrzał karabinowy — a tuż w ślad za nim gwałtowne, chrapliwe dźwięki trąbki.

Pluton Niegolewskiego zerwał się na równe nogi, dosiadł stojących w pogotowiu koni i sunął galopem przed ganek.

Bonaparte spojrzał ku szwoleżerom z zadowoleniem.

— Ilu was jest?

— Pluton, najjaśniejszy panie!...

— Karabiny nabite?

— Nie mamy nabojów!... Po ostatniej rewii inspekcya wstrzymała wydawanie!...

— Słyszysz, Duroc?... A czemże wy mnie bronić będziecie?

— Wasza cesarska mość! — rzekł z zapałem Nie-

golewski. — Mamy szable... Po naszych trupach droga do ciebie, najjaśniejszy panie!...

— Gdzie reszta warty, Duroc?

Marszałek chciał odpowiedzieć, lecz naraz z za węgła zamku wysunął się oddział grenadyerów.

Bonaparte podszedł ku nim.

— Do pioruna! Stare wąsy grenadyerskie, ładnie się spisujecie!... Patrzcie, ta garść dzieciuchów od kwadransa zdążyła zebrać się na alarm, a wy?...

— Sire... — próbował ozwać się oficer dowodzący.

— Milcz!... Przez miesiąc nie włoży z was żaden wielkiego munduru!

Szeregi żołnierzy zaległa cisza grobowa. Bonaparte wydał rozkazy Durocowi. Mamelucy pałacowi rozniecili pochodnie. Grenadyerzy podzielili się na małe oddziały i rozpoczęli obchód zamku. Szwoleżerowie stali przed gankiem, czekając dalszych rozkazów.

Napoleon przechadzał się niespokojny, wzburzony, poglądając ku Bajonnie... Naraz na skraju miasta ukazały się płomienie, w ślad za nimi w trzech innych punktach również buchnęły ogniste języki.

Bonaparte wskazał je Durocowi.

— Widzisz je! Piekielny pomysł... Ferdynand podpalił własną koronę!...

— Sire, nie każesz zaalarmować załogi?

— Po co? Tam przecież jest Berthier — a ten ma obowiązek wiedzieć, co się wokoło niego dzieje!...

Berthier atoli nic nie wiedział — w godzinę ledwie po zaalarmowaniu odwachu cesarskiego stawił się w zamku Marrac, z wieścią, że król Ferdynand usiłował wymknąć się z Bajonny, ale czujność jego przeszkodziła zamiarom.

Bonaparte z ironicznym uśmiechem wysłuchał raportu ministra wojny.

— Mości marszałku! Dosyć nowin jak na generała, za mało na ministra... Fouché by tego błędu nie popełnił... Przyjechałby może później, lecz wiedziałby o wszystkiem. Gdyby papiery, które rąk moich doszły przypadkiem, trafiły tam, dokąd były adresowane...

twój garnizon nie wytrzymałby napadu guerillów, a ja może musiałbym układy prowadzić w Hiszpanii jako więzień....

— Sire! — jąkał zmieszany Berthier. — Któżby się ważył?...

— Masz tu papiery! Dowiedz się!... Od dziś warty rozciągniesz około pałacu Ferdynanda, wezwiesz do mnie Fouchégo i dwa pułki strzelców!....

Zaczem Bonaparte zwrócił się do szwoleżerów.

— Cóż wy, dzieciaki, umiecie już musztrę?...

— Tak jest, najjaśniejszy panie! — odparł raźno Niegolewski.

— Tak mówisz! — ozwał się z niedowierzającym uśmiechem Napoleon i, postąpiwszy naprzód, zakomenderował znienacka:

— Faites ouvrir vos rangs!

Niegolewski w lot zrozumiał pułapkę... gdyby był w tej samej formie powtórzył rozkaz, wówczas pierwszy szereg musiałby najechać na cesarza. Więc Niegolewski ściągnął gwałtownie konia i rozkazał ostro:

— En arrière!

A gdy pluton odsunął się o kilka sążni od Bonapartego, dopiero huknął żwawo:

— Ouvrez vos rangs!...

Szwoleżerowie wykonali ruch, ani na włos nie chybiając. Bonaparte przeszedł się z zadowoleniem, kazał następnie zwinąć linię i na odwach zawrócić.

W pół godziny służba cesarska zaczęła znosić kosze z winem i półmiski z potrawami a frykasami do kordegardy szwoleżerów.

— L'empereur vous envoie! — objaśnił furyer cesarski.

Żołnierze wybuchem serdecznej radości przyjęli ten dowód szczególniejszej łaski.

Z ław złożono na poczekaniu stoły, wezwano do kompanii stropionych grenadyerów francuskich, a gdy jeszcze jadła i napoju nie ubywało, Niegolewski pchnął posyłkę do Dziewanowskiego i Krzyża-

nowskiego, aby z resztą wolnych szwoleżerów przybywali.

Floryan zaś, gdy się znalazł z plutonem „dwóch drzew“ przed opustoszałą karetą i porzuconymi końmi — bez namysłu cofnął się, rozumiejąc, że pościg w pałacu nie do niego należał i że tam władza jego chwilowa ustać musiała, tembardziej, że z drugiej strony słyszał odgłos nadchodzącego wojska.

Cofnął więc pośpiesznie żołnierzy ku parkanowi, a sam chciał wracać na miejsce swoje do antykamery, lecz wtem przypomniał sobie o więźniach swoich i skierował się ku polance w zaroślach.

Tu czekała go niemiła niespodzianka.

Oto szwoleżerowie, pozostawieni dla strzeżenia więźniów — rozumiejąc, że ci, przywdziawszy mundury francuskie, wyrządzili im także obelgę — nietylko, że poobdzierali z nich szlufy, obszlegi i akselbanty, lecz, po obcięciu pół zielonych fraków gwardyjskich, jęli wymierzać hiszpanom sprawiedliwość.

Już dwóch żołnierzy hiszpańskich leżało rozciągniętych na ziemi, chłodząc na wietrze mocno wytatarowane skóry... Szwoleżerowie zabierali się właśnie do Palafoxa, gdy zeszedł ich Floryan.

— Co wy tu robicie?

— Nic, brygadyerze! — odrzekł spokojnie jeden z Jaworskich. — Smarowanie nicponiom wyprawiamy, aby uczciwych mundurów szaserskich do sztuczek nie używali!...

— Puśćcie mi natychmiast tego oficera! nie do was sąd należy! Wstydźcie się wywierać dziką złość na bezbronnych...

— No, przecież nicby im się nie stało — mruknął najstarszy z Grabowskich — a co imć oficera, żeśmy uszanowali, bo przecież na połciach z fraków leży!

— Dosyć, niema rozpraw... Wstań, panie oficerze!...

Palafox, uwolniony z więzów, podniósł się i spojrzał z wdzięcznością na Floryana, a potem zagadnął ponuro:

— Co zamierzasz ze mną uczynić?

— Odprowadzić na odwach.

— Spodziewasz się nagrody?

— Nie, kawalerze!

— Pozwól mi odejść do pałacu!...

— Nie, kawalerze! Najprzód odpowiesz mi, gdzie są nasi dwaj towarzysze?

— Słowem ci ręczę, że są nietknięci... Patrz tam, na lewo, znajdziesz ich w zaroślach związanych.

Floryan skinął na szwoleżerów, aby pośpieszyli ich uwolnić coprędzej. Na polance Gotartowski sam został z Palafoxem, mając w pobliżu powiązanych gwardzistów hiszpańskich.

— Brygadyerze! — zaczął po małej pauzie Palafox. — Wiesz, co ocaliło twoich żołnierzy od śmierci?

— Chcesz mi, kawalerze, dać poznać swoją wspaniałomyślność?...

— Mylisz się! — rzekł oschle Palafox. — O tem niema mowy! Ocaliło ich to, że nie są Francuzami!... Ich ocaliło, a nas, jeżeli chcesz wiedzieć, zgubiło!...

— Nie rozumiem tych względów waszych dla nas, ani tem mniej nienawiści ku Francuzom. Cóż złego wam uczynili?

— Co złego? Pytasz się! — wybuchnął z głuchym gniewem Hiszpan. — Kto podstępem ziemię naszą naszedł, kto od lat tylu już łudził nas przymierzem, wybierał żołnierza, wciągał w wojny... a w końcu, udając sojusznika, wprowadził armię i zalał nas wojskiem? Kto więzi króla naszego?!

— Panie kawalerze! Żołnierzem jestem! Tajne mi są arkana polityczne... lecz przecież toć wiadomem jest wszystkim, że macie króla Karola, króla ojca... że ten chce panować...

— To domowe są sprawy! Nikt obcy nie może w nie wchodzić! — I do nas doszły słuchy o rycerskości waszych przodków, o ich szlachetności!

— Ilekroć będziemy mogli przeszkodzić zdradzie, tylekroć...

— Zdradzie?... Ty nazywasz to zdradą?!... Patrz... król nasz został wszak tu jako przyjaciel przyzwany, a teraz jest waszym więźniem, nie wolno mu nawet na miasto wyjść bez zezwolenia marszałka!... Otóż

pamiętaj, że ja dumny jestem tą zdradą, jak ją nazwałeś przed chwilą, i tak zdradzać gotów jestem zawsze!...

— Nie spieram się, kawalerze! Choć inne mną rządzą sympatye a uczucia — chętnie mu przyznaję słuszność w jego wyobrażeniu — jeno niepojęte mi jest to wielkie przywiązanie do waszego króla, czy wybrańca narodu, jako powiedziałeś!... Cesarz źle narodowi waszemu nie życzy, a o ile mi powiadano, chce nielada przywilejami i nadaniami kraj wasz otoczyć... Dobrodziejstwa na . was spłyną niewątpliwie...

— Jesteś zaślepiony! Znasz ty dumę Hiszpana? Nie znasz oczywiście! Inaczej wiedziałbyś, że on nie przyjmie żadnego z tych dobrodziejstw, woląc znosić przemoc własnego króla, niż łaski najezdnika... Wara obcym od naszych spraw domowych! Nie zdajesz się mnie rozumieć. Olśniła cię wielkość Bonapartego... No, prowadź mię!... Możesz być pewien, że słowa jednego z tego, co rzekłem, nie zaprę! Spełniłem tylko obowiązek!...

— Kawalerze! — ozwał się po namyśle Floryan.— Wracaj do pałacu.

— Jakto? Chcesz mnie...

— Ja także uczyniłem to, co do mnie należało!... Prowadzić cię na odwach ani oskarżać nie chcę i nie będę... Niech tam odpowiada i zapytuje... kto chce! Jestem tylko żołnierzem...

— Nagroda cię nie minie!

— Nie płać mi, kawalerze, obelgą!!...

Palafox ujął żywo Floryana za rękę.

— Więc masz moją przyjaźń dozgonną!... Kto wie! Może kiedyś, w przyszłości, przyda ci się jeszcze!...

— Wracaj, wracaj, kapitanie! — upominał Floryan. — A tych swoich gwardzistów zabierz ze sobą, byle prędko!... Wracajcie do pałacu... Tam może spotka was... badanie... Ja doń ręki nie przyłożę! Wasze zamysły w niwecz obrócone, to mi wystarcza!

Palafox rzucił się ku powalonym żołnierzom,

zdjął z nich szybko pęta i zniknął wraz z nimi w zaroślach.

Gdy szwoleżerowie powrócili z uwolnionymi Kasarkiem i Norwiłłem, na polanie był już tylko Gotartowski.

— Brygadyerze! — zagadnął wystraszony jeden z Jaworskich. — A gdzie tamci?

— Uciekli — odrzekł krótko Floryan.

— Czemużeś nas nie przywołał?...

— Bo miałem was za żołnierzy, a nie za gończych!...

Szwoleżerowie spojrzeli po sobie znacząco.

— Złote słowa! — ozwał się śmiało Michał Grabowski. — Bić, to bić, ale cłapać po krzakach i bezbronnych na postronki chwytać... to do paralusza z taką żołnierką!

— Racya! — huknęły głosy. — Niech sobie umykają z Bogiem!...

Szwoleżerowie zawrócili na swoje poprzednie stanowiska, lecz zanim zdołali się rozstawić, nadbiegł porucznik Krzyżanowski, potem kapitan Dziewanowski, a za nim sypnęli się oficerowie sztabu francuskiego. Rozpoczęło się śledztwo.

Piechota francuska zaciągnęła warty dookoła pałacu — równocześnie prawie w pokojach Ferdynanda ukazał się generał Savary w otoczeniu licznej świty.

Napróżno Escoiquiz tłómaczył generałowi, że dla spóźnionej pory... jego królewska mość musi odmówić sobie zaszczytu oglądania wysłańca cesarskiego... Savary ustąpić nie chciał...

Po długich pertraktacyach ukazał się Ferdynand z książętami i panami hiszpańskimi.

Savary powitał go przesadnym ukłonem.

— Wasza królewiczowska mość daruje, że go o tak spóźnionej porze trudzę, lecz jest to objaw wysokiej pieczołowitości najjaśniejszego pana, który polecił mi naocznie przekonać się i dowiedzieć, czy prawdą jest, że zdrowie waszej królewiczowskiej mości... cierpi wskutek przeziębienia się?

— Panie generale! Racz podziękować cesarzowi Francuzów za jego troskliwość...

— Niepokój jego cesarskiej mości jest tem większy, że na jutro sygnalizowano nam przyjazd jego królewskiej mości króla Hiszpanii i Indyi...

Ferdynand zbladł. Savary ciągnął dalej z obłudną dworskością:

— Życzeniem zaś najjaśniejszego pana jest, abyś wasza królewiczowska mość przyjął udział w powitalnych uroczystościach, jakie odbędą się na cześć jego ojca i — jego... króla.

— Ojciec mój znajdzie mnie jutro z wyrazami powinnego szacunku na ustach.

— Takiej właśnie odpowiedzi spodziewał się mój monarcha!... Nadto żywi przekonanie, że wasza królewiczowska mość... raczysz przewodniczyć tym z poddanych króla, którzy dopuszczeni zostaną do ucałowania ręki.

Ferdynand osunął się ociężale na fotel. Infanci i panowie hiszpańscy milczeli ponuro. Jeden Savary nie przestał się uśmiechać mile, niby zwiastun jakichś pożądanych a upragnionych nowin.

— Wasza królewiczowska mość! — ciągnął dalej ten mały generał i niewielki polityk.

— Cóż jeszcze?... — rzucił sucho Ferdynand.

— Doszło do wiadomości najjaśniejszego pana, że wasza królewiczowska mość w rezydencyi swojej nie rozporządza dostateczną ilością wart pałacowych... i dlatego od dnia dzisiejszego batalion piechoty będzie do usług waszej królewiczowskiej mości... Co się tyczy dnia jutrzejszego, marszałek dworu cesarskiego będzie miał zaszczyt doręczyć przez swego ordynansa szczegółowy ceremoniał!...

Gdy Savary oddalił się w ukłonach — Ferdynand omdlał. Upokorzenie złamało całą energię, którą rozbudzić w nim zdołał Escoiquiz. Niełaska Bonapartego burzyła wszelkie nadzieje.

Czy niełaska?...

Nie minął tydzień, a zrzeczenie się korony hi-

szpańskiej podpisał zarówno wierny Napoleonowi Karol IV., jak i skłonny do knowań Ferdynand.

Członkowie chunty madryckiej zjeżdżać się zaczęli tłumnie dla złożenia powinnych hołdów „nowomianowanemu“ przez Bonapartego królowi Józefowi...

Tymczasem po pierwszych rozruchach madryckich, zlanych obficie krwią nieposłusznych rozkazom Murata Hiszpanów, południe Iberyi zatrzęsło się w posadach. Z ust do ust szły wieści o gwałcie popełnionym na osobie Ferdynanda.

Lud jeszcze się wahał, lecz gdy klątwa, rzucona w Rzymie na Bonapartego, dosięgła furt klasztornych, gdy uprowadzenie ze stolicy Piotrowej głowy Kościoła stwierdzono na kazalnicach, wówczas jedna bulla dokonała tego, czego dotąd jeszcze sprawić nie zdołali gońce i odezwy Ferdynanda.

Przekleństwo, zawisłe nad laurami Napoleona, spadało i na jego żołnierzy. W szeregach guerillów stawać zaczęli zakonnicy. Krzyż był godłem powstania.

Chunta sewilska wypowiedziała wojnę Bonapartemu!...

Napoleon wzruszył pogardliwie ramionami i odjechał do Paryża, a stamtąd na zjazd erfurcki, aby koronę hiszpańską bratu zatwierdzić i berło neapolitańskie, przekazane Muratowi, w państwach sprzymierzonych uprawomocnić...

Armia francuska, rozrzucona w Hiszpanii, otrzymała rozkaz lakoniczny: uśmierzyć rozruchy — Józefowi I. zaś nakazano odbyć wjazd do stolicy.

Ruszył natychmiast nowy król w otoczeniu gwardyi cesarskiej, z orszakiem panów hiszpańskich, którzy już szukać jęli względów monarszych i łask.

Równocześnie jednak od Gibraltaru zaczęła napływać broń i złoto angielskie. Angielscy oficerowie zjeżdżali się do Anduluzyi, angielskie zaręczenia najśmielsze wspierały zamysły. Nieliczne a rozproszone oddziały wojska hiszpańskiego wypowiadały posłuszeństwo stronnikom Józefa I.

Generał hiszpański Vives starł się dzielnie z korpusem francuskim Szwarca. Eskadra francuska, sto-

jąca w Kadyksie pod dowództwem admirała Rosilly, zagrożona od strony morza przez Anglików, a napadnięta od lądu przez oddziały generała hiszpańskiego Morla, poddała się...

Generał Dupont, po morderczej bitwie pod Alcaden, zdobył przez wyłom Cordobę. Marszałek Bessières pobił pod Rio Seco dwudziestotysięczny oddział generała Cuesta, usiłującego przeciąć drogę królowi. Duchesme toczył zażarte utarczki w Katalonii, Moncey ucierał się z Walencyą, Lefebvre-Desnouettes przebiegał Biskaje i Navarrę, Lassale zajął punkt obserwacyjny w Burgos.

Z Madrytu szły piorunowe rozkazy Murata...

Lecz gdy kuryer cesarski przyniósł pierwszą wiadomość o przekazaniu korony hiszpańskiej Józefowi Bonaparte, książę Bergu uczuł, że zmienny klimat stolicy mu nie służy i zażądał zwolnienia go z namiestnictwa. Korona, którą otrzymał w spadku po Józefie, już nie zadowoliła jego ambicyj...

Stanowisko po Muracie zajął generał Savary przy współudziale generała Belliarta... Wodzowie francuscy z niechęcią przyjęli tę wiadomość. Savary bowiem zarówno zasługami, jak i talentami nierównie niżej stał od nich... Wywyższenie Savarego nazwano intrygą jego żony, lekceważono i tak niedołężne rozkazy, poruszać się zaczęto ospale, nie starając się nawet o utrzymanie komunikacyi z kwaterą sztabu Savarego.

Rozrzucone dywizye i korpusy działały bez porozumienia się ze sobą, bez trzymania się jednego, wspólnego planu. Każdy wódz na swoją rękę przedsiębrał wyprawy, każdy szukał sławy, nie troszcząc się o losy sąsiadującego z nim korpusu...

Guerille tymczasem mnożyły się z przerażającą szybkością. Łańcuchy Pirenejów, Guadaramy, Nevady, Moreny, Grillemany roiły się od zbrojnego ludu, grożącego rekonesansom francuskim, znoszącego pikiety, przejmującego rozkazy, niszczącego furaże, zmuszającego niekiedy całe dywizye do nużącego czuwania, alarmującego obozy i koszary, a wyzierającego z po-

za każdej skały, czatującego w lasach, na drogach, u poideł, na pastwiskach, wokół ambulansów.

W Starej Kastylii zerwał się już był Martin Diaz, przezwany przez oddany i wierzący mu lud „smoluchem". Za nim szedł Saturnin Albuir, popularniejszy nierównie pod nazwą „mańkuta", a dalej cały szereg ludzi hartu, woli, odwagi, siły, poświęcenia i nieubłaganej nienawiści dla najezdników, jak Don Juan Palarea, inaczej „lekarz"; Don Juan Diaz Porlier, albo „markiziątko"; Pablo Morillo, czyli „Paweł pastuch"; Sanchez Nebot, znany pod przydomkiem „wściekłego"; dwóch Minów, Gaspar Jauregui — także „pastuch" jak Morillo; a jeszcze Acedo, Thomas Longa „kowal" i mnich Merino.

To byli wodzowie ludu, gdy nad nimi stali jeszcze pełni bohaterstwa oficerowie hiszpańscy, jak: Palafox, Lazan, Butron, Carlo de Rosas, Pesino, Cuesta, Penia, Castania, Sant March, Versage, Villalba, Cavallero, Manso Esteban Fleury, Reding, Maziano Alvarez, Don Benito, Pedro Barcena, Cienfuegos, Blake, Campoverdo, O'Donnel, Eguia, la Romana, książę Albuquerque, Freize, Del Parque i wielu innych, których imiona znikły w odmęcie siedmioletnich zapasów, których czyny zaklęły się w legendowe wspomnienia, w gromkie pieśni ludu, w przejmujące grozą opowieści starców.

Lecz wszyscy ci wodzowie, zarówno zdawna do służby wojskowej zaprawieni, jak i ci, którzy stanąwszy na czele zbrojnych gromad, pierwszy chrzest ogniowy odbierali, nie stanowili jeszcze tej mocy, która zerwała się w narodzie, a która przeniknęła wszystkie jego słoje.

Guerilla hiszpańska — to żywioł, to fala powstała z najświętszych uczuć, pielęgnowanych od wieków. Uczuć przedewszystkiem tych, co dały już tysiącom męczenników chrześcijaństwa moc pogodnej śmierci, co nie ulękły się srogich prześladowań rzymskich cezarów, ani nie dały się omamić blaskiem ich władzy, ich świetności, ich potęgi.

Guerilla hiszpańska, to najpierw walka za wiarę,

za sponiewieranie Kościoła, za zamach na osobę Namiestnika Chrystusowego, a potem za ojczyznę i za dumę hiszpańską i za najazd obłudny, za sponiewieranie korony Ferdynanda VII. i za ucisk.

Guerilla nie miała ani organizacyi, ani nie baczyła na rozkazy „chunt“ powstańczych, obce jej były prawa wojenne, obcą litość, obcą wspaniałomyślność...

Guerilla walczyła z wyklętymi, z wyjętymi z pod praw chrześcijańskich, z nieprzyjaciółmi wiary, walczyła na śmierć...

Ile wiosek, ile siół, ile sadyb liczyła Hiszpania, tyle było oddziałów guerilli, tylu naczelników, tyle gromad, snujących się pomiędzy dywizyami francuskiemi...

Lecz straszniejszymi o wiele dla armii napoleońskiej byli ci starcy, te kobiety bezbronne i dzieci, które nie towarzyszyły mężom, braciom, ojcom a synom, które, przyjąwszy pozory cichych pracowniczek, dalekich od mieszania się do rozpraw wojennych... stały się najzaciętszymi wrogami Francuzów...

Biada śmiałkowi, który poważył się pod dachem hiszpańskim szukać noclegu, spoczynku, bodaj napoju!...

Trucizna czyhała nań w każdej kropli wody, sztylet skradał się, gdy znużony mrużył powieki, kula zwalała go z konia, kiedy samotrzeć w wąwóz górski się zapuszczał. Co dnia ginęli gońce francuscy, przepadały placówki, zwabieni chęcią zysku kupcy znikali.

Na drogach i drożynach przeciągające wojska co krok spotykały oszpecone zwłoki, zawisłe na drzewach ciała, zatknięte na tykach głowy... była to robota guerillów. Robota niekiedy straszna, niepojęta w swem ohydnem wyrafinowaniu, zaciekłem pastwieniu.

Nie dość było guerillom pochwycić Francuza, nie dość obezwładnić go i na śmierć skazać... Guerille jeszcze musieli być świadkami męki — ucięcie głowy, powieszenie, rozstrzelanie nie zadawalało ich.

Doraźne sądy guerillów w okrucieństwie nie miały granic.

Generał René, dążący do armii portugalskiej Junota, w otoczeniu zaledwie pięciu żołnierzy wpadł na noclegu w zasadzkę guerilli. Nazajutrz pochwyconemu oficerowi wyłupiono oczy, wydarto język, poobrzynano uszy, a po dwóch dniach mąk rozpiłowano go, między deski włożywszy

Pułkownik dragonów był może szczęśliwszym, bo go tylko wrzucono do rozpalonego pieca.

Codzień dywizye francuskie trafiały na drgające kadłuby ludzkie, na ciała, z których życie ujść zdołało ledwie z ostatnią kroplą krwi...

Wojska szukały odwetu. Generałowie krwawe odprawiali sądy. Łuny pożarów karały całe wioski. Żołnierz z wściekłością burzył, niszczył, palił i mordował. A ponad tem morzem nienawiści, krwi, zemsty, nie wahano się nieść krzyżów, Chrystusowego imienia wzywać i ku niebu wyciągać rąk!...

Król Józef ruszył już do Madrytu. Ruszył wśród łun i pogorzelisk, stosów niepogrzebionych trupów, nędzy i skradającego się głodu... Ruszył, ufny, że dość mu będzie stanąć na stopniach tronu, a bunty ustaną i nowe jego dziedzictwo zakwitnie pod dobroczynnymi promieniami swobód i nadań.

Madryt powitał swego monarchę ponurem milczeniem. Józef I. nie stracił otuchy. Natychmiast po przyjeździe zarządził świetne uroczystości koronacyjne. Lud, niewolony przez wojsko, składał w kościołach przysięgę... Ale zaledwie ostatnie salwy wiwatowe umilkły, z południa nadeszła wiadomość, która zatrzęsła posadami sławy napoleońskiej!

Siedmnastotysięczny korpus generała Duponta, osaczony pod Baylen przez przemagającą siłę Castaniosa, odcięty od wszelkiej styczności z innymi korpusami, zmożony upałami a trawiony chorobami, poddał się.

Poddał się korpus Bonapartego! Poddał się Dupont, który pod Cordobą złożył dowody niezaprzeczonej odwagi.

Kapitulacya pod Baylen zdecydowała o losach

Hiszpanii. Upadające na duchu „chunty“ i guerille z większym zapałem rzuciły się do walki...

Anglia, mając dowód oczywisty, że jej zabiegi świetne mogą wydać owoce, jeszcze hojniej sypnęła złotem na powstańców i wysłała Wollsleya do Portugalii.

Klęska pod Baylen trafiła nawet do korpusu la Romana, który od czasu pruskiej potrzeby, wysłany jako pomocniczy oddział, pokutował w Zelandyi, otoczony pieszą dywizyą Bernadottego.

La Romana nie wahał się postawić na szali życia swojego i swoich żołnierzy, rzucił się na port Nyborg i zanim Bernadotte zdołał stoczyć z nim rozstrzygającą bitwę, dostał się na okręty angielskie i powrócił morzem do ojczyzny, wioząc sprawnego i zahartowanego żołnierza.

Klęska pod Baylen przeraziła Józefa I. Nowy król ze sztabem i dworem, nie czując się bezpiecznym w stolicy, cofnął się pośpiesznie do Vittoryi i stamtąd wysłał kuryerów do cesarza i brata.

Bonaparte ze zgrozą wysłuchał raportu o kapitulacyi. Z oczu jego nie gniew, lecz żal jakiś spłynął i gorycz.

— Dupont się poddał! — ozwał się głucho do Duroca. — Dupont, któremu tak ufałem! Generałowie francuscy nie przenoszą już śmierci nad kapitulacyę! Tę hańbę zmazałbym chętnie własną krwią!...

Kapitulacya Duponta była straszną, bo nie dość, że tyle fatalnych pociągnęła za sobą skutków — stała się jeszcze dla składających broń wyrokiem.

Castanios zawarował Dupontowi wolność żołnierzy, lecz skoro tylko broń odebraną została Francuzom, „chunta“ sewilska podeptała zaręczenia swego generała.... Francuzów batami popędzano do Kadyksu na galery, gdzie z głodu i nędzy wymierać mieli...

Marszałek Junot w zapasach z nadciągającą armią Wollsleya tracił zwolna, choć z honorem, opanowaną Portugalię — król Józef zaś, cofając się ku granicy francuskiej, staczał co dnia zacięte utarczki.

Saragossa porzuconą została po dwumiesięcznem oblężeniu przez generała Lefebvre-Desnouettes.

Hiszpania tryumfowała, nie myśląc, aby Napoleon chciał i mógł szukać odwetu... wobec grożącej mu Anglii i zaręczeń dworu wiedeńskiego.

Bonaparte jednak nie wahał się pomścić korpusu Duponta. Szybko porozumiawszy się z dworami petersburskim i berlińskim, a uniknąwszy rozterki z Austryą, ruszył z Erfurtu ku Bajonnie, posuwając przed sobą dzielne korpusy Neya, Lefebvre'a, księcia gdańskiego — marszałka Victora, Soulta, Lannesa i Gauviona. Jourdan objął miejsce Savarego przy królu Józefie. Bessières prowadził jazdę.

Tłum najdzielniejszych oficerów, fala wiarusów z pod Austerlitz, Marengo i Lodi ruszyła od Renu, ruszyła na zmazanie hańby pod Baylen, na pokaranie Hiszpanów.

Zaledwie wieść o zbliżaniu się Bonapartego dotarła do aryergardy francuskiej, wnet potężne zaufanie wstąpiło w wielką armię. Żołnierz spoglądał groźniej, mocniej karabin ściskał i czekał jeno, aby żelazny głos wodza — pchnął go na drogę chwały.

Niesnaski marszałków i generałów ucichły nagle, na biwakach szeptano wieczorami, dociekając napróżno planów kampanii.

Piątego listopada o północy rozległy się pod Vittoryą gromkie okrzyki: „Vive l'empereur!".

Bonaparte nadjechał chmurny. Wysłuchał raportu Jourdana — rzucił okiem na mapy i plany — i tej samej nocy jeszcze nakazał pochód. Armia przyjęła rozkaz z zapałem — obecność wodza zapowiadała znów wielkie dni.

Napoleon nie znał kunktatorstwa. Czwartego dnia pochodu spotkawszy ośmiotysięczną armię estremadurską generała Cuesty, który wsparty na silnej pozycyi, chciał zagrodzić drogę Bonapartemu, rzucił w nią korpusem Soulta.

Ogień trzydziestu armat przywitał atak dywizyi Moutona. Dywizya drgnęła pod morderczym ogniem.

Soult zaciął zęby. Na ogorzałem jego czole uka-

zały się ponure fałdy. Spiął konia ostrogami i śród kul dopadł generała Mouton, usiłującego szyk sprawić w dywizyi.

— Generale! — napomniał surowo marszałek. — Życzeniem cesarza jest, abyś mu drogę utorował do Burgos! Patrz tam, nadjeżdża ze sztabem!...

Mouton zeskoczył z konia, wyrwał karabin najbliżej stojącemu żołnierzowi i huknął zajadle:

— Za mną! Na bagnety!... Dosyć tej zabawy!

Kolumna piechoty zwarła się i ruszyła naprzód... Artylerya Senarmonta wsparła ją z boku.

Atak był zażarty. Dywizya Moutona wpiła się w szeregi Hiszpanów i chłonęła je. Dwadzieścia minut trwało to zmaganie się... trzy tysiące Hiszpanów legło...

Wojsko Cuesty jęło się chwiać, zataczać, aż w szalonym popłochu rzuciło się do ucieczki. Kawalerya porwała się do pogoni.

Bonaparte był już w Burgos, zanim niedobitki armii hiszpańskiej zdążyły opuścić miasto.

To było dopiero pierwsze słowo Napoleona!

W dwa dni później marszałek Victor zniósł pod Espinosa korpusy generałów Blake i la Romana. Soult zajął Santander i uspokoił Asturyę. Generał Fontana, na czele włoskiej dywizyi, opanował wąwozy i wzgórza San Pedro.

Lecz pod Tudelą stały jeszcze korpusy generałów Castaniosa, Palafoxa i Peniasa z siedmdziesięciu pięciu tysiącami żołnierza, wśród których, prócz wyćwiczonych oddziałów Arragony, Walencyi, Kastylii, Andaluzyi i Tarragony, były sformowane świeżo bataliony powstańcze, prowadzone przez angielskich oficerów.

Lannes rozpoczął atak na Tudelę. Na czele trzydziestu tysięcy ludzi natarł na główną pozycyę Castaniosa. Mężnie stawili się Hiszpanie. Lannes nie zwykł był ustępować. Sam prowadził pułki, sam je zagrzewał.

Trzy konie pod nim padły, kule ocierały się o złote szlufy marszałka, muskały jego biały pióropusz.

Żołnierze błagali uwielbianego wodza, aby się nie narażał. Lannes nie znał innych zwycięstw jak te, do których szedł w jednym z żołnierzami szeregu.

Hiszpanie nie ustępowali. Zawały trupów rosły z nieubłaganą szybkością dookoła ich pozycyi.

Angielskie karabiny coraz większe brózdy żłobiły w kolumnach francuskich. Ney z Victorem rozpoczęli równocześnie atakować Hiszpanów na skrzydłach. I tu jednakże trafili na rozpaczliwy opór.

Lannes, nie mogąc przełamać środka, wysłał ordynansa do Bessières'a. Ordynans przyniósł krótkie wezwanie: „Szarżować natychmiast!".

Bessières wezwał generała Lefebvre-Desnouettes, równego słynnemu Lassalowi, przewyższającego w sprawności Montbruna, a bodaj z Muratem gotowego iść w zawody.

— Generale! Szarżuj na środek! Wybór pułku pozostawiam twemu uznaniu!

Desnouettes pogalopował na tył armii, kędy w odwodzie stały nieruchome pułki kawaleryi.

Minął zielone mundury strzelców konnych, błyszczące kaski dragonów, futrzane bermyce grenadyerów i skierował się w stronę, gdzie na rozległej równinie niebieszczyły się mundury siódmego pułku ułanów Konopki.

Desnouettes dopadł jak wicher. Trąbki zagrały atak. Pochyliły się kity ułańskie na czapkach, wysunęły lance, Desnouettes stanął około Konopki.

— En avant! Ventre à terre! — zagrzmiał Desnouettes.

Pułk zaszamotał się i runął naprzód...

Zadudniła ziemia pod kopytami końskimi — zafurkotały groźnie chorągiewki u lanc. Korpus Lannes'a ledwie zdążył roztworzyć szeregi, gdy potok koni i ludzi przepłynął przezeń... Raz jeszcze zabrzmiał olbrzymi okrzyk: „Niech żyje cesarz!" — a potem jakiś łomot straszny i szczęk rozległ się na hiszpańskiej pozycyi. Zdawało się chwilami, że słychać było trzask gruchotanych kości... bluzganie krwi...

Rozpędowi natarcia nie ostali się Hiszpanie. Łańcuch ich został przerwanym. Nim Castanios zdołał zwrócić fronty — ułani już natarli z tyłu na prawe skrzydło, które z przodu cisnęły pierwszy i trzeci pułk legii nadwiślańskiej. Tu pułkownik Szott, kapitan Stański i porucznicy Wiśniewski i Barański pracowali na krzyże!

Jeszcze kilka bohaterskich wysiłków, nowa zawała trupów około chwiejących się sztandarów — i znów pogrom.

Oblicze Bonapartego wypogodziło się. Armia ruszyła ku Madrytowi. Przed Madrytem jednak, niby sierp potężny, rzucony z zachodu na północo-wschód, zataczały półkole łańcuchy Guadarramy, osłaniając Nową Kastylię murem skał nieprzebytych, wałami górskich grzebieni i hardo wznoszącymi się szczytami Somo-Sierry...

V.

Ponura, mglista listopadowa noc spowiła małą wioskę hiszpańską Bocequillas, jakby usiłując zagasić w niej łuny świateł, któremi zapaliła się ta cicha, górska sadyba. Napróżno. Z okien opuszczonych a na poły rozwalonych domów buchały jasne strumienie, rozświetlały ciemne kałuże nad wijącą się wśród skał drogą. W dali, poza wioską, tysiące ognisk stroiły zasłony mgieł w żółto - czerwonawe wstęgi, pasy, koliska.

Na skraju sadyby piętrowy domek gorzał silniej. Dookoła niego kupiły się tłumy pióropuszów.

Stąd co chwila wyrywał się rumak ordynansa i ginął hen, śród ciemni lub tonął w morzu obozowych ogni. Domek ten był jakby sercem, z którego rozchodziły się potoki rozkazów, sięgając najdalej położonych pulsów.

Główna kwatera w Bocequillas!...

Bonaparte, otoczony marszałkami, siedział zadumany przed stołem, na którym leżały rozłożone wielkie mapy, poznaczone ciemnemi liniami.

— Victor! — rozległ się nagle dźwięczny głos Bonapartego. — Cóż sądzisz o naszej pozycyi?

— Sire! — odrzekł marszałek. — Dotarłem prawie do wąwozów... pozycya, według mnie... niezdobyta!

— Jakto? Dlaczego?

— Jedyne przejście przez Guadarramę... to wąwóz Somo-Sierra... tysiąc złych żołnierzy może w nim stawić opór... całej armii... Góry strome, skaliste... czynią niepodobnym wszelki dostęp!

Bonaparte zmarszczył się.

— Nie zapominaj, marszałku, że przechodziliśmy Alpy!...

— Najjaśniejszy panie! — odpowiedział żywo Victor — lecz gdybyż to były Alpy!... Mimo szczytów wyniosłych, przepaści... żołnierz kilku drogami przedostać się może!... A tu stoimy wobec ściany górskiej... i tej jedynej wąskiej drogi, która udaremnia wszelkie poruszenia, która może...

— Dosyć! Bessières!...

— Ja, sire, nie widziałem pozycyi, jednak wydaje mi się, że czwarty korpus Lefebvra zdoła obejść nieprzyjaciela przez Valladolid i Segovię, a wówczas Don Benito będzie musiał ustąpić z Guadarramy!...

— Więc radziłbyś?...

— Pozostawić korpus obserwacyjny, a rozpocząć ruch flankowy bądź ku Saragossie, bądź ku Segovii...

— Chcesz zatem, abyśmy ustąpili przed tą bandą powstańców?

— Pochwyceni Hiszpanie podają siły Don Benito San Juana na dwadzieścia tysięcy...

— Wolontarzy!...

— Oficerowie angielscy...

— Wszystko jedno! Armia z pod Austerlitzu i Jeny nie cofa się!... Bessières!

— Sire!

— O świcie wyjedziesz sam dla rozpoznania jeszcze raz pozycyi nieprzyjacielskiej. Tymczasem zaś... Berthier, notuj! Dywizya Lapisse... uda się na noc na prawe skrzydło i o świcie przypuści atak na pozycyę od Supelvedy... Pułk dziewięćdziesiąty szósty z bateryą Senarmonta ruszy wprost ku wąwozowi i będzie miał za zadanie zdemontowanie dział hiszpańskich — dywizya Ruffin wesprze Lapissa. Pułk dwudziesty czwarty uderzy na lewe skrzydło! Niech prowadzi generał Semele! — Victor!

— Najjaśniejszy panie!

— Ufam, jak widzisz, twemu korpusowi! Nie możemy pozwolić, aby nam ów Don Benito śmiał stawić czoło...

— Sire! Zarówno ja, jak i moi żołnierze przed żadną się nie cofną przeszkodą!...

Bonaparte spojrzał na Bessières'a.

— A... ty, Bessières, wykonasz, jak rzekłem, rekonesans... Gwardya pójdzie ze mną!...

Marszałkowie w wojskowych ukłonach zaczęli rozchodzić się do swoich kwater. Równocześnie prawie w ślad za nimi rozbiegli się adjutanci z rozkazami...

Bonaparte, otuliwszy się płaszczem, wyszedł przed dom. Licznie rozstawione straże grenadyerów gwardyi salutowały.

Napoleon spojrzał ku drodze: wśród migotliwych świateł pochodni sunęła zwarta kolumna. Bonaparte skinął na stojącego za nim Chłapowskiego.

— Co to za oddział?

— Baterya Senarmonta — idzie na pozycyę.

Napoleon się zadumał.

Artylerya przeciągnęła w głuchem milczeniu, nie poznawszy stojącego w cieniu cesarza.

Zaledwie chrzęst i stukot umilkł na drodze, tuż za nim dał się słyszeć równy, przyciszony tupot kawaleryi, z pośród którego wyrwały się swywolne tony krakowiaka:

Czy to w Pirenejach,
Czy pod Guadarrama,
Piosnka w uszach dzwoni
Jedna i taż sama!

Nad Wisełką Kasie,
W Bordeaux „madmasele“,
Tu znów „seniority“
Proszą na wesele!...

Krakowiak rozbrzmiewał coraz pewniej, silniej, mocniej. Aż naraz przerwał go basowy głos:

— Norwiłł... psia mać, przestańże do licha, bo nadjeżdżamy pod główną kwaterę!

— To i co, wachmistrzu?

— Jeszcze nas despekt może spotkać! No, nie lubię, psia mać! Niema rezonów! Słyszysz, Florek!... Rozpuściło się to wszystko... do czarta!

— Et, głupstwo! Unosisz się!...

— Bom zły! Ręce mi zgrabiały... Ziąb taki... a tu wlecz się!...

Wtem, przed koniem jadącego naprzód wachmistrza zarysowała się ciemna postać, otulona szczelnie płaszczem.

— Dokądże to jedziecie? — ozwał się spokojny głos po francusku.

Wachmistrz ściągnął niechętnie konia i rzekł:

— Cóż wam do tego?

— Widzisz, że tu jest moje stanowisko!

Wachmistrz dojrzał słabo rysujący się kapelusz stosowany.

— Przepraszam was, panie oficerze, nie dostrzegłem! Pluton trzeciej kompanii szwoleżerów!... Wleczemy się, panie poruczniku, do szwadronu... Darujcie, jeżelim nie rozpoznał rangi!...

— Nic nie szkodzi! Porucznik wystarczy! Byliście na rekonesansie?

— Gdzietam! Naznaczono nas niby to na służbę przy cesarzu... ale gdzie! Szaserzy z grenadyerami stoją tutaj, a nas wypędzili w pole pod ostatnie placówki... Cóż — cierpi się i tyle! Gdzie to!... Nasz szwadron — chłopcy jeden w drugiego — a tu rano nadjechał adjutant i przebierał między nami, jak w ulęgałkach... i z całego szwadronu uskrobał ledwie pięć kompanii!...

— Kto dowodzi waszym szwadronem?

— Ba, dziś to pułkownik Kozietulski, a jutro pewnie Łubieński.

— Jakże to?

— A no, szwadron bez szefa! W Warszawie był nim Małachowski, ale wziął dymisyę, a teraz mamy Stokowskiego, lecz jeszcze go nie widać dotąd!... W Paryżu podobno jest... Ale, przepraszam was, panie poruczniku! Czas nam! Bo tam kapitan Dziewanowski czeka ze szwadronem na furaż...

— Ty prowadzisz? Jak się nazywasz?

— Stadnicki! Ale prowadzi właściwie Florek... także wachmistrz — Gotartowski!...

— Byliście w bitwie?

— My? Gdzietam! Podjazdy, rekonesanse, rozgony... niby pod Tudelą goniliśmy... i tyle!... Aż złość bierze! Bo i teraz utknęliśmy pod temi górami!... I co? Podobno jakieś marsze będą jutro — żeby się na co zdały!...

— A tybyś jak myślał, bez marszów?...

— Pewnie! Rzucić parę regimentów, rozbić to... i koniec!... To byłoby jak się należy, po napoleońsku!...

Floryan Gotartowski, który był się podsunął do rozmawiających, aby przerwać ten niezwykły postój na drodze, ile że z tyłu nadciągał oddział wojska — spojrzał bystro na otulonego płaszczem oficera, zdarł gwałtownie konia i huknął ostro na pluton:

— Baczność — cesarz! Prezentuj... broń!...

Stadnicki aż się zachwiał na siodle.

— Jak się macie, zuchy!?

— Niech żyje cesarz! — zagrzmiał ochoczy okrzyk.

— Ruszajcie! Naprzód — marsz!...

Pluton pocwałował wyciągniętym kłusem.

Stadnicki ledwie mógł przyjść do siebie.

— Tom się ubrał, psia mać! Bodajże mnie! Jeszcze z tego chryja będzie! Ciemno, choć oko wykol!... Nie lubię! Aż mnie ckli!... A ja mu od poruczników!... Masz ci spotkanie! Wszystkiemu Norwiłł winien... Nigdy mu się usta nie zamkną. Krakowiaki mu skaczą po głowie i w dzień i w nocy... No! spotka ci mnie krakowiak!...

Floryan uspokajał wzburzonego kolegę. Stadnicki był niepocieszony.

— Bo — zakonkludował w ostatku — tyś winien!...

— Skądże ja?

— Pewnie! Odebrałeś ordynans od kapitana... Tyś powinien był odpowiadać!... A on mi mówi — „poru-

rucznik wystarczy“ — słyszałeś?... Niby to — lecz co mu przymówiłem w ostatku!...

— Bądźcie pewni, panie Józefie, że wam za to włos z głowy nie spadnie.

— Pociecha!... Bodajbym był lepiej wyłysiał!... Każdy wie swoje... Zawsze to pójdzie na karb pułku!... A niech tam sobie... psia mać!...

Pluton dotarł do stanowiska, które trzeci szwadron, odkomenderowany na służbę, zajmował poza wsią Bocequillas.

Floryan złożył raport Dziewanowskiemu ze spotkania na drodze.

W szwadronie powstały żywe z tego powodu rozprawy. Kapitanowie Dziewanowski i dowódca siódmej kompanii, Piotr Krasiński, uradzili wysłać natychmiast zawiadomienie o wypadku do pułkownika Wincentego Krasińskiego i gros-majora Dautancourta, stojących z pozostałymi szwadronami szwoleżerów z drugiej strony wsi, aby w razie czego umieli chociaż jako tako wytłómaczyć niefortunną rozmowę.

Gdy pierwsze wrażenie przeminęło, szwoleżerowie powoli jęli znów układać się około rozpalonych ognisk, szukając bodaj chwilowego wypoczynku na oślizgłej, wilgotnej ziemi. Krótkie to było wytchnienie.

Dla bliskości nieprzyjaciela i obowiązków służby cesarskiej — jeden pluton stał ciągle w pogotowiu, trzymając konie za cugle, drugi miał powierzone sobie pikiety dokoła obozowiska, trzeciemu wolno było tylko rozluźnić popręgi koniom i karabiny w kozły ustawić, czwarty miał prawo grzać skostniałe członki przy ogniu, a piątemu dopiero już drzemać nie wzbraniano.

Co dwie godziny plutony luzowały się, zamieniając kolejno wartę na drzemkę, oddział rezerwowy na wpółrozkulbaczenie, czy też ostatnie na rozgrzewanie się przy ogniu.

Pluton, przyprowadzony przez Stadnickiego i Gotartowskiego, jako zmęczony drogą — otrzymał prawo dwugodzinnego wypoczynku.

Lecz szwoleżerom sen jakoś nie dopisywał. Założywszy koniom obroki — podsunęli się do ognisk — gwarząc wesoło. Ten i ów ćmił fajeczkę, inni przysmaczali sobie wino i grzali je. Niekiedy rozprawy milkły nagle. Wzrok szwoleżerów tonął zadumany w kotłujących się językach ognisk, niby w płomieniach tych, oparach migotliwych a snopach dobywających się iskier szukając twarzy drogich sercu, może myśli jaśniejszych, może uspokojenia. I cisza głucha padała na obozowisko, że słychać, zda się, było przerywane serc bicie.

Aż nagle z piersi młodej dobywał się głos raźny. Żart, żwawy odzew, swywolna uwaga padała w ten smętek, w to zasłuchanie — i rwała myśli i budziła znów ochotę i życie i śmiechy.

Gotartowski ułożył się około ogniska, otulił płaszczem i próbował usnąć. Sen jednak nie przychodził.

Żarty i śmiechy towarzyszów nie nęciły go. Nawet do udania się na zwykłą gawędkę do Dziewanowskiego nie miał ochoty. Spostrzegł to Stadnicki i przysunął się do Gotartowskiego.

— Florek! Cóż ty, psia mać!... Markotno ci! Na kapitańskie nauki dziś nie idziesz?

— Hm! Ot, czasem lepiej z własnemi myślami zostawać!...

— Powiadaj mi! A może! Ja tego zresztą nie potrafię!... Natura, psia mać, jak zacznę tylko rozpamiętywać, to zdechł pies — zaraz mnie senność zmorduje!... Ja ci mówię, z ciebie byłby setny towarzysz, gdyby cię tylko te sentymenty odbiegły. O, widzisz! Zaraza dziś jakaś morowa napadła cały szwadron bez mała! Patrzże! Oczy wytrzeszczają... i nic!

— Cóż chcesz, panie Józefie! Każdy tam kogoś w kraju zostawił!... Przyjdzie chwila, że wspomni na strzechę rodzinną, na bliskich, to go i chwyci....

— Hm! Może, psia mać! — bąknął pod nosem wachmistrz.

— Przyznajcie się — ciągnął Floryan. — Wy pewnie tam kogo macie?

— Ja? — szepnął chmurnie Stadnicki, poprawiając palące się głownie końcem szabli. — Ja miałem rodzica, a teraz nikogo! Stryjów, psia mać, nie liczę! No, Janek, poczciwa dusza, jeden! Wątły tylko, mizerak... nie do wojenki mu. Serdeczne chłopię, ba! w naukach mocny! Żeby go tak teraz mieć pod bokiem... Hej!... A tfy, tfy! I mnie coś zaczyna, psia mać!... Nie lubię tego!...

— Cóż się to tak otrząsasz, wachmistrzu? — rozległ się poważny głos około ogniska.

— Kapitan! — zawołał Stadnicki, zrywając się na równe nogi.

— Siedź, siedź waćpan, a i wy, panie Floryanie! Nie łaskawiście, więc ja do was! Nie czyńcie mi honorów — tu równi sobie jesteśmy... Wypoczynek — nie służba! U was tu cieplej i weselej, niż u mnie w namiocie!

— Gdzie tam do wesołości! Ot, dziś wszyscy pokwaszeni! Już co Florek, nie mówię, ale Norwiłł, psia mać, ani mru-mru!...

— Prawda! — przytwierdził Dziewanowski, spojrzawszy ku następnemu ognisku. — Nie każdy ma wasz rozmach, wachmistrzu! Toć dziś szpetnie przymówiłeś samemu cesarzowi!

— Dobrze mu tak, niech porucznika na drugi raz nie udaje! — odrzekł raźno Stadnicki. — A gdyby nie Florek, to dalipan, psia mać, lepiejbym mu dokuczył! Bo co? Czas psi! Powiadali, ona Hiszpania kraj ciepły, a tu ci taki wielmożny listopad, że i dwa kożuchyby się zdały! Szelmy, powdrapywały się na góry — a my stoimy, albo robimy marsze...

— Niełatwo bo ich tam na tych skałach ucapić!

— Panie kapitanie! Łatwo nie łatwo, a mnie już złość bierze, od trzech miesięcy uganiamy się tam i z powrotem i nic!... Szósta kompania miała szczęścia odrobinę pod Rioseco, tam ci kapitan Radzimiński ma już krzyż, z dziesięcioro, psia mać, niższych stopni także!... Ba, w pierwszym szwadronie także lepiej idzie... Porucznicy Hermelaus Jordan i Józef Załuski awansowali na pierwszą klasę... My tylko nie mamy

szczęścia; tyle, że Florek dochrapał się wachmistrza, czego mu nie wymawiam!

— Powoli, powoli doczekamy się, i na nas przyjdzie kolej.

Przed ogniskiem ukazał się nagle wyprostowany jak struna porucznik Niegolewski. Dziewanowski poruszył się niespokojnie.

— Jędrek! Co tam?

— Melduję pokornie panu kapitanowi — zaraportował z komiczną powagą Niegolewski — że porucznik Krzyżanowski zgotował przedziwnej dobroci polewkę migdałową, która w tej chwili oczekuje dalszych rozkazów pana kapitana!...

— No, no! Bóg zapłać! Przypuśćcie szturm sami!...

— Nie godzi nam się, kapitanie! Niema rozkazu ustępować!

— Oj, ty, dzieciaku! No, panie Floryanie, panie Józefie, chodźcie razem! Czy tylko nie za wielki wyłom wam uczynim w waszej polewce!...

— Próżne obawy, jest tego kociołek bez mała!...

Dziewanowski z Niegolewskim, a za nimi Floryan ze Stadnickim udali się do namiotu poruczników, w którym, na zaimprowizowanym stole z tarcic buchał aromatyczną parą spory kociołek.

Porucznik Krzyżanowski uwijał się około niego i przy pomocy adjutanta Rudowskiego przezierał i układał na stole łyżki. Kapitan Piotr Krasiński, siedząc w kącie na porzuconych sakwach, pykał z ulubionej fajeczki i uśmiechał się dobrotliwie.

— Jesteśmy bodaj wszyscy! — zagaił wesoło Niegolewski — bo co Szeptycki, ten tam na ordynansie u marszałka lepiej się pewno pożywi.

— Czekajcie! — wtrącił Dziewanowski. — Zapas polewki widzę niemały, godziłoby się jeszcze ze dwóch chociaż wachmisttzów! Wasilewskiego burczymuchę...

— Ba! Trzyy...ma wartę z porucznikiem Rowickim— zauważył Krasiński.

— Prawda!... Hm!... To możeby Dobieckiego?

— Wybornie! — przytwierdził Niegolewski. — Stadnicki niech go sprowadzi, ja wartę honorową muszę pełnić przy misie!...

Stadnicki przywiódł Dobieckiego. W namiocie zrobiło się gwarno. Niegolewski przymawiał Krzyżanowskiemu a żartował:

— Słuchaj, Stefek, jeżeliś się źle spisał, to wyprę się, żebym z tobą z Wielkopolski pochodził... Zupka dosyć mi obrzednio wygląda, byle nam tylko dywersyi jakowejś nie uczyniła! Możeś ty dał się przekabacić tej senioricie pod Santa Maria?... Przyznaj się! Panowie, baczność! Krzyżanowski chce nas struć!

— Ba! Dobrze mówisz! — przytwierdził adjutant Rudowski. — Jakże to jej na imię?... Donia Carmena!

Krzyżanowski zarumienił się.

— A co, a co! — dogadywał Niegolewski. — Carmena! Donia Carmena!

— Bądź spokojnym! Widzisz, próbuję sam! Poleweczka buzi dać!...

— Seniorze Carmenie!...

— Jakbyś wiedział, żeby mi to dysgustu nie zrobiło!...

— Hola! Panowie do łyżek! Kapitanowie prowadzą! Równaj się!...

— Złoty hu...hu...humor w tym Niegolewskim! — jąkał się Krasiński.

— I serce! — dodał ciszej Dziewanowski.

— Mości Stadnicki, Gotartowski, Dobiecki, dalej do misy! — zachęcał Krzyżanowski.

— Specyał, psia mać, na taki ziąb!

— Cesarz nie miał nic lepszego! — zauważył Dobiecki.

Polewka znikała szybko z kociołka. Dziewanowski tylko coś nie był przy apetycie, a co adjutant Rudowski, ten ledwie przełknął parę łyżek.

— Adjutancie, do czarta! Zdaje się wam, że Krzyżanowski naprawdę trucizny nawarzył?...

— Dziękuję wam! Nie mogę!... Sam nie wiem, co mi jest!

— Fu...fu...furda! — napomniał kapitan Krasiński. — Trzymać się!...

Rudowski uśmiechnął się smutnie.

— Czasem przyjdzie coś!...

— E! Toć i nasz kapitan także gardzi?...

— Nie, Jędrku! — odrzekł Dziewanowski. — Owszem! Smakowita, aż dziwić się należy sprawności Krzyżanowskiego! Ale, czekajcie! Mam tu i ja coś dla was!...

Kapitan klasnął w dłonie i służbowemu swojemu dał jakieś ciche polecenie.

Po chwili oczom kompanii przedstawił się mocno wydęty wór z koziej skóry.

— Wino! To ci uczta! Górą nasi! — zawołano wesoło.

Gdy kubki napełniły się ciemnym, rubinowym trunkiem, Dziewanowski rzekł serdecznie:

— Towarzysze a koledzy!... — Ten oto mieszek dźwigam na mojej kobyle prawie od Bajonny... Nieraz mnie brała ochota zajrzeć do niego, lecz nie było okazyi!... Dziś się ona zdarzyła...

— Choć beeez... przyczyny! — dorzucił Krasiński.

— Właśnie, panie Piotrze, że się mylicie! Dziś bowiem mamy wigilię świętego Andrzeja, a że już po północy, przeto wnoszę zdrowie naszego Jędrka!...

— Wiwat Jędrek! Niech żyje porucznik!...

Niegolewski jął dziękować a ściskać towarzyszów za ręce.

— Awansu! Krzyża! Zasługi! Generalstwa! — padały zewsząd życzenia.

— Bóg zapłać! Toć mnie spotkała niespodzianka! A to dzięki kapitanowi!... Jego zdrowie! Oby nam szefem został!...

— Wiwat Dziewanowski!...

— Kapitanie, psia mać! — zaczął basem Stadnicki i urwał nagle.

— Stadnicki, gadaj! śmiaaaa...ło! — zachęcał Krasiński.

— Co tu gadać! Kapitan nasz, psia mać... ojciec, brat... druh lada ciurze! Bodaj... żeby... niech mu —

tfy! jak się pomyśli, to człowieka tu, za gardziel... chwyta!

— Dooo...obrze mówi Stadnicki! Wiwat Dziewanowski! — wołał z zapałem Krasiński.

— Hola towarzysze! Dwóch nas jest kapitanów!...

— Panie Janie, a nie wypominajcie mi rangi! Paaa...trzę na was i zdumiewam się!

— Zdrowie kapitanów!... — wołał Niegolewski.

— Powoli, powoli Jędrek! — upominał Dziewanowski. — Wino hiszpańskie! Zdradliwe! Napozór łagodne, potulne, a mocy w nim do licha! Jesteśmy na służbie... jutro skoro świt, czeka nas pewno rekonesans, a może eskorta cesarza...

— Więc niech żyje cesarz!

— Wiwat!...

Zasłona namiotu uchyliła się nagle — wszedł Kozietulski. Zebrani umilkli z uszanowaniem.

— Czuwamy, widzę, nie na żarty! Czy nie za huczno? Generał Montbrun objeżdża przednie straże Siadajcie, panowie!

— Święcimy, pułkowniku, iiimieniny Niegolewskiego! — objaśnił Krasiński.

— Pomyślności! Rangi wyższej!...

— Niech żyje nasz pułkownik! — huknął rozochocony Stadnicki.

— Niech żyje! — podtrzymał chór głosów.

— Przyjmuję w zastępstwie nieobecnego Stokowskiego.

— Który coś na pułkownika in partibus infidelium zakrawa! — dorzucił Dziewanowski.

— Zjawi się i on, zjawi!... Dobry to oficer...

Rozmowa urwała się nagle.

— Coś tu u was markotno! — zauważył Kozietulski. — Może wam ze mną nieswojo?

— Gdzietam! — rzekł Krasiński. — Wszyscy podobno jesteśmy dziś krzyyywi... Jędrek nam nieco humory poprawił!... Cóż, ziąb, głusza! Zanosi się na długie po...po...choody!...

— Kto wie? Toć marszałkowie sami nie wiedzą, co będzie! Byłem z raportem u Bessières'a!... Roz-

mawiałem z naszym pułkownikiem!... Stadnicki pewno wie więcej, boć z cesarzem samym konferował!...

— Pułkowniku!...

— No, upiecze się waści! Ale bądź na drugi raz ostrożniejszym!... Dobrze się tu gawędzi, ale czas nam. Kogo służba nie wiąże, bodaj oko zmrużyć warto!

W namiocie poruszono się z miejsc. Kozietulski z Krasińskim wyszli. Dobiecki ze Stadnickim zawrócili do ognisk. Krzyżanowski z Niegolewskim jęli posłanie sobie szykować. Rudowski zapadł w półdrzemkę.

Floryan skierował się ku biwakom, lecz Dziewanowski ujął go zlekka za ramię.

— Idziecie, panie Floryanie, wypocząć?

— Rozgrzać się trochę przy ogniu.

— Idę z wami!

Kapitan z Gotartowskim podeszli do najbliżej palącego się ogniska i usadowili się pośród śpiących smacznie żołnierzy.

— Ale może wam przeszkadzam, chcielibyście usnąć?

Floryan potrząsnął głową.

— Nie do snu mi dzisiaj!...

— Ani mnie!

— Cóż to wam, kapitanie?

Dziewanowski dźwignął swemi szerokiemi ramionami.

— Nie umiem odpowiedzieć!... Pamiętacie, panie Floryanie, zawsze wam wymawiałem... dziś na mnie napadło! Jakieś wspomnienia nachodzą!... Ostatniej nocy sen mnie zmordował! Śniło mi się... Zgadnij kto?... Marcysia... szynkarka! Dobre stworzenie... zacna dusza!... Pewnie, ród chudopacholski! Lecz co ród dziś znaczy! Obaczno dokoła, skąd powstali ci książęta, marszałkowie... Zresztą, nie mam ja nikogo na świecie, kogoby moje związki grzały albo ziębiły! Pusto!...

— Prawda!

— Jak sięgam w przeszłość, ilekroć razy myślą pogonię ku stronom ojczystym, to zdaje mi się, jak gdyby przepaść mnie od nich odgradzała, jak gdybym już nigdy nie miał ich oglądać...

— Panie Janie? Skądże takie przypuszczenia?

— A widzisz! Sam tobie wymawiałem dawniej... Ot, na mnie przyszło teraz! Bywają rozmaite przeczucia — niekiedy wieszcze!... Mamy wojnę!... Niepodobna się łudzić, aby i śród nas nie było ofiar... Niejeden tu legnie!... Co krok czatują na nas, a to bodaj jest najstraszniejsze...

— Macie słuszność! — przyznał gorączkowo Floryan. — Nie dalej jak wczoraj, szaserzy przeciągali drogą — naraz, z wierzchołka góry padły trzy strzały — trzech ludzi położyły trupem... Okropne! Ale umrzeć na polu bitwy, wśród gradu kul, umrzeć i w ostatniej godzinie widzieć zwycięstwo, do którego się rękę przyłożyło. to zgon piękny... takiegobym pragnął, takiego radbym szukał!...

— Tak, to szczęście! Dla śmierci takiej warto się wyrzec życia!

— Tem łatwiej to uczynić, gdy ono dokuczyło!... Dziewanowski ujął Floryana za rękę.

— Nie mówcie tak! nie bluźnijcie wyrokom Bożym! Więc jeszcze nie zeszło na was ukojenie? Przyjdzie zwolna — czas goi!...

— I mnie się tak zdało! — szepnął głucho Floryan. — Bywają chwile, że w rozgwarze obozowym nikną żale, że myśl bieży raźniej. Lecz to się zdarza, gdy nie patrzę w siebie... gdy w szeregu idę za głosem komendy. A potem wspomnienia odżywają... I powiem wam szczerze, sam nie pojmuję onej niemocy, onego bałwochwalstwa, które w piersi mej się zrywa!... Gotówem w czary uwierzyć... I sam nie wiem, czem się to dzieje, lecz we śnie widzę ją, jakby żywą przy sobie, a tak zawsze wyraźną, tak uchwytną, iż zgoła jawą mi się wydaje!... Niekiedy znów, myśląc a rozpamiętywując, próbuję wystawić ją sobie tonącą, walczącą z ogarniającą ją falą, lub z oczyma przysłoniętemi zapadającą się w nurt — daremnie. Gdybym mógł ją widzieć w śnie pogrążoną, gdybym ujrzał ją na marach, zdaje mi się, że to jedno możeby mi sprawiło ulgę.

— Biedny, biedny, panie Floryanie — rzekł ze współczuciem Dziewanowski. — Byle nie poddawajcie się — skończy się to!...

— Zapewne! — przyznał głucho Floryan.

Kapitan podniósł się.

— Ziąb i tutaj! Patrz, ognisko wygasa!... Otul się płaszczem i spocznij!

— Nie, nie! Lepiej mi na obóz wyjść!

— Ja z wami! Obejdziemy placówki.

Kapitan ruszył ociężale z Floryanem ku wysuniętym pikietom.

— Jakby się na śnieg zaniosło! — zauważył Dziewanowski, spoglądając na ołowiane płachty obłoków, wyzierających z poza mgły.

— Śnieg tutaj?

— Podobno nawet częstym bywa gościem! Zabójczy klimat. W dzień parzy słońce, a nocami ziąb. Dwunastu mamy już chorych w szwadronie...

— Ludzie łatwiej bodaj dają sobie radę, niż konie. Pasza niedostatnia...

Dziewanowski wskazał nagle na namiot szefa szwadronu, około którego przechodzili.

— Kozietulski nie śpi! Czekaj, pozdrowię go!

Dziewanowski uchylił zasłonę. Kozietulski klęczał z rękoma ku niebu wzniesionemi.

Kapitan cofnął się szybko.

— Modli się! — szepnął.

Na linii pikiet spotkano wachmistrza Piotra Wasilewskiego.

— Cóż tam, wachmistrzu?

— Nic!... Stoi się! Przejeżdżał przed chwilą generał Montbrun. Jest pewnie teraz na pierwszej linii... Armaty zatoczyła artylerya!

— Gdzie porucznik Rokicki?

— Przy pikietach, na prawo.

— Nie było jakich alarmów?

— Ba!... piechota trzyma przed nami mocny łańcuch... Niema nic do roboty!

— Jesteście, widzę, cierpcy, jak zwykle?...

— Anibym śmiał, kapitanie! Tylko...

— Tylko?...

— Znów sworują się woltyżerzy, szaserzy, a my na gapiów zejdziemy.

— Nie chmurz się, stary! Służba!...

— Hm! Według rozkazu... to się wie!...

— Pluton twój w porządku?

— W zupełnym, panie kapitanie — jeden Szum stoi czwartą godzinę w pełnym rynsztunku!

— Za co?

— Za krnąbrność, panie kapitanie.

— Wachmistrzu, to potulne chłopię!

— Tak jest, lecz od czasu gdy mu pan kapitan nowe buty kupił... ani weź z nim było poradzić. Co do niego mówić — on nic! Na buty pogląda i śmieje się do nich!... Trzy razy zmylił komendę!

— No, no! A już mu tam daruj!

— Melduję pokornie, niepotem wielkie!... Tylko co koszulin ze dwie toby mu się zdało... Biedactwo to jest, aż źle patrzeć... Grosza przy duszy!... A pod mundurem szmata jedna!...

— Coś trzeba wymyśleć! Widzisz, wachmistrzu, mówiłem, biedak, a wątły przytem... na ziąb taki!...

— Nic mu nie będzie, panie kapitanie!... Subordynacya musi być, jako przykazano... No, a półkożuszek pod mundur to mu dałem, bo mnie nic było po nim!

Dziewanowski poklepał wachmistrza po ramieniu i odszedł z Floryanem ku obozowisku.

— Szczery żołnierz ten Wasilewski — zauważył Dziewanowski. — At, jak i cały szwadron nasz!...

— Panie Janie, wasza to zasługa!

— Te, te!... Ot, waści przyszło mi komplimenty prawić!

Gotartowski chciał odpowiedzieć, lecz Dziewanowski, rzuciwszy okiem na ognisko, dokoła którego leżeli pokotem żołnierze, dostrzegł jak jeden, snać wśród niespokojnego snu, zdarł z siebie płaszcz i leżał odkryty. Dziewanowski podszedł szybko i okrył żołnierza płaszczem.

Szwoleżer oczy otworzył.

— Kapitan! — szepnął wpółsenny.

— Cyt! Śpij, śpij, dzieciaku! — rzekł łagodnie Dziewanowski i oddalił się za Floryanem.

— Patrzę na was i zdumiewam się waszemu sercu! — odezwał się Gotartowski po małej chwili.

— Przesadzasz, prosty obowiązek! Toć policzno, ile my tu w kompanii mamy dzieciuchów prawie, młodzieniaszków! Nam, starym żołnierzom, to nic, ale co takim! Wyrwali się na świat — odrobina troskliwości im się należy! Ile przytem biedy a nędzy!... Mundurki ledwie się trzymają, rzemienie pękają, niszczeje wszystko! A mało jest naprawdę takich, którymby dukaty słano z kraju, a bywa, że i z żołdu strącają mu jeszcze wydatek na pierwszy rynsztunek!

— Tak ci jest, lecz co w naszej kompanii, nikt bodaj, krom was, kapitanie, nie ma powodu do utyskiwań!... Wam raczej należałoby raport złożyć pułkownikowi... boć przecież zgroza, abyście się grosza ostatniego mieli wyzbywać!

— Zdaje ci się, zdaje! Mnie wiele nie potrzeba... Służby nie trzymam. Luzaków nie prowadzę! Starczy mi, dzięki Bogu! No, bywajcie mi, panie Floryanie! Raport muszę wygotować w zastępstwie szefa, a wy choć oko zmrużcie. Lada chwila zmiana przyjdzie!

Dziewanowski skręcił do namiotu swego, Floryan legł przy ognisku około Stadnickiego.

Światło poranku leniwie jęło mgły przezierać. Białe zasłony ważyły się ponad ziemią, zlewały się z podniebieskimi obłokami, szarzyzną przejmowały nawet amarantowe kołnierze płaszczów szwoleżerów. Z dogasających ognisk wyrywały się smugi dymu, a nie mogąc przemódz tłoczących je oparów, rozlewały się w przyziemne koliska i pełzały śród leżących pokotem żołnierzy.

Porucznik Niegolewski trzymał dyżur na pikietach. Obszedł już po kilkakroć stanowiska, dotarł do łańcucha piechoty francuskiej, spokój głęboki panował dokoła. Niekiedy rozległ się monotonny głos placówki, obwołującej nadchodzący ront, czasem patrol żandar-

meryi polowej zadzwonił kopytami na skalistej drodze — i cisza.

Niegolewski przysiadł na kamieniu i otulił się płaszczem. Po nieprzespanej prawie nocy ranek przejmował go do szpiku. Wilgoć o febryczne przyprawiała go drżenie. Niegolewski nasunął czapkę, podniósł kołnierz i omotał się mocniej. Senność go ogarniała. Zdało mu się, że widzi przed sobą rodzica, jak się doń uśmiecha łagodnie i mówi:

— No, mości panie Andrzeju, dzień to twego patrona!... Weźże sobie na wiązarek srokatą kobyłkę i tę uzdeczkę pradziadowską, o którąś się tak przymawiał!...

Widzenie było tak żywe, iż Niegolewski aż się pochylił do nóg ojcowskich.

Ruch ten go obudził. Porucznik zerwał się na równe nogi.

— Piękniebym się popisał! — mruknął do siebie.

A chcąc senność odpędzić, zawrócił wielkimi krokami na linię od drogi.

Naraz, w oddali, dał się słyszeć przyśpieszony tentent kopyt końskich. Niegolewski postąpił naprzód ku pikiecie. Chciał rzucić już stereotypowe zapytanie szwoleżerowi, gdy o kilkanaście kroków przed sobą dojrzał cesarza.

Bonaparte kłusował zasępiony, mając za sobą ledwie dwóch oficerów ordynansowych. Mgły kłębiły się dookoła niego, on pruł je śmiało...

Niegolewski pogonił wzrokiem za cesarzem, lecz te same mgły, które go oczom porucznika ukazały— już się zasunęły, zwarły.

Niegolewski pobiegł do namiotów.

Okrzyk: „Cesarz na linii!“ — postawił wszystkich oficerów na nogi. Jeden tylko porucznik Krzyżanowski spał tak twardo, że Niegolewski aż wodą musiał mu na twarz chlusnąć.

— Wstawaj, śpiochu! Cesarz na linii!

Krzyżanowski z żalem zwlókł się z rozesłanych der.

— Kozietulski dawno na nogach! Lada chwila cesarz może wracać! — strofował dalej Niegolewski.

— Cesarz? — odrzekł Krzyżanowski. — Gdybyś ty wiedział, jak ja spałem!...

— Dalej! Nie marudź!

Trąbki zagrały długo, przeciągle. Dźwięki ich wspinały się po mglistych zawałach, parły ku obłokom i darły się aż pod chmury.

Szwoleżerowie zerwali się na równe nogi — konie powitały ich raźnem parskaniem.

Żołnierz żegnał się, zbierał swoją chudobę i biegł konia opatrywać.

Ruch zawrzał gorączkowy. Pod kociołkami zatrzeszczały drzazgi. Szczotki jęły się butów a mundurów. Klamry, guzy a blachy spotkały się ze szmatą. Zgrzebła wycierały konie.

Oficerowie doglądali porządku. Wachmistrz Wasilewski rozłożył swoją słynną na cały szwadron torbę i, wydobywszy z niej wosk, nici a igłę, przyszywał gorączkowo guzy u płaszcza, prawiąc naukę siedzącemu obok niego Szumowi:

— Widzisz, urwisie!... Obrywać to potrafisz! Hę! Co? Gadaj mi zaraz!...

— Urwały się, wachmistrzu! — rzekł z pokorą Szum.

— Urwały się! Same się urwały? Sto lat przesłużysz... i nawet brygadyerem nie zostaniesz!... Gdzie takiemu!... Tak, patrz się znów na buty!... Dalipan zaraportuję! A kaszel cię dusi? Nicpoń!...

Szum ozwał się smutnie:

— Taki już jestem — niezdarzony!...

— Hm! Niezdarzony! Choroba, dalipan, jak to odpowiada! Ja mu tu jeszcze będę guzy przyszywał! Dalej! Precz z tem... Niech cię kapitan przyłapie!

Wachmistrz odrzucił ze złością płaszcz. Szum podniósł go z ziemi. Guzy były już przyszyte.

Na bladej twarzy młodego szwoleżera trysnął rumieniec.

— Bóg wam zapłać, wachmistrzu! — szepnął potulnie Szum.

Wachmistrz zatrząsł się z gniewu.

— Co mi ty, koszałki opałki! Cóż sobie myślisz? Pana Boga do guzików twoich będziesz mi wzywał?! A to kara istna!... Jemu do wojska! Do kawaleryi, do gwardyi!...

Szwoleżerowie śpiesznie kończyli ranne zajęcia. Nie upłynęła godzina, a szwadron stał wyciągnięty w dwie równe linie. Kozietulski obchodził szeregi i lustrował oddział.

Mgły zaczęły się powoli przerzedzać. Od głównej kwatery nadjechał furyer dworu cesarskiego, major de Ségur, i przywiózł rozkaz, aby szwoleżerowie byli w pogotowiu...

— Ba, majorze! — ozwał się wesoło Kozietulski. — Toć widzisz... czekamy!...

— Cierpliwości! Cesarz wyjechał na obejrzenie pozycyi!... Niech mnie licho porwie, jeżeli co nowego! Góry, skały, a między niemi korytarz na dwóch ludzi... Szyja wąska, podobno kręta... trzema armatami mogą nam cały korpus wystrzelać! Uwaga, pułkowniku! Czy mnie wzrok myli?... Cesarz nadciąga!

— Baa...czność! — zakomenderował Kozietulski.

Bonaparte ukazał się w dali. Jechał teraz stępa — na twarzy jego rysowała się głęboka zaduma.

Szwoleżerowie oddech zaparli w piersiach, gotując się do powitalnego okrzyku, lecz Napoleon o kilkadziesiąt kroków przed nimi zatrzymał konia, zeskoczył lekko na ziemię i, rzuciwszy cug ordynansowi, usiadł pod drzewem w pobliżu drogi. Drugi oficer służbowy cesarza doskoczył do szwoleżerów.

— Pułkowniku, każ ogień rozniecić żołnierzom przed najjaśniejszym panem! Macie tu dery?...

Pan de Ségur pośpieszył ze swej strony z pomocą w urządzeniu zaimprowizowanego spoczynku cesarskiego.

Żołnierze rozbiegli się do marszałków i sztabu z wiadomością, że cesarz spoczywa pod linią pikiet. Wielkie ognisko buchnęło z trzaskiem u stóp Napoleona.

Od wsi Bocequillas nadciągać jęli generałowie, Mamelucy, wreszcie marszałkowie...

Pod smutnie czerniejącymi konarami rozłożystego platanu — zaroiło się od mundurów. Na zczerniałej murawie ukazały się barwne mundury adjutantów, złote szychy generałów, żaboty marszałków, malownicze zawoje Mameluków, akselbanty, pióropusze, feldcechy, srebrne ładownice, dworskie fraki, niedźwiedzie czapy, wysmukłe kity.

Napoleon wysłuchał raportu naczelnika przedniej straży, generała Montbruna, a potem długą miał rozmowę z Bessières'em.

Marszałek zdawał sprawę z odbytego rekonesansu pod górami. Cesarz z uwagą słuchał wniosków i wywodów. Bessières w żywych barwach malował obronność pozycyi nieprzyjacielskiej.

Napoleon z głową schyloną poglądał na ognisko. Wtem, między drzewami cichy powstał szmer. Bonaparte podniósł głowę i zobaczył żołnierza, który z fajeczką w ręku przedzierał się do ognia cesarskiego, aby ją zapalić. Generał Montbrun zdążył go w porę zatrzymać... Lecz cesarz Napoleon skinął na generała i rzekł spokojnie:

— Laissez le faire!

Montbrun ustąpił z drogi śmiałkowi. Żołnierz z flegmą zbliżył się do ognia, ukląkł, wygarnął rozpalony węgielek końcem pałasza i z zadowoleniem pociągnął raz i drugi fajeczkę, rozkoszując się błękitnym dymem.

Bonaparte śledził uważnie ruchy żołnierza, ten atoli nie zdawał się zwracać uwagi na obecność cesarza.

Oficerowie poglądali w milczącem zdumieniu na tę scenę.

Kiedy już fajeczka rozżarzyła się na dobre, żołnierz zawrócił spokojnie od ogniska. Montbrun schwycił go za ramię.

— Podziękuj najjaśniejszemu panu za jego łaskawość! — upominał gorączkowo.

Żołnierz przystanął — spojrzał na Bonapartego i odparł flegmatycznie, wskazując na wychylające się ze mgieł górskie łańcuchy:

— Ja mu tam... podziękuję!...

Montbrun cofnął się mimowoli. Żołnierz skręcił na lewo ku obozowisku szwoleżerów. A za nim szedł wzrok Bonapartego jasny, promieniejący, zapatrzony w czworograniastą czapę żołnierza, w karmazynowy kołnierz białego płaszcza.

Za żołnierzem skoczył tymczasem stojący w świcie szef Kozietulski.

— Jak się nazywasz?

— Paskudnie, panie pułkowniku! — odrzekł ponuro żołnierz.

— Mów — jakże?

— Poniński.

Bonaparte spojrzał znów pytającym wzrokiem na Bessières'a, który przerwał raport.

— Więc cóż więcej?

— Sire! Potwierdzić muszę to, co mówiłem wczoraj. Pozycya jest niezdobytą... Trzebaby zacząć obejście gór.

— Albo zaatakować wprost!

— Tak jest, sire!... Lecz czy piechota zdoła wedrzeć się?...

— Jazda!...

— Sire! — wyjąknął pomieszany marszałek. — Niech mi wolno będzie... przypomnieć, że w wąwozie ledwie czterech żołnierzy obok siebie... pomieścić się zdoła... szesnaście armat broni go... trzynaście tysięcy wojska na górach. Krzyżowym ogniem zniosą każdy pułk, zanim ten dotrze do pierwszej pozycyi... Przed wąwozem jest przekop, czy rzeczka nawet. Sire! to jest niepodobieństwem!

Bessières umilkł, wystraszony własną śmiałością. Napoleon zaciął usta. Po chwili milczenia rzekł sucho:

— Który szwadron szwoleżerów jest dziś na służbie?

— Trzeci, sire! — odpowiedział Bessières.

— Niech będzie przy mnie!...

— Według rozkazu!

— Victor!...

Marszałek Perrin stanął przed cesarzem.

— Możesz zaczynać!...

Victor salutował cesarza, a potem skoczył do trzymanych w pobliżu wierzchowców. Tłum adjutantów rzucił się za marszałkiem.

Bębny warknęły — trąbki zagrały chrapliwie. W dali iść zaczął głuchy, miarowy szum.

Baterya Senarmonta ryknęła ponuro, a w ślad za nią padły pierwsze, bezładne strzały tyralierów.

Góry milczały, połyskując dumnie swym skalistym pancerzem i tonąc we mgłach.

Za czwartą salwą Senarmonta, Guadarrama plunęła żelazem. Huk przeraźliwy, pomnożony przez echa górskie, wstrząsnął powietrzem. Don Benito San Juan czuwał.

Kule armatnie pruły opary i darły zasłony. Dziewięćdziesiąty szósty pułk ruszył środkiem, wprost ku wąwozowi, dźwigając pęki faszyny.

Na lewem skrzydle pierwszego batalionu maszerował stary kapral, Protot, i gawędził z idącym obok niego szeregowcem:

— Zagadali do siebie! Co? Jak to gwiżdżą! Ślepa pukanina! Chociaż, czasem szelmy... wymacać potrafią!... Baczność!...

Kula armatnia padła u stóp kaprala, żłobiąc krwawą bruzdę w szeregach!

Protot schwycił się za piersi i jęknął z tryumfem:

— Widzisz... mówiłem, czasem potrafią!...

Armaty grały coraz szybciej, coraz zajadlej. Piechota hiszpańska raziła ołowiem. Pułk dziewięćdziesiąty szósty topniał w ogniu, każdy krok znacząc krwawemi strugami, aż zdołał rzucić pęki faszyny w rozwarte szeroko brzegi rzeczki.

Faszyna spływać zaczęła, szarpana wartkim nurtem... lecz tuż za nią jęły się staczać ludzkie ciała.

Pułk osłabł. Jeszcze wlec się próbował, raz jeszcze zdobył się na rotowy ogień, lecz zasypany żelazem, cofnął swoje strzępy. Za nim już stał drugi pułk, za drugim trzeci, czwarty. Tyralierzy coraz za-

cięciej razili stojących na stokach gór Hiszpanów. Ci cofnęli się za wierzchołki.

Cel zniknął dla tyralierów. Wąwóz i góry jeżyły się stalowemi lufami karabinów i groźnemi paszczami armat.

Pułki piechoty szły. Szły ponure, milczące. Szły, rozumiejąc, że na zgubę pewną idą, że zanim zdołają do skał dotrzeć — armaty nieprzyjacielskie zdziesiątkują je, zmiażdżą.

Rozkaz!

Marszałek Victor zsiadł z konia i stanął na czele dziewiątego pułku, maszerującego na lewe skrzydło — generał Semele z przeciwnej strony wiódł pułk dwudziesty czwarty. Wodzowie pierwsi wdarli się na najbliżej stojące skały i usiłowali pociągnąć za sobą żołnierzy — atoli góry bluznęły gwałtowniejszym jeszcze potokiem kul.

Żołnierze francuscy zmieszali się i jak fala morska, rozpadająca się u podnóża raf — rozprysnęli się w bezładne kłęby i cofnęli się w nieładzie.

Rozkaz!

Victor nowy pułk zagrzewa. Dywizya Ruffina posuwa się na czoło. Już dopaść zdołała pnącego się ku górom tarasu, już kilkunastu żołnierzy skryło się za zrębami skał, gdy znów grad stalowy stoczył się ku dywizyi, pierwsze szeregi zmiótł, drugie potargał, trzecie zmieszał.

Rozkaz!

Bębny warczą zajadle. Co chwila z huku armatniego dobywa się rozpaczliwa komenda:

— Szlusuj!

Kolumny zwierają się posłusznie i nikną w oczach.

W bateryi Senarmonta już dwa działa umilkły, zdemontowane przez Hiszpanów.

Bonaparte siedział zadumany pod drzewem, jak gdyby wsłuchując się w huk armat. Od czasu do czasu podnosił wzrok i mierzył badawczo prężących się przed nim ordynansów i adjutantów, którzy urywanemi zdaniami raportowali przebieg bitwy.

Raporty brzmiały wciąż jednakowo.

— Pułk zdziesiątkowany!... — Ogień nieprzyjaciela zabójczy! — Dostępu niema!

Napoleon szarpał niecierpliwie trzymaną w ręku rękawicę.

— Montbrun! — rzucił ostro. — Wysłać mi rekonesans w góry poza linię — niech pochwyci języka!...

Montbrun skinął na stojącego w pobliżu Dziewanowskiego. Rozkaz wnet dosięgnął szwoleżerów. Niegolewski ruszył na czele pół plutonu Wasilewskiego.

Do Napoleona tymczasem dopadł młody adjutant artyleryi:

— Najjaśniejszy panie! — zawołał. — Trzecie działo zdemontowane!

Bonaparte porwał się na nogi.

— Sire! Mam dać rozkaz... artyleryi gwardyi? — zagadnął pośpiesznie Bessières.

— Chcesz góry rozbijać?... Konia!...

Napoleon wskoczył na siodło i ruszył ku górom. Bessières, Montbrun, Duroc, de Ségur i orszak ordynansów i adjutantów dosiadł koni. Za nim tuż postępował trzeci szwadron szwoleżerów, prowadzony przez Kozietulskiego.

Bonaparte minął idące do ataku pułki piechoty i zatrzymał się dopiero na szerokiej płaszczyźnie, zasłanej ciałami poległych.

Napoleon badał pozycye. Rozproszone nieco mgły odsłaniały już widok na ciemną gardziel wąwozu Somo-Sierry, w głębi którego ustawiona baterya sypała zabójcze pociski.

— Sire! — rzekł z mocą Bessières. — Nie narażaj tyle nam drogiego życia!...

Bonaparte poruszył się niecierpliwie. Koń cesarza śród huku a świstu kul targał się a otrząsał niespokojnie.

— Rzeczka założona faszynami?...

— Niezupełnie, sire.

— Ponowić atak!...

Świeży pułk piechoty porwał się z miejsca.

— Vive l'empereur! — huczeli żołnierze, przeciągając w pobliżu. Okrzyk ich atoli śród ryku armat ginął, rozpływał się.

Pułk szedł z hardo podniesionym orłem.

Bonaparte ścigał go wzrokiem. Widział, jak masy ciał słały się, jak ranni, wpółżywi darli się do rzeczki... Szczytem bohaterstwa było dotrzeć do niej i rzucić w nią pęk chrustu!...

Rzeczka wypełniła się szybko. Ciała żołnierzy lepiej tu się sprawiały, niż faszyna.

Niegolewski tymczasem zdołał sprawić ordynans. Generał Montbrun stawił przed cesarzem wydartego górom Hiszpana. Napoleon spojrzał na przerażoną twarz jeńca i dał znak, że nie chce o nic go pytać.

— Bessières! Gdzie szwoleżerzy?

— Na prawo, pod górą!...

Bonaparte spojrzał w stronę, kędy bielił się pas siwych płaszczów a czerniały ceratowemi pokrowcami okryte ułanki.

— Dobrze stoją!...

— Prawda, sire!...

Napoleon zwrócił lunetę ku rzeczce. Orzeł cesarski chwiał się bezwładnie ponad cofającemi się szczątkami pułku.

— Dosyć! — Bessières!

— Sire!...

— Szarża natychmiast! Szwadron szwoleżerów!...

— Najjaśniejszy panie, atak niemożliwy!... Niech obejdą nasze...

— Co niemożliwy? Powiedz im, że ja chcę! Marsz!...

Bessières pochylił się na siodle i spadł na szwadron.

Pułkownik Kozietulski rozmawiał był właśnie z generałem Montbrunem i panem de Ségur.

Marszałek rzucił Kozietulskiemu rozkaz. Montbrun zdarł konia.

— Panie marszałku! Szarża? Niemożliwa! Na zgubę...

— Rozkaz cesarski! — uciął krótko Bessières.

Kozietulski dobył pałasza i zatoczył koniem przed szwadronem. Kilka gromkich zawołań zwinęło linię, wyciągnęło szwadron w czwórki. Szable błysnęły. Słońce wychyliło się się z poza obłoków.

— Do milion dyabłów! — rozległ się stalowy głos Kozietulskiego. — Cesarz chce, abyśmy tych szczurów wymietli!... Naprzód, psie krwie!...

Szwadron drgnął.

Kozietulski podniósł pałasz do góry i spiął konia ostrogami.

— Naprzód, psie krwie! Cesarz patrzy!...

— Niech żyje cesarz! — huknęli szwoleżerowie i pochylili się na siodłach.

Szwadron sunął, jak wicher, ku ziejącej ogniem gardzieli. Z oczu wszystkich żołnierzy jednakie trysły skry, jedna w brwiach zaciętość, jedna morowość.

— Naprzód! — dźwięczał głos Kozietulskiego.

— Naprzód! — wołali kapitanowie Dziewanowski i Krasiński.

— Naprzód! — huczał ostatni żołnierz, jadący na tyle plutonu Krzyżanowskiego.

Konie szły jak burza, jak wezbrany potok górski, jak lawina. Wyciągnęły szyje, rozwarły chrapy, ledwie ziemi dotykając kopytami. Jeden koń drugiego napierał, jakby do szalonego zachęcając wyścigu.

A za tym szwadronem gonił wzrok Bonapartego, wzrok, w którym, zda się, można było czytać zdumienie, podziw.

Szwadron przesadził rzeczkę, w połowie zasypaną ciałami poległych, a w połowie chrustem, i wpadł w wąwóz. Baterya hiszpańska, ustawiona na pierwszym jego skręcie — rzygnęła gradem kul. Sześciu żołnierzy zwaliło się z koni.

— Na armaty, chłopcy! — zawołał Kozietulski, lecz koń jego zachwiał się, bluznął krwią i padł.

Szef szwadronu stoczył się pod ścianę wąwozu.

— Na armaty, dzieci! Niech żyje cesarz! — huknął teraz Dziewanowski.

— Wal, psia mać! — ryczał basem Stadnicki.

Szwoleżerowie wpadli na kanonierów hiszpańskich, zanim ci po raz drugi zdołali podłożyć lonty.

Walka była krótka. Ciała Hiszpanów legły na lawetach. Szwadron pędził dalej, ledwie końcem pałaszy zawadzając o resztki kanonierów. Czego nie dokonały cięcia — tratowały konie.

Gardziel wąwozu za pierwszą bateryą zwężała się, tworząc zaciemniony kurytarz, a w końcu załamywała się, i znów się wydłużała, aby po raz trzeci i czwarty zmienić kierunek.

Każdego z czterech załamów broniła oddzielna baterya, zagradzała drogę, tworzyła węzeł, stanowiła niezdobytą redutę, była dość silną, by atakowi stawić czoło, by go zetrzeć na miazgę, by z miazgi tej dla samej siebie zawałę obronną utworzyć.

Termopile hiszpańskie cztery miały ogniwa, cztery czeluście, w których czegoby armaty nie zdołały wymieść — lasy karabinów, na szczytach ustawione, miały do skał przygwoździć.

Strzałów chybiających tu nie było. Wąwóz prostował skrzywienia celów, a gdy kula o ścianę jego uderzała, wypryskiwał odłamami granitu i srogie zadawał kontuzye.

Wiedział o tem Don Benito San Juan i spokojnie czekał za górami, rychło fala żołnierzy francuskich, szamocąca się u stóp Somo-Sierry, nie odpłynie upokorzona. Wiedziała o tem i „chunta“, rządząca powstaniem, i czekała spokojnie w Aranchuez wiadomości o ustąpieniu Bonapartego.

Gdy szwadron Kozietulskiego porwał się do szarży — Don Benito San Juan uśmiechnął się pogardliwie... Lecz gdy ponad pierwszą przepłynął bateryą, gdy do uszu Don Benita doszedł okrzyk gromki, potężny, brzmiący szaleństwem — wódz hiszpański zbladł...

Szwadron pędził naprzód. Stu dwudziestu ludzi rzucało się na armię, na grad kul, na góry, na skały, na Somo-Sierra!

Szwadron pędził naprzód. Kozietulski, stoczywszy się z konia, pomimo kontuzyi, oczy wzniósł błagalnie ku mijającym go w pędzie żołnierzom i żebrał:

— Bracia! Towarzysze! Konia!

Nikt go nie słuchał.

Przed drugą bateryą padł porucznik Krzyżanowski. W ataku na kanonierów odłam skały uderzeniem w piersi zwalił z konia Piotra Krasińskiego... Dziesięciu żołnierzy okupiło drugą redutę...

Dziewanowski prowadził dalej, mając tuż przy sobie wachmistrza Wasilewskiego ze szwoleżerem Szumem.

Na trzecim załamie ogień nieprzyjacielski wzmógł się. Piechota hiszpańska strumieniem żelaza zasypywała wąwóz — baterye raziły zajadle. Kule zrywały szwoleżerom czapy, szarpały płaszcze i mundury na strzępy, raniły i zabijały konie, dziesiątkowały szeregi. Co chwila ktoś zaczynał się słaniać na koniu i zapadał się w potok pędzący.

Bez komendy — konie szlusowały, zamykały przerzedzone szeregi, a choć na grzbiecie swym dźwigały niekiedy już tylko krwią zlaną kulbakę — mknęły dalej, dopóki kule armatnie nie poszarpały ich, nie zbiły z nóg.

Kompanie zmieszały się, plutony brały już podział życia i podział śmierci.

Floryan, którego kompania szła druga z kolei, dzięki rączości siwka, znalazł się tuż za wachmistrzem Wasilewskim w chwili, gdy trzecia baterya, zdążywszy do drugiego wystrzału się przygotować — zionęła żelazem. Salwa była straszną. Snop dymu otulił szwoleżerów. Gdy się rozwiał — kanonierzy leżeli stratowani...

Floryan spojrzał i zadrżał. Dziewanowskiego na przedzie nie było... Szum zniknął... Gotartowski obejrzał się — kula karabinowa musnęła go po ramieniu.

— Naprzód! — huczał teraz adjutant Rudowski.

— Naprzód! — wołał nadbiegający z tyłu Niegolewski.

Siwek Floryana targnął się i ruszył na czwartą bateryę, a zobaczywszy poza nią wolny przestwór, zaczął ponosić. Próżno Gotartowski wstrzymywał go, próżno nawoływał głosem. W siwku zbudziła się rogata dusza, krew syna pustyni zagrała w nim nagle.

Na górach tymczasem stało się to, czego ani dzielny Don Benito, ani „chunta“ rządząca, ani Bonaparte przewidzieć nie mogli.

Szczyty Somo-Sierry zakołysały się, szeregi Hiszpanów zachwiały, okrzyk przerażenia dobył się z piersi wojska powstańczego... U ich stóp, na krańcu niezdobytego wąwozu ukazały się białe płaszcze szwoleżerów i pokrowcami okryte ułanki...

Armaty zagwożdżone, z zalanemi krwią zapałami, zasłane trupami zwycięzców i zwyciężonych — umilkły... Okrzyk: „Niech żyje cesarz!“ — huczał a piął się po skałach, a jęczał...

Hiszpanie zdumieli się — broń wypadła im z rąk, zmieszali się, złamali karne łańcuchy i jak fala, spływać zaczęli ze stoków Somo-Sierry i szukać schronienia, kędy wiła się ścieżka, kędy górski wąwóz wiódł ku Saragossie, Madrytowi, Aranchuezowi, Walencyi...

Ucieczka była straszną. Lęk nie znał pomiarkowania, głuchym był na błagania dowódców, niepomnych na własne bezpieczeństwo. Żołnierze parli przed siebie na oślep, częstokroć na końcu wąwozu znajdując ponurą, nieubłaganą ścianę, która była im wyrokiem śmierci, gdyż z gardzieli Somo-sierskiej wysypały się już świeże szwadrony szwoleżerów, szaserów i konnych grenadyerów, a na góry pięła się bezkarnie piechota francuska.

Zgiełk bitwy nikł za górami i rozpraszał się. Oddziały kawaleryi wracać poczęły powoli, prowadząc tysiące niewolnika. Piechota zajęła obóz Don Benita.

Wąwóz Somo-Sierra umilkł — zastygł ze zgrozy i ponure cienie słał na bezkształtne masy ciał ludzkich.

Pod trzecią bateryą z pod lawet czołgać się zaczął ranny szwoleżer, klnąc głośno a nawołując:

— Nie lubię, psia mać!... Psa niema! Hej! do czarta — rusz się choć który! Panie poruczniku!...

Ciało adjutanta Rudowskiego, leżące bezwładnie na armacie, drgnęło.

Szwoleżer ryknął z całej siły:

— Poruczniku, bo mnie, psia mać!... Nie słyszy!... Stadnicki do...

Szwoleżer dotknął ręką porucznika i przeżegnał się, zaczem z wysiłkiem obejrzał się dokoła i raz jeszcze zakrzyknął:

— Odezwijże się który!

W odpowiedzi jakiś jęk cichy rozległ się z drugiej strony armaty. Stadnicki posunął się na rękach.

— Przecież jedna poczciwa dusza, co się tym dyabłom wyrwać z ciała nie pozwoliła!... Ba!... Ani chybi, albo Jaworski, albo Grabowski!

Leżący żołnierz snać zrozumiał, bo potrząsnął głową.

— Hę? Ruszasz się? Czekaj, dam ci wina. Olaboga! To mnie potrącili!... Phi, bratku! Wlać się wleje — lecz trzeba ci brzuch zaszyć... boć dziurawy na wylot! Psia mać, ambulansu ani poświeć!... Łykaj!

Ranny otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się.

— Jeden Puciata! — szepnął z zadowoleniem.

— Co? co pleciesz?

— Nie jeden — tylko „jedna“ mówiłem... femina z masculinami nie mieszaj! — odezwał się chrapliwy głos tuż obok.

Stadnicki obejrzał się pośpiesznie. O dwa kroki od niego, pod skałą, siedział Gąsiorowski.

— Jesteś, urwisie! Ruszże się, trzebaby któremu nieboszczykowi ulżyć.

Gąsiorowski wskazał ręką na Puciatę i poruszył wargami, lecz miast słów krew z nich buchnęła. Puciata zaczął się śmiać spazmatycznie, aż spazm przeszedł w krótkie rzężenie i zastygł w głębi skrzywionych kurczowo ust. Stadnicki otarł pot z czoła.

— Pilno im wszystkim biedakom!... Człowiekowi może samemu przyjdzie... wędrować!... Żywego ducha!...

Naraz w głębi, od strony czwartej reduty dał się słyszeć przyśpieszony odgłos kopyt końskich, a po chwili ukazał się wachmistrz Wasilewski.

— Hola! Panie Piotrze! Ratujże, bo się ruszyć nie mogę... Gdzie nasi?

Wasilewski ściągnął konia i mruknął ponuro:

— Poginęli! Leży to wszystko pokotem w wąwozie.

— A Hiszpanie?...

— Goni ich za górami nasz pułk z grenadyerami!... No, czekaj waść, pilno mi!...

— Dokąd? Ratujże, psia mać!...

— Jadę po ambulanse! Porucznik Niegolewski dogorywa! — wachmistrz spojrzał przed siebie i zmarszczył się. — Kapitan tu leży!... Bywajcie... chwili czasu!...

— Czekajże... Kobyła wasza nozdrzami krwawi...

— Dostała w lewy chrap — trzy zęby jej wybiło! Porucznikowi Rowickiemu nogi obydwie urwało!... Skończył!...

Wasilewski szarpnął konia i, klucząc między stosami ciał, skierował się ku głównej kwaterze. Gdy wachmistrz mijał miejsce, gdzie leżał Dziewanowski, posłyszał cichy, rzewny szept:

— Wachmistrzu!...

Wasilewski zębami zgrzytnął.

— Milczeć! Sprowadzę wam ambulanse!...

— Wachmistrzu — buty!...

Wasilewski zatrzymał konia. Tuż przed nim leżał szwoleżer Szum i poglądał z rozpaczą na rozdartą cholewę.

— Co ci?...

— Nic, wachmistrzu — rzekł pokornie szwoleżer, osłaniając ręką krwawiącą ranę na piersiach. — Ale buty!...

— Mówiłem! Tobie nic uczciwego nie warto sprawiać! Trzeci dzień...

Szum skinął twierdząco głową i skonał.

Wasilewskiemu łza zawisła na nastroszonych brwiach.

Spiął konia ostrogami i pomknął.

Od wsi Bocequillas ruszył już Bonaparte ze swoim sztabem i wjechał w wąwóz — tuż za nim postępowała kareta pułkownika Krasińskiego, wysłana po Kozietulskiego i wozy ambulansowe.

Napoleon jechał wyciągniętym kłusem, oglądając uważnie wąwóz — od czasu do czasu zwracał się do Bessières'a i rzucał lakoniczne uwagi:

— Pozycya niezdobyta! Wąwóz stworzony do obrony!...

— Prawda — sire! Dzielni ludzie, odwaga szalona!...

— A co... mówiłem!...

— Sire... oto pierwsza baterya! Jakiż tu atak być musiał!... Kanonierzy leżą... z lontami w ręku do nowego wystrzału!...

— Sont-ils braves ces Polonais!

— Żeby uwierzyć — trzeba widzieć!...

Im orszak dalej w głąb wąwozu się zapuszczał— tem zdumienie, podziw sztabu wzrastał. Jak wedrzeć tu się mogła kawalerya, jak przepłynąć zdołała ponad bateryami, które całą szerokość wąwozu zajmowały?

Koń cesarza przeszedł w stępa, omijając kałuże krwi i ostrożnie depcząc około poległych. Od czasu do czasu z pośród stosu ciał unosiła się ręka, a z piersi konającego wydobywał się okrzyk pełen zapału:

— Niech żyje cesarz!

Okrzyk ten brzmiał groźny, mocny i dookoła czary rzucał. Wpół zastygłe ciała poruszały się, posiniałe wargi składały się do uśmiechu, w zbielałych oczach drgało życie.

— Niech żyje cesarz! — wołali ranni.

— Niech żyje cesarz! — szeptali konający, ostatnie wydając tchnienie.

Na drugiej bateryi Bonaparte dostrzegł żołnierza, siedzącego na armacie i operującego coś około ręki.

Żołnierz, zobaczywszy cesarza, podniósł lewą ręką bezwładnie zwieszającą się dłoń prawej i przyłożył ją do czapy.

— Cóż ci to, zuchu?

— Nic, najjaśniejszy panie, jesteśmy teraz na kwit!...

— Jakto? Jesteś ranny?
— To za dzisiejszy ogień do fajki!...
— Marszałku, podaj go do krzyża!...
— Jak się nazywasz?
— Paskudnie, panie marszałku!
— Odpowiadaj!...
— Poniński!
— Podziękuj najjaśniejszemu panu!...

Żołnierz wzruszył ramionami i syknął z bólu, a potem ozwał się sucho:

— Dziękować?... Na dobrą sprawę, jakby zmierzyć tę dziurę, którą mi szelma carrajo hiszpański wywiercił w ramieniu, z węgielkiem do fajki... to i tak jeszcze mi należeć się coś będzie!...
— Jesteś wachmistrzem!...
— To znów ja będę w zaległości!...
— Więc, jakże chcesz? — roześmiał się Bonaparte.
— Niech już wachmistrz zostanie u mnie na procencie! U mnie będzie pewniejsze!...

Cesarz, w świetny humor wprawiony, ruszył dalej. Pod trzecią bateryą powitał go Stadnicki.

— Jesteś wachmistrzem?
— Tym samym, który miał szczęście rozmawiać zeszłej nocy z najjaśniejszym panem.
— Ranny?
— Dwie kontuzye!
— Kto tu jest więcej?...
— Porucznik Rudowski!... Na lawecie...
— Bessières... legia... krzyż oficerski!...
— Najjaśniejszy panie, porucznik nie żyje! Jemu aby na mogiłę potrzeba krzyża! Lecz tam nasz... ojciec... nasz kapitan Dziewanowski!

Bonaparte zsiadł z konia i zbliżył się ku miejscu, gdzie leżał Dziewanowski. Kapitan miał strzaskaną po kolano prawą nogę, lewe ramię nadto wisiało na kawale skóry. Dziewanowski otworzył oczy.

— Cierpisz?...
— Nie... najjaśniejszy panie!... rany nie bolą!...
— Okryłeś się sławą!... Bessières!... Ranga pułkownika... oficer legii... dożywocie!...

— Co tego, to długo płacić nie będą! — ozwał się z ziemi Stadnicki, który był się doczołgał do Dziewanowskiego.

Kapitan skinął twierdząco głową.

— Najjaśniejszy panie! O... żołnierzach... o kompanii mojej nie zapomnij!... Oni warci ... a ja... ustąpić muszę...

— Czemże ci się odpłacę za twoje poświęcenie!... Jesteście moją chlubą! Dumny jestem z was! Hej! Bessières! Ambulanse niech nadjeżdżają prędzej! Otoczyć ich staraniem! opieką! Życie i zdrowie każdego z tych żołnierzy jest nieocenionem!

Bonaparte zawrócił ku czwartej bateryi.

Pułk szwoleżerów wracał z pogoni za nieprzyjacielem, wracał z hiszpańskimi sztandarami, wracał z niedobitkami trzeciego szwadronu na czele — tego szwadronu, który imię pułku złączył z Somo-Sierrą po wsze czasy, który opromienił go sławą, który nań niesłychane sprowadził zaszczyty.

Bohaterska odwaga tej garści młodzieńców rzuciła czary na armię Napoleona. Stara gwardya cesarska, dumna, nieprzystępna, harda, spoglądająca na pułki liniowe z wysokości Alp i piramid — usuwająca się od „polskich smyków“, którzy wśród niej się kręcili a dzwonili zawadyacko szablami, teraz porwana, uniesiona zwycięstwem, kajała się.

Lody pryskały — stalowe twarze gorzały, w lwach z pod Marengo, Hohenlinden, Arcôle odzywały się stwardniałe w bojach serca.

Pułk szwoleżerów wracał wśród okrzyków, wracał salutowany przez żołnierzy i oficerów. A gdy rozłożył się obozem, aby zasłużonego zażyć spoczynku — tłumy żołnierzy ze stojących w pobliżu pułków zbiegały się do szwoleżerów, śpiesząc dłoń ich uścisnąć, podzielić się manierką, przyjrzeć im się zbliska.

O zmierzchu zatrąbiono na apel, poczynając od trzeciego szwadronu.

Wachmistrz Dąbczewski miał czytać kontrolę siódmej kompanii, Wasilewski trzeciej.

Wincenty Krasiński pułkownik i Dautancourt major w otoczeniu oficerów stali przed frontem. Spieszone szeregi szwoleżerów grobowa zaległa cisza.

Wasilewski rozwinął podziurawioną kulami kontrolę — ręce mu drżały.

— Zaczynaj wachmistrzu! — rzekł Krasiński.

Wasilewski zaczął czytać koleją plutonów.

— Zielonka Benedykt wachmistrz-szef!...

Wasilewski urwał, czekając na odzew — szeregi milczały.

— Ranny! — ktoś odezwał się szeptem.

— Sokołowski wachmistrz? — czytał dalej Wasilewski.

I znów cisza była mu jedyną odpowiedzią, a potem pomruk smutny:

— Zabity na bateryi!

— Toedwen?

— W ambulansie!

— Roman?

— Kontuzya!

— Stadnicki?

— Dwie kontuzye!

— Gotartowski Floryan!

Wasilewski podniósł głowę.

— Jeżeli który wie, odpowiadaj! — wtrącił się Krasiński, a po przestanku rzekł do Wasilewskiego: — Zapisz tymczasem, wachmistrzu — „bez wieści".

Wasilewski czytał dalej — czytał coraz gwałtowniej, gorączkowiej, kontrolę do oczu podnosił, aby snać lepiej wymawiać nazwiska. Chór żołnierzy odpowiadał co chwila głuchym, ponurym głosem.

Stojący poza szczątkami trzeciego szwadronu szwoleżerzy odkryli głowy, a za nimi poszli przypatrujący się zdala gwardziści francuscy...

Wasilewski skończył.

Dwunastu zabitych... sześciu dogorywających, czterech rannych ciężko, kontuzyowanych piętnastu, stratowanych trzech!

Wachmistrz Dąbczewski wystąpił z kontrolą kompanii Piotra Krasińskiego... Żniwo śmierci, ka-

lectwa i niemocy i tu było obfite, i tu kompania ledwie świeciła niedobitkami.

Zestawiono cyfry. Krasiński obwieścił pułkowi rozrachunek. Pięćdziesięciu siedmiu poległych i ciężko rannych, nie licząc oficerów, z których dwóch legło na placu, dwóch dogorywa, dwóch budzi nadzieję przyjścia do zdrowia, jeden szef szwadronu lekko kontuzyowany!... Jeden porucznik Szeptycki ocalał, ile że nie był w szarży.

Długo w noc gwarzono przy ogniach, rozprawiając o bitwie, wspominając poległych towarzyszów. Długo w noc spełniano czarki a zapijano wiwaty.

Tylko w trzecim szwadronie wśród żołnierzy smutek a pustka wiała. Choć ciągnięto ich a zapraszano do kompanii, jako bohaterów dnia, woleli w swem szczupłem kolisku zostawać... i dzielić się myślą.

Tu wczoraj Norwiłł ucieszne swoje krakowiaki ciągnął, tu Dzięcioł pyzaty ze Swietarkim w zawody szli, który dłużej tchem jednym apel wygra na trąbce, tu zasiadał gwarny pluton „dwóch drzew“... Z jedenastu Jaworskich ocalał jeden, Grabowskich zostało dwóch, Zawadzcy legli wszyscy. Szum, Ryndejko, Olszewski, Waśniewski, trzech Bieńkowskich, dwóch Orłowskich zabici.

Co chwila przypominano sobie kolegów, gdzie który padł. O jednym Floryanie Gotartowskim nikt nie umiał nic powiedzieć pewnego. Wasilewski twierdził, że Floryan był jeszcze przy czwartej bateryi, zanim porucznik Niegolewski spadł z konia, i że widział go, jak pędził za uchodzącymi Hiszpanami. Toż samo powtarzał słowo w słowo młody Siemoński, który, mimo rany, wolał udawać zdrowego, niż leżeć w ambulansie...

Jedna i druga relacya nic dobrego nie wróżyła. Nieobecność Floryana była jasnym dowodem, że zapędziwszy się zginął, w jakim parowie, albo ranny, zakłuty został przez uciekających Hiszpanów.

Takich zaginionych było więcej, ile że i zwłok poszarpanych na bezkształtne kawały a zamienionych w miazgę nie brakło...

Marcelek, który był ze szwadronu Łubieńskiego nadbiegł dowiedzieć się o bracie a sprawdzić chodzące wieści, z boleścią przyjął wiadomość o zaginięciu, łudząc się jeszcze nadzieją, że może nadciągające wciąż ambulanse choć rannego przywiozą.

Dnia następnego o świtaniu trąbki postawiły pułk szwoleżerów na nogi.

Pochód ku Madrytowi został nakazany. Szwoleżerowie iść mieli w przedniej straży i objąć rekonesanse.

Pułk wyciągnął się w długą wstęgę trójek, aby przesunąć się przez gardziel Somo-Sierry, i na dany znak ruszył ku głównej kwaterze. Przed wsią Bocequillas stał obozem korpus marszałka Victora. Tu, gdy zdaleka ujrzano karmazynowe ułanki, porwano się na nogi i bez komendy uformowano się nad drogą, witając szwoleżerów okrzykami i salutując ich.

Zapał żołnierzy udzielił się sztabom. Z namiotów wysypali się oficerowie, nadjechał marszałek.

Okrzyki grzmiały. Szwoleżerowie salutowali bronią na podziękowanie. Serce rosło w nich, iskry szły z oczu, twarze promieniały.

Zanim pierwsze trójki zdołały dosięgnąć głównej kwatery — na drodze ukazał się Bonaparte ze świtą. Przodem pędził co koń wyskoczy marszałek Bessières.

Krasiński zakomenderował:

— Prezentuj broń!

Bessières ręką skinął i rzucił Krasińskiemu:

— Formuj szyk bojowy!

Pułk stanął — złamał wstęgę, zwrócił konie.

— Demi ban! — komenderował dalej marszałek.

Trąbki zagrały długo, włóczyście.

Nadjechał Bonaparte ze sztabem i zatrzymał się przed pułkiem, który błysnął na powitanie szablami.

Cesarz zdjął kapelusz.

— Honneur aux braves des braves! — rozległ się donośny, dźwięczny głos.

— Niech żyje cesarz! — huknęli żołnierze.

Bonaparte zatoczył koniem. Muzyka korpusu Victora na dany znak przez Bessières'a zagrała marsza Dąbrowskiego. Pułk przedefilował przed cesarzem i znów wyciągnął się we wstęgę i znikł powoli w wąwozie Somo-Sierry.

Wąwóz czerniał ponurą pustką. Armaty, ciała poległych były już uprzątnięte. Gdzieniegdzie tylko widniały skrzepłe, brunatne plamy, czasami złamana klinga błysnęła pod ścianą lub z poza skały wyjrzała uwięzła kula.

Pułk ciągnął w milczeniu głębokiem a w skupieniu.

Na przodzie pułkownik Krasiński wszczął cichą rozmowę z majorem Dautancourtem i jadącym tuż kapitanem Jerzmanowskim.

— Piękny dzień! O takim nie śniłem!

— Ba! To, co dziś nas spotkało, jest niesłychanym w dziejach armii zaszczytem!... Nie pierwszy rok służę, rozmaite już widziałem uroczystości... byłem świadkiem wielkich pochwał, które spadały na starą gwardyę, ale cesarz, odkrywający głowę przed pułkiem!...

— A przypomina sobie major, jak to nas burczał w Warszawie? Co? — wtrącił żywo Jerzmanowski.

— No, no!... Przecież znów nie tak bardzo! — bronił się major. — Chociaż, ja wam powiadam, że ta szarża, te zaszczyty nie warte są jednego Dziewanowskiego!...

— Robią nadzieję utrzymania go przy życiu.

— Nogę mu jeszcze w wąwozie odjęto, a ramię strzaskane podobno budzi obawy!...

— Tak, pułkowniku! — rzekł major. — Byłem i ja u niego!... Poznał mnie!... Śmiał się!... Pytam, czy czego nie potrzebuje, a on do mnie, żeby mu z namiotu węzełek przynieść. Posłałem natychmiast. Przynieśli, a w węzełku tym, zgadnijcie, co było? Garść ziemi!...

— Zacny pan Jan! — szepnął Jerzanowski.

— Prastary to u nas był zwyczaj.

— Jam go nie znał! Zagadnąłem więc Dziewanowskiego. Krew ścierpła mi w żyłach! Nie, nie! Wy swoje, ja swoje!... Nie chcę, nie życzę wam takich szarży!... Ofiara krwi za wielka! Kwiat młodzieży! Prawda, szesnaście krzyżów na pułk, dwadzieścia kilka awansów, deszcz złota hiszpańskiego, ale nie!... Patrzcie, tam!...

Dautancourt wskazał ręką na żółty, świeżo usypany kopiec, który wznosił się za wylotem wąwozu — pośrodku rozległej doliny.

— I pomyśleć, że ludzie ci na to urodzili się nad Wisłą... aby tu, na tem pustkowiu, ledz!...

— Majorze! — upominał Krasiński. — Mówisz, jakbyś nie był Francuzem!

— Nie o tem teraz myślę! Tfy! Gorzko człowiekowi! Toż tych dzieciaków sam wybierałem, sam co przedniejszych szukałem... i ot, macie na co!...

Pułk wysuwał się powoli z wąwozu i spływał ku dolinie.

Krasiński, zbliżywszy się do kopca, przystanął, za jego przykładem poszły szeregi. Żołnierze zdjęli czapy.

Wachmistrz Wasilewski zeskoczył z konia i ukląkł u stóp kopca. Z drżących ust Wasilewskiego dobyły się słowa modlitwy za umarłych. Modlitwa na skrzydłach wiatru przebiegała szeregi, chwiała się nad orłem sztandaru i ginęła hen w wąwozie.

— Amen! — rzucił gromko wachmistrz.

— Amen! — powtórzył pułk.

— Amen! — odpowiedziały góry.

Major Dautancourt fyrknął energicznie nosem i mruknął cicho:

— Jak się człowiek będzie z nimi dłużej zadawał, to jeszcze kamedułą na stare lata zostanie!...

Krasiński uścisnął rękę majora.

— Więc tu nasze drogi się rozchodzą?

— Tutaj, pułkowniku!

Sygnaliści grać zaczęli. Regiment podzielił się na dwa oddziały. Na czele pierwszego stanął Krasiński, dowództwo drugiego objął Dautancourt.

Oddziały salutowały się i ruszyły dwiema rozchodzącemi się drogami.

Koniec tomu drugiego.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
113566

Biblioteka WSP Kielce
0151882

[illegible] SŁOWA POLSKIEGO WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA ZIEMBIŃSKIEGO